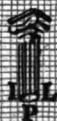


ZESZYT DWUDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1971

ZESZYT DWUDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1971

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 208

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi

par 78-MAISONS-LAFFITTE

Witold BABIŃSKI

PRASA ANGIELSKA W SPRAWACH POLSKICH NA PRZEŁOMIE LAT 1943 - 1944

Wpływ prasy na opinię publiczną i wpływ opinii publicznej na prasę — są to tematy zwykle sporne, nigdy nie dające się załatwić za pomocą prostych „tak” lub „nie”. Współzależność jest niekiedy bardzo skomplikowana. Dodajmy, że i wpływy organów rządowych na prasę są niemałe: całkowite w państwach totalitarnych, pośrednie zaś, lecz nie bez znaczenia w krajach o ustroju demokratycznym.

W niniejszym opracowaniu zagadnienie powyższe przedstawia się w sposób raczej uproszczony. Chodzi o stosunek opinii angielskiej do spraw polskich w czasie ostatniej wojny, ściślej w latach 1943/4 a więc w okresie przed i po konferencji w Teheranie. W czasie wojny nie było w Anglii oficjalnej cenzury. Był natomiast wzajemny *consensus*, że w sprawach polityki zagranicznej, tak jak w sprawach prowadzenia wojny, prasa działała w ścisłym porozumieniu z rządem brytyjskim. Prasa poddawała się tak czy inaczej pojętej racji stanu państwa w imię zasad obrony kraju. Zresztą, będące w ręku rządu, racjonowanie papieru mogło być, a i bywało niekiedy, środkiem nacisku.

Prasa komunistyczna — wówczas zaledwie parę gazet — reprezentowała także rację stanu, lecz — sowiecką. Wpływ prasy na opinię publiczną w czasie wojny był niewątpliwy, nawet przełożony. Wszelkie inne formy, w których może się wyrażać opinia publiczna, były w czasie wojny siłą rzeczy ograniczone. Dotyczyło to także parlamentu, który zbierał się na krótkie sesje przy czym unikano zbyt rozwlekłych debat.

W sprawach dotyczących Polski głosy prasy były czynnikiem niezmiernie ważnym dla formowania opinii publicznej.

Doskonałą prasę mieliśmy w Anglii w latach 1940-1941. Uznawano wtedy powszechnie wybitny wkład Polaków do „bitwy

o Wielką Brytanię". Uznawano, że jesteśmy jedynymi sprzymierzeńcami, którzy dają zagrożonej Anglii realną pomoc. Ten miodowy miesiąc kończy się z chwilą, gdy atak Hitlera na Sowiety obdarza Anglię nieoczekiwanym sprzymierzeńcem. Od tej chwili zaczyna się stopniowe, z początku ostrożne, przedstawienie opinii przez prasę w kierunku popierania interesów sowieckich na wschodzie Europy. Pierwszym groźnym sygnałem ostrzegawczym w okresie zawarcia paktu polsko-sowieckiego był artykuł wstępny profesora Carr'a (człowieka bliskiego ministrowi Eden'owi) w *Times'ie* z 1 sierpnia 1941 roku pt. „Peace and Power”, gdzie autor dowodził, że:

1. Traktat Wiedeński z 1815 roku był traktatem realistycznym w przeciwstawieniu do wadliwego, bo zbyt abstrakcyjnego Traktatu Wersalskiego z roku 1919.
2. Europa Wschodnia potrzebuje jakiegoś *leadership*, który musi zastąpić chaos ostatnich lat 20-tu. Ów *leadership* mogą dać Niemcy lub Rosja. Interes Anglo-Sasów wymaga, aby wpływy niemieckie nie mogły szkodzić interesom Rosji w tej części Europy.

Na ten artykuł odpowiedział gen. Sosnkowski listem do *Daily Telegraph* 4 sierpnia 1941. Inne pisma angielskie zaczęły wtedy także opowiadać się już po stronie sowieckiej w sporze polsko-sowieckim; prawicowy periodyk *Truth* z 3 sierpnia stwierdzał, że układ polsko-sowiecki pozwala Anglii umyć ręce od spraw Europy Wschodniej. Lewicowa *Tribune* z 15 sierpnia 1941 stwierdza brutalnie, że Anglicy nie mogą zgodzić się na granicę polsko-sowiecką z roku 1939, bo „feudalna” Polska uciskała obce narodowości, bo Wilno było zdobyte w „bandyckim napadzie”, bo w Galicji Wschodniej nie był dotrzymany warunek autonomii itp. To tylko parę przykładów aby pokazać jak była już wtedy ustawiona prasa. Polska kochanka tracić zaczęła bardzo szybko swoje powaby...

Wiosną 1942 roku Mołotow prowadził z Wielką Brytanią rokowania o układ sojuszniczy. Starał się wtedy uzyskać zgodę Anglii na zabory sowieckie we Wschodniej Europie. Zagrożenie Polski było zarówno bezpośrednie, jak i pośrednie, gdyż Sowietom chodziło w pierwszym rzędzie o zgodę Anglii na zabór państw bałtyckich i Besarabii. I w tym wypadku większość prasy angielskiej popierała żądania sowieckie w imię elastycznej zasady „bezpieczeństwa”. Układ sowiecko-brytyjski, podpisany 26 kwietnia 1942 roku nie precyzuje jeszcze przyszłych granic, ale daje sformułowanie mętne i niepokojące o niedążeniu do zaborów terytorialnych. Ten artykuł traktatu każdy z partnerów interpretował inaczej. Ówczesne stanowisko Stanów Zjednoczonych nie dopuściło jeszcze do wyraźnej zgody Anglii na żądania sowieckie.

Wiosną roku 1943 ujawniony został fakt wymordowania tysięcy oficerów polskich przez Sowiety. W dramatycznych okolicznościach następuje zerwanie przez Sowiety stosunków z polskim Rządem. Churchill i Eden wywierali wtedy nacisk na generała Sikorskiego, aby przyjął upokarzające warunki Stalina, czemu gen. Sikorski się opierał. I wówczas prasa angielska nie udzieliła nam poparcia.

Po tragicznej śmierci gen. Sikorskiego, gdy w polskich kołach politycznych wybucha konflikt na tle mianowania nowego rządu i nowego naczelnego wodza — prasa angielska z lubością odślawiała kulisy naszego politycznego kryzysu. W tym wypadku trudno mieć do prasy angielskiej szczególną pretensję, gdyż ten wewnętrzny polski spór przenieśli na łamy pism brytyjskich, niestety, Polacy.

W opracowaniu niniejszym interesuje nas okres, w którym wojska sowieckie zbliżać się zaczęły do granic Polski i gdy rozmowy państw anglosaskich w Moskwie i w Teheranie przesądziły o powojennej sytuacji Polski. Te zasadnicze decyzje zapadły w końcu roku 1943. Pierwsze półrocze roku 1944 to początek stosowania w praktyce wyroków teherańskich, które zresztą trymane były w ścisłej tajemnicy. Nie było się czym chwalić. Okres dla Polski tragiczny. Przyjrzyjmy się stanowisku, jakie zajmowała prasa angielska, względnie także amerykańska.

Zbliżanie się wojsk sowieckich do granic Polski spowodowało wydanie instrukcji dla Kraju z dn. 27 października 1943 roku. Była to instrukcja wspólna rządu i naczelnego wodza. Prasa angielska w owym czasie nie poświęcała sprawom polskim zbyt wiele miejsca. Natomiast informowała stale o atakach prasy sowieckiej na polskie władze. Były tam m.in. insynuacje, jakoby naczelny wódz wydał jakieś odmienne instrukcje dla Armii Krajowej, niezgodne z instrukcjami rządu. Było to oczywiście nieprawdą.

W końcu grudnia 1943 roku rozpoczęła się w krajach anglosaskich wzrastająca z każdym dniem dyskusja prasowa na tematy polsko-sowieckie. Zaczęło się od omawiania zawartego właśnie przez Benesa paktu czesko-sowieckiego. Przedrukowywano także z prasy sowieckiej coraz ostrzejsze zarzuty pod adresem Armii Krajowej i polskiego naczelnego wodza. Stałym motywem tych ataków było: pozorują walkę z Niemcami, naprawdę zaś tępią partyzantów i komunistów.

W końcu grudnia i w początku stycznia, gdy Sowiety dotarły do granic Polski, rząd nasz próbuje z pomocą rządu brytyjskiego, stworzyć z Sowietami *modus vivendi* (memorandum z 31. XII.

1943 roku, deklaracja 6 stycznia 1944, odrzucenie polskiej oferty — Komunikat „Tass’a” z 11 stycznia 1944 roku).

Prasa brytyjska zaczęła wtedy poświęcać coraz więcej miejsca sprawom polsko-sowieckim. Deklaracja rządu polskiego, choć oceniona przez prasę, jako zbyt nieustępliwa, spotkała się na ogół z dobrym przyjęciem, głównie jednak dlatego, że prasa rozumiała ją jako otwarcie drzwi do negocjacji o ustępstwa terytorialne. Takie były np. komentarze *Times’a* z 6, 7 i 8 stycznia 1944. *Daily Telegraph* postawił w numerze z dnia 8 stycznia pytanie: czy Armia Krajowa walczyć będzie z Niemcami samodzielnie, czy też we współdziałaniu z Sowietami, niezależnie od tego, czy dojdzie do porozumienia politycznego. Dużo miejsca poświęciła w tym okresie prasa angielska linii Curzona, jej historii i uzasadnieniu. Czytelnik tych wywodów odnosił wrażenie, że to jest najsprawiedliwsze rozgraniczenie między Polską a Rosją.

Komunistyczny *Daily Worker* atakował bezustannie „bierną” Armię Krajową, przeciwstawiając jej „walczących patriotów”. 8 stycznia 44, *Daily Worker* ponawia insynuację, jakoby polski wódz naczelny posiadał w Polsce własną organizację „Bur”, która tępi „patriotów” i wydaje ich w ręce Niemców.

9 stycznia 1944 roku w *Observer* korespondent dyplomatyczny podaje pt. „Soviet plan for Polish frontier modifies Curzon Line”, że rząd sowiecki wysunął „kompromisowy” projekt załatwienia sporu terytorialnego z Polską. Podkreślono, że po załatwieniu tego sporu państwa zachodnie nie będą miały żadnej ingerencji w sprawach polsko-sowieckich. Korespondent pisze, że podobny projekt wysunęło pismo *Wolna Polska* w Moskwie: 1) ustępstwa terytorialne na rzecz Sowietów, 2) rząd „demokratyczny” i zniszczenie w Polsce „elementów reakcyjnych”, 3) natychmiastowy podział ziemi. W zakończeniu artykułu autor łagodnie potraktował premiera Mikołajczyka, natomiast zaatakował gen. Sosnkowskiego, „reakcjonistę i wroga Sowietów” za rzekome wydanie odmiennych niż rząd instrukcji dla Kraju. Mimo, że dnia następnego *Dziennik Polski* zdementował insynuację *Observer’a*, dnia 11 stycznia 44 pismo to powtarza insynuację o odmiennych instrukcjach oraz daje przedruk z *Dziennika Polskiego* o nastrojach „szczypiorniackich” w wojsku. Tegoż dnia *Evening News* podaje dawną fotografię Naczelnego Wodza w otoczeniu sztabu, komentując w ten sposób, że oto „Polish Leaders” studiują „linię Curzona” (co było, oczywiście, wytworem fantazji).

Oświadczenie „Tass’a” z 11 stycznia, oświadczenie Rządu polskiego z 14 stycznia, naciski brytyjskie na rząd polski, aby ustąpił w sprawach terytorialnych — znajdują natychmiast swe odzwier-

ciędlenie w prasie. Prasa przyjęła deklarację polską przychylnie widząc w niej zgodę na wszczęcie rozmów o rewizję granic. 16 stycznia *Observer* zamieszcza złośliwą sylwetkę gen. Sosnkowskiego, pisaną nie bez udziału czynników polskich.

Krótką odpowiedź sowiecka z 17 stycznia jest wyraźna: 1) oświadczenie polskie ignoruje linię Curzona, 2) rząd sowiecki nie może wchodzić w rokowania z rządem, z którym zerwano stosunki „z winy rządu polskiego, który brał udział we wrogiej kampanii antysowieckiej”. W konkluzji Sowiety stwierdzają, że „obecny rząd polski nie pragnie dobrych sąsiedzkich stosunków z ZSSR”.

Prasa angielska z dn. 17 i 18 stycznia była bardzo wstrzemięźliwa, co wywołało nawet w kołach polskich nadzieje, że naciski brytyjskie na nasz rząd ustaną. Jednak już 19 stycznia *Times* zapowiada, że nadal dążyć należy do kompromisu w sprawach polsko-sowieckich i że w interesie publicznym nie należy wszczynać dyskusji prasowej (właśnie 20 stycznia Churchill wywierał mocny nacisk, aby natychmiast Polacy godzili się na linię Curzona).

Oświadczenie Naczelnego Wodza o braku rozbieżności w instrukcjach dla Kraju przeznaczone dla prasy angielskiej P.A.T. umieścił złośliwie tylko w *Dzienniku Polskim* (15 stycznia). Dopiero następnego dnia, po interwencjach, oświadczenie to ukazało się w *Times*'ie. Oczywiście *Daily Worker* zaopatruje oświadczenie soczystym komentarzem. *Tribune* z 20 stycznia ponawia swój atak na Polskę i na Naczelnego Wodza. Oba te pisma ponawiają ataki periodycznie. Przedmiotem ich jest „polska klika wojskowa”, „faszyści”, Armia Krajowa; pisma te żądają zmian w rządzie polskim w myśl życzeń sowieckich.

Ton prasy angielskiej niekomunistycznej zarysował się w końcu stycznia jak następuje: Sowiety nie mają racji, gdy żądają zmian personalnych w rządzie polskim, natomiast linia Curzona musi być przyjęta jako granica (*Times*). Podobne stanowisko zajął *Observer* z 23 stycznia. Nowy element wniósł *Observer* z 23 stycznia 1944, podając dyskusje w amerykańskiej Izbie Reprezentantów. Wedle pewnych rewelacji w Teheranie postanowiono, iż pierwszy aliant, który wyzwoli jakiś kraj w Europie, będzie miał prawo zarządzić tam wybory nowego rządu.

Nadto prasa angielska zamieszcza bez komentarzy komunikat sowiecki o wyniku śledztwa w sprawie mordu w Katyniu.

W lutym rząd polski obradował nad uzupełnieniem Instrukcji dla kraju, a to na skutek ważnej zmiany dokonanej przez kraj (depesza gen. Bora No. 2100). Ta sprawa nie wywołuje na ogół komentarzy w prasie angielskiej. Zajęta ona była głównie w początkach lutego omawianiem ówczesnych zmian w konstytucji

sowieckiej, które przyjmowano z całą powagą i uwagą. W tym czasie rząd polski czynił wysiłki o uzyskanie gwarancji brytyjskiej i amerykańskiej. Starania te nie dały rezultatu.

Natomiast Churchill wywiera na nasz rząd coraz silniejszą presję na przyjęcie żądań Stalina (Konferencja 6 lutego 1944 r.). Rewelacje o nowych żądaniach Sowietów (Prusy Wschodnie i Małopolska Wschodnia) podał *Observer* z 13 lutego. Cała prasa streszcza niesłychany atak *Prawdy*, zarzucający naszym władzom legalnym współpracę z Niemcami.

— 10 lutego 1944 rząd brytyjski, spełniając żądanie Stalina, cofnął *Wiadomościom Polskim* przydział papieru; formalny motyw: przedruk antysowieckiego artykułu *Times'a* z roku 1939. Ostatni numer *Wiadomości* nosił datę 13 lutego. Twierdzono powszechnie, że w tym zakneblowaniu wolnego głosu polskiego brali udział także niektórzy Polacy...

12 lutego 1944 roku rząd polski otrzymał projekt depeszy Churchill'a do Stalina — z terminem 3-dniowym do wypowiedzenia się.

Swoisty ten dokument zawierał szereg zobowiązań, jakie miał zaciągnąć Rząd polski, a więc: 1) współpraca, a raczej podporządkowanie się Armii Krajowej wkraczającej do Polski armii czerwonej, 2) unieważnienie Traktatu Ryskiego i zgoda na tzw. linię Curzona, 3) usunięcie Naczelnego Wodza i 2 ministrów Rządu polskiego (gen. Kukieła i prof. Kota). W zamian za to Churchill prosił Stalina, aby oświadczył, że uznaje i szanuje niepodległość Polski i że postara się o rekompensaty dla Polski na Śląsku, w Prusach Wschodnich i w Gdańsku. W projekcie Churchilla tylko linia Curzona miała być uznana natychmiast. Zachodnia natomiast granica Polski miała być ostatecznie ustalona w Traktacie Pokoju. Z projektowanego dokumentu wynikało również, że Wielka Brytania miała brać udział w dalszych rokowaniach. Gwarancji nowych granic Polski miał udzielić Stalin.

Powyższego projektu depeszy Rząd polski nie przyjął, żądanie zmian personalnych odrzucił, ostateczne uregulowanie sprawy granic chciał odłożyć do końca wojny, natomiast „linia demarkacyjna” między administracją sowiecką, a polską, w czasie działań wojennych przebiegałaby na zachód od Wilna i Lwowa.

Już 20 lutego 1944 cała prasa angielska, wyraźnie inspirowana przez Foreign Office, ujawniła całość sprawy, poczynając od propozycji Churchilla, poprzez niedyskrecje o różnicy zdań w łonie naszego rządu aż do treści naszej odpowiedzi włącznie. Uzupełnienie Instrukcji dla Kraju zostało przedstawione fałszywie, jako nakaz bezwarunkowego oddania oddziałów A.K. pod rozkazy dowódców sowieckich.

W mowie swej z dnia 22 lutego Churchill, mówiąc o zobowiązaniach Wielkiej Brytanii wobec Polski, stwierdził z przyjemnością, że omawiał ze Stalinem przyszłość Polski. Z radością znalazł, że Stalin, podobnie jak Churchill, pragnie *strong and independent Poland*. Dalej Churchill zaprzeczył, jakoby rząd brytyjski gwarantował jakieś specjalne granice Polski oraz zaznaczył, że Wielka Brytania nie uznawała „polskiej okupacji Wilna w roku 1920” (zapominając że granice wschodnie Polski Wielka Brytania uznała oficjalnie w trzy lata później).

Dalsza część mowy poświęcona była uzasadnieniu linii Curzona, poparciu żądań Stalina (*limits of what is reasonable or just*).

Reakcja polska wyraziła się w oświadczeniu Ministra Spraw Zagranicznych, złożonym min. Eden'owi oraz w mowie Naczelnego Wodza do lotników 23 lutego 1944, w której bronił naszych praw oraz prostował nieścisłe wiadomości o instrukcjach dla Kraju.

Powyższe posunięcia Churchill'a, będące przecież wykonaniem umów teherańskich (nie ujawnionych jeszcze wtedy) wywołały pewną reakcję w opinii publicznej angielskiej, w części prasy, w wypowiedziach kilku członków Izby Gmin. Uważano słusznie, że Churchill odstąpił od zasad moralno-politycznych. W Europie wrażenie było jak najgorsze. Wśród Polaków — nastroje rozpaczliwe. Nie wpłynęło z pewnością na rozładowanie tych nastrojów to, że prasa angielska zaczęła poświęcać coraz więcej miejsca wypowiedziom o nowotworach politycznych kreowanych w Warszawie przez PPR (*Observer* i *Sunday Times* z 27 lutego 1944). Gdy *Dziennik Polski* te propagandowe wypowiedzi komunistyczne prostował — konserwatywny *Daily Mail* nazwało to *Poles attack communists* (*Daily Mail*, 1 marca 1944).

Oficjalne czynniki angielskie oczekiwały wtedy odpowiedzi Stalina na propozycję „linii demarkacyjnej”. Świadczyły o tym artykuły *Observer'a* i *Sunday Times'a* z dnia 5 marca 1944.

Tymczasem Moskwa, otrzymawszy całkowitą satysfakcję w mowie Churchilla z 22 lutego, przestała interesować się rozmowami z rządem polskim. Na propozycję Churchilla dalszego pośrednictwa w rozmowach z rządem polskim Stalin udzielił odpowiedzi odmownej. W tym stanie rzeczy rząd brytyjski uznał swoją misję pośrednictwa na razie za skończoną. Świadczył o tym półoficjalny artykuł w *Times'ie* z dnia 8 marca 1944 pt. „Soviet Reply to Poles. Proposals inadequate”. W artykule tym tzw. „korespondent dyplomatyczny” stwierdza, że odpowiedź sowiecka, nadeszła właśnie do Londynu, uważa polskie propozycje za niewystarczające albowiem Stalin żąda nadal: 1) natychmiastowego uznania przez rząd polski „linii Curzona”, 2) usunięcia z rządu

polskiego wszystkich elementów anty-sowieckich. Dalej artykuł *Times*'a streszczał ostatnie propozycje polskie (linia demarkacyjna). Propozycje te Sowiety uważają za niedostateczne gdyż nie dają gwarancji, których żąda Moskwa, jako warunku wstępnego. Nawet bowiem instrukcje rządu o współdziałaniu A.K. z armią czerwoną są torpedowane przez instrukcje i przemówienia Naczelnego Wodza.

Sowiety powołują się na mowę gen. Sosnkowskiego z dnia 25 lutego, gdy mówił, że instrukcje dla A.K. wykazują maksimum dobrej woli ale w ramach poszanowania bezspornych spraw Polski. W zakończeniu artykułu *Times* wyrażał żal, że wysiłki rządu brytyjskiego nie dały dotąd rezultatu, że jednak nadal wskazana jest akcja w myśl tez Churchilla z 22 lutego, tj. linia Curzona na wschodzie, rekompensaty na zachodzie. W ten sposób powstanie *strong and independent Poland*.

Przez kilka następnych tygodni prasa angielska dawała znacznie mniej informacji o sprawach polsko-sowieckich. Było to niewątpliwie w związku z trudnościami, jakie stwarzała wtedy Anglikom polityka sowiecka (uznanie Badoglio przez Sowiety itp.).

26 marca 1944 roku *Observer* publikuje pierwsze rewelacje o decyzjach powziętych w Teheranie. Według informacji *Observer*'a Niemcy mają być po wojnie podzielone na 3 strefy okupacyjne: sowiecką do Łaby, amerykańską — południowe Niemcy; angielska miałaby obejmować resztę obszaru Niemiec. Berlin ma być okupowany łącznie przez 3 mocarstwa. Były to pierwsze wiadomości prasowe o wynikach konferencji w Teheranie. Zostały one wprowadzone prostowane poufnie przez Foreign Office w tym sensie, że sprawy powojennej okupacji Niemiec nie zostały jeszcze przesądzone. Jednak komunistyczny *Daily Worker* w dniu 1 kwietnia 1944 roku podał, że prawdziwa treść układu teherańskiego polega na łącznej okupacji Niemiec przez 3 mocarstwa. Dziennik dodawał nadto, że Polska i Czechosłowacja zostaną wyzwolone przez wojska „narodowe”, zaś wojska sowieckie znajdują się na tych terenach tylko w okresie walk z Niemcami.

Antypolska agitacja sowiecka w społeczeństwach anglo-saskich wyraziła się w tym czasie m.in. w organizowaniu grupowych dezercji żołnierzy Żydów, Białorusinów i Ukraińców z wojska polskiego. Grupy takie zjawiały się w Londynie, prosząc o przeniesienie ich do armii brytyjskiej i skarżąc się na rzekome szkany, jakie ich spotykały w wojsku polskim.

Prasa angielska pomijała z początku tę sprawę milczeniem aż do dnia 30 marca, kiedy zjawily się na ten temat nieprzyjemne wzmianki w *New Chronicle* i *Daily Herald* co spowodowało sprostowanie przez rząd polski.

Równolegle rozpoczęto penetrację komunistyczną wśród społeczeństwa polskiego w Anglii — zjawiają się tzw. „patrioci” propagujący swoje cele pod płaszczykiem „idei słowiańskiej”. Akcja ta jednakże nie przybrała szerszych rozmiarów.

Dyskusję nad problemem polsko-sowieckim wznowił znów *Observer* w dniu 2 kwietnia. Nadmienić należy, że *Observer* miał wśród swych współpracowników Izaaka Deutschera, obywatela polskiego, krakowianina, nawet urzędnika naszego Ministerstwa Informacji. Pro-sowieckie przekonania Deutschera nie mogły ulegać wątpliwości. Otóż *Observer* podawał pogłoski, że dowództwo polskiej armii podziemnej cofnęło poprzedni rozkaz o ujawnianiu i współdziałaniu z armią sowiecką; że próba współdziałania AK z Sowietami na Wołyniu nie udała się: ujawnieni przedstawiciele polscy zgłosili propozycje współdziałania wojskowego i objęcia administracji; odpowiedź sowiecka nie jest znana, w każdym razie Sowiety nie będą skłonne oddać Polakom administracji. *Observer* donosił, że o losie polskich delegatów krążą niepokojące wieści i że w tej sprawie rząd polski złożył notę rządowi anglosaskim. *Observer* był zdania, że kryzys polsko-sowiecki pogłębił się, na dowód czego przytoczył treść protestu PPS z kraju, skierowanego do wicepremiera Attlee. W tym proteście PPS wypowiedziała się przeciwko linii Curzona, przeciwko aneksji państw bałtyckich. Następnie *Observer* podawał informacje o ścieraniu się 2 kierunków wśród polskich socjalistów i twierdził, że postawa PPS w kraju uniemożliwia realizację pojednawczej polityki wobec Sowietów ze strony premiera Mikołajczyka i Stronnictwa Ludowego.

Szkodliwa dla Polski akcja w prasie angielskiej polegała w tym czasie bądź na tendencyjnym omawianiu spraw Armii Krajowej, bądź na dawaniu rozgłosu debacie parlamentarnej na temat antysemizmu w wojsku polskim, bądź — na atakowaniu Naczelnego Wodza (*Observer*, 9 kwietnia 1944) za jego nieufność wobec Sowietów.

Próba współpracy A.K. z Sowietami na Wołyniu (odtworzenie 27 dywizji piechoty) wywołała w Rządzie polskim entuzjazm, który przeniesiono na łamy prasy angielskiej, chociaż odpowiedź sowiecka na propozycje Dowództwa Armii Krajowej jeszcze nie była nadeszła: świadczą o tym bardzo optymistyczne artykuły w *Sunday Times*’ie i w *Observer*’ze z dnia 9 kwietnia 1944. Prawdziwe zamiary Sowietów odsłonił po części *Daily Worker* z dnia 11 kwietnia, gdy pisał, że w Polsce pomagają Sowietom tylko „patrioci”, a nie Armia Krajowa.

Ten stosunek Sowietów do A.K. wyczuwał z pewnością *Times* gdy 11 kwietnia zamieścił obszerny reportaż o armii Berlinga. Jak wiadomo próba współpracy na Wołyniu skończyła się całkowitym

niepowodzeniem, toteż prasa angielska przestała o niej pisać. Za to penetruje do prasy coraz więcej naświetleń sprawy polskiej z Moskwy.

Rozdmuchano także do wielkich rozmiarów sprawę dezercji: 30 marca *News Chronicle* opisuje szczegółowo, jak 30 żołnierzy polskich ze Szkocji przybyło do Londynu celem zaprotestowania przeciw maltretowaniu ich przez oficerów polskich. Białorusini i Ukraińcy nie są zwalniani w dni świąteczne prawosławne, zmuszani do kolportowania anty-sowieckich broszur wśród Szkotów, nie są awansowani. Proszą o przeniesienie do armii brytyjskiej. Komunistyczny *Daily Worker* oskarża 3 kwietnia Polaków w Londynie, że starają się poróżnić sprzymierzeńców: rozsiewają pogłoski, że przywódcy ruchu podziemnego w Polsce zostali rozstrzelani przez Sowiety. Te pogłoski są kłamliwe, natomiast instrukcje, jakie otrzymuje ruch podziemny w Polsce nie mogą być przyjęte przez władze sowieckie. Agenci A.K. prowokują władze sowieckie.

6 kwietnia lewicowa *News Chronicle*, liberalny *Manchester Guardian* i komunistyczny *Daily Worker* podają sprawozdania z Izby Gmin: kilku posłów interpeluje min. Edena, jakie kroki zamierza wszcząć, aby ukroczyć panujący wśród Polaków, zwłaszcza w wojsku, antysemityzm.

7 kwietnia 1944 lewicowy *News Statesman and Nation* zwraca uwagę na nadmierną ilość polskich attachés wojskowych. W 1938 było ich 21, w 1943 — 39, w 1944 — 53. Autor twierdzi, że żaden z tych attachés nie brał udziału w kampanii w czasie obecnej wojny. W tymże numerze list do redakcji *Polish Private* w sposób ironiczny opisuje skład niektórych jednostek wojskowych polskich w Szkocji — wyśmiewa nadmiar oficerów i podoficerów.

8 kwietnia debata w Izbie Gmin o antysemityzmie w armii polskiej — podając to sprawozdanie *Daily Worker* atakuje zarówno rząd polski jak i naczelnego wodza. 10 kwietnia 1944 liberalny *Observer* w artykule „Sosnkowski's speeches” krytykuje naczelnego wodza za jego przemówienia w 2-gim Korpusie, notuje rozbieżność między ruchem podziemnym a niektórymi kołami wojskowymi w Londynie. Autor artykułu donosi następnie, że liczni przedstawiciele partii politycznych polskich zwrócili się do prezydenta Raczkiewicza aby wyznaczył inną osobę, jako swego następcę.

12 kwietnia 1944 *Daily Worker* oświadcza, że nie ma żadnej współpracy między „pro-faszystowskim” gen. Sosnkowskim a rządem polskim. Instrukcje Sosnkowskiego zmierzają do tego aby utrudnić współpracę z armią sowiecką, a więc wspomagają wro-

gów. „Prawdziwi polscy bojownicy” nie liczą się z tym, pomagają armii sowieckiej, bo wiedzą, że emigracja londyńska nie ma nic wspólnego z prawdziwą Polską.

13 kwietnia 1944 *Daily Worker* pisze o podstępnych pytaniach, stawianych żołnierzom Żydom podczas przesłuchiwań przez polską komisję do zbadania zająć. W tymże numerze wiadomość, jakoby w woj. Kieleckim oddział A.K. napadł na wieś, porwał włościan podejrzanym o komunizm, 10 z nich rozstrzelano, innym połamano ręce i nogi.

17 kwietnia konserwatywny *Times* zamieszcza entuzjastyczną korespondencję o armii Berlinga i o Polakach w Rosji. Korespondent podkreśla pomoc dla ludności polskiej ze strony Związku Patriotów; były w tym reportażu także złośliwe uwagi o armii gen. Andersa, wreszcie uwagi, że Związek Patriotów składa się ze wszystkich stronnictw i nie ma wcale programu komunistycznego.

19 kwietnia *Times* pisał o żądaniach Ukraińców wobec Polaków, zaznaczając jednocześnie, że rząd sowiecki tych żądań nie popiera. Barwnie opisany arbitraż Stalina w sporze polsko-ukraińskim: pogodzi ich linia Curzona. „Polacy w Rosji są realistami” konkluduje *Times*.

20 kwietnia 1944 *Daily Worker* donosi o powstaniu w Londynie „antyfaszystowskiego” Zjednoczenia polskiego, żądającego ścisłego sojuszu Polski z ZSSR.

23 kwietnia 1944 *Observer* donosi o przybyciu do Londynu delegacji podziemia z Polski (Berezowski, Stanisławski, Tatar, Hańcza i Pomian) i zaleca, aby wpłynęli oni na Rząd polski w kierunku ścisłej współpracy z Sowietami. W ten sam ton uderza konserwatywny *Sunday Times* z 23 kwietnia, informując, że w podobnym duchu odbył ostatnio rozmowę Churchill z Mikołajczykiem.

W ciągu następnych kilku dni prasa londyńska pisze o polskich wyrokach sądowych na dezertersów, sugerując konieczność ograniczenia polskiego sądownictwa wojskowego. W całej tej akcji prasowej przeciwstawia się misternie „demokratyczny” rząd polski antysemickim dowódcom wojskowym. Bardzo przejrzyście pisze o tym liberalny *Observer* z 30 kwietnia, konkludując, że całe zło leży w polskiej konstytucji, w myśl której naczelny wódz nie podlega rządowi, czemu powinny położyć kres oba rządy: brytyjski i polski. W tym samym numerze *Observer’a* a nazajutrz w *Times’ie* ciepłe wzmianki o konferencji Orlemańskiego (prokomunistyczny duchowny ze Stanów Zjednoczonych) ze Stalinem. Również korespondencje z Moskwy podkreślają walkę, jaką prowadzą w Polsce z Niemcami „patrioci” dążący do „sojuszu” z So-

wietami. O Orlemańskim rozpisuje się również *Times* z 8 maja 1944, zaś *Daily Worker* znów atakuje wojsko polskie za propagandę antysowiecką.

Observer z 7 maja rozdmuchiwał „akcję słowiańską” generała Żeligowskiego, przedstawiał delegację przybyłą z Polski jako „jednostronnie prawicową”, wreszcie atakował „nacionalistów” w polskim wojsku. *Daily Worker* przedstawiał polskich oficerów, jako nieuków i nierobów. Nawet *Economist* przyłączył się wtedy do ataków na nasze wojsko za rzekomy antysemityzm. Nie zapomniano tam także przypomnieć, że generał Sosnkowski utworzył obóz w Jabłonce w roku 1920 (obóz ten powstał przejściowo na mocy uchwały Rady Obrony Państwa; w roku zaś 1944 gen. Sosnkowski był za liberalnym potraktowaniem dezercji i to właśnie on proponował Prezydentowi amnestię dla dezertów).

7 maja pojawia się znowu wielka reklama armii Berlinga w *Sunday Times*’ie i w *Observer*’ze, gdzie m.in. wspomniano, że Stalin popiera kościół katolicki. Także 8 maja prasa podała nieprawdziwą pogłoskę o ustanowieniu misji alianckich przy armii Berlinga. 7 maja 1944 *Sunday Times* w korespondencji z Moskwy zapowiada utworzenie na ziemiach zajmowanych przez Sowietów „nowych władz polskich”, gdyż nie należy się spodziewać aby wpuszczono tam z Londynu Rząd i Naczelnego Wodza.

10 maja *Daily Worker* wyśmiewa Polaków, oskarżających się wzajemnie o konszachty z Sowietami (Banaczyk-Modelski).

10 maja 1944 *Daily Herald*, organ Partii Pracy, w korespondencji z Rosji twierdzi, że w armii Berlinga bynajmniej nie dominują nastroje komunistyczne.

Lewicowa *Tribune* w dniu 12 maja 1944 znów atakuje „polską kastę oficerską” — niepotrzebną, bo Polsce wystarczy milicja. Oficerowie przygotowują tylko wojnę cywilną. Oślawiony osobnik, występujący pod pseudonimem „major Grabiec” zohydza w liście do redakcji polskich oficerów jako nieuków i tchórzów, którzy posiadali w Polsce „prawa feudalne”. Autor zarzuca gen. Sosnkowskiemu zdobywanie popularności drogą awansowania młodych oficerów, rozwijania uczuć nienawiści do Rosji i gnębienia Żydów. Generała Andersa atakuje autor za to, że po śmierci gen. Sikorskiego chciał użyć wojsko do walki z partiami politycznymi.

14 maja *Observer* dając sympatyczną sylwetkę „demokraty” Mikołajczyka, notuje pogłoskę, jakoby Sowietów skłonne byłyby zwrócić Polsce Lwów za cenę zniesienia instytucji Naczelnego Wodza i „odpowiednich zmian Konstytucji”. Pismo notowało wtedy także, że w Radzie Narodowej atakowano Naczelnego Wodza, żądając od Prezydenta zmiany następcy. *Observer* podawał także plotki o rzekomym spisku prawicowym przeciw rządowi

polskiemu. 15 maja *Economist* w długim artykule na temat stosunków polsko-rosyjskich wzywa rządy angielski i amerykański, aby wywarły nacisk celem usunięcia Naczelnego Wodza. Wówczas rząd polski w Londynie miałby szanse dogadania się ze Stalinem.

14 maja *Sunday Times* podawał, że Ameryka gotowa jest doprowadzić do porozumienia Polski z Rosją na podstawie granicy na wschód od linii Curzona za cenę włączenia komunistów do rządu polskiego i poddania wojska temu nowemu rządowi. 14 maja *Reynolds News* rozpięły się o „słowiańskich” wystąpieniach gen. Żeligowskiego. Bezpośrednio dalej pismo informowało, że gen. Sosnkowski obiecał stłumić antysemityzm w armii polskiej. Tę samą pogłoskę notował następnego dnia konserwatywny *Daily Telegraph*.

Daily Herald z dnia 15 maja 1944 opisywał szczegółowo ataki na wojsko i Naczelnego Wodza, prowadzone w polskiej Radzie Narodowej przez ludowców i socjalistów.

16 maja 1944 *Daily Telegraph* pisał znowu o atakach polskich „demokratów” na Naczelnego Wodza, następnie notował, że Stalin gotów byłby oddać Polsce Lwów i Wilno za cenę zastąpienia gen. Sosnkowskiego przez triumwirat 3-ch generałów: Anders-Berling-Kopański. Te pogłoski powtórzyły natychmiast: *News Chronicle* i *Daily Worker*.

Następuje kilkudniowa przerwa, kiedy cała prasa angielska podawała wiernie przebieg bitwy o Monte Cassino, podkreślając z uznaniem udział Polaków i bohaterskie walki, stoczone przez polski Korpus. Jeśli w tych dniach prasa podała uczciwie wkład Polaków do zwycięstwa pod Monte Cassino, stało się to z pewnością dzięki ówczesnemu generałowi Alexandrowi, człowiekowi uczciwemu, który obiecał dać odpowiedni *coverage* walkom polskiego Korpusu. Generał Aleksander, jako gentleman, obietnicę swoją wykonał. Nawet i w tych reportażach nie obeszło się bez drobnych złośliwości: *Observer* przy tej okazji pominął całkowicie nazwisko generała Andersa, natomiast główną część artykułu wypełnił opisem dawnych walk Brygady Karpackiej w Tobruku.

Ta przerwa, akt elementarnej przyzwoitości wobec polskich towarzyszy broni, nie trwała, niestety, długo. Prasa wróciła znów do urabiania opinii w myśl zobowiązań, zaciągniętych przez rząd brytyjski w tajnym układzie w Teheranie. Bo oto już 20 maja 1944 *Economist* rozpisuje się o walce polskiej Rady Narodowej z Naczelnym Wodzem i Ministrem Obrony Narodowej oraz powtarza pogłoskę, że Stalin gotów byłby oddać Polsce Lwów i Wilno w zamian za „kolektywne naczelne dowództwo” oraz za wpuszczenie do rządu „unii patriotów”. Podobnej treści notatkę zamieszcza *The New Statesman and Nation*. Tegoż dnia *Daily Wor-*

ker atakuje polską „klikę wojskową”. *Sunday Times* obszernie omawia sytuację wewnątrz Rady Narodowej i Rządu polskiego i żądanie zmiany następcy Prezydenta. W tym samym numerze Walter Lippman doradza Polakom, aby zaufali wspaniałomyślności Stalina i rozpoczęli akcję porozumienia od usunięcia z najwyższych stanowisk ludzi, do których Stalin nie może mieć zaufania.

Daily Mail z 22 maja snując przewidywania co do najbliższej mowy Churchill’a, wypowiada opinię, że nie zanoszą się na zmiany personalne we władzach polskich, choć byłoby to bardzo wskazane. Przy tej okazji dziennik ubolewa z powodu dymisji dyrektora P.A.T. Litauera, którego usunęli rzekomo *military Die-hards*.

23 maja 1944 *Daily Worker* zarzuca, że w polskim wojsku szerzone są „doktryny hitlerowskie”.

Mowa Churchill’a z 24 maja 1944 zawierała:

- 1) oświadczenie, że Wielka Brytania uznawała i uznaje rząd polski w Londynie;
- 2) hołd złożony męstwu wojska polskiego w kampanii włoskiej;
- 3) stwierdzenie nieudanego pośrednictwa w sporze polsko-rosyjskim;
- 4) niepokojącą wzmiankę, o innych Polakach, którzy walczą „pod kierownictwem rosyjskim”;
- 5) sugestie „kompromisu” z Rosją: koncesje na Wschodzie Polski, rekompensaty na Zachodzie;
- 6) zachętę do zgody „wszystkich Polaków z wszystkimi Rosjanami przeciw wszystkim Niemcom”.

W porównaniu z mową z 22 lutego ta mowa Churchilla wnosi 2 nowe elementy niepokojące: a) stwierdzenie o uznaniu Rządu polskiego, co dawniej nie było potrzebne, jako rzecz naturalna; b) stawianie na równi naszych wojsk na Zachodzie i w Rosji, co pobudzało rozważania na temat przyszłego wspólnego dowództwa.

24 maja *Times* daje obszerny reportaż o armii Berlinga. *Daily Mail* donosi o przybyciu do Moskwy „polskiego sowietu” z Warszawy.

25 maja 1944 wydawany w języku angielskim *Soviet Monitor* rozpisuje się o działalności „polskich patriotów” oraz o ich delegacji wysłanej do Stalina. Następnie pismo atakuje gen. Sosnkowskiego, imperialistę, „nowego Zagłobę z Londynu”, który usiłuje wmówić w opinię, że posiada jakąś armię podziemną w Polsce, kiedy naprawdę jego agenci zabijają jedynie „patriotów”, walczących z hitlerowcami.

25 maja prasa donosi, że gen. Anders został dekorowany Orderem Łaźni przez Króla Jerzego VI. 26 maja gazety angielskie

podają przemówienie Berlinga, atakujące gen. Andersa, że splamił mundur, uciekł z Rosji, nie chciał się bić o Stalingrad. Klika Andersa — mówił Berling — razem z Raczkiewiczem i Sosnkowskim chce prowadzić Polskę do zguby. Jednak on, Berling, uwolni kraj z pomocą Stalina. Dziś ma 100 tysięcy wojska, jutro będzie miał milion.

26 maja 1944 lewicowa *Tribune* powróciła do dyskusji w polskiej Radzie Narodowej, informując szczegółowo o atakach na wojsko i zarzucając generałom: Sosnkowskiemu, Andersowi i Kukielowi „reakcyjność”, „faszyzm” i „antysemityzm”.

28 maja 1944 liberalny *Observer* zapowiada powstanie problemu uznania „rządu polskiego” w Moskwie przez państwa anglosaskie. Pismo ubolewa nad uprzedzeniami Polaków w stosunku do komunistów, co może wyjść na dobre jedynie Niemcom.

Konserwatywny *Sunday Times* z 28 maja pisał także o działalności „polskich patriotów” w Moskwie. Mają oni podobno uzyskać „modyfikację” linii Curzona. Pismo niepokoi się ponadto, że prezydent Raczkiewicz nie wykonał dotąd uchwały Rady Narodowej o zmianie następcy. *Raynolds News* z 28 maja 1944 donosiło o powstaniu „rządu polskiego” w Moskwie. 29 maja konserwatywny *Daily Telegraph* notował pogłoskę o „rezygnacji” generała Sosnkowskiego z następstwa prezydenta. W tym samym numerze dziennik donosił o propozycjach, jakie ma przywieźć z Moskwy prof. Lange (który udał się do Stalina ze Stanów Zjednoczonych). Miałyby one obejmować:

- 1) ustąpienie Prezydenta oraz ministrów Kota i Kukiela,
 - 2) usunięcie gen. Sosnkowskiego ze stanowiska następcy prezydenta,
 - 3) zniesienie stanowiska naczelnego wodza; podporządkowanie poszczególnych armii polskich w Rosji, we Włoszech i w Anglii — rządowi polskiemu,
 - 4) przyjęcie do rządu polskiego 3-ch „patriotów”,
- Za powyższą cenę — może Lwów, a może i Wilno.

Jeszcze poprzednio, *Daily Sketch* (19 maja) donosił, że Prezydent zgodził się na zmianę następcy, co znaczy, że funkcji tych nie będzie pełnił gen. Sosnkowski, „znany ze swej niepopularności w Moskwie”.

Konserwatywne pisma *Times* z 31 maja i *Daily Telegraph* z 1 czerwca piszą, że Prezydent Raczkiewicz zgodził się na zmianę następcy.

The New Statesman and Nation z 2 czerwca 1944 straszył widmem istnienia 2 konkurencyjnych rządów polskich (w Londynie i w Moskwie) oraz notował, że *Izwestia* ponowiły atak na „klikę Sosnkowskiego” która woli zajmować się intrygami poli-

tycznymi niż walką z Hitlerem; w konkluzji autor doradzał „rozszerzenie rządu polskiego” przez powołanie „kilku Polaków z Moskwy” w zamian za usunięcie „elementów antysowieckich”.

2 czerwca 1944 *Daily Worker* groził, że „delegacja patriotów” nawiąże wkrótce stosunki z rządami państw anglosaskich.

4 czerwca 1944 *Observer* oskarżał Polonię amerykańską o walkę z Rooseveltem. W tymże numerze minister Kot tłumaczył, że rząd polski nie miesza się do wewnętrznych spraw amerykańskich, oraz że Ignacy Matuszewski nie jest urzędnikiem ministerstwa informacji.

Times 17 czerwca, pisząc o wynikach podróży Mikołajczyka do Waszyngtonu, twierdzi, że Moskwa życzy sobie udziału „patriotów” w rządzie polskim. Te warunki są, wedle *Times’a* usprawiedliwione. Osoby wrogie Rosji, muszą być wyłączone. Największa trudność — to Konstytucja Piłsudskiego, która uniezależnia Naczelnego Wodza od Rządu. Naczelný Wódz jest właściwą przeszkodą do porozumienia z Rosją.

Sunday Times z 18 czerwca i *Daily Worker* z 19 czerwca powtarzały to samo z tym, że *Daily Worker* łączył Naczelnego Wodza z Prezydentem, nazywając ich „arcyreakcjonistami”.

W czerwcu 1944 premier Mikołajczyk odbył podróż do Stanów Zjednoczonych. Przed wyjazdem udzielił on wywiadu *Manchester Guardian* 2 czerwca. W wywiadzie tym oświadczył, że „propozycja, wysunięta przez rząd polski w styczniu pozostaje ważna. W myśl tej propozycji Rosja i Polska miałyby zgodzić się na wyznaczenie linii demarkacyjnej, biegnącej na zachód od Wilna i Lwowa, lecz nie podejmować decyzji co do ostatecznej granicy. Znaczyłoby to, że na zachód od linii demarkacyjnej Rząd Polski byłby uznany, jako władza administracyjna na wyzwolonych ziemiach, podczas gdy terytorium na wschód od tej linii podlegałoby jurysdykcji rosyjskiej”.

Było to wznowienie i rozszerzenie deklaracji Rządu z lutego 1943, jednak w sytuacji zmienionej: w lutym Rząd był pod naciskiem Churchilla, zaś w czerwcu 1943 Churchill czasowo wycofał się z pośrednictwa między Sowietami a Polską. Termin o „jurysdykcji” szedł dalej, niż deklaracja lutowa.

Wizyta Mikołajczyka w Waszyngtonie omawiana była przez prasę zarówno amerykańską, jak angielską, poczynawszy od 6 czerwca 1943 roku. *Times* z 6 czerwca donosił, że Stettinius oświadczył: Stany Zjednoczone gotowe są przyczynić się do załagodzenia sporu polsko-rosyjskiego, że jednak w tej chwili nie zamierzają czynić nowych sugestii. Konserwatywny *Daily Telegraph* powtarzał powyższą wiadomość oraz dodawał pogłoskę, jakoby Sowiety skłonne były zmodyfikować swe żądania graniczne w zamian za „reorga-

nizację personalną” rządu polskiego. Labour’ystowski *Daily Herald* twierdził, że Mikołajczyk przywiózł do USA propozycję ustanowienia linii demarkacyjnej, odłożenia ostatecznego rozgraniczenia do końca wojny, zawarcia porozumienia między polskim ruchem podziemnym a Sowietami wreszcie — przyznania Polsce Prus Wschodnich i Śląska, nie jako kompensaty, lecz dla potrzeb bezpieczeństwa Polski. Konserwatywny *Daily Mail* wiąże wizytę Mikołajczyka z kłopotami jakie sprawia Rooseveltowi Polonia amerykańska, którą korespondent dzieli dowolnie na 3 grupy: 1) „liberalna” grupa Orlemańskiego, 2) „reakcyjny” KNAPP, 3) także „reakcyjna” grupa popierająca Mikołajczyka. Zwraca uwagę kryterium „reakcyjności” lub „liberalizmu” stosowane przez angielski dziennik konserwatywny. Kryterium jakby żywcem wzięte z prasy moskiewskiej. Lewicowa *News Chronicle* pisze, że wizyta polskiego premiera ma znaczenie w przeddzień ofensywy aliantów. Także *Daily Express* z 6 czerwca pisze, że projekt Mikołajczyka po dyskusji z Rooseveltem będzie przesłany Stalinowi.

7 czerwca Premier polski przemawiał przez radio z powodu rozpoczęcia inwazji Europy — do żołnierzy polskich sił zbrojnych zwrócił się z apelem aby na wezwanie „naczelnego wodza” Eisenhowera odpowiedzieli: rozkaz. Żołnierzom zaś Armii Krajowej zapowiedział wydanie osobnego rozkazu powstania. Ze stylizacji przemówienia nie wynikało jasno, czy ten rozkaz do powstania ma dać Mikołajczyk czy Eisenhower.

Podane 8 czerwca głosy prasy amerykańskiej o wizycie Mikołajczyka obracały się wyłącznie dokoła spraw polsko-sowieckich: *New York Times* wyrażał opinię, że Mikołajczyk należy do tych Polaków, którzy dążą do ugody z Rosją. Roosevelt pragnie uczynić ostatnią próbę załagodzenia konfliktu. Wprawdzie Mikołajczyk nie przywiózł nic nowego, ale osiągnięcie kompromisu zawsze jest możliwe. *New York Herald Tribune* twierdził, że Mikołajczyk nie będzie rozmawiał z Amerykanami polskiego pochodzenia. *Washington Times* pisał o skomplikowanych problemach, jakie czekają Polskę po wojnie. *New York Post* twierdził, że porozumienie wielkich mocarstw podzieliło świat na sfery wpływów i że Polska znajduje się w sferze wpływów Rosji. *New York Times* pisał, że Stettinius miał oświadczyć, że ani Mikołajczyk ani Sowiety nie dają żadnych nowych propozycji. Stany także nie mają żadnej określonej formuły.

Poland fights z 5 czerwca drukowało oświadczenie min. Stańczyka, który w imieniu Polski wyraża gotowość harmonijnej współpracy z Rosją.

Chicago Sun z 8 czerwca wyrażało nadzieję, że Roosevelt doprowadzi jednak do kompromisu. *Free Press* z Detroit 6 czerwca

twierdziło, że uzyskanie postępów jest rzeczą wątpliwą. *Baltimore Sun* natomiast twierdziło, że w kołach oficjalnych panuje „ograniczony optymizm”. *Times* z 9 czerwca w korespondencji z New Yorku informował o wizycie pro-komunistycznego profesora Lange w Moskwie. Pełno tam było frazesów o silnej Polsce, o niemiekszaniu się Rosji w sprawy wewnętrzne Polski. Lange twierdził, że żołnierze Berlinga odrzucają kolektywizację natomiast są za reformą rolną i za upaństwowieniem przemysłu. Związek „patriotów” w Moskwie miał jakoby prosić Langego aby pośredniczył między nimi z rządem w Londynie. W tym samym numerze *Times*’a korespondent z Moskwy donosił o wypowiedziach Osóbki-Morawskiego, który mówił, że popiera go większość stronnictwa ludowego.

10 czerwca — nowe głosy prasy amerykańskiej. *Washington Post* pisze, że sprawa polska jest „ciernistym problemem”, że jednak są nadzieje na jego rozwiązanie. *Evening Star* wyraża przekonanie, że w tej sprawie „drzwi nie zostały jeszcze zatrzaśnięte”. *Chicago Sun* pisze, że Mikołajczyk sonduje możliwości na terenie amerykańskim, choć „ostatecznie Polacy muszą bezpośrednio rokować z Rosją”. *Newsweek Magazine* pisał, że Cordell Hull pragnie ofiarować Rosji warunki bezpieczeństwa takie, aby nie upierała się przy żądaniu strategicznych granic.

Londyński *Observer* 11 czerwca wyrażał nadzieje, że Mikołajczyk przywiezie z Waszyngtonu nowe propozycje, że ugoda jest możliwa jeśli „rząd polski będzie oczyszczony z elementów anty-sowieckich”. Jeśli opinie Langego są zgodne z decyzjami Stalina, to do ugody dojdzie. Lange proponował zgodę „unii patriotów” z rządem Mikołajczyka, aby Rosja nie tworzyła nowego rządu w Polsce i zgodziła się na ostateczne rozgraniczenie po wojnie.

Następne wypowiedzi prasy amerykańskiej z 12 czerwca: *New Herald Tribune* wyraża nadzieję, że może uda się przywrócić stosunki polsko-sowieckie. *Washington Star* informuje, że Mikołajczyk gotów jest na „praktyczne porozumienie” z Rosją. Ameryka mogłaby nadal pośredniczyć. *Washington Post* informowała, że pani Eleonora Roosevelt jest zachwycona Mikołajczykiem. *New York Times* i *New York Herald Tribune* zamieściły 9 czerwca wywiad z prof. Lange: Stalin powiedział mu, że nie ma zamiaru wtrącać się w sprawy wewnętrzne Polski, że uznaje jej niepodległość i suwerenność. Lange wierzy w szczerłość Stalina. Ponownie oświadcza, że część tylko żołnierzy Berlinga popiera „patriotów”, niektórzy popierają rząd w Londynie. Lange podkreślał działalność oświatową „patriotów”, nie wierzył w zaborczość Sowietów, zapowiadał rozrost armii Berlinga do miliona żołnierzy i wzywał

rząd amerykański do współpracy z rządem sowieckim i do udzielenia pomocy „Związkowi Patriotów”.

13 czerwca Litauer zamieścił dłuższy artykuł w *Yorkshire Post* pt. „Stalin i Polacy”, w którym usilnie namawiał Polaków na ugodę: ustępstwa graniczne nie mają znaczenia, dobrze Polsce zrobi wyzbycie się mniejszości narodowych, a przecież istnieje nadzieja zachowania Wilna i Lwowa dla Polski. Wreszcie Litauer wzywał Polaków, aby „uczynili gest w dziedzinie emocjonalnej” i uznali szczerłość komisji sowieckiej, badającej zbrodnię katyńską.

15 czerwca gazety doniosły o konferencji prasowej Mikołajczyka w Waszyngtonie. 17 czerwca Mikołajczyk informował prasę w Londynie. Mówił o związku państw Europy Wschodniej, o konieczności przyłączenia Prus Wschodnich do Polski, mówił o chęci nawiązania stosunków dyplomatycznych z Rosją, o współpracy Armii Krajowej z armią czerwoną, podkreślał, że A.K. wykonuje rozkazy legalnego rządu.

W swojej ustnej relacji Rządowi polskiemu w dniu 17 czerwca premier Mikołajczyk stwierdzał, że Ameryka chciałaby z całą życzliwością pomóc Polsce w nawiązaniu stosunków z Rosją, że jednak Roosevelt nie chce się zajmować zagadnieniem terytorialnym, że uchyla się od wszelkich gwarancji i sugeruje Mikołajczykowi bezpośrednie rozmowy ze Stalinem. Roosevelta szczególnie interesowały próby współpracy Armii Krajowej z Sowietami.

Konferencje prasowe polskiego premiera były przez parę dni omawiane przez prasę. *Daily Mail* podawał, że Mikołajczyk proponował ponownie w Waszyngtonie „linię demarkacyjną”. *Times* poświęcił w życie premiera w Waszyngtonie artykuł wstępny 16 czerwca. Artykuł ten podkreślał, że wizyta wypadła wkrótce po powrocie Langego z Moskwy. Przypominał projekt „linii demarkacyjnej” i twierdził, że Stalin pragnie silnej Polski i nie ma zamiaru wtrącać się do jej spraw wewnętrznych, że tworzy wojsko polskie „według wzorów narodowych”. „Związek Patriotów”, nie chce reprezentować wszystkich Polaków, jest tylko „jedną z grup”. Rosja chce mówić z rządem, „reprezentującym wszystkie grupy”, słowem chodzi o włączenie do rządu „Związku Patriotów”. Wedle *Times’a* takie warunki mocarstwa, które najwięcej przyczynia się do zwycięstwa i ma wyzwolić Polskę, są usprawiedliwione. Grupy, wrogie Rosji, muszą być z rządu wyłączone. Niestety „Konstytucja Piłsudskiego” uniezależnia Naczelnego Wodza od rządu, a właśnie Naczelnny Wódz jest główną przeszkodą do porozumienia z Rosją.

17 czerwca *Times* znowu powraca do omawiania wizyty Mikołajczyka w Ameryce, pisząc, że Mikołajczyk starał się uzyskać pomoc amerykańską dla A.K. Że ma on nadzieję, że Roosevelt

„w swoim czasie” uczyni pewne propozycje w sporze polskorosyjskim. Ze prof. Lange mówił mu o patriotycznych nastrojach wśród żołnierzy polskich w Rosji. Co do współpracy A.K. z Sowietami Mikołajczyk powiedział, że w kwietniu ta współpraca zapowiadała się dobrze, ale że później dywizja polska została odcięta przez Niemców, przerwała się i straciła kontakt z Sowietami.

Reston w *New York Times* pisał, że w rozmowach z Rooseveltem chodziło raczej o linię demarkacyjną aniżeli o granice. Możliwe, że Roosevelt spróbuje pośrednictwa. A.K. pomaga Sowietom, USA uznają Rząd polski, Mikołajczyk jest pełen otuchy co do współpracy z Rosją. Nie należy nalegać na utrzymanie przedwojennej granicy. Rosja ma prawo żądać, aby w Polsce był „rząd przyjazny” podobnie jak USA w stosunku do krajów nad kanałem panamskim. Oba mocarstwa podpisały kartę atlantycką.

Observer z 18 czerwca, jak zawsze kładzie w głowę swoim czytelnikom, że jedyna nadzieja dla Polski, to ustępstwa terytorialne i zmiany personalne w rządzie. Pisz dalej o depeszy „patriotów” z Moskwy do gen. Andersa, informuje mylnie, jakoby gen. Sosnkowski sam zrzekł się następstwa. W konkluzji: główna przeszkoda na drodze do porozumienia z Rosją to Raczkiewicz i Sosnkowski. (A więc wszystko w *Observer*’ze wiernie według recepty Stalina, popieranej niestety przez Churchilla).

Podobną receptę dawał nazajutrz, 19 czerwca, *Daily Worker*.

Podobieństwo, aż do znudzenia, ówczesnych komentarzy prasowych w sprawie polskiej nie pozostawia chyba wątpliwości, że pochodziły z jednego źródła.

Whitehall News 24 czerwca czerwca piszą, że Mikołajczyk odniósł w Ameryce sukces, bo USA uznają nadal rząd polski (niepokojąco często pisało się wtedy, że mocarstwa nas „uznają”). Roosevelt radził Mikołajczykowi, aby jechał do Moskwy; że Sowiety żądają dymisji Prezydenta, Naczelnego Wodza i ministrów: gen. Kukieła i Kota. Moskwa może zechce uznać taką „rekonstrukcję” rządu i może nie będzie nalegać na ostateczne rozgraniczenie przed końcem wojny.

Sunday Times 25 czerwca głosił, że Stalin chce wkroczyć do Polski jako wybawiciel i oddać kraj narodowi polskiemu w terminie na jaki pozwolą działania wojenne. W tymże numerze Walter Lippman namawiał Polaków i Rosjan aby się pogodzili na podstawach „przyszłego sojuszu”. Prasa niedzielna 2 lipca doniosła o szeregu nowych posunięć sowieckich wobec Polski. *Sunday Times* (Kons.), *Sunday Express* Beaverbrook’a zamieściły krótkie wzmianki, natomiast *Observer* omówił sprawę obszerniej: 1) Berling oświadczył, że dojdzie do Warszawy i że po drodze przeprowadzi pobór; 2) Najwyższy Sowiet wydał dekret wedle którego

Polacy pochodzący z ziem na wschód od linii Curzona mogą optować na rzecz Polski, o ile służą w oddziałach polskich w Rosji (dotyczy to także ich rodzin), o ile pochodzą od dawnych „koleistów polskich” na Syberii, o ile zachowali język polski, wreszcie osoby z zagranicy, pochodzenia polskiego, mogą nabyć obywatelstwo polskie. Także obywatele sowieccy, którzy służą lub służyli w wojsku polskim w Rosji lub udzielają temu wojsku pomocy, mają prawo do obywatelstwa polskiego; 3) „Rada Wojenna Armii Polskiej w Rosji” wydała odezwę wzywającą do wspólnej walki, zaś „Związek Patriotów” w Moskwie (Wasilewska) ogłosił oświadczenie, odmawiające Rządowi Polskiemu podstaw legalnych. Odezwa ogłosiła także, że „Narodowa Rada (Sowiec)” w Polsce przygotowuje powstanie „tymczasowego rządu narodowego”. Prośby o udzielenie obywatelstwa polskiego rozpatruje Komisja Najwyższego Sowietu ZSSR, która kooptowała przedstawicieli „Związku Patriotów”. W motywacji powiedziano, że rząd Mikołajczyka działa na podstawie „nielegalnej” Konstytucji 1935 roku. *Observer* dodawał, że przecież rząd Mikołajczyka składa się właśnie z oponentów tej Konstytucji. W zakończeniu *Observer* ubolewał, że podróż Mikołajczyka do USA, jego rozmowy z prof. Lange etc. wróżyły porozumienie, a radio moskiewskie mówiło wtedy uprzejmie o Mikołajczyku. Następnie *Observer* notował pogłoski o toczących się poufnie rozmowach między Mikołajczykiem a sowiecką ambasadą. Dalej dość mętne wywody o moskiewskich „patriotach” którzy nie reprezentują poglądów Stalina; że wśród „patriotów” lewica chce się porozumieć z Mikołajczykiem podobnie jak „liberałowie” w Londynie. W zakończeniu *Observer* cytował komunistyczną *Nową Polskę*, która pisała, że „wielkie dzieło Stalina i Sikorskiego” nie zostało zrealizowane, bo na przeszkodzie stanęły: „reakcyjna opozycja polska” i „biurokraci i dyplomaci sowieccy”.

W długim ataku na rząd polski *Daily Worker* z 5 lipca pisał, że zapowiadane zmiany polityki „rządu emigracyjnego” nie następują, w dalszym ciągu uwydatnia się „bankructwo polityki” tego rządu. „Obywatel brytyjski finansuje nadal polską propagandę”. „Podatki brytyjskie umożliwiają prowadzenie akcji polskiego ministerstwa informacji”. W zakończeniu autor wyjaśnia, że rząd polski korzysta z pożyczki brytyjskiej, której nie mógł już otrzymać w Warszawie w roku 1939.

5 lipca 1944 *Times* nakarmił swoich czytelników obszerną korespondencją pt. „Polish Council in Moscow”, donosząc, że właśnie bawią w Moskwie przedstawiciele polskiej „Rady Narodowej”. Ta „Rada Narodowa” składa się z przedstawicieli *wybranych* przez zgromadzenia gminne, powiatowe, miejskie i woje-

wódzkie (pod okupacją niemiecką! przyp. mój). Ci przedstawiciele reprezentują interesy robotników rolnych i „Trade Unions”. Miasta i okręgi rolnicze wysyłają po jednym delegacie do rad powiatowych, rady powiatowe wybierają jednego przedstawiciela do rad wojewódzkich, te zaś delegują po 3-ch przedstawicieli do „Rady Narodowej”. Rada ta składa się na razie z lewego skrzydła partii ludowej, partii socjalistycznej polskich robotników, partii polskich robotników, komitetu inicjatywy narodowej oraz wielu innych grup. „Rada Narodowa” uznaje konstytucję marcową 1921 gdyż konstytucji kwietniowej z 1935 lud polski nigdy nie uznał, uważając ją za totalitarną. Członkowie rad składają przysięgę lojalności niepodległej i demokratycznej Polsce. Rada Narodowa postanowiła zjednoczyć wszystkie jednostki wojskowe w Polsce. Specjalny dział tej uchwały postanawia, aby jednostki wojska polskiego poza granicami Polski zostały włączone do Armii Ludowej. Na czele tej armii stoi naczelny wódz generał Rola, szef sztabu głównego płk Witold oraz jeden przedstawiciel „Rady Narodowej”. W dziedzinie polityki zagranicznej „Rada Narodowa” będzie dążyć do zwrócenia Polsce zgermanizowanych terytoriów na zachodzie i północy. Granice wschodnie będą wytyczone „według prawa samostanowienia narodów”. Z Rosją Sowiecką będą stosunki „przyjaznego sąsiedztwa”, zaś z innymi aliantami będą nawiązane dobre stosunki. Rada zgadza się, aby przyjąć propozycje ZSSR z lutego 1944 w sprawie granicy polsko-rosyjskiej.

Powyższe wywody drukowane były nie w komunistycznym *Daily Worker*’ze lecz w konserwatywnym *Times*’ie, używanym często do nieoficjalnych wypowiedzi Foreign Office...

Minister Eden w swym przemówieniu w rocznicę śmierci gen. Sikorskiego mówił o Polakach „walczących na 3-ch głównych frontach” co znowu było jakby znakiem równania między naszymi władzami a organizacją, tworzoną przez Moskwę. Zapowiadał także Eden, że silna i niepodległa Polska będzie niebawem „wyzwolona”. Powodzenie wojenne Sowietów zbliżało chwilę tego „wyzwolenia”.

Sunday Times z 9 lipca 1944 pisał, że należy oczekiwać nowej deklaracji rządu polskiego. Podobno nadeszły wiadomości o pomyślnie rozwijającej się współpracy Armii Krajowej z wojskami sowieckimi, m.in. w rejonie Wilna (o którym gazety pisały, jako o „stolicy sowieckiej Litwy”). Chociaż ostatnie deklaracje „Patriotów” nie wróżą nic dobrego, ale koła sowieckie podkreślały że chodzi tu o „domowe sprawy polskie”. Rząd sowiecki nie będzie się zapewne wypowiadał dopóki nie „wyzwoli” Polski, zresztą pozwoli narodowi polskiemu, aby sam zdecydował o swoim losie. *Observer* z 9 lipca cytował mowy, wygłoszone w rocznicę

zgonu gen. Sikorskiego, pocieszał nadto, że ostatnie deklaracje „Patriotów” to tylko posunięcia taktyczne.

Komunistyczna *Wolna Polska* dawała do zrozumienia, że z Mikołajczykiem można będzie się dogadać gdy tylko wpuści komunistów do rządu. Wyraża nadto nadzieję, że rząd polski pozbawi Naczelnego Wodza jego prerogatyw, zaś pozbawienie gen. Sosnkowskiego funkcji następcy prezydenta jest pierwszym krokiem w kierunku „demokratyzacji”. Jest wreszcie w tym piśmie denuncjacja pod adresem stronnictwa Narodowego, jako „skrajnej prawicy anty-rosyjskiej”.

12 lipca Reuter podał wywiad z premierem Mikołajczykiem, który mówił, że Armia Krajowa przeprowadza „działania powstańcze”, że w rejonie Wilna daje pomoc „bohaterskim wojskom sowieckim” i że ta współpraca doprowadzi do porozumienia polsko-sowieckiego.

12 lipca 1944 Eden oświadczył w Parlamencie, że nie zapadły jeszcze decyzje międzyaliantkie co do podziału terytorialnego Europy.

13 lipca 1944 Walter Lippman w *News Chronicle* pisał o podziale świata na 4 bloki; „blok rosyjski ma sięgać do wschodnich granic Niemiec. Niemcy mają w przyszłości należeć do „bloku atlantyckiego”.

15 lipca 1944 *Times*, *Yorkshire Post* i *Daily Sketch* powtarzały pogłoski że przyłot gen. Sosnkowskiego do Algieru jest w związku z zamierzonym nowym układem polsko-francuskim. Prasa niedzielna 16 lipca informowała, że Rząd polski zgłosił protest z powodu nazwania Wilna przez Stalina „stolicą sowieckiej Litwy”. Protest ten przypomina m.in. że Armia Krajowa pomogła Sowietom do zdobycia Wilna; przypomina także deklaracje Aliantów o nieuznawaniu zmian terytorialnych w czasie wojny, o ile nie zostały one dokonane za zgodą stron. *Observer* z 16 lipca podawał pogłoskę, że Mołotow ma zabrać głos, gdy armia sowiecka przekroczy „linię 1941 roku”. Mołotow ma zaproponować „linię Curzona z modyfikacjami”. Mołotow ma także oświadczyć, że wojska sowieckie nie mają zamiaru mieszać się do spraw ustrojowych i społecznych w Polsce; że będą szanować religię oraz własność kościelną. Mołotow ma zaapelować do narodu polskiego, aby zorganizował powstanie przeciw Niemcom i aby przejął „poza strefą frontu” administrację lokalną. Władze centralne powstaną później, gdy ustalony będzie skład rządu. Następnie *Observer* zaprzecza, jakoby rząd polski odmówił zaproszeniu Sowietów do przeniesienia się na „wyzwolone obszary”. Przeciwnie — rząd polski chce się tam znaleźć jak najprędzej. W sprawie pomocy A.K. dla Sowietów, *Observer* ostrożnie nadmienił, że

„ze strony sowieckiej nie ma potwierdzenia tej wiadomości”. W dalszej części tych dłuższych wywodów *Observer* twierdził, że polityka sowiecka w stosunku do Polski ma obecnie „charakter eksperymentalny”. Rosjanie zwrócą się zapewne do kół politycznych w Polsce, zapewne do centrum i prawicy aby stworzyły nowy rząd, akceptujący prymat Rosji we Wschodniej Europie. Taki rząd potrafi wytłumaczyć narodowi stratę terenów na wschodzie w zamian za duże rekompensaty na zachodzie. Taki program, mówią w Moskwie, nie podoba się zapewne Polakom w Wilnie i we Lwowie, ale jest do przyjęcia dla Polaków z Warszawy, a zwłaszcza z Poznania i Śląska. Poza tym dla Polaków ważniejsze jest pozbycie się okupacji niemieckiej, niż spór graniczny. Rosjanie mogą dostarczyć broni i powołać nowy rząd. Gdyby powyższy program był niemożliwy — Sowiety mogą zawsze próbować ułożyć się z Mikołajczykiem. W zakończeniu artykułu *Observer* donosił o dymisji Korniejczuka i o mianowaniu Manuilskiego komisarzem Spraw Zagranicznych Republiki Ukraińskiej, co komentują jako zwrot przeciwko nacjonalizmowi ukraińskiemu. 17 lipca 1944 *Daily Worker* zaprzecza, jakoby Armia Krajowa współdziałała z armią czerwoną przy zdobyciu Wilna. Natomiast dziennik podawał, że delegat rządu polskiego na okręg wileński wydał wyrok, skazujący jednego chłopą na śmierć za współpracę z partyzantami. *Daily Worker* pisał następnie, że Polacy nie mają prawa żądać, aby sprawa Wilna była załatwiona w drodze rokowań, gdyż sami zajęli Wilno siłą w roku 1920, mimo sprzeciwu Ligi Narodów. Wreszcie *Daily Worker* informował że armia Berlinga liczy 100 tysięcy ludzi, wkrótce powiększy się do miliona.

17 lipca w *News Chronicle* rozpoczął serię artykułów Stefan Litauer, jako „korespondent polski”. Litauer otrzymał dymisję jako dyrektor PAT'a i coraz wyraźniej grawitował do Sowietów. W tym pierwszym artykule zajął się wewnętrzną strukturą rządu polskiego. Zaatakował zasadę legalizmu, pisał że Laval i Hacha także powołują się na legalizm. Atakował sposób uchwalenia Konstytucji 1935 roku, pisał, że jest rzeczą śmieszną, aby Mikołajczyk, będący przeciwnikiem tej Konstytucji, na niej właśnie opierał swe istnienie. Że jakoby Prezydent Raczkiwicz obiecał gen. Sikorskiemu że w praktyce Konstytucja 1935 roku przestanie istnieć, ale że nie dotrzymał tego zobowiązania wobec Mikołajczyka itd. Następnie Litauer poddawał krytyce koalicję stronnictw, na których opiera się rząd, gdyż większość stronnictw jest podzielona na 2 odłamy: jeden za rządem, drugi przeciw.

Daily Express z 17 lipca w korespondencji z Moskwy omawiał zagadnienie Prus Wschodnich, których większość przypad-

nie Polsce. Rosjanie wypędzą stamtąd wszystkich Niemców. 18 lipca Litauer kontynuował swoje wywody w *News Chronicle*. Pisał, że przedwojenna Polska opierała swój byt na 2 traktatach: wersalskim i ryskim. Traktat Wersalski, zawarty bez Rosji, nawet wbrew Rosji. Traktat ryski zawarty po polskim zwycięstwie nad osłabioną Rosją. Polityka Piłsudskiego starała się utrzymać równowagę między Rosją a Niemcami. Dziś Rosja jest potęgą i sprzymierzeńcem Anglii i Ameryki. Rozumiał to Sikorski, ale nie dano mu wykonać zamierzeń. Armia Krajowa współdziałała wprawdzie z armią czerwoną, ale robi to niechętnie, podlega przecież gen. Sosnkowskiemu, wrogowi Rosji. Naprawdę pomagają Sowietaom „patrioci”, którzy są pod rozkazami komitetu w Moskwie, będącego odpowiednikiem rządu polskiego w Londynie. Dalej Litauer poświęcił szereg komplementów premierowi Mikołajczykowi: że ma za sobą 65 % włościaństwa, że jest demokratą, że jest patriotą „nie zaślepionym”, że chce się porozumieć z Rosją. Stalin natomiast chce silnej Polski, ale nie zgodzi się na utrzymanie Konstytucji 1935 roku, i jej symbolów: prez. Raczkiewicza i gen. Sosnkowskiego. Obecna polityka Stalina pozyska sobie Polaków w Kraju. A więc czas nagli: niech Mikołajczyk stara się o rozmowę w cztery oczy ze Stalinem.

Times z 22 lipca donosił w artykule „Poland and Russia”, że wobec posuwania się armii czerwonej w Polsce, premier Mikołajczyk gotów jest w każdej chwili jechać do Moskwy, jeżeli tylko będzie tam przyjęty. 23 lipca ukazał się w *Sunday Dispatch* wywiad z premierem Mikołajczykiem, który deklarował swoją chęć współpracy z Sowieciami, podnosił wielki udział Armii Krajowej w walce z Niemcami i wyraził gotowość udania się na rozmowę ze Stalinem „kiedykolwiek i gdziekolwiek bez żadnych warunków wstępnych dla omówienia wszystkich spraw spornych”.

25 lipca 1944 wszystkie dzienniki angielskie podały informacje o powstaniu w Chełmie „Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego” mianowanego przez „Radę Narodową w Polsce” współpracującą ze Związkiem Sowieckim. Ogłoszono skład osobowy Komitetu z Osóbką-Morawskim, Rolą-Żymierskim i Wasilewską na czele. Ogłoszono także podział tek ministerialnych oraz manifest, stwierdzający: 1) że poza Komitetem nie istnieje żadne inne legalne przedstawicielstwo Polski. Rząd polski w Londynie nie jest legalny, gdyż opiera się na „faszystowskiej” Konstytucji 1935 roku, 2) granice Polski będą ustalone drogą porozumienia, 3) w Polsce będzie ustrój demokratyczny z wyłączeniem wszelkich grup „faszystowskich”, 4) prywatna własność, skonfiskowana przez Niemców, będzie zwrócona właścicielom, 5) ziemia należąca do Niemców i zdrajców będzie skonfiskowana bez od-

szkodowania, 6) praca uzyska sprawiedliwy udział w dochodzie społecznym, 7) emigranci z wyjątkiem zdrajców będą mieli prawo powrotu do Polski.

Donoszono także, że Osóbka-Morawski był przyjęty przez Stalina. Dalsze wzmianki o Komitecie zapowiadały parcelację ziemi wielkiej własności, sojusz z ZSSR oraz granice takie, aby nie było w Polsce mniejszości narodowych.

25 lipca *News Chronicle* zapoznała czytelników z życiorysami członków Komitetu Wyzwolenia, dając oprawę pełną sympatii. Zaprzecza twierdzeniu rządu polskiego, jakoby członkowie Komitetu nie byli znani ogółowi. Komentarz Litauera przedstawia Komitet, jako organizację „demokratyczną” i „lewicową”.

Daily Mail donosił, że armia gen. Berlinga weźmie udział w walce o Warszawę. *Daily Herald* dowodził, że w Komitecie reprezentowani są ludowcy, demokraci, socjaliści i polska partia robotnicza. Komitet nawiąże przyjazne stosunki z Francją i oprze swą politykę zewnętrzną na międzynarodowym pakcie wzajemnego bezpieczeństwa. Komitet obiecuje wolność słowa, wolność przekonań i wolność zrzeszania się. Spod tego prawa wyjęte będą tylko organizacje pro-faszystowskie.

Times z 25 lipca poświęcił całą kolumnę deklaracji Komitetu. U dołu zaś zamieszczono notatkę następującą: „gen. Sosnkowski, polski naczelny wódz, dekorował generałów Alexander'a i Leese'a orderem „Virtuti Militari”. Poza tym *Times* zamieścił komunikat Rządu polskiego o tym, że w walce o Lwów bierze udział Armia Krajowa. Rosjanie wyrażają podziw dla bohaterskiej ludności Lwowa.

Komunikat P.A.T.'a z 25 lipca odmawiał Komitetowi Chełmskiemu prawa reprezentowania narodu: „jest to próba narzucenia Narodowi Polskiemu przez grupę uzurpatorów kierownictwa politycznego niezgodnego z wolą ogromnej jego większości. Naród polski, który przez lat 5 bohatersko walczył i krwawił się na wezwanie swego prawowitego Rządu, do którego ma całkowite zaufanie i który w podziemiach wytworzył pełną organizację władz państwowych, nigdy nie podda się narzuconej mu obcej woli”.

Ogłoszenie powyższego komunikatu w prasie angielskiej było przez parę dni utrudniane przez Foreign Office. Minister Eden wyrażał wobec prem. Mikołajczyka niezadowolenie, że komunikat ten nie był uprzednio uzgodniony z Rządem brytyjskim.

26 lipca Litauer w lewicowej *News Chronicle* znów wzywał Polaków, aby się pogodzili z „Komitetem Wyzwolenia”. Konserwatywny *Daily Mail* w długim artykule powtarzał znane wywody o mniejszościach w Polsce, o landlordach, o Piłsudskim, o Konstytucji. Krytykował polskie partie polityczne, pytał dokąd pójdą

„dwie armie polskie” i wzywał Polaków, aby nie przeszkadzali przyjaźni Anglii i Ameryki z Rosją. Wszystkie pisma omawiały sytuację, jaka powstała po mianowaniu Komitetu Wyzwolenia Narodowego przez tzw. „Radę Narodową” (26 lipca 44). Z wyjątkiem konserwatywnego *Daily Telegraph*, który ograniczył się do krótkich notatek o sytuacji politycznej w Polsce, inne dzienniki zdwoiły kampanię, zmierzającą do skłonienia Polaków, aby porozumieli się z „prowizorycznym rządem” w Chełmie. Dzienniki na ogół pominęły milczeniem deklarację Rządu polskiego, demaskującą marionetkowy „rząd chełmski”.

Times w dłuższym artykule informował, że premier Mikołajczyk i min. Romer konferowali z Eden'em a mają rozmawiać z Churchillem. Szybkie postępy armii czerwonej wyprzedziły akcję zmierzającą do normalizacji stosunków polsko-sowieckich. Rząd sowiecki „znalazł się w konieczności poparcia akcji Rady narodowej w Warszawie”, która zresztą cieszy się zaufaniem rządu sowieckiego. Rząd polski natomiast nie postąpił w myśl sugestii sowieckich, a zwłaszcza nie zgodził się na linię Curzona. Niemniej Armia Krajowa współdziałała z Armią Czerwoną. Moskwa nie przecenia znaczenia Komitetu Wyzwolenia, wiadomo bowiem, że „niektórzy ministrowie” polscy w Londynie reprezentują większość społeczeństwa w Polsce. Przed paru dniami Mikołajczyk wyrażał gotowość przeprowadzenia rozmów ze Stalinem. Należałoby sobie życzyć, aby do tego spotkania doszło. Nadto *Times* zamieścił deklarację Mołotowa, obiecującą, że Sowiety nie wtrącają się do wewnętrznych spraw polskich.

Daily Mail zamieścił deklarację Mołotowa oraz długi artykuł Farson'a o państwach bałtyckich i o przyszłości Polski. Farson przesądzał los państw bałtyckich, uważając, że jest rzeczą naturalną i wskazaną, aby kraje te wchodziły w skład Związku Sowieckiego. Państwa te nie były nigdy naprawdę niepodległe i nie umiały bronić swej neutralności. W Rosji wszyscy są przekonani, że plebiscyt, który przesądził przyłączenie tych państw do Sowie-tów, odbył się w sposób demokratyczny. Zresztą jest to bez znaczenia, bo państwa bałtyckie nie mają racji bytu. ZSSR nie zgodzi się na ich istnienie, gdyż mogą one w każdej chwili stać się odskocznią do ataku na ZSSR. Jest rzeczą zupełnie pewną, że Kresy Wschodnie odpadną od Polski. Ziemie te są zamieszkałe przez kilka narodowości i nikt naprawdę nie wie, kto ma do nich prawo. O ziemie te w ciągu wieków walczyli Polacy z Rosjanami, Ukraińcy i Austriacy. Rada Ambasadorów przyznała Polsce w 1919 roku ziemie leżące na zachód od linii Curzona. Wielki wojownik marsz. Piłsudski wygrał wojnę z Rosją i przyłączył te ziemie do Polski. Polacy interesują się o wiele więcej Kresami

Wschodnimi, aniżeli Prusami Wschodnimi, Śląskiem i Pomorzem. Odnosi się to przede wszystkim do kliki wojskowej, opierającej swe istnienie na wielkich landlordach z Kresów Wschodnich. Kasta ta umożliwiła Piłsudskiemu dokonanie zamachu stanu w 1926 r. Polska przestała być państwem demokratycznym i rządzona była przez pułkowników. Trudno jest przewidzieć jaki powstanie układ polityczny po wprowadzeniu w Polsce demokracji. Na razie istnieją dwa poważne czynniki, są to dwie armie: stu-tysięczny Korpus polski, walczący dzielnie po stronie Aliantów i stutysięczny Korpus Berlinga, walczący dzielnie po stronie so-wieckiej. Rząd polski w Londynie nie posiada żadnego wpływu w armii emigracyjnej. Wiadomo, że armia ta chce powrócić do Polski w obecnym składzie. Powstaje wielki problem: czy armia polska w Wielkiej Brytanii dojdzie do porozumienia z gen. Ber-lingiem lub z Komitetem wyzwolenia narodowego. Czy może armia ta zechce narzucić swą wolę w Polsce i poprze polskich obszarników. Jest rzeczą jasną, że ani rząd brytyjski ani amerykań-ski nie dopuszczą do tego, aby jakaś grupa polskich polityków podważyła wielki sojusz. Trzeba się jednak liczyć, że potencjalne niebezpieczeństwo istnieje, kończył Farson.

News Chronicle z 26 lipca zamieścił deklarację Mołotowa oraz długi artykuł redakcyjny dowodzący konieczności porozumienia Rządu polskiego z Komitetem Wyzwolenia. Autor nie dostrzega większych różnic programowych między Rządem a Komitetem. Należy się spodziewać, że skład komitetu się rozszerzy w miarę posuwania się armii czerwonej w Polsce. W interesie Polaków leży porozumienie Rządu z Komitetem. Rząd brytyjski musi w tym celu dołożyć wszelkich starań. Naród brytyjski nie może dopuścić, aby brak zgody między Polakami podważył sojusz brytyjsko-rosyjski. Mikołajczyk powinien jechać jak najprędzej do Moskwy. Niech Polacy zapomną o wzajemnych antagonizmach. Dalej *News Chronicle* doniosła, że Papież wypowiedział się za silną i niepod-ległą Polską.

Socjalistyczny *Daily Herald* z 26 lipca także powtórzył dekla-rację Mołotowa oraz wzywał, aby Polacy się pogodzili, podobnie jak to nastąpiło w Jugosławii.

Daily Express także zagrzewał premiera Mikołajczyka do po-dróży, zaznaczał, że Mikołajczyk nie jest atakowany przez Komitet Wyzwolenia Narodowego. *Daily Express* pisał dalej, że w rządzie polskim są pewni ludzie znani z wrogiego stosunku do Rosji. Sprawa Wilna została przesądzona na rzecz Litwy. Sprawa Lwowa jest otwarta, Rząd sowiecki zgodzi się na modyfikację linii Curzona. Na zachodzie Polska powinna otrzymać linię Odry-Nysy.

Daily Worker z 26 lipca karmił prasę londyńską, że nie docenia ona wielkiego wydarzenia, jakim jest utworzenie Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Nawet „doskonały pisarz Litauer”, który realnie patrzy na sytuację, nie poinformował należycie publiczności o sytuacji, jaka wytworzyła się w Polsce. Polska otrzymała ziemie po Odrę, Niemcy będą stamtąd wysiedleni. Wielkość emigracyjne wyjadą najpierw do Nowego Jorku, a zakończą swój żywot w Miami i w Hollywood.

26 lipca wieczorem premier Mikołajczyk wraz z ministrem spraw zagranicznych i prezesem Rady Narodowej odleciał przez Gibraltar do Kairu, gdzie miał czekać na wyznaczenie daty i miejsca spotkania ze Stalinem.

Cała prasa angielska 27 lipca wołała jednym głosem, że Mikołajczyk musi lecieć szybko do Moskwy. Przy tej okazji *Daily Mail* groził, że Stany Zjednoczone uznają Komitet Wyzwolenia, jeśli Polacy londyńscy nie dogadają się z Komitetem. Miał to rzekomo oświadczyć Cordell Hull.

Prasa doniosła także, że 26 lipca Eden znowu oświadczył w Izbie Gmin, że Rząd brytyjski „uznaje w dalszym ciągu rząd Mikołajczyka za Rząd Polski”.

Wreszcie: cały ten okres, w którym poddajemy analizie stanowisko prasy angielskiej, zostaje spięty jakby klamrą w mowie Churchilla w parlamencie w dniu 2 sierpnia 1944. Wstęp mowy, poświęcony sprawom polskim, rozpoczynał się od stwierdzenia, że Rosja żąda, aby Polska była jej przyjazna. To żądanie wydaje się Churchillowi rozsądne z uwagi na niebezpieczeństwo niemieckie. Sprzymierzeni powitają z radością każdy układ, który by połączył siły zbrojne polskie, walczące bądź wspólnie z armią rosyjską, bądź też wśród wojsk brytyjskich. Armie rosyjskie, stojące u bram Warszawy, „niosą Polsce wyzwolenie, wolność, suwerenność i niepodległość”, powiedział Churchill.

Mowa ta, w stosunku do 2 poprzednich, jakie wygłosił Churchill w omawianym okresie, wnosi nowy niepokojący element. O ile bowiem 22 lutego 1944 Churchill poszedł całkowicie po linii żądań terytorialnych Stalina i starał się udowodnić, że Wielka Brytania nie zaciągnęła zobowiązań co do granic Polski; 24 maja 1944 Churchill znów uzasadniał terytorialne żądania Stalina, zaś oddając należyty hołd męstwu żołnierza polskiego w kampanii włoskiej, skwapliwie dodawał, że są także inni Polacy, walczący pod kierownictwem rosyjskim, kończył zaś frazesem, wzywającym do zgody wszystkich Polaków ze wszystkimi Rosjanami; o tyle w mowie z dnia 2 sierpnia jest już poparcie żądań Stalina co do składu Rządu polskiego — Stalin bowiem żąda, aby Polska była „przyjazna Rosji”. Najbardziej jednak niebezpiecznym *novum*

było życzenie „połączenia” sił zbrojnych polskich z formacjami, stworzonymi przy armii sowieckiej. Nie trzeba zapominać, że mowa miała miejsce już po oddaniu sprzymierzonych żołnierzy jugosłowiańskich w ręce komunistów. Ta niesławna operacja, równająca się wydaniu niewinnych ludzi, była przecież zdecydowana przez tegoż Churchilla, a wykonana z udziałem jego syna i zaufanego generała „Jumbo” Wilsona (dowódcy frontu śródziemnomorskiego w czasie, gdy Churchill wygłaszał swą mowę).



Gdy czytamy głosy prasy angielskiej w sprawach polskich w omawianym okresie, uderza przede wszystkim jednolity ton wypowiedzi w pismach, reprezentujących najrozmaitsze kierunki polityczne: konserwatywny, liberalny czy partii pracy. Nawet treść tych wypowiedzi nie różni się zbyt od prasy komunistycznej z tym jedynie, że dzienniki komunistyczne zaostrzają obraz, dodając szereg złośliwości lub połajanek, kierowanych pod adresem polskich władz lub szeregu wybitnych osobistości. Ten jednomyślny ton prasy wskazuje chyba jasno na jednolite źródło informacji. Źródłem tym były z pewnością koła rządowe brytyjskie. Było to przecież wykonanie zobowiązań, zaciągniętych w Teheranie (28 listopad - 1 grudzień 1943) a trzymanych wtedy w ścisłej tajemnicy. Konferencja teherańska umieściła Polskę w sferze wpływów sowieckich, akceptowała linię Mołotow-Ribbentrop jako wschodnią granicę Polski i w konsekwencji przewidywała na przyszłość rząd polski „przyjazny” Sowietom.

W miarę zbliżania się Sowietów do granic Polski wypadało wprowadzać powyższe postanowienia w życie w ten sposób, że późniejsza Konferencja w Jałcie (luty 1945) miała już tylko usankcjonować formalnie to, co wprowadzono drogą faktów dokonanych. Wszystko to nie zgadzało się z uroczystymi postanowieniami sojuszu polsko-brytyjskiego, w czym znaczna część opinii krajów anglosaskich była zorientowana. Trzeba zatem było tę opinię odwrócić. Powtarzano więc do znudzenia opowieści o słuszności linii Curzona, o słuszności żądań Stalina co do zmian personalnych w rządzie polskim ze względu na bezpieczeństwo ZSSR itd. Jednocześnie dbać należało jednak o pewne „zachowanie twarzy” i w tym celu dawano nadmierny rozgłos komitetowi wyzolenia i formacjom wojskowym polskim, tworzonemu przez Sowiety. Stopniowo zaczęto stawiać znak równania między tymi twórcami a Rządem polskim, sojusznikiem Wielkiej Brytanii i podległymi mu siłami zbrojnymi. Niepokojąco często zjawiać się zaczynają oświadczenia publiczne, że Wielka Brytania uznaje rząd

polski. Zjawiać się zaczynają także mało rycerskie wzmianki, że władze i wojsko polskie obciążają podatnika brytyjskiego; wykorzystywano wszelkie informacje o braku zgody w łonie rządu polskiego; nadawano nadmierny rozgłos sprawie dezercji z P.S.Z.; złośliwie oskarżano Polaków o antysemityzm; zarzucano Armii Krajowej, że pozoruje tylko walkę z Niemcami. Cała ta niesławna karta hipokryzji prasowych da się ująć w smutną prawdę: *L'op-
presseur calomnie toujours la victime pour justifier l'oppression* (E. Pelletan).

Z tej samej, mało zaszczytnej dziedziny, pochodziły informacje, udające, że przyjmuje się na serio oświadczenia Stalina lub Mołotowa głoszące, że nie mają zamiaru wtrącać się do wewnętrznych spraw Polski...

Wszystko, co nastąpiło później poprzez okres powstania warszawskiego, podróże Premiera do Moskwy, stosunek do rządu Arciszewskiego, Jałtę, cofnięcie uznania — to były konsekwencje Teheranu, którego postanowienia prasa angielska tak konsekwentnie starała się narzucić opinii publicznej.

Były także wyjątki. Byli publicyści angielscy, którzy wiernie bronili praw Polski. Do nich należał w pierwszym rządzie Voigt w swoim wydawnictwie *Nineteen Century and after*. Katolickie *Tablet* w Londynie oraz *Catholic Herald* w Glasgow podnosiły krzywdę, jaka działa się Polsce. Tygodnik *Time and Tide*, zwłaszcza w okresie późniejszym brał nas w obronę. Także w czasie powstania warszawskiego obiektywnie informował *Spectator*, *The Scotsman*. Wówczas także przychylnie omawiał nasze sprawy Alastair Forbes w *Daily Mail*. Te głosy przyjazne zjawiały się jednak głównie w prasie periodycznej, w tygodnikach i miesięcznikach. Zasięg ich był więc znacznie mniejszy, a więc i wpływ na opinię publiczną ograniczony.

Także w debatach parlamentarnych, począwszy od mowy Churchilla z 22 lutego 1944 aż do Jałty podnosiły się głosy, protestujące przeciwko opuszczeniu polskiego sojusznika. Protestowano nie tylko w imię zobowiązań traktatowych, ale również w imię zasad moralnych. Warto pamiętać nazwiska tych parlamentarzystów. Byli nimi w pierwszym rządzie: Arthur Greenwood, Profesor Savory, Sir Archibald Southby, MacGovern, Cpt. Alan Graham, Hore Belisha, Pickthorn. Protestowali także: Sir Patrick Dollan oraz Lord Dunglass — późniejszy Sir Alec Home.

Witold BABIŃSKI

Montreal, sierpień 1970

Stanisław KIRKOR

PRÓBY DOZBROJENIA POLSKI

Umowy w Lokarno w 1925 roku wprowadziły rozróżnienie między zachodnią a wschodnią granicą Niemiec, które na polu dyplomatycznym stanowiło znaczne osłabienie pozycji Polski. Traktat wersalski był traktowany przez Niemców jako *dyktando*, z którym naród niemiecki nigdy dobrowolnie się nie pogodzi. W Lokarno rząd Stresemanna uznał w dobrowolnej umowie granicę Niemiec z Francją za stałą i poddaną gwarancji Wielkiej Brytanii, Włoch i Belgii, podczas gdy co do wschodniej granicy Niemiec złożył tylko oświadczenie, że Niemcy nie będą dążyć do jej zmiany siłą. Umowy w Lokarno nie były korzystne dla Francji. Dla Briand'a, który je podpisał, nie było rzeczą łatwą zrezygnować z myśli trwałego aliansu z Wielką Brytanią przeciw zagrożeniu spoza Renu i zastąpić go gwarancją brytyjską, która w równej mierze działać mogła przeciw Francji co i przeciw Niemcom. Zręczna polityka Stresemanna i stanowisko Anglii doprowadziły jednak do umów, które były pierwszym podważeniem systemu wersalskiego. Delegacja polska w Lokarno z ministrem spraw zagranicznych Aleksandrem Skrzyńskim na czele daremnie walczyła przeciw załatwieniu, które niesło w zarodku zagrożenie Polski. To zagrożenie wzrosło, gdy w roku następnym Niemcy zostały dopuszczone do Ligi Narodów i otrzymały stałe miejsce w jej Radzie.

Zagrożenie Polski, spowodowane przez umowy lokarneńskie, nie miało jednak aktualnego wydźwięku tak długo, jak długo Nadrenia pozostawała pod okupacją wojskową Francji i Anglii. Polityka Stresemanna dążyła teraz do zniesienia tej okupacji i jasne było, że wcześniej czy później to nastąpić musi. Nastąpiło to w cztery lata po Lokarno w związku z ostatecznym umownym uregulowaniem spraw reparacji niemieckich i innych spraw finansowych wynikających z wojny i traktatów pokojowych z Niemca-

mi, Austrią, Węgrami i Bułgarią. Te wszystkie sprawy zostały załatwione na konferencji w Hadze w sierpniu 1929 roku i w styczniu 1930 roku. Polska była tam reprezentowana przez silną delegację, na której czele stał minister spraw zagranicznych August Zaleski i stały polski przedstawiciel przy Komisji Reparacyjnej w Paryżu Jan Mrozowski. Sekretarzem delegacji był Józef Lipski. Byłem członkiem tej delegacji i dlatego mogę ze wspomnień własnych podać parę szczegółów, dotąd mało znanych.

Konferencję w Hadze poprzedziły narady ekspertów w sprawach reparatornych, toczące się w Paryżu od lutego do czerwca i zakończone raportem z 7 czerwca 1929 roku. W tym również czasie — w marcu 1929 roku — Polska podjęła w Paryżu próbę uregulowania swego długu wojennego wobec Francji. Pełnomocnikami polskimi dla tej sprawy byli Jan Mrozowski, Leon Barański i Stanisław Kirkor, referentem Jerzy Nowak. Suma nominalna polskiego długu wojennego wobec Francji, powstałego głównie z tytułu armii Hallera i dostaw broni w 1920 roku, ustalona była uprzednio przez fachowe komisje polsko-francuskie i wynosiła — bez odsetek — blisko dwa miliardy franków (1.897.064.300 fr.). Dla Polski zasadnicze znaczenie miało to, by tak ustalić warunki spłaty i oprocentowania, aby wartość tych spłat, zdyskontowaną na dzień dzisiejszy (*valeur actuel*), sprowadzić do znośnych rozmiarów. Przed wyjazdem delegacji polskiej do Paryża sprawa ta była przedmiotem obrad sejmowej Komisji Długu Publicznego, która zgodnie z wnioskiem rządowym ustaliła maksymalną granicę dla tej *valeur actuel*, skalkulowaną według stopy 6 % rocznie, na 50 milionów dolarów. Było więc przykrą niespodzianką dla delegacji polskiej, gdy w Paryżu przedłożono jej projekt francuski, przedstawiający *valeur actuel* ponad 80 milionów dolarów. Odpowiadając przesadą na przesadę przeciwstawiono temu projektowi projekt polski o *valeur actuel* 24 miliony dolarów, po czym — wobec tak dużych rozbieżności — zgodzono się odroczyć rokowania na okres późniejszy. Delegacja polska wróciła do Warszawy.

Z końcem lipca wyjechałem na wakacje letnie na Śląsk Cieszyński lecz już po paru dniach zostałem wezwany depeszą do natychmiastowego powrotu do Warszawy. W Warszawie wręczono mi nominację na członka delegacji polskiej do Hagi, podpisaną przez ministra Zaleskiego. Miał to być mój pierwszy wyjazd w delegacji za granicę bez powiadomienia mnie z góry o celu mego wyjazdu i bez wyraźnych instrukcji. Minister Skarbu Ignacy Matuszewski powiedział mi, że instrukcje te otrzymam w odpowiedniej chwili w Hadze od ministra Zaleskiego, on sam zaś to mi tylko poleca, bym nie dał się wciągnąć w rozmowy z Fran-

cuzami na temat dawnego długu wojennego Polski wobec Francji. Motywy tego zastrzeżenia zdawały się być dla mnie zrozumiałe. W Hadze miały być załatwione sprawy finansowe, które i dla Polski dużą miały wagę i grozić jej mogły dużym obciążeniem. W myśl traktatów pokojowych Polska była formalnie zobowiązana do wpłat do Komisji Reparacyjnej z tytułu przejętego majątku państwowego po-austriackiego i po-niemieckiego, z tytułu udziału w długach niemieckich i z tytułu tzw. *dette de libération*. Tym zobowiązaniom Polska mogła przeciwstawiać tylko dość wątpliwe pretensje swoje o odszkodowania za zniszczenia wojenne na terenie dawnego zaboru rosyjskiego. Od wielu lat w Paryżu obronę interesów Polski w tych sprawach prowadził Jan Mrozowski w sposób zręczny i skuteczny, co mu ułatwiał fakt, że na terenie Komisji Reparacyjnej cieszył się ogólnym uznaniem i poważaniem. Był tam wzywany na arbitra w różnych sprawach spornych. Tym niemniej nie było pewności, że ostateczne załatwienie w Hadze będzie dla Polski korzystne, a w związku z tym mogły istnieć obawy czy za poparcie Polski w tych sprawach Francja nie każe sobie płacić ustępstwami w sprawie dawnego polskiego długu wojennego.

Konferencja reparacyjna w Hadze rozpoczęła się 6 sierpnia 1929 roku i od razu ujawniła duże odosobnienie Francji. Jej przedstawiciele ministrowie Briand, Chéron i Loucheur mieli przeciw sobie nie tylko zręczność Stresemanna, ale i wyraźną wrogość angielskiego kanclerza skarbu Snowden'a. Dla mnie czas schodził raczej nudno, czekałem na moje instrukcje, a tymczasem starałem się pomagać innym członkom delegacji oraz nawiązałem kontakty o charakterze raczej towarzyskim z przedstawicielami francuskiego *Département du Mouvement Général des Fonds*, dyrektorem Farnier oraz jego zastępcą Jean Jacques Bizot, bardziej od poprzedniego nam przyjaznym. Pod koniec sierpnia jasne było, że konferencja przyjmie tylko w ogólnej zasadzie raport ekspertów z 7 czerwca 1929 roku i wyłoni szereg komisji technicznych dla dalszego rozpracowania jego tez, po czym odroczy swe obrady na kilka miesięcy. Na posiedzeniach plenarnych trwały nadal zajadłe spory na temat reparacji, co zaś działo się za kulisami konferencji, okryte było ścisłą tajemnicą. A działo się tam dużo. Po długim moim czekaniu zostałem wreszcie 30 sierpnia popołudniu wezwany nagle do ministra Zaleskiego, który powiadomił mnie, że przed paru godzinami Briand uprzedził go poufnie, że nim ten dzień się skończy będzie zmuszony dać swą zgodę na ewakuację Nadrenii. W związku z tym i zgodnie z poleceniem Marszałka Piłsudskiego — tak to z naciskiem podkreślił Zaleski — przedstawił on konieczność wzmocnienia potencjału obronnego Polski

i w tym celu zażądał od Brianda kredytu francuskiego w wysokości dwóch miliardów franków, z czego połowa miała być przeznaczona na zakup broni we Francji, a druga połowa na budowę fortyfikacji na granicy Polski z Niemcami. Briand miał wyrazić zgodę na to żądanie jak również na natychmiastowe podjęcie rozmów na ten temat. Farnier otrzymał już odpowiednie zlecenia i obecnie minister Zaleski polecał mi natychmiast odszukać go i rozpocząć negocjację.

Nie mogłem nie zdawać sobie sprawy z tego, że dzień ten i decyzja ewakuacji Nadrenii stanowić mogą punkt zwrotny w historii Europy, ważny dla Francji, jeszcze ważniejszy i groźniejszy dla Polski. Tak to najwidoczniej rozumiał Piłsudski, skoro żądał kredytu na zbrojenia i fortyfikacje, tak to również rozumieć musiał rząd francuski, skoro Briand — niewątpliwie nie bez porozumienia z czynnikami wojskowymi francuskimi — już dał swą zgodę na ten kredyt. W owym czasie dwa miliardy franków francuskich przedstawiały równowartość 78,4 milionów dolarów amerykańskich sprzed pierwszej wojny światowej, suma jak na ówczesne warunki bardzo duża. Służyć miała na to, by dla aliansu polsko-francuskiego stworzyć na wschodniej granicy Niemiec siłę militarną taką, która by mogła zrównoważyć militarne znaczenie wycofania wojsk francuskich z Nadrenii. W drodze do gmachu Stanów Generalnych, gdzie były biura konferencji, ustalałem w myśli wnioski co do warunków kredytu, gdyż Zaleski, powołując się na ministra Matuszewskiego, pozostawił tę sprawę do mojej decyzji. Wiedziałem, że sytuacja skarbu francuskiego była w tym czasie bardzo dobra, uważałem więc, że kredyt zbrojeniowy dla Polski powinien być udzielony przez skarb francuski bezpośrednio, a nie pośrednio drogą gwarancji dla banków czy fabryk francuskich. Dyrektora Farnier znalazłem w dużej sali, gdzie oprócz kilku Francuzów zauważyłem grupy Anglików, Włochów, Niemców. Siedzieli na ławach lub fotelach pod ścianami, milczeli lub rozmawiali szeptem. Farnier na mój widok odłączył się od swej grupy i wraz ze mną usiadł w pustym rogu sali. Wiedział, z czym przychodzę, i słuchał z uwagą mych wywodów na temat warunków kredytu, gdy jednak przyszła kolej na jego odpowiedź, przeprosił mnie, że nie może mi jej udzielić, ale trudno mu jest myśli zebrać. „Widzi Pan te drzwi?” — spytał mnie, wskazując oczami duże zamknięte drzwi w przeciwległym rogu sali — „Za tamtymi drzwiami decyduje się teraz sprawa ewakuacji Nadrenii”. Domyśliłem się, że tam odbywa się ostatni targ przedstawicieli aliantów i Niemiec. Farnier zdawał się być bardzo przejęty ważnością tej chwili, siedzieliśmy odtąd obok siebie w milczeniu, podobnie jak i inni w tej wielkiej, półmroczonej sali. Mimo woli

wzrok wszystkich kierował się ku drzwiom, które mi wskazał Farnier. W pewnej chwili drzwi te otwały się i wyszedł z nich Stresemann, drzwi się znowu zamknęły. Stresemann był w stanie skrajnego wyczerpania, z twarzą białą jak papier. Opadł ciężko na pierwszy z brzegu fotel. Paru Niemców podeszło do niego i zaraz jeden z nich szybko wybiegł z sali, by po chwili wrócić z kuflem piwa. Stresemann pił je wolno, po czym podtrzymywany przez innych Niemców wyszedł z sali. Osiągnął cel główny swych wysiłków: ewakuację Nadrenii. Parę miesięcy później już nie żył.

Farnier tego dnia nie znalazł czasu na kontynuowanie rozmów ze mną, zaś dnia następnego — 31 sierpnia — konferencja kończyła w pośpiechu swe prace bieżące i odraczała dalsze do stycznia. Delegacja francuska wracała do Paryża, polska do Warszawy, tylko Jan Mrozowski i ja zgodnie z poleceniem ministra Zaleskiego jechaliśmy z Francuzami do stolicy Francji. Rozpoczęła się teraz seria moich prawie codziennych wizyt w *Département du Mouvement Général des Fonds*, u Farnier'a, Bizot'a, lub szefa sekcji Maxime Robert'a. Wspólnie z Janem Mrozowskim prowadziłem tam rozmowy na różne tematy finansowe, przekazane komisjom technicznym przez konferencję haską, a poza tym kontynuowałem rozpoczętą w Hadze negocjację o nowy kredyt na zbrojenia i fortyfikacje. W tej sprawie, najważniejszej z wszystkich, napotkałem wbrew memu spodziewaniu na różne trudności ze strony Farnier'a, który starał się skierować nasze dyskusje na koncepcję *assurance-crédit*, to jest gwarancję rządową za zamówienia w fabrykach francuskich. Tę formę odrzucałem stanowczo jako zbyt drogą i za mało elastyczną i nie odpowiadającą zupełnie idei przewodniej porozumienia ministra Zaleskiego z Briandem. Nie miałem wątpliwości, że nie to miał na myśli marszałek Piłsudski, na którego powoływał się Zaleski udzielając mi swych instrukcji, i nie chciałem wejść na drogę, która by mogła doprowadzić do zamiany wielkiej koncepcji zbrojeniowej, opartej o pożyczkę od rządu francuskiego, na projekt rozmów z fabrykami francuskimi o zamówienia na kredyt. Bez odpowiedniego poparcia dyplomatycznego nie byłem jednak w możności przełamać oporów Farnier'a i jego kolegów. Wysłałem więc raport do Warszawy i czekałem na nowe instrukcje oraz na to poparcie dyplomatyczne, które było mi potrzebne, a którego bez wyraźnych poleceń z Warszawy ambasada nasza w Paryżu mi udzielić nie chciała czy nie mogła.

W listopadzie zorientowałem się, że nadszedł doskonały moment dla załatwienia sprawy dawnego długu wojennego Polski wobec Francji. Choć więc Farnier chciał zwlekać z tą sprawą,

zasłaniając się brakiem czasu, zażądałem wznowienia rokowań na ten temat. Zrobiłem to wbrew zakazom ministra Matuszewskiego, powtórzonym teraz telegraficznie, gdyż nie miałem wątpliwości, że przesłanki, na których ten zakaz się opierał, przestały być aktualne. To nie my potrzebowaliśmy poparcia Francji w dziedzinie reparacyjnej, a wprost przeciwnie Francja zabiegała u nas i u ekspertów państw Małej Ententy o przychylne przyjęcie jej projektów. Stwarzało to moim zdaniem korzystne dla nas warunki negocjacyjne. Poza tym uważałem, że dla pomyślnego załatwienia sprawy nowego kredytu wojennego ważne będzie uprzednie załatwienie sprawy kredytu dawnego. Mrozowski w pełni podzielał moją opinię i udzielał mi rad i pomocy biurowej, natomiast jako służbista nie chciał wbrew instrukcjom brać udziału w posiedzeniach z Francuzami. Chodziłem więc na te posiedzenia sam i po tygodniu intensywnych rokowań miałem uzgodniony projekt umowy. Już przedtem zorientowałem się, że instrukcje delegatów francuskich nie pozwalały im na redukcję nominalnej sumy długu natomiast zostawiały im wolną rękę w sprawach terminów spłat i oprocentowania. Nas wiązała instrukcja oparta na zupełnie innej zasadzie, mianowicie *valeur actuel* przyszłych wypłat, ustalonej na maksimum 50 milionów dolarów. Na tej różnicy naszych instrukcji oparłem moją taktykę negocjacyjną i w wyniku uzyskałem warunki, które przeciągały termin spłat do 1992 roku i tak je regulowały, że przedstawiały one *valeur actuel* 27½ milionów dolarów. Gdy to zakomunikowałem Warszawie, powzięto tam obawę, czy nie popełniłem błędu w obliczeniach — wszak nie miałem przy sobie matematyka i wszystkie obliczenia robiłem sam przy pomocy ręcznej maszynki do liczenia i tablic logarytmicznych Spitzera i Violaina. Przesłano więc z Warszawy matematyka Grużewskiego dla sprawdzenia mych obliczeń, który w pełni je potwierdził. W ślad za tym przyjechał do Paryża Leon Barański i z końcem listopada 1929 roku w gabinecie ministra skarbu, Henri Chéron, podpisaliśmy znegocjowaną przeze mnie umowę. Z długu tego Polska spłaciła tylko 3.614.498 fr., gdyż w związku z moratorium prezydenta Hoovera dla Niemiec w 1931 roku wszystkie kraje (z wyjątkiem Finlandii) wstrzymały spłaty swych długów wojennych.

Zaraz po Nowym Roku udałem się powtórnie z polską delegacją do Hagi. Wznowione obrady konferencji reparacyjnej rozpoczęły się 3 stycznia 1930 roku i zakończyły się 20 stycznia podpisaniem szeregu umów, które uregulowały wszystkie kwestie finansowe, wynikię z wojny i traktatów pokojowych. Polska wyszła z tej konferencji w pełni obronną ręką: wraz z innymi państwami sukcesyjnymi została zwolniona z wpłat do Komisji Repara-

cyjnej za majątki państwowe po-austriackie i po-niemieckie, za długi niemieckie i z tytułu *dette de libération* — tę ostatnią płaćć miała tylko Czechosłowacja (37 rat rocznych po pół miliona funtów). Łącznie z pomyślnym załatwieniem dawnego długu wojennego Polski wobec Francji rezultat naszych prac w ubiegłym półroczu był więc na odcinku finansowym nad wyraz korzystny. Nie umiałem jednak cieszyć się tymi sukcesami, gdyż rokowania o nowy kredyt wojskowy kulały. Nie doczekałem się w Paryżu nowych instrukcji i poparcia dyplomatycznego i bez załatwienia tej sprawy musiałem wracać do Warszawy w związku ze sprawami mego wydziału i rokowaniami o pożyczkę francuską na budowę kolei Śląsk-Gdynia; rozpoczęte w Warszawie wiosną 1930 roku ciągnęły się długo i ostatecznie zostały sfinalizowane w Paryżu w kwietniu 1931 roku. Francuskim ministrem skarbu był wtedy Flandin i do niego chodziłem z wiceministrem Kocem na końcowe rozmowy. W tym czasie prowadzenie rokowań o nową pożyczkę wojskową przejęła w Paryżu nasza ambasada i Jan Mrozowski. Dano się wciągnąć w dyskusję na temat *assurance-crédit*, stracono wiele czasu, a tymczasem sytuacja skarbu francuskiego bardzo się popsuła i mój pierwotny projekt kredytu rządowego stawał się dla Francuzów coraz trudniejszy do przyjęcia. Miałem także wrażenie, że po początkowym mocnym postawieniu tej sprawy w Hadze przez ministra Zaleskiego nacisk dyplomatyczny ze strony polskiej osłabł i sprawa coraz bardziej się odwlekąła. Gdy w listopadzie 1932 roku ministrem spraw zagranicznych został płk Józef Beck, rokowania o nowy kredyt wojskowy ustały całkowicie.

Sprawę nowego kredytu wojskowego francuskiego podjął dopiero w kilka lat później marszałek Rydz-Śmigły i latem 1936 roku zawarto w Paryżu układ z rządem francuskim odnośnie pożyczek dla Polski w ogólnej sumie dwóch miliardów franków. Były to jeszcze te same franki, co w 1929 roku w czasie konferencji haskiej, ale ich równowartość w dolarach była większa, 130,6 milionów dolarów, gdyż w 1934 roku nastąpiła dewaluacja dolara. Poza tym inaczej było ujęte przeznaczenie tych pożyczek i ich charakter. Zanim zostały sfinalizowane formalności związane z tym układem nastąpiła dewaluacja franka i 2 października 1936 roku weszła w życie nowa reforma walutowa we Francji i „frank Poincarégo” został zastąpiony „frankiem Bluma” o parytecie obniżonym o 25-33 %. W związku z tym rząd francuski zgodził się na podwyższenie ogólnej sumy pożyczek dla Polski do 2,6 miliardów franków. Suma ta obejmowała: a) pożyczki gotówkowe do wysokości 810 milionów fr., b) kredyt towarowy na zasadach *assurance-crédit* 1 miliard fr. na zamówienia broni w fabrykach

francuskich, c) kredyt gotówkowy 250 milionów fr. na instalacje w Polsce w związku z tymi zamówieniami, d) emisję drugiej serii obligacji Towarzystwa kolei Śląsk-Gdynia na sumę 540 milionów fr. Kredyt na budowę fortyfikacji na granicy od strony Niemiec, który stanowił człon zasadniczy koncepcji z 1929 roku, nie był przewidziany, prawdopodobnie w związku z ówczesną polityką Polski w stosunku do Niemiec. Ustawa polska z 12 stycznia 1937 roku wymieniała tylko pożyczki do wysokości 810.000.000 fr. i kredyt do wysokości 1.250.000.000 fr. „na zakup towarów we Francji i na wykonanie prac, instalacji i urządzeń w Polsce” (Art. 1.), precyzując dalej, że wpływy z tych operacji kredytowych „przeznaczone są na cele obrony Państwa” (Art. 4.). Emisja drugiej serii obligacji Towarzystwa kolei Śląsk-Gdynia nie wymagała nowego upoważnienia ustawowego; z wpływów z tej emisji, dokonanej przy pomocy rządu francuskiego, rząd polski pożyczył od tegoż Towarzystwa 405.000.000 fr. w granicach sumy 810.000.000 fr., objętej ustawą z 12 stycznia 1937 r.

Wykorzystanie nowych kredytów szło bardzo wolno i w prawie trzy lata po początkowym układzie w tej sprawie przedstawiało się następująco (stan na 1 kwietnia 1939 roku):

Kredyt towarowy	215.383.788 fr.
Kredyt gotówkowy	135.000.000 fr.
Pożyczka od Tow. kolei Śląsk-Gdynia —	401.112.000 fr.

Znaczenie dla obrony Państwa było jeszcze mniejsze, niż cyfry powyższe zdają się wskazywać, gdyż wykorzystany kredyt towarowy nie reprezentował materiału wojennego już znajdującego się w Polsce, a tylko zaliczki na zamówienia w fabrykach francuskich. Moja niechęć do finansowania zbrojeń drogą *assurance-crédit* okazała się w pełni uzasadniona. Kredyt taki w myśl ustaw francuskich mógł obejmować tylko 80 % wartości zamówień, a ponieważ rząd polski domagał się 100 % finansowania, spór z tego powodu spowodował pierwszą długą zwłokę. Następną zwłokę wywołały — z jednej strony — niechęć polskich władz wojskowych do zamawiania sprzętu wyrabianego przez przemysł francuski i — z drugiej strony — niechęć tego przemysłu do przyjmowania zamówień na sprzęt jeszcze nie aprobowany przez armię francuską. Potem przyszło Monachium i polityka rządu polskiego w tym okresie nie wpłynęła dodatnio na całokształt stosunków polsko-francuskich. W rezultacie ze sprzętu zamówionego w wykonaniu układu z 1936 roku albo nic albo tylko bardzo mało doszło do Polski przed wybuchem wojny we wrześniu 1939 roku. Batalion ciężkich czołgów, jedyny w armii polskiej, pochodził nie

z tego układu, a był przysłany do Polski przez Gdynię w ostatniej niemal chwili (z końcem czerwca 1939 r.) z francuskich zapasów mobilizacyjnych w myśl dodatkowej umowy, zawartej w Paryżu latem 1939 roku. Były to czołgi Renault 35, ważące 12 ton a więc we Francji zaliczane do typu czołga lekkiego. Do Polski przysły bez taboru niezbędnego do obsługi i zapewnienia zaopatrzenia. Batalion ten nie wszedł do akcji i nie zdjęty z lor kolejowych przejechał do Rumunii.

Smutne te fakty wskazują na to, jak myśl Marszałka Piłsudskiego z 1929 roku o dobrojeniu i ufortyfikowaniu Polski przeciw Niemcom przy pomocy kredytów francuskich została w pełni zaprzeczona. Inny byłby może bieg historii, a w każdym razie inny byłby przebieg kampanii wrześniowej w Polsce, gdyby ta myśl została zrealizowana tak, jak była mi przedstawiona przez ministra Zaleskiego w owym pamiętnym dla mnie dniu 30 sierpnia 1929 roku w Hadze.

Stanisław KIRKOR

Dr Paweł KORZEC
C.N.R.S. — Paris

M A T E R I A Ł Y

do studiów nad historiografią Polski Ludowej
(w zakresie historii najnowszej)

P r z e d m o w a

Praca niniejsza nie ma charakteru metodycznego i wykończonego studium. Nie starałem się w niej ani o kompletność poruszanych zagadnień, ani o zachowanie odpowiednich między nimi proporcji. Głównym moim zamierzeniem było zwrócenie uwagi na zagadnienie najtrudniejsze, najbardziej sporne i dyskusyjne; na ewolucję i fluktuację poglądów w tych kwestiach, a także na osiągnięcia ostatniego pokolenia polskich historyków, mimo piętrzących się przed nimi trudności administracyjno-politycznych, znacznego odcięcia od ośrodków naukowych i dorobku nauki światowej.

Nad historiografią polską, w miarę zmniejszania się dystansu historycznego, zwiększa się coraz bardziej nacisk licznych czynników negatywnych zarówno obiektywnych narzuconych z góry: prezentyzm, upartyjnienie, racja stanu, jak i subiektywnych: nacjonalizm, ksenofobia, zaściankowy partykularyzm i niemal powszechna niechęć do autokrytycyzmu, co u wielu Polaków niezależnie od poglądów politycznych traktowane jest jako „kalanie własnego gniazda”. Piętą achillesową polskiej historiografii jest ciągłe usiłowanie „glajchsztaltowania” wyników badań, drogą licznych zabiegów w postaci kolektywnego dyskutowania przygotowanego tekstu, opracowań redakcji i wreszcie ingerencji oficjalnej cenzury. Te gęste ogniwa „sita prawdy” powodują u wielu historyków, zwłaszcza u mniej samodzielnych, lub dążących do kariery za wszelką cenę, nawyk do konformizmu, do ostrożności i autocenzury. Przynosi to nie tylko straty i szkody w dziedzinie nauki, ale wy-

wołuje zjawisko paczenia charakterów i demoralizacji wielu pracowników naukowych. Najdotkliwsza może strata polega na wywołaniu w społeczeństwie nastroju niewiary i sceptycyzmu do nauki historycznej w ogóle. Następuje gwałtowny upadek kultury historycznej. Jest rzeczą paradoksalną, że w krajach socjalistycznych rezultaty są pod tym względem odwrotnie proporcjonalne do wysiłków, nakładów naukowych i ilości publikacji. Jako wieloletni wykładowca na uczelni polskiej miałem możność stwierdzenia zjawiska, że najbardziej oczywiste fakty historyczne (zwłaszcza z zakresu tzw. spraw drastycznych) napotykały na daleko idący sceptycyzm słuchaczy. Wynikiem tego stanu rzeczy jest przeciążenie publikacji historycznych materiałem dowodowym i ogromną ilością odsyłaczy do źródeł. Wszystkie te wysiłki dają jednak znikome rezultaty. Są to rezultaty złych tradycji najnowszej historiografii polskiej i to zarówno w Polsce Ludowej jak i w II Rzeczypospolitej, jak również niestety w sferach historyków emigracyjnych.

Mimo wszystko studia nad współczesną historiografią polską nie prowadzą do negatywnych i pesymistycznych konkluzji. To co najbardziej uderza, to zjawisko uporczywego dążenia do dochodzenia do prawdy i do jej ujawniania, u znacznej części młodych historyków. Tendencja ta jest tak uporczywa i silna, że toruje sobie drogę przez gęstwinę zakłamania, oportunistu i ograniczeń cenzury. Czynnikiem sprzyjającym dla polskiej nauki historycznej jest brak stabilizacji i ustawiczna fluktuacja kierunków i tendencji politycznych. W odróżnieniu od mrożącej stabilizacji w historiografii ZSSR i większości krajów Demokracji Ludowych, Polska w ciągu 25 lat rządów komunistycznych przechodziła wiele gwałtownych zmian politycznych, przynoszących w efekcie radykalne zmiany w dziedzinie teorii i tendencji ideologicznej. Te zmiany i „zygzaki” „polskiej drogi” do socjalizmu wyzwalają zazwyczaj pęd do gwałtownej krytyki najbliższej przeszłości. Do czasu stabilizacji i umocnienia się nowego kursu istnieje względna swoboda mówienia i pisania, prawdy lub częściowej prawdy. A to co w tym czasie zostaje wypowiedziane w publicznych polemikach lub publikacjach ma w dużym stopniu charakter nieodwracalny i uniemożliwia powrót do dawnych fałszerstw i wulgaryzacji. Tak dla przykładu można wskazać, że dyskusje lat 1956-1960 przyniosły radykalną zmianę sytuacji w dziedzinie badań historii ruchów społecznych, a zwłaszcza historii PPS do 1939 roku.

Częste fluktuacje i zmiany obowiązującej „linii partyjnej” w ocenie przeszłości stwarzają zatem historykom duży margines swobody wypowiedzania i publikowania wyników swych badań (oczywiście z wyjątkiem pewnych stałych „tabu”) i stwarzają swojego rodzaju *ersatz* liberalizmu w nauce i względnie swobodnej wymia-

ny poglądów. Dlatego też w warunkach ogólnej sytuacji nauk humanistycznych w krajach socjalistycznych, historiografia polska ma stosunkowo duże osiągnięcia. Jest o wiele ciekawsza, mniej skostniała i zglajchszaltowana od historiografii sowieckiej, a jej wyniki nie mogą być ignorowane lub zlekceważone.



W omawianym okresie 20 lat można w historiografii polskiej wyodrębnić następujące okresy i cezury periodyczne.

I: 1945-1947 — okres odbudowywania zniszczonych przez wojnę ośrodków naukowych i wydawniczych. W dziedzinie ideowo-metodologicznej jest to okres pluralizmu i eklektyzmu, z dużą przewagą elementów konserwatywnych. Materializm historyczny toruje sobie nieśmiało drogę, głównie przez forsowanie problematyki społeczno-gospodarczej.

II: 1948-1956 — okres „Stalinizmu”. W okresie tym należy rozróżnić 2 fazy:

1. 1948-1951 — od wrocławskiego Zjazdu Powszechnego historyków polskich do I Metodologicznej Konferencji w Otwocku (grudzień 1951 - styczeń 1952). Jest to okres niszczenia istniejących struktur i instytucji naukowych. Masowe usuwanie wykwalifikowanej kadry. Brutalne „upartyjnienie” nauki historycznej.

2. 1952-1956 — od I Metodologicznej Konferencji w Otwocku do „polskiego października”. Jest to okres pewnego opamiętania i prostowania zbyt brutalnych przegięć. Przy pełnym i bezwzględным monopolu historycznego materializmu usiłuje się jednak stworzyć nowe struktury życia naukowego. Powstanie Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Częściowy powrót i adaptacja starej profesury. Przywrócenie prestiżu katedrom uniwersyteckim.

III: 1956-1958 — *Sturm und Drang* w historiografii polskiej. Okres gwałtownych polemik i dyskusji metodologicznych. Burzliwy proces przewycięzania wypaczeń okresu stalinizmu. Rewizjonizm i pluralizm ideologiczny. Ogromny wzrost zainteresowania historią najnowszą.

IV: 1958-1964 — jest to najbardziej twórczy okres w historiografii Polski Ludowej. Ale i w nim należy wyróżnić 2 okresy:

1. 1958-1963 — od VIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Krakowie (10-17. IX. 1958) do XIII plenum KC PZPR — lipiec 1963 i IX Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich (wrzesień 1963). Jest to okres dużej aktywności naukowej i względnego liberalizmu.

2. Od jesieni 1963 — zwiększona ingerencja PZPR i zwycię-

stwo kierunku tzw. „linii narodowej”. Gwałtowne forsowanie badań historii po 1939 w duchu „partyjnym”.

Nie trzeba dodawać, że wszystkie te okresy miały granice chronologiczne dość płynne. Sklasyfikowano je (zwłaszcza po 1956 roku) z punktu widzenia pewnych najbardziej typowych dla nich zjawisk.

Rozdział I

ZARYS HISTORII HISTORIOGRAFII DZIEJÓW NAJNOWSZYCH W LATACH 1945-1956

1. Okres 1945-1947

Historia najnowsza (*Zeitgeschichte*) nie ma w Polsce najlepszych tradycji. Można nawet zaryzykować tezę, że w Polsce przedwojennej nie była ona w sposób naukowy uprawiana, a prace drukowane na ten temat były obciążone daleko idącym subiektywizmem politycznym ich autorów. Rzecz znamienna, że nawet tacy historycy jak Bobrzyński, Sobieski i St. Kutrzeba w pracach dotyczących historii najnowszej, wpadali w nadmierną tendencyjność i partyjną apologetykę. Istniała więc publicystyka historyczna służąca celom politycznym poszczególnych stronnictw i starająca się wpoić w społeczeństwo — mało pod względem politycznym wyrobione — szereg zasadniczych i sprzecznych ze sobą legend i mitów. Można nawet sądzić, że rządy międzywojennej Polski, jak również jej czołowe stronnictwa polityczne, były zainteresowane w hamowaniu obiektywnych, naukowych badań niedawnej przeszłości. W ich świetle niejednak zakorzeniony mit przysnąłby jak bańka mydlana. Wychodząc z częściowo słusznych przesłanek przydatności dystansu czasowego w badaniach historycznych, historycy wysuwali tezę, że wszystko co się działo przed upływem 50 lat nie nadaje się do naukowych badań¹. W efekcie naukowe badania w zasadzie nie wykraczały poza okres powstania narodowego lat 1863-1864.

Pierwsze lata Polski Ludowej nie wniosły wiele nowego do

1. Poglądy te były również dość powszechne w pierwszych latach Polski Ludowej. Tak np. wykłady kursowe z historii Polski nie wykraczały na ogół poza 1918 rok. Gdy autor niniejszej pracy zgłosił w 1947 roku temat pracy magisterskiej dotyczący wydarzeń rewolucji lat 1905-1907 napotkał na sprzeciw konserwatywnych profesorów, którzy postulowali 50-cioletniego dystansu traktowali niemal jak dogmat.

historiografii polskiej. Ogromne straty kadrowe, zniszczenie lub translokacja większości placówek naukowych, koncentrowały przede wszystkim uwagę historyków na zagadnieniach odbudowy warsztatów naukowych i placówek uniwersyteckich. W warunkach kształtowania się nowego socjalistycznego państwa, na uczelniach panowała atmosfera konserwatyzmu, silniejsza może niż przed wojną. Struktura wyższych uczelni była zdecydowanie feudalna. Próby przesunięcia granicy chronologicznej badań naukowych i zajęć dydaktycznych na nowe czasy, podjęte przez niektórych liberałów i lewicowców napotykały na zacięty opór zdecydowanej większości profesury. Nawet forsowanie badań nad historią gospodarczą (Gąsiorowska, Rutkowski, Kula) było traktowane niemal jako bunt przeciw oficjalnej i tradycyjnej uniwersyteckiej historiografii.

Osiągnięcia naukowe tych lat były w dziedzinie historii najnowszej niewielkie. Wśród publikacji napisanych w czasie wojny było zaledwie kilka pozycji wartościowych². Obok tego roilo się od tandety publicystyczno-historycznej, wśród której nie brak było publikacji o wyraźnym posmaku nacjonalistycznym.

VII Powszechny Zjazd Historyków Polskich (pierwszy powojenny) we Wrocławiu w 1948 roku, odbywał się pod znakiem tradycyjnej historiografii. Historycy postępowi i lewicowi byli tam niemal całkowicie izolowani. Na ogół zresztą ten nowy nurt był słaby i bezradny zarówno pod względem naukowym, jak i ideowym. Znajomość marksizmu i jego metodologii była słaba i powierzchowna. Podobnie zresztą wyglądało ze znajomością dorobku historiografii sowieckiej, na której osiągnięciach zamierzano się wzorować. Aby przezwyciężyć panującą na froncie historycznym atmosferę i aby skoordynować własne wysiłki, postępowi historycy postanowili na Zjeździe Wrocławskim powołać do Życia tzw. Stowarzyszenie Historyków-Marksistów.

Równocześnie w sferach rządzących partii (PPR-PPS) ujawniało się pewne zniecierpliwienie sytuacją panującą w polskiej historiografii. Nie mogąc przełamać muru konserwatyzmu oficjalnej nauki, podjęto inicjatywę powołania do życia ośrodków naukowo-badawczych historii najnowszej poza uniwersytetami. Inicjatywa w tym kierunku wyszła przede wszystkim ze środowisk PPS-owskich, które postanowiły odbudować swoje placówki z okresu międzywojennego. Pod kierownictwem Stanisława Płoskiego zorganizowany został Instytut Pamięci Narodowej, który rozpoczął ożywioną działalność. Przystąpiono do gromadzenia materiałów, odnoszących się zwłaszcza do okresu okupacji. W instytucie założo-

2. Np. J. Rutkowski: *Historia gospodarcza Polski*, t. I, Poznań 1950; W. Kula: *Historia polityczna Polski w dobie powstaniowej*, Warszawa 1947.

no około 10 ważnych kartotek (m.in. akcji partyzanckich, pseudonimów i kryptonimów, prasy okupacyjnej, kroniki wydarzeń itd.). Podjęto również działalność wydawniczą. W 1947 roku ukazał się pierwszy zeszyt *Dziejów Najnowszych*, kwartalnika poświęconego dziejom ruchu socjalistycznego. Zeszyty nawiązywały do tradycji przedwojennego czasopisma lewicy PPS-owskiej „Kronika Ruchu Rewolucyjnego”. Z inicjatywy Instytutu opublikowany został pierwszy w Polsce Ludowej zarys najnowszej Historii Polski, pióra H. Wereszyckiego. Prawdą jest, że zarys ten o charakterze kompilacyjnym nie wychodził w zasadzie poza ujęcia przedwojennej historiografii piłsudczykowo-pepesowskiej. Dawał jednak czytelnikowi podstawowy zasób wiadomości, a historykom podstawę do dyskusji i rewizji poglądów. Tymczasem jednak słabe punkty pracy Wereszyckiego posłużyły elementom stalinowskim za pretekst do gwałtownej ofensywy na froncie ideologicznym historii najnowszej³.

2. Okres stalinowski (1948-1955)

Narzucająca się konieczność radykalnych zmian na odcinku historii najnowszej dokonała się poczynając od końca 1948 roku zgola nie po myśli postępowych i marksistowskich przedstawicieli nauki historycznej. Wydarzenia polityczne jakie rozegrały się w II połowie 1948 roku w Polsce (rozgromienie „gomułkowszczyzny” zjednoczenie Polskiej Partii Robotniczej z PPS w warunkach gwałtownej czystki w obu partiach, zglajchszaltowanie ruchu młodzieżowego i powstanie Związku Młodzieży Polskiej) odbiły się natychmiastowym echem w świecie nauki, a zwłaszcza w naukach humanistycznych.

Lata 1949-1953 w Polsce można pod wieloma względami przyrównać do „rewolucji kulturalnej”, której świadkami byliśmy niedawno w Chinach, tyle tylko że jej przebieg był nieco mniej barbarzyński. Był to w nauce i w życiu szkół wyższych okres brutalnego niszczenia istniejących struktur i instytucji. Te które ocalały z pogromu, zachowywały tylko formalne swe istnienie, stając się zazwyczaj narzędziem w przyspieszaniu procesów destrukcyjnych.

Przede wszystkim łamano kadrę naukową. Byłoby jednak błędem sądzić, że nowy reżym przetasowywał kadrę według określonych kryteriów politycznych. Ostrze czystki skierowane było w

3. Wereszycki H.: *Historia polityczna Polski w dobie popowstaniowej 1864-1918*, Warszawa 1948.

równej mierze przeciw ludziom wszelkich kierunków i orientacji politycznych. Może najsilniej uderzało w ludzi „rozczarowanych”, w tych którzy w Polsce przedwojennej zaangażowani byli w walce o postęp i humanizm i sądzili, że w socjalistycznej Polsce zdołają znaleźć sprawiedliwość i realizację swych marzeń. Usuwano z katedr nonkonformistów, którzy nie mogli się pogodzić z nową formą łamania sumień i charakterów.

Powstała natomiast koniunktura dla karierowiczów, niezależnie od ich wczorajszych poglądów i przynależności partyjnej. Częstoć łatwą karierę robili ludzie ze skrajnej prawicy. Przede wszystkim byli oni bardziej podatni na szantaż czynników rządzących. Najczęściej mieli po prostu mniej skrupułów, bo to wszak nie była ich władza, a czego mogli się spodziewać w nienawistnym dla nich komunizmie? Często można było na naradach i posiedzeniach naukowych słyszeć entuzjastyczne i hołdownicze wystąpienia profesorów, znanych ze swych poglądów antykomunistycznych. Często też zastanawiano się czy w tych deklaracjach przeważa strach i gorliwość neofitów, czy też po prostu cynizm i *Schadenfreude*. Jakkolwiek powierzchowne i niewiarygodne było deklarantwo tych wystąpień, były one jednak mile widziane i nagradzane przez czynniki partyjne.

Były to lata likwidatorstwa i destrukcji. Zlikwidowana została *Kuźnica* — tygodnik postępowej i komunistycznej inteligencji. Zlikwidowany został Instytut Pamięci Narodowej i jego organ *Dzieje Najnowsze*. Na fakultetach humanistycznych likwidowano cały szereg kierunków i dyscyplin jak np. socjologię, katedry logiki, metodologii nauk, filozofii itd. Cała energia skierowana została na szkolenie i narzucenie kadrze nauczającej i naukowej najbardziej zwulgaryzowanych zasad marksizmu-leninizmu.

Historia, biorąc formalnie, wyszła obronną ręką z tego pogromu. Odpowiednio „zreorganizowana” miała stać się jednym z narzędzi reedukacji społeczeństwa.

Był to okres tworzenia i wszechwładzy „monopoli” w każdej dziedzinie życia. Los ten nie ominął także nauki historycznej, zwłaszcza w dziedzinie historii najnowszej. Uniwersytety okazały się niesprawne i niegodne realizowania nowych zadań naukowych. Nawet niedawno utworzone „Zrzeszenie Historyków Marksistów” nie stało się sprawnym narzędziem realizacji „nowego kursu”⁴.

4. „Zrzeszenie Historyków-Marksistów” nie odegrało w zasadzie poważniejszej roli. Stało się jedynie jeszcze jednym słabiutkim „monopolem”, przyczyniającym się do dezintegracji katedry naukowej. Przyjmowano do Zrzeszenia młodych historyków, adeptów marksizmu, oraz różnego rodzaju „deklarantów” i karierowiczów ze starszej kadry. Gdzieś około 1950 roku w okresie „zwycięstwa jedności moralno-politycznej” Zrzeszenie przestało działać.

Zasadnicze dwa monopole które w tych latach stały się panami sytuacji w nauce historycznej, a zwłaszcza w historii najnowszej i odegrały zdecydowanie negatywną rolę, to: Wydz. Historii Partii i Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR (I.K.K.N.).

Ta ostatnia instytucja, nazywana ironicznie „korpusem pa-ziołów” miała przygotować „nowe” kadry profesorskie. Rekrutowano do niej młodych członków partii w celu odbycia 3-4-letnich studiów doktorskich (tzw. aspirantura). Kandydat musiał mieć nienaganną ankietę (najlepiej jeśli dotąd niczym się nie wyróżniał) i zdołał przejść obronną ręką sito kilku szczebli komisji rekrutacyjnej. W zasadzie powinien był mieć magisterium, ale jeżeli rozmowy „ideologiczne” wypadały pomyślnie, przechodzono łatwo do porządku dziennego nad tym „szczegółem”.

Studia na tej uczelni były bardzo korzystne pod względem materialnym. Zapewniały stypendium w wysokości dotychczasowego zarobku i pełne utrzymanie doktoranta. Zapewniały także łatwą karierę bądź w aparacie partyjnym, bądź też w placówkach naukowych. Za to w IKKN istniały niesłychanie surowe wymagania jeśli idzie o „czystość” ideologiczną, reżym ideologiczny. Wystarczało najmniejsze odchylenie od „linii partyjnej” (niedokładnie zresztą sprecyzowanej), jakkolwiek „heretycka” wypowiedź, lub wyrażona w rozmowie koleżeńskej wątpliwość, by zostać usuniętym z uczelni i z partii. W owych warunkach oznaczało to całkowitą katastrofę. Nic też dziwnego, że w tym klimacie ludzie wyrastali na karierowiczów i cyników gotowych do każdego fałszerstwa i podłości⁵.

Wychowanie przyszłych pracowników nauki było dość stereotypowe. Przede wszystkim wpajano im przekonanie o bezwartości dotychczasowego dorobku historiografii polskiej, która służyła określonym celom klas rządzących. Doprowadzone do absurdu stalinowskie tezy o bazie i nadbudowie dostarczały teoretycznych podstaw do tego rodzaju historiozofii. Oczywiście uczono także „partyjności” w uprawianiu nowej historiografii. Ale ponieważ jej klasowy charakter służył szerokim masom i był zgodny z „obiektywnymi prawami” rozwoju społecznego, stawała się ona mimo wyraźnych machinacji „prawdziwa i naukowa”.

Walczono przeciw wąskiej specjalizacji. Absolwent IKKN uzbrojony w teorię historycznego materializmu stawał się specjalistą w każdej dziedzinie historii.

5. Gwoli sprawiedliwości należy stwierdzić, że spośród wychowanków IKKN niektórzy wyrosli na fachowych, uczciwych historyków. Oni to wychowani na fachowych fałszerzy historii po 1956 roku stawali się żarliwymi obrońcami prawdy i rzetelności naukowej. Większość z absolwentów IKKN i późniejszego Instytutu Nauk Społecznych przeszła do kariery partyjnej, lub do dzisiaj spełnia rolę „komisarzy” w nauce.

Aspirant otrzymywał temat pracy i musiał przedstawić dokładny jej plan. Plany prac aspiranckich były przez „autorytety” uznawane za prawidłowe metodologicznie, o ile odpowiadały aktualnym tendencjom politycznym i wymaganiom bieżącej polityki, gdy dostarczały argumentów dla poglądów z góry uznanych za słuszne i „potwierdzały” ustalone dogmaty. Gdy taki kandydat już był odpowiednio „urobiony” dostawał skierowanie do archiwum, do którego fachowy historyk miał utrudniony dostęp i tam odpowiednio selekcjonując i preparując dokumenty, nadawał swojej pracy jej ostateczny „naukowy” kształt. Nie trzeba dodawać, że tego rodzaju „nauczanie” był doskonałą szkołą demoralizowania i paczenia charakterów młodego pokolenia naukowców⁶, a często prowadziło też do osobistych tragedii i załamania⁷.

Druga instytucja, która zdobyła sobie w tym czasie szczególnie smutną sławę to był Wydział Historii Partii (W.H.P.) przy Centralnym Komitecie PZPR. Instytucja ta uzyskała faktyczny monopol w dziedzinie najnowszej historii a w szczególności w historii ruchu robotniczego. W zasadzie jednak kontroli W.H.P. poddana została cała nauka historyczna, archiwa i biblioteki, instytucje wydawnicze itp. Dysponując nieograniczonymi możliwościami finansowymi i odpowiednio dobranym licznym personelem instytucja ta stała się narzędziem niszczenia i deprawacji nauki historycznej.

Pod kontrolą W.H.P. dokonana została czystka w bibliotekach. Tylko kilkanaście bibliotek w kraju uzyskało przywilej założenia tzw. działu prohibitów. Inne zobowiązane były przysyłać wszystkie zakazane książki do Biblioteki Narodowej w Warszawie (gmach na ulicy Okólnik). Tu wybierano egzemplarze potrzebne dla niektórych bibliotek (i zapewne dla „wtajemniczonych”) a reszta szła na przymiół jako surowiec dla fabryk papierniczych. Po straszliwych zniszczeniach kultury polskiej w czasie II wojny światowej, dokonywał się kolejny etap bezmyślności i barbarzyń-

6. W okresie mnożących się procesów politycznych jedna ze szczególnie zaufanych aspirantek IKKN została wykorzystana przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego do wyszukiwania w najtajniejszych zespołach archiwalnych materiałów obciążających oskarżonych. Odpowiednio wyszkolona zastosowała ona „naukowe” metody preparowania dokumentów, aby podbudować fikcyjne akty oskarżenia. Działalność jej ponoć objęła najwyższych dygnitarzy partyjnych i spowodowała jej upadek. Jeszcze za Bieruta została usunięta z Partii i z pracy asystentki IKKN. Przez szereg lat zabroniono jej publikowania prac pod własnym nazwiskiem i wówczas występowała pod pseudonimem „Maria Zieleńczyk”. Po kilku latach, już za rządów Gomułki darowano jej winę. Obecnie jest jedną z najbardziej popularnych historyków reżymowych.

7. Jedną z aspirantek polskich w ZSSR przez szereg lat przygotowywała pracę kandydacką na temat „zaostarzającej się walki klasowej w warunkach

stwa. W kotłach papierniczych ginęły drogie, często unikalne książki, roczniki rzadkich czasopism itp.

Listy poskrypcyjne prohibitów stawały się coraz to większe i akcja niszczeniowska zataczała coraz szersze kręgi. Prohibitowe były pisma Piłsudskiego i np. Stanisława Brzozowskiego. Przede wszystkim jednak prohibitowa była spuścizna ruchu socjalistycznego, a w szczególności komunistycznego. Na niepamięć skazani zostali najwybitniejsi działacze partyjni jak Warski, Walecki, Leński, Koszutska, Ryng i inni wymordowani w czystkach stalinowskich. „Najświętszym z najświętszych” prohibitów był np. *Nowy Przegląd* organ teoretyczny Komunistycznej Partii Polski. Sytuacja stawała się z każdym rokiem coraz bardziej katastrofalna. Na zniszczenie poszły prace, które dawały jakieś odsyłacze do Gomułki. Niedostępne były pierwsze roczniki *Nowych Dróg*, organu teoretycznego PZPR. Niszczono niedawno wydane encyklopedie i inne materiały naukowe.

Najbardziej cenne i interesujące zespoły akt archiwalnych zostały odebrane państwowej służbie archiwalnej i skoncentrowane w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego lub w W.H.P. Służyły one jak powyżej wspomniałem, nie nauce a fałszowaniu nauki. Głównie zaś służyły jako materiał dowodowy w fikcyjnych procesach politycznych.

Te destrukcyjne procesy powodowały fatalne następstwa. Partia nawoływała historyków do zajęcia się historią najnowszą, a tymczasem większość pod różnymi pretekstami uciekała od historii politycznej do bardziej neutralnych i bezpiecznych dyscyplin naukowych. Tak więc historycy czynili wysiłki by przekwalifikować się na archeologów, etnologów, historyków kultury. Przede wszystkim rozwinęły się w tym okresie badania z tzw. historii kultury materialnej. Obejmowała ona takie tematy jak historia techniki przemysłowej, budownictwa, uprawy roli, hodowli itp. Skłonni do autoironii pracownicy określali to jako naukę liczenia krowich ogonów. Ten stan rzeczy jednak zadawała większość. Autorzy „partyjnej” historiografii mieli zapewniony korzystny monopol, a „uciekierzy” mieli zapewniony względny spokój i niezbędne do przeżycia honoraria. Tylko nikła garść historyków zdecydowała się na bierny opór i przestała pisać lub pisała „do szuflady”, bez szans publikacji.

Instytucja prohibitów miała daleko idące konsekwencje i przy-

budowy socjalizmu”. Po śmierci Stalina, ta jego teza została uznana za błędną i szkodliwą. Doktoratu oczywiście nie otrzymała i po powrocie do Polski ta inteligentna i zdolna kobieta zrobiła doktorat z zupełnie innej dziedziny naukowej.

spieszała proces wyodrębnienia się wąskiej grupy „wtajemniczonych” mających znaczne ułatwienia w pracy i duże możliwości oceny i dyskwalifikacji prac z tych czy innych względów niemile widzianych autorów. Tak więc „monopoliści” publikowali swe prace w oparciu o książki stojące w szafach prohibitowych i robili łatwe kariery. Niekiedy praktyki te dochodziły do granic plagiatów, ale uchodziło to autorom bezkarnie, bo ludzie nawet znający źródło ich „twórczego natchnienia” nie śmieli powiedzieć słowa, a próba opublikowania krytycznej oceny skończyłaby się smutno dla „antypartyjnego” śmiałka. Zresztą ci sami „wtajemniczeni” zasiadali w kolegiach redakcyjnych nielicznych czasopism historycznych, które w tych latach po prostu wegetowały.

Znany jest z tej dziedziny np. dość ciekawy fakt. Jeden z historyków — marksistów opublikował w tym czasie pracę z dziedziny społeczno-gospodarczej. W 1956 roku ujawniono, że zasadnicza koncepcja teoretyczna, jak i znaczna część materiału była po prostu spisana z publikacji teoretyka komunistycznej Partii Polski Rynga, który zginął w stalinowskiej czystce. Autor zajmujący dość wysokie stanowisko w hierarchii naukowej, oskarżony o plagiat, bronił się bardzo inteligentnie. Chciał — jak stwierdził — udostępnić nauce, niezwykle interesującą pracę Rynga. Nie chcąc zniekształcić jego myśli, przedrukowywał całe fragmenty, a odsyłałca do Rynga, który był skazany na niepamięć, dać nie mógł.

A oto inny przejaw praktyk monopolistyczno-prohibicyjnych. W latach 30-tych młoda wówczas historyczka Żanna Kormanowa opublikowała (dzięki pomocy Ludwika Krzywickiego) cenny informator bibliograficzny do historii polskiego ruchu socjalistycznego⁸. Książka ta była po wojnie wielką rzadkością i należała zresztą do prohibitów. Wobec jednak braku jakichkolwiek materiałów informacyjno-bibliograficznych, partyjne wydawnictwo Książka i Wiedza opublikowało jej reedycję, którą jednak sprzedawano wąskiej grupie historyków „wtajemniczonych”. Podobną praktykę zastosowano w kilka lat później do interesującej publikacji „Sprawa polska w pamiętnikach II wojny światowej” pod redakcją St. Zabiełło.

W szczytowym okresie stalinizmu na przełomie 1951 i 1952 roku zwołana została I Metodologiczna Konferencja Historyków Polskich, z udziałem większości historyków polskich i reprezentatywnych historyków sowieckich (Grekow, Kosminskij, Sidorow). W zamierzeniu kierownictwa partii ta wielka impreza miała zapewne być rewią osiągnięć marksistowskiej historiografii polskiej

8. Kormanowa Ż.: *Materiały do bibliografii druków socjalistycznych na ziemiach polskich w latach 1866-1918*, Warszawa 1935.

a przede wszystkim zapoznanie historyków polskich z osiągnięciami „przodującej” nauki sowieckiej⁹.

Konferencja była odpowiednio przygotowana. „Zorganizowana” dyskusja polegała na agresywnej polemice i gwałtownym demaskowaniu wrogów. Rolę „kozła ofiarnego” odegrał jeden z najlepszych znawców historii najnowszej prof. Henryk Wereszycki, którego w imieniu partii „rozrobił” aparatczyk nauki Roman Werfel. Było to żałosne i smutne widowisko. Nikt z obecnych profesorów nie odważył się stanąć w obronie znieważonego kolegi.

Cała ta konferencja była wątpliwym sukcesem dla partii. Wykazała jedynie, że udało jej się zdławić opór znacznej części profesury, która w sposób nieudolny, deklaracyjny zaczęła stosować „metodologię” marksistowską. Polegało to na tym, że referaty erudycyjne, często o tradycyjnej, zachowawczej treści były poprzedzone kilkoma cytatami o genialnych naukach Stalina i Bieruta. W dyskusji zaś nieraz polemizowali z naciągniętymi i dogmatycznymi tezami historyków sowieckich. Nie bez pewnej dozy złośliwości starzy profesorowie demaskowali nieuctwo i bezradną demagogię młodych „marksistów”.

Czołowym popisem historii najnowszej były referaty Tadeusza Daniszewskiego. Miejsce i rola polskiego ruchu robotniczego oraz L. Grosfelda o specyfice „polskiego imperializmu” przed 1914 rokiem. Na konferencji w przemówieniach powitalnych były frazeologiczne apele postulujące rzetelne badania naukowe, rzetelną marksistowską analizę, nie poddawanie się dogmatom. Stwierdzano, że „żadna nauka nie może rozwijać się i prosperować bez walki poglądów, bez wolności krytyki”¹⁰. A tymczasem referaty, zwłaszcza Daniszewskiego i Grosfelda oraz znaczna część głosów w dyskusji były jaskrawym zaprzeczeniem tych postulatów. Były one pokazem wulgaryzacji metodologii, naiwnego dydaktyzmu, fałszowania prawdy i zduszenia rzetelnej krytyki.

Najbardziej zwulgaryzowana i zafałszowana była historia najnowsza, a zwłaszcza historia ruchu robotniczego, będąca głównym ośrodkiem zainteresowania partyjnych placówek naukowych i wydawniczych. Poziom ówczesnej nauki historycznej można sobie najlepiej uzmysłwić na przykładzie ujęcia roli dwóch czołowych partii socjalistycznych przed I wojną światową, bo poza ten okres w zasadzie wówczas nie wychodzono.

Przyjęto z góry obowiązującą tezę, że PPS (jak zresztą Bund

9. Konferencja w Otwocku pod Warszawą trwała od 28. XII. 1951 do 12. I. 1952. Referaty i dyskusja opublikowane zostały pt. *Pierwsza Konferencja metodologiczna historyków polskich*, 2 tomy, Warszawa 1953.

10. *ibidem*, t. I, str. 29.

i inne ugrupowania socjalistyczne) nie była partią rewolucyjną, stanowiła natomiast „agenturę burżuazji w ruchu robotniczym”. Ta aprioryczna teza zmuszała w konsekwencji do karkołomnych uproszczeń, wypaczenia faktów i fałszowania dokumentów. Programy i inne dokumenty tej partii określano jako zbiór frazesów obliczonych na otumanienie mas robotniczych. Wybitnego teoretyka tej partii Kelles-Krauza określano jako ideologa „Piłsudczyzny”. Starano się wykazać, że partia ta była od początku kolebką późniejszych faszystowskich elementów sanacji, uwypuklano z wielkim zamiłowaniem związki PPS z Ligą Narodową. W ten sposób dochodzono do „twórczych” wniosków, że między PPS a prawiową Ligą Narodową były tylko różnice taktyczne i społeczny podział wpływów (Daniszewski, Jabłoński i inni).

W tym tak prostym schemacie, były jednak słabe punkty. Wszak PZPR powstała ze zjednoczenia PPR z PPS i w kierownictwie partii i aparatu rządowego było wielu PPS-owców. Radzono sobie z tym szkopułem w dość prosty sposób. Otóż część robotniczych kadr tej partii wiedzona instynktem klasowym i przykładem rewolucyjnej SDKPiL, buntowała się przeciw kierownictwu i przyłączała się do ruchu rewolucyjnego. Jako przykłady miano nawet w pogotowiu kilka popisowych nazwisk jak zmarły w 1918 roku Jan Stróżecki lub rozstrzelani przez władze carskie bojowcy Okrzeja i Baron.

Była w tym schemacie jeszcze jedna trudność. Otóż kamieniem węgielnym polityki PPS, w przeciwieństwie do SDKPiL był bezwzględny i konsekwentny postulat niepodległości Polski. Sprawa niepodległości i suwerenności były zaś w Polsce Ludowej coraz bardziej wysuwane jako podstawowe zasady polityki, w miarę gdy ta coraz bardziej uzależniała się od Kremla. Ale i z tym uporano się dość łatwo przy pomocy „dialektycznej” żonglerki pojęciami: obiektywnie i subiektywnie. Wywodzono mianowicie, że mimo programu niepodległościowego, PPS „obiektywnie” działała na jej niekorzyść. Natomiast SDKPiL mimo „subiektywnych” błędów w kwestii narodowej „obiektywnie” działała na rzecz jej realizacji.

Polska Ludowa swój polityczny rodowód wywodziła z tradycji Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL 1893-1918) oraz jej kontynuatorki Komunistycznej Partii Polski (KPP 1918-1938) ale mylny byłby pogląd, że dzieje tych partii były w ówczesnej historiografii rzetelniej przedstawione. Co gorsza, o ile po 1956 roku opublikowano wiele wartościowych monografii i przyczynków do historii PPS, o tyle historia SDKPiL a zwłaszcza KPP dotąd czekają na rzetelne opracowania.

Wprawdzie obydwie te partie pod względem politycznym sta-

nowiły ideał i pierwowzór PZPR (zasada walki klas, program rewolucji społecznej, interenacjonalizm i braterska współpraca z rewolucyjnym proletariatem rosyjskim, później z ZSSR), ale były dwa punkty, które utrudniały uczciwe przedstawienie ich dziejów. Był to słynny błąd w kwestii narodowej (nihilizm narodowy i negatywny stosunek do kwestii niepodległości Polski), przede wszystkim jednak fakt że przytłaczająca większość teoretyków i przywódców partii została wymordowana w straszliwych czystkach stalinowskich lat 30-tych, a ich nazwiska i twórczość zostały skazane na niepamięć. Dlatego też publikacje z historii partii musiały być jeszcze bardziej fałszowane i upraszczane niż historia PPS. W pracach poświęconych tej ostatniej przynajmniej krytycznie mówiono o Daszyńskim, Kelles-Krauzie Mendelsohnie i innych. Historia zaś SDKPiL, a zwłaszcza KPP była całkowicie anonimowa, bezbarwna, wyjałowiona z realnej treści. Zastępowały ją różnego rodzaju uproszczone tezy i etykiety w rodzaju: internacjonalistyczna, rewolucyjna, bezkompromisowa itp. Wiadomo też było że partie te popełniały błędy i że wkrały się do KPP wrogie elementy i prowokatorzy, na skutek czego partia ta została w 1938 roku rozwiązana przez Komintern.

Produkcja naukowa w zakresie historii najnowszej była w tych latach znikoma. Istniało jednak „zamówienie społeczne” na różnego rodzaju prace naukowo popularne i głównie szkoleniowe. Reżym z uporem dążył do przerobienia lub zniszczenia świadomości i kultury historycznej społeczeństwa. Pod przymusem administracyjnym organizowano w urzędach i fabrykach kursy masowego szkolenia w zakresie historii WKP(b) (Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego), i polskiego ruchu robotniczego. Zazwyczaj w fabrykach z tej okazji zamykano bramy, gdyż kobiety-robotnice spieszące do dzieci lub do kolejek po żywność masowo uciekały z tych pozaplanowych zajęć. Jeden efekt osiągnięto bezspornie: wpojono społeczeństwu przekonanie, że historia to stek kłamstw i bzdur, a zawód historyka kojarzył się w świadomości przeciętnego obywatela z zakłamaniem i fałszowaniem przeszłości, wbrew oczywistym faktom i pamięci ludzkiej.

Przekracza możliwości niniejszej pracy próba bliższej oceny publikacji z historii najnowszej lat 1949-1955. Nie pozostawiły one nic trwałego prócz spustoszenia moralnego i wstydu dla ich autorów i wydawców. Może warto jedynie poświęcić kilka zdań technice fałszowania i poprawiania dokumentów i materiałów historycznych. Bogaty materiał na ten temat znaleźć można w demaskatorskich i polemicznych artykułach opublikowanych w latach 1956-1958 na łamach czasopism publicystycznych oraz fachowo-historycznych.

Zakres zniekształceń, uproszczeń i fałszerstw był bardzo szeroki i różnorodny. Nie gardzono żadnym środkiem by zgodnie z założeniami nieliczni „pozytywni bohaterowie”, których nazwiska wolno było wymieniać kreowani byli na ludzi wielkich, nie mających żadnych cech, wątpliwości i słabości normalnego człowieka. Nie mówiąc już o Leninie i Stalinie, takimi polskimi „nadludźmi” byli Dzierżyński, Marchlewski, Marcin Kasprzak. Za to przeciwnik polityczny, o ile tylko nie był skazany na zapomnienie, był przedstawiany jako symbol przewrotności, podłości i zdrady. Oni sami i ich partie zawsze były agenturami imperializmu, zaborców, gestapo itp.

Te naciągane i karkołomne tezy starano się za wszelką cenę udowodnić, udokumentować. Nie gardzono przy tym żadnym fałszerstwem. Nie tylko wybierano tendencyjnie materiał dokumentacyjny, pomijając źródła niewygodne, ale w sposób ordynarny preparowano nawet drukowane już uprzednio dokumenty. Opuszczano fragmenty dokumentów, lub pojedyncze słowa przeinaczając ich treść, opuszczano niewygodne nazwiska, a co gorsza zastępowano nieraz skreślone zdania odpowiednio przerobionymi. Przy całym kulcie dla wodzów, te fałszerskie metody były także zastosowane do ich prac i wspomnień. Tak np. „poprawiono” Różę Luksemburg, Dzierżyńskiego, Marchlewskiego¹². Szczególnie gorliwie fałszowano dokumenty i publikacje KPP. Fałszowano nawet fotografie dość powszechnie znane¹³.

Brak wszelkiego umiaru doprowadzał do tego, że już tytuł zawierał fałszerstwo i ośmieszał wydawców. Oto jeden z tomów dokumentów o KPP — partii, której grzech pierworodny w opinii kraju polegał na jej antyniepodległościowym stanowisku i nihilizmie narodowym, jakby na zasadzie kompleksu nosił tytuł „KPP w obronie niepodległości Polski”¹⁴.

11. O publikacjach tych będzie mowa w rozdziale II.

12. Zob. Najder Zdzisław: *Dług i skarb*. „Przegląd Kulturalny”, 1956, nr 51-52.

13. Tak np. przy pomocy ustawionych doniczek zastąpiono w znanej fotografii prezydium Polskiego Komitetu Rewolucyjnego z 1920 roku sylwetki zamordowanych w 1937 roku członków tegoż komitetu Unslichta i Próchniaka.

14. „KPP w obronie niepodległości Polski”, Warszawa 1955. A oto kilka innych tytułów jaskrawie fałszerskich publikacji z tych lat: *KPP. Uchwały i rezolucje*, t. 1-3, Warszawa 1953-1956; *Rewolucja 1905-1907 roku na ziemiach polskich*, Materiały i studia, Warszawa 1955; Kowalski J., *Wielka październikowa rewolucja socjalistyczna, a wyzwolenie Polski*, Warszawa 1952; Najdus W., *Lenin w Polsce*, Warszawa 1953; Raort H. (Rappaport), *Walki rewolucyjne w Polsce w latach 1918-1923*, „Myśl współczesna”, 1951, nr 2 oraz tegoż autora: *Walka z faszyzmem w Polsce 1924-1928*, „Myśl Współczesna”, 1951, nr 8.

Konferencja otwocka o której obszernie mówiliśmy powyżej przyniosła jednak w efekcie pewne pozytywne rezultaty. W czasie tej konferencji zapadła decyzja, aby zgodnie z wzorem sowieckim powołać do życia Instytut Historii przy Polskiej Akademii Nauk. Po roku przygotowań 1. I. 1953 roku nastąpiło otwarcie Instytutu, na jego czele stanął energiczny i bezpartyjny historyk Tadeusz Manteuffel.

Powstanie Instytutu stwarzało pewne podstawy kadrowe i naukowe do przezwyciężenia kryzysu w nauce historycznej. Mimo, że reżym stalinowski utrzymał się w Polsce do 1956 roku, wraz ze śmiercią Stalina i Berii nastąpiło pewne zelżenie terroru i atmosfery strachu. Pierwszy okres istnienia Instytutu Historii zeszedł na zagadnieniach organizacyjnych i przygotowaniach do poważniejszych imprez naukowych (wielotomowa Historia Polski, kilka sesji naukowych, finansowanie i inspiracja badań regionalnych itp.). Być może, że koncentracja poważnego kolektywu fachowców powodowała zjawisko samokrytycyzmu i umiaru. Faktem bezspornym jest, że Instytut Historii nie opublikował w tych latach prac, które by go zdecydowanie kompromitowały. Natomiast zespół jego, jak się później okazało, był najlepiej przygotowany do podjęcia dzieła uzdrowienia sytuacji w nauce historycznej i w kampanii odnowy lat 1956-1957 odegrał bardzo poważną rolę.

Dr Paweł KORZEC

Tadeusz KATELBACH

NA STANOWISKU WOJEWODY POMORSKIEGO*

Objęcie urzędu wojewody pomorskiego mogło uchodzić w pewnym sensie za odchylenie od dotychczasowej linii życia Władysława Raczkiewicza. Zarówno pochodzeniem, zainteresowaniami i działalnością, jak przede wszystkim sentymentami, związany był z kresami wschodnimi Rzeczypospolitej. Kilkakrotny, dłuższy pobyt w Warszawie w charakterze ministra spraw wewnętrznych czy Marszałka Senatu zbliżył go z całą Polską, lecz w niczym nie zmniejszył zakorzenionych od dzieciństwa uczuć.

Jeśli jednak poza kresami wschodnimi był jakiś teren mu bliski — było nim Pomorze. W czasie pobytu w Warszawie i w Krakowie na stanowisku wojewody, zainteresowały go żywo sprawy naszego wybrzeża Gdańska i Gdyni. Śledził wtedy prace Związku Obrony Kresów Zachodnich, przekształconego później w Polski Związek Zachodni oraz Ligi Morskiej i Kolonialnej. W obu tych organizacjach spotkał się z wychowankami dawnego, tajnego „Zetu” do którego należał w czasach uniwersyteckich, w Petersburgu. Jako dawny zetowiec nawiązał szybko bliski kontakt z oboma organizacjami. Zorientował się nie tylko w ich działalności, lecz i planach na przyszłość.

Gdy więc wiosną 1936 roku ustąpił ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych w gabinecie M. Kościałkowskiego, ze szcze-

* Trzema relacjami, które zamieszczamy w tym *Zeszycie*, zamierzał Tadeusz Katelbach rozpocząć książkę o zmarłym w 1947 roku Prezydencie Władysławie Raczkiewiczu. Książka, zgodnie z życzeniem śp. Raczkiewicza, miała objąć okres jego prezydentury. Opracowywane rozdziały miały być wspólnie dyskutowane, uzupełniane i poprawiane. Śmierć Prezydenta uniemożliwiła zrealizowanie tego planu. Trzy relacje przejrzał po śmierci Prezydenta jego przyjaciel i kronikarz, inż. Adam Piotrowski. Wprowadził do nich kilka poprawek. Katelbach miał w porozumieniu z Piotrowskim kontynuować ledwie rozpoczętą pracę. Ale z kolei śmierć inż. Piotrowskiego stanęła temu na przeszkodzie. Wówczas zrezygnował z zamiaru pisania książki. Opracowanie okresu prezydentury Władysława Raczkiewicza czeka na autora.

rym zadowoleniem przyjął zaproponowane przez premiera gen. F. Sławoj-Składkowskiego stanowisko wojewody pomorskiego. 14 lipca tegoż roku objął swój nowy urząd.

Ten z górą trzyletni pobyt w Toruniu związał go z Pomorzem. Świadom był tego, że kieruje placówką wyjątkowo odpowiedzialną i że musi na niej wykazywać niezwykle czujność i opanowanie. Ze względu na prowokacyjną postawę niemieckiego sąsiada nie można było zrobić lepszego wyboru, powołując Raczkiewicza na wojewodę pomorskiego. Z wrodzonym sobie taktem robił swoje, wzmacniając autorytet państwa na podległym mu terenie i nie dawał się sprowokować zarówno rewizjonistycznymi wystąpieniami Rzeszy, jak irredentystycznej mniejszości niemieckiej, inspirowanej i kierowanej przez Berlin, której przeznaczeniem — w wypadku konfliktu wojennego — miało być odegranie roli dywersyjnej, piątej kolumny.

Ogłoszenie mobilizacji i wybuch wojny nie zaskoczyły wojewody Raczkiewicza. Spodziewał się tego od miesięcy. Obserwacja mniejszości niemieckiej utwierdziła go w przekonaniu, że Niemcy szykują się do skoku i że pierwsze uderzenie skierowane będzie na teren, którym gospodarzy.

Już na dwa miesiące przed wybuchem wojny wydał w ścisłym porozumieniu z władzami wojskowymi szereg zarządzeń. Najważniejsze otrzymały: wojewódzkie Biuro Funduszu Pracy oraz samorządy miejskie i powiatowe. Dotyczyły raczej prac o charakterze strategicznym. Wykonanie ich miało we właściwej chwili umożliwić zalanie niektórych rejonów w powiatach: tucholskim, wyszyskim i brodnickim. Takie same prace przygotowawcze rozpoczęto na rzece Osie. Zawczasu wydano zarządzenia dotyczące budowy schronów, ułatwień dla ruchów wojska i ewakuacji. W związku z ostatnimi zarządzeniami wykonano konieczne naprawy dróg i mostów. We wszystkich miastach Pomorza wykopano rowy przeciwlotnicze. Słowem z takim samym spokojem, systematycznością i pedanterią Raczkiewicz zaplanował wszystko na wypadek wojny, jak planował w czasie pokoju.

Gdy więc ogłoszono mobilizację był jako gospodarz województwa przygotowany. Był także psychicznie przygotowany. Wiedział, że zbliżająca się wojna wymagać będzie od niego, od pierwszych chwil, samodzielnych działań, bez oglądania się na instrukcje z góry. Karny, przywykły nie tylko do wydawania zarządzeń lecz i do słuchania swych przełożonych, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa ciągłego wyczekiwania na to co powie Warszawa. Nie miał złudzeń. Uważał, że wojna będzie straszna, że może zdezorganizować życie nawet tych części kraju, które nie będą zajęte przez wroga. Dlatego już w dniu mobilizacji, nie

czekając na żadne instrukcje, wydał polecenie przekazania wszystkim starostom odpowiednich sum z urzędów skarbowych na ewentualne wydatki związane, między innymi, z ruchami ewakuacyjnymi podległych mu urzędów.

1 września 1939 r. o godzinie 6 rano starostowie wyszyski, chojnicki, tczewski, grudziądzki prawie jednocześnie zawiadomili wojewodę o rozpoczęciu przez Niemców działań wojennych. Starosta wyszyski meldował o wkroczeniu na jego teren niemieckich jednostek zmotoryzowanych, chojnicki o bombardowaniach artylerii nieprzyjacielskiej rozlokowanej na samej granicy, grudziądzki o bombardowaniu Grudziądza z Prus Wschodnich, tczewski o ostrzeliwaniu artyleryjskim Tczewa z terenu Wolnego Miasta Gdańska i nalotach wroga. Starostwo morskie donosiło o zaatakowaniu Pucka i śmierci komandora Korytowskiego. Wojna stała się rzeczywistością.

Otrzymawszy meldunki starostów, wojewoda natychmiast podzielił się nimi z dowódcą okręgu korpusu Nr 8, gen. Tokarzewskim. Był zdziwiony i zaniepokojony gdy się okazało, że generał takich wiadomości jeszcze nie posiada. Poczytał to za zły omen, na zewnątrz jednak nie zdradzał swego rozczarowania pierwszą rozmową z przedstawicielem armii w czasie rozpoczętych działań wojennych.

Najpilniejszym zadaniem Raczkiewicza było przypomnienie wszystkim starostom, by ściśle wykonywali polecenia zawarte w instrukcjach obowiązujących na okres działań wojennych, w szczególności by w wypadku ewakuacji żaden ze starostów nie opuszczał z policją swego powiatu i pozostawał choćby na jego krańcu do ostatka. Na komisarza rządu na miasto Gdynię przelał swe uprawnienia w stosunku do tego miasta i powiatów: morskiego oraz kartuskiego. Obawiał się, że z tą częścią województwa komunikacja lada chwila może być zerwana.

W godzinę po otrzymaniu meldunków wojennych, o 7 rano, Raczkiewicz i wicewojewoda Zygmunt Szczepański odbyli konferencję z naczelnikami wydziałów urzędu wojewódzkiego. Wzięli w niej udział: komendant policji wojewódzkiej, dyrektor wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy, inspektor samorządowy, kierownicy oddziałów Opieki Społecznej i oddziału budżetowo-gospodarczego oraz zastępca wydziału społeczno-politycznego. Z tego zespołu wojewoda utworzył ścisły sztab współpracowników. Sztab ten pod jego osobistym nadzorem miał kierować w czasie wojny administracją wojewódzką. W sztabie przewidywał dwóch specjalnych łączników województwa: jednego przy dowództwie armii „Pomorze”, drugiego przy D.O.K. 8. Poleciał także — rzecz dla Raczkiewicza znamienna — by wszystkie jego zarządzenia wy-

dawane w czasie wojny były szczegółowo notowane w specjalnie prowadzonych dziennikach.

Tak zaczęło się urzędowanie wojewody pomorskiego w pierwszym dniu wojny. Temu urzędowaniu towarzyszyły naloty nieprzyjacielskie i napływające nieustannie meldunki starostów o szybkich postępach wojsk niemieckich i o konieczności realizowania zarządzeń ewakuacyjnych. Takiego błyskawicznego tempa ofensywy wroga nikt się nie spodziewał. Tymczasem już tego dnia zaczęły napływać zewsząd raporty ewakuacyjne. Tragiczny cykl meldunków rozpoczął starosta chojnicki, a potem starostowie: morski, kartuski, kościański, tczewski, grudziądzki, wreszcie — wyszyski i szubiński.

Ustalono, że władze samorządowe nie będą ewakuowane. Raczkiewicz uznał jednak, że w pewnych wypadkach musi od tej zasady odstąpić. Chodziło o tych pracowników samorządowych, których znano z działalności społeczno-narodowej i którym mogły grozić prześladowania, gdyby się dostali w ręce Niemców. Dlatego zezwolił na ewakuowanie się prezydentom Bydgoszczy, Torunia, Inowrocławia, Tczewa i Grudziądza.

W południe pierwszego dnia wojny zaczęła się, na zarządzenie Warszawy, ewakuacja z Torunia okręgowej dyrekcji kolei państwowych. Ta zarządzona z góry ewakuacja uzmysłowiła wojewodzie prawdę, że w każdej chwili może być również ewakuowany cały urząd wojewódzki. Odtąd pobyt w Toruniu zaczął liczyć na dni. Wkrótce miarę dni zastąpił miarą szybko biegnących godzin.

Gdy musiał się pogodzić z tragiczną prawdą bardzo szybkiego być może rozstania z Toruniem, a kto wie czy nie z całym województwem, nakazał zaraz podzielić akta swego urzędu na dwie kategorie. Do pierwszej zaliczył wszystkie akta tajne i wojskowe. Musiały być przygotowane, by w każdej chwili można było je usunąć. Oczywiście wroga nie mogły ich oglądać. Zatrószył się również o okręg pomorski Polskiego Związku Zachodniego. Poleciał, by związek zniszczył wszystkie akta zawierające nazwiska jego działaczy. W wypadku ujawnienia nazwisk byłiby narażeni na bezwzględne prześladowania niemieckie.

W drugim dniu wojny napięcie wzrastało. Nieprzerwanie napływały meldunki o postępach wojsk nieprzyjacielskich i ewakuacji urzędów. Trzeba było wydawać nieprzewidziane decyzje personalne, wskazywać nowe kierunki ewakuacji, wciąż radzić i decydować. Gdy na linii Chełmno-Świecie, po przejściu na Wiśle przeznaczonym dla ludności cywilnej, utworzył się zator, należało interweniować w D.O.K. 8, by zator jak najszybciej odkorkować przy pomocy wojska. To proszono o środki transportowe, których

nie było pod ręką w dostatecznej ilości, to awizowano konieczność ewakuacji szpitala toruńskiego, to donoszono że Niemcy bombardują właśnie lotnisko w Toruniu i dworzec Toruń-Mokre. Otrzymawszy wiadomość, że część sierocińca zniszczyła bomba niemiecka, Raczkiewicz udał się na miejsce i osobiście kierował jego ewakuacją.

3 września przybył do Torunia minister rolnictwa i reform rolnych J. Poniatowski. Przyjechał, by odbyć w Izbie Rolniczej konferencję w sprawie ewakuacji z Pomorza zwierząt zarodowych i pociągowych. Nie przywoził z Warszawy pocieszających wiadomości o sytuacji wojennej. Po konferencji wyjechał. Była to ostatnia wizyta członka rządu w Toruniu.

Wobec napływających wciąż niepokojących meldunków wojewoda zdecydował się, po wizycie ministra Poniatowskiego, na wydanie rozkazu ewakuacji z Torunia władz i urzędów, przede wszystkim administracji ogólnej, Banku Polskiego, sędziów i prokuratorów, kuratorów okręgów szkolnych oraz dyrekcji lasów państwowych. Zgodnie z planem, pierwszym etapem ewakuacyjnym dla województwa pomorskiego był Włocławek, drugim i — jak sądzono ostatnim — Kowel na Wołyniu. Część ewakuowanych urzędów i aktów miała jechać autobusami, część statkiem w górę Wisły, część pociągiem, który miał opuścić Toruń 4 września. Ostatnie miały się ewakuować oddziały policji z wyjątkiem jednego. Oddział ten miał pozostać w Toruniu do ostatniej chwili. Wszystkie przygotowania ewakuacyjne odbywały się we względnie porządku, choć przy nieprzerwanym akompaniamencie nalołów nieprzyjacielskich, atakujących w mieście coraz to inne obiekty. 3 września w południe Niemcy bombardowali plac św. Katarzyny, a nad ranem z 3 na 4 września dworzec Toruń-Podgórz i wszystkie mosty, zwłaszcza most kolejowy, na szczęście, bezskutecznie.

Upewniwszy się że ewakuacja odbywa się planowo, Raczkiewicz o północy 3 września wyjechał ze swym ścisłym sztabem na Toruń-Podgórz, do fortu Bema. Stąd udał się na spotkanie z dowódcą armii gen. Bortnowskim, przybyłym niedawno z Bydgoszczy, gdzie bezpośrednio kierował dywizjami broniącymi miasta. Bortnowski zawiadomił Raczkiewicza o klęsce poniesionej przez nasze wojska pod Bydgoszczą i o ich odwrocie. Generał robił wrażenie zupełnie przybitego.

Spotkanie z Bortnowskim było przygnębiające. Rozwiało resztki tłących się gdzieś na dnie duszy nadziei. Raczkiewicz opanował się i 4 września o godzinie 3 rano, zjawił się u dowódcy etapu gen. Tokarzewskiego. Siłąc się na spokój, rozmawiał o różnych

zarządzeniach związanych z toczącymi się operacjami wojennymi. Chodziło zwłaszcza o wysłanie niektórych oddziałów policyjnych do tych części województwa, w których dywersanci niemieccy rozpoczęli otwartą akcję sabotażową. Każdy meldunek potwierdzał ich zdradziecką działalność.

4 września w południe Raczkiewicz miał w swej kwaterze, w forcie Bema, już tylko trzech współpracowników swego sztabu i jednego posterunkowego. Resztę sztabu skierował do Małych Kruszc pod Włocławkiem celem przygotowania tam kwater. Około 3 po południu pojechał do Torunia — po raz ostatni. Objeżdżał miasto, odwiedził ratusz i pierwszy komisariat policji państwowej, w którym ostatni oddział trwał na posterunku. Toruń robił wrażenie miasta wymarłego. Samotni zaleknieni przechodnie przemykali się ulicami. W mieście byli ranni i zabici. Bomby nieprzyjacielskie atakowały dalej mosty kolejowe i radiostację toruńską. Ze smutkiem żegnał się wojewoda z tym pięknym, starym miastem polskim, które lada dzień miało stać się łupem bezlitosnego zwycięzcy. Zdawało się, że w oczach praca dwudziestu lat wali się w gruzy.

Reszta dnia przeszła pod znakiem odbierania nowych alarmujących wiadomości. Trzeba było trzymać nerwy na wodzy, kierować dalej istniejącym jeszcze aparatem i wydawać przeróżne polecenia. Szubin już się ewakuował, starosta wyszyski musiał objąć stanowisko prezydenta miasta itd. itd. Coraz trudniej było panować nad terenem, który niemal w całości stał się polem działań wojennych.

5 września nadeszła wiadomość, że kwatery pod Włocławkiem są gotowe i że siedziba D.O.K. 8 znajduje się w pobliżu. Wobec meldunków o szybkim marszu Niemców na Toruń, dalsze pozostawanie w forcie Bema stawało się bezcelowe. O 6 po południu Raczkiewicz wyjechał do Małej Kruszczy, skąd natychmiast udał się do starostwa we Włocławku, by w dalszym ciągu wydawać zarządzenia i odpowiadać na niekończące się pytania starostów. Dowiedziawszy się o ciężkiej sytuacji samorzutnie ewakuującej się ludności cywilnej, zlecił niesienie jej pomocy. Obarczył tym zadaniem dyrektora wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy i kierownika Oddziału Opieki Społecznej. Jednocześnie nakazał oddziałom policji oczyszczanie dróg i miejscowości potrzebnych dla wojska, oraz kierowanie ewakuującej się ludności cywilnej na właściwe szlaki.

O godzinie 10 wieczorem połączył się z Raczkiewiczem premier Składkowski. Pytał o sytuację. Komunikował, że sytuacja pod Warszawą uległa znacznemu pogorszeniu. Sugerował Raczkiewiczowi opuszczenie terenu województwa. Na wypadek gdyby

zdecydował się jechać do stolicy, Składkowski wskazywał drogę na Gostynin, Sochaczew. Raczkiewicz odpowiedział, że jeszcze nie może opuszczać terenu, gdyż władze wojskowe nie wydały rozkazów ewakuacyjnych, dotyczących czterech powiatów: Lipna, Rypina, Włocławka i Aleksandrowa. Zresztą wkrótce po rozmowie rozkazy takie wydano dla Lipna i Rypina. Nazajutrz rozkaz ewakuacyjny dla dwóch pozostałych powiatów zakomunikował gen. Grzmot-Skotnicki.

Jeszcze 6 września roboty było pełno. Należało przyjść z pomocą najbardziej tego potrzebującej ludności Włocławka. Trzeba było omówić z dowódcą korpusu sprawę bezpieczeństwa na tyłach armii, trzeba było porozumieć się z gen. Tokarzewskim w sprawie pozostawienia mu do dyspozycji kilku wyższych urzędników, by pełnili funkcje administracyjne tam, gdzie jeszcze było to możliwe. Lecz wobec nakazu ewakuacji całego województwa były to już prace ostatnie.

Tegoż dnia wojewoda wydał sztabowi swych współpracowników polecenie wyjazdu do Kowla trasą na Łęczycę, Głowno, Skierniewice, Mszczonów, Grójec, Puławy, Lublin. Sztab miał jechać czterema samochodami. Na miejscu pozostawiał dyrektora wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy, naczelnika Wydziału Zdrowia i kierownika Oddziału Opieki. Mieli się zająć wojewódzkim pociągiem ewakuacyjnym, który nadszedł z Torunia do Włocławka. Okazało się, że władze wojskowe nie mogą go puścić w dalszą drogę. Trzeba było pociąg rozładować i zdobyć dla ewakuowanych inne środki komunikacji do Kowla. Dopiero po załatwieniu tej sprawy pozostawiona przez wojewodę ekipa miała się udać w ślad za samochodami, które ruszyły już do Kowla. Wydawszy jeszcze szereg ostatnich zarządzeń, wojewoda Raczkiewicz udał się o 6 po południu autem na Gostynin do Warszawy.

Droga była koszmarna. Między Gostyninem i Dęblinem dowiedział się od ludności, że pod Dęblinem toczą się walki. Zmienił więc kierunek, udając się bezpośrednio na Gąbin-Sochaczew. Pod Gąbinem napotkał liczne grupy żołnierzy cofających się spod Dębina, gęsto ostrzeliwane przez samoloty nieprzyjacielskie. Dwóch rannych żołnierzy zabrał do auta i odwiózł do szpitala w bombardowanym Sochaczewie. Na całej przestrzeni do Sochaczewa wszystkie władze były ewakuowane. Nie spotkał ani jednego policjanta. Od Kutna i Łowicza biły łuny pożarów. Późną nocą dotarł do stolicy.

Premiera zastał w ministerstwie spraw wewnętrznych. Złożył mu krótki raport sytuacyjny i prosił o jakąś funkcję, względnie o zezwolenie zameldowania się u władz wojskowych. Nie miał wątpliwości, że faktycznie przestał być wojewodą pomorskim.

Składkowski jednak nie zgodził się z sugestiami wojewody. Pożegnawszy mu za wytrwanie na stanowisku i celowe wykonanie zarządzeń ewakuacyjnych, polecił udać się za rządem do Lublina. W Lublinie — brzmiała decyzja premiera — ma być do jego dyspozycji. Składkowski dodał, że w najbliższym czasie Raczkiewicz otrzyma specjalną misję.

Raczkiewicz przybył do Lublina wczesnym rankiem 7 września. Spotkał tu żonę, która wyjechawszy spod Włocławka udała się najpierw do Warszawy, a z Warszawy do Lublina. Pobyt w przepełnionym i bombardowanym mieście nie trwał długo. Jeszcze tegoż dnia Raczkiewicz udał się za rządem do Łucka, zatrzymując się po drodze w Horodyszczu, majątku pp. Chodkiewiczów.

Cały dzień spędził w majątku. Mógł tu po raz pierwszy od wybuchu wojny względnie odpocząć i zebrać myśli. Nie chciał jednak siedzieć beczynnie. Ciekaw był jaką misję otrzyma od rządu. 9 września zjawiał się w Łucku u premiera. Rozmowa niczego nie wyjaśniła. Musiał czekać. 10 września dotarł do Łucka wicewojewoda Z. Szczepański. Zreferował wojewodzie sytuację ewakuowanych władz, urzędów i urzędników województwa, znajdujących się w Kowlu. Był to ostatni raport dotyczący urzędu, który przez z górą trzy lata piastował.

Nazajutrz wieczorem pojechał znowu do Łucka. Z 10 na 11 września o pierwszej w nocy, dowiedział się, że rząd postanowił wysłać go w specjalnej misji do Stanów Zjednoczonych. O szczegółach miał się dowiedzieć od premiera nazajutrz. Wiadomość oznaczała, że zapewne w najbliższych dniach opuści Polskę. Nie mógł się z tym pogodzić. Nie mógł przestawić się psychicznie na wyjazd do kraju neutralnego i odległego od objętej pożogą Polski. Pocieszał się tylko jedną myślą, że, tak jak w czasie pierwszej wojny, Stany Zjednoczone przystąpią i teraz do wojny i zdecydują o klęsce barbarzyńskiego najeźdźcy.

Z Łucka do Bukaresztu i Paryża

12 września rano Raczkiewicz otrzymał od Składkowskiego przyrządzone wyjaśnienia. Jako prezes Światowego Związku Polaków (Światopolu) ma się udać w roli specjalnego delegata do Stanów Zjednoczonych dla organizowania wśród Polonii amerykańskiej pomocy dla ludności na terenach zajętych przez nieprzyjaciela. Składkowski nie precyzował żadnych szczegółów. Pozostawiał również wojewodzie zupełną swobodę w doborze ekipy, mającej mu towarzyszyć do Ameryki.

Po rozmowie z premierem Raczkiewicz wpadł na krótko do

Horodyszcz, by jeszcze przed południem zdążyć do Dubna. Chciał tam pomówić z ministrem Kościałkowskim i dyrektorem Y.M.C.A. na Polskę, Superem. Rozmowa z Superem była pierwszą, zasadniczą wymianą zdań na tematy związane z misją. Dyrektor Super zaopatrzył Raczkiewicza w sześć listów polecających go różnym osobom i instytucjom w Stanach Zjednoczonych.

Mając listy, życzliwe wskazówki i rady oddanego przyjaciela Polski, wracał przez Łuck do Horodyszcz, zastanawiając się nad charakterem przyszłych prac i doborem ekipy. Zupełnie nieoczekiwanie, a ku wielkiej radości, spotkał w Łucku swego przyjaciela, inżyniera Adama Piotrowskiego. Inż. Piotrowski, wyruszywszy w mundurze pieszo z Warszawy na Garwolin, dotarł aż na Wołyn w poszukiwaniu przydziału wojskowego. Raczkiewicz natychmiast zaproponował Piotrowskiemu wejście do jego ekipy w charakterze sekretarza.

Obaj przyjaciele widzieli się kilka tygodni temu w Toruniu. Nie przypuszczali, że spotkają się wkrótce w tak niezwykłych okolicznościach. Zresztą po raz pierwszy w życiu spotkali się także w czasach wojennych. Zadzierzgnęła się wówczas między nimi przyjaźń, która przetrwała lat dwadzieścia, do śmierci Władysława Raczkiewicza.

Poznali się w maju 1917 roku, w pociągu Moskwa-Piotrogród (Petersburg). Jechali na wielki zjazd wojskowych Polaków w Rosji. Raczkiewicz reprezentował front zachodni, Piotrowski był delegatem Polaków frontu południowo-zachodniego. Zaczęło się od współpracy na zjeździe, a później w Naczelnym Polskim Komitecie Wojskowym (Naczelny), do którego weszli wybrani przez Zjazd. Raczkiewicz został prezesem Naczelnego, Piotrowski sekretarzem. Czasy były gorące, zagadnienie tworzenia armii polskiej w Rosji objętej rewolucją bardzo skomplikowane. Wszędzie, nie wyłączając środowiska polskiego nasiąkniętego generalskimi ambicjami, piętrzyły się trudności. Od ścisłej współpracy prezesa i sekretarza Naczelnego zależało wiele. Na tle tej współpracy zrodziła się między nimi zażyłość, która szybko przerodziła się w przyjaźń.

Przyszedł później gorący okres wojny polsko-rosyjskiej. Przez dwa lata, 1919 i 1920, przyjaciele nieustannie współpracowali. Gdy Raczkiewicz objął stanowisko przedstawiciela Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich przy froncie białoruskim, jego zastępcą został Piotrowski. Gdy w Zarządzie Ziem Wschodnich powołano Raczkiewicza na szefa okręgu mińskiego (urząd równoznaczny ze stanowiskiem wojewody), Piotrowski pełnił funkcje jego zastępcy. Kiedy w 1920 Raczkiewicz objął kierownictwo ochotniczych oddziałów kresowych, Piotrowski znowu był jego zastępcą. Kiedy Raczkiewicz został w Zarządzie Terenów Przyfrontowych

i Etapowych powołany na szefa Zarządu, Piotrowski objął w tej nowej formacji administracyjnej urząd dyrektora departamentu przemysłu i handlu.

Po wojnie drogi życiowe obu przyjaciół rozeszły się. Raczkiewicz, prawnik i społecznik, poświęcił się służbie państwowej. Piotrowski, inżynier, przeszedł do przemysłu i handlu. Mimo to przyjaciele utrzymywali z sobą nieprzerwany kontakt. Piotrowski przeważnie mieszkał w Warszawie. Gdy Raczkiewicz opuszczał stolicę, by objąć stanowisko w innym mieście, odwiedzali się wzajemnie, spędzając długie godziny na rozmowach o sprawach publicznych. W czasach pobytu Raczkiewicza w Warszawie widywali się bardzo często. Raczkiewicz dzielił się z Piotrowskim wszystkimi kłopotami, ceniąc jego poglądy na ludzi i sprawy.

Podczas ostatniego, krótkotrwałego spotkania w Toruniu głównym tematem rozmów była zbliżająca się wojna. Raczkiewicz powtarzał stale, że podległy mu teren stanie się prawdopodobnie pierwszym celem ataku niemieckiego. Mówił, że do końca wykona ciężące na nim obowiązki. Nie przypuszczał, że Piotrowski z niepokojem obserwował przyjaciela. W początkach 1939 roku dowiedział się, że Raczkiewicz zagrożony jest leukemią, chorobą nieuleczalną, której przeciętny przebieg podobno nie trwa dłużej niż cztery lata i zazwyczaj kończy się śmiercią. Raczkiewicz wiedział, że grozi mu leukemia, że jest to ciężka choroba, lecz nie wiedział że po kilku latach może się skończyć śmiercią. Obaj przyjaciele nie mówili w Toruniu o chorobach. Raczkiewicz był w doskonałej formie fizycznej. Nie mówili, ani nie myśleli tym bardziej o tym 12 września, gdy spotkali się w Łucku.

Ustalili, że nazajutrz udadzą się w ślad za rządem do Krzemieńca, dokąd ewakuowano już ministerstwo spraw zagranicznych, które ulokowało się w części gmachów Liceum Krzemienieckiego. W Krzemieńcu Raczkiewicz zamierzał, w porozumieniu z min. Beckiem, skompletować przynajmniej część swej ekipy, załatwić formalności paszportowe i otrzymać pieniądze na drogę.

18 września rano pożegnał się z żoną. Panią Raczkiewiczową odwoził wicewojewoda Szczepański z żoną. Uzyskał na to specjalne pozwolenie premiera. Pani Raczkiewiczowa jechała na Łuck-Sarny do Wilna, by tam przetrwać czas wojny. Kresy wschodnie wciąż uchodziły za najpewniejsze.

Jeszcze tego dnia przed południem Raczkiewicz z Piotrowskim dojechali do Krzemieńca. Minister Beck obiecał wypłacić pieniądze na drogę i wydać specjalne pismo, określające wobec rządu Stanów Zjednoczonych społeczno-charytatywny charakter misji. Raczkiewicz był z takich wyników spotkania z Beckiem

zadowolony. Wszędzie panował nieopisany chaos. Trzeba było stale chować się przed nalotami. Nastroje podniecenia potęgowała obecność w mieście dyplomatów akredytowanych przy rządzie polskim. Chcieli jak najszybciej wydostać się z Polski. Niektórych Raczkiewicz znał. Odbynał z nimi przelotne rozmowy. Nie brakowało w Krzemieńcu wielu znajomych, którzy jeszcze przed kilku dniami zajmowali odpowiedzialne stanowiska w państwie, teraz — niepewnych jutra.

Druga rozmowa z Beckiem odbyła się tegoż dnia wieczorem. Wyszedł z niej raczej zaniepokojony. Otrzymał wprawdzie paszport dla siebie, lecz nie dostał paszportu dla Piotrowskiego i obiecanych pieniędzy. Chcąc dopilnować załatwienia obu spraw, postanowił przenocować w Krzemieńcu. Nazajutrz rano poszedł do M.S.Z. Przed gmachem Liceum Krzemienieckiego panował wielki ruch. Okazało się, że M.S.Z. wyjeżdża do Kut. Ponieważ nie wszystkie wozy ewakuacyjne M.S.Z. zdążyły dotrzeć do Krzemieńca, Beck zdecydował załatwienie dalszych formalności paszportowo-wizowych i sprawę funduszków w Kutach.

Jeśli chodzi o ekipę Raczkiewicz myślał na razie tylko o dr. Karolu Ripie. Ripa był konsulem generalnym w Morawskiej Ostrawie, a później na takim samym stanowisku w Chicago. Znał Stany Zjednoczone. Raczkiewicz jako prezes Światopoli stykał się nie raz z Ripą. Ale go w Krzemieńcu nie było. Na szczęście M.S.Z. miało jego adres. Wysłano telegram, by się stawił w Kutach.

Obaj przyjaciele pojechali do Kut drogą na Brody-Tarnopol-Czortków-Kosów. Dotarli do Kut 14 września wieczorem. Następnego dnia udało się Raczkiewiczowi uzyskać paszport dla Piotrowskiego i pismo określające charakter misji. Miał wszystko, prócz pieniędzy. Pojechał więc 16 września do Kosowa, by sprawę wyjaśnić z premierem. Składkowski przyjął Raczkiewicza około 6 wieczorem. Prosił by się kategorycznie domagał od M.S.Z. wykonania uchwały rady ministrów w sprawie wypłaty wojewodzie funduszków na podróż do Ameryki.

W Kosowie Raczkiewicz spotkał nowego członka rządu Składkowskiego, ministra informacji dr. Michała Grażyńskiego i jego zastępcę, pułkownika Ścieżyńskiego. Zdążył przedyskutować z nimi zarys swej akcji w Stanach Zjednoczonych. Dyskusji sprzyjała atmosfera, jaka tego dnia dominowała. Nastroje były wyjątkowo pogodne. Nadeszła wiadomość o zwycięskiej bitwie generała Sosnkowskiego pod Gródkiem Jagiellońskim. Składkowski nie posiadał się z radości. Nastrój powszechnego optymizmu udzielił się również Raczkiewiczowi. Wracał na noc do Kut wprawdzie bez

pieniędzy, za to z nadzieją, że może jeszcze w operacjach wojennych znajdzie jakiś zwrot na lepsze.

Lecz już nazajutrz 17 września nadzieje prysły. Gruchnęła tragiczna wieść o wkroczeniu wojsk sowieckich na terytorium Rzeczypospolitej. Dowiedział się o niej Raczkiewicz rano w ministerstwie spraw zagranicznych. Rozumiejąc, że nie ma teraz chwili do stracenia, postanowił jak najszybciej dostać się do Rumunii, a stamtąd przez Paryż do Stanów Zjednoczonych. Uzyskanie wizy rumuńskiej poszło gładko. Ruszył więc z Piotrowskim autem na most w Kutach. Choć obaj posiadali paszporty dyplomatyczne i wizy, Rumuni przez dwie godziny nie chcieli przepuścić samochodu. Tylko dzięki przybyciu ambasadora rumuńskiego w Warszawie samochód wreszcie przepuszczono i obaj przyjaciele pod wieczór znaleźli się w Czerniowcach.

Przymusowy, dwugodzinny postój na granicy dawał pole do różnych obserwacji. Najprzykrzej działał widok rozbrajanych przez aliantów rumuńskich oddziałów wojska polskiego i policji. W myśl sojuszu polsko-rumuńskiego inwazja sowiecka na Polskę winna była spowodować automatyczne wystąpienie Rumunii po stronie Polski. Odsyłanie rozbrajanych wojsk polskich do obozów internowania potwierdzało najpesymistyczniejsze przeczucia, że Rumunia nie wykona swych sojuszniczych zobowiązań. W konsulacie R.P. w Czerniowcach Raczkiewicz dowiedział się, że Rumuni posunęli się jeszcze dalej, internując Prezydenta Mościckiego, rząd i marszałka Śmigłego-Rydza. Na tym tle — według zasłyszanej od kogoś informacji — miało dojść, już po stronie rumuńskiej, do ostrej wymiany zdań między Śmigłym-Rydzem i Beckiem. 17 września wieczorem nie udało się jednak ustalić szczegółów tej sceny.

Raczkiewicz przejęty był tylko wypełnieniem swej misji. Rozumiał, że wobec inwazji rosyjskiej akcja Polonii amerykańskiej będzie musiała objąć cały kraj opanowany przez dwóch sprzymierzonych ze sobą najeźdźców. Przypadek zrzucił, że w Czerniowcach spotkał swego znajomego, Polaka amerykańskiego, delegata Polonii Amerykańskiej, J. Piskorskiego. Spędził z nim długie godziny, analizując możliwości swej akcji.

18 września Raczkiewicz i Piotrowski pojechali samochodem do Bukaresztu. Droga prowadziła przez miejscowość Fokszany. Tu samochód zatrzymano, wskazując obu przyjemną kwaterę prywatną u miejscowego lekarza. Wyjaśniono, że lokalne władze administracyjne muszą otrzymać instrukcje z Bukaresztu, czy mogą pozwolić na dalszą drogę. Piotrowski natychmiast połączył się telefonicznie z ambasadą R.P. w Bukareszcie. Radca ambasady, Poniński, dobry znajomy Piotrowskiego, zapewnił go że poczyni

kroki, by wypuszczono obu z Fokszan. Nie wierząc zbyt za-
pewnieniom radcy, poszedł Piotrowski nazajutrz do rumuńskiego
starosty i złożył mu ostry protest przeciwko bezprawnemu zatrzy-
mowaniu osób posiadających paszporty dyplomatyczne i wjazdowe
wizy rumuńskie. Nie bardzo wierzył czy ten protest poskutkuje.
Nieoczekiwanie starosta zgodził się na wypuszczenie obu do
Bukaresztu.

W Bukareszcie było tłoczno. Konsulat R.P. oblegano w per-
manencji. Nie brakowało także ludzi w ambasadzie. Widząc co
się dzieje, Raczkiewicz postanowił na własną rękę zająć się zdo-
byciem dalszych wiz. 20 września zwrócił się do ambasady fran-
cuskiej o wizę, ale jej nie uzyskał. Ambasada zasłoniła się nieobec-
nością w Bukareszcie Noëla, ambasadora Francji przy rządzie
polskim. Natomiast bez najmniejszych trudności obaj otrzymali
wizy docelowe do Stanów Zjednoczonych. Posiadanie wizy ame-
rykańskiej dało Raczkiewiczowi pewność, że uda mu się jednak
dotrzeć do kraju w którym ma tak ważne zadania do spełnienia.

21 września zamordowany został minister spraw wewnętrz-
nych, Calinescu. Nazajutrz w rumuńskiej stolicy panowało nieby-
wałe podniecenie. Wojsko i policja obstawiły gmachy rządowe.
W mieście krążyły najpotworniejsze plotki. Toteż obaj przyjacie-
le z ulgą opuszczali budynek ambasady francuskiej mając wizy
francuskie w kieszeni. Noël nareszcie przyjechał. Bez trudu dostali
pozostałe wizy: jugosłowiańską, włoską i szwajcarską.

Najgorzej przedstawiały się sprawy finansowe. Obaj opuszcza-
li Polskę z małym zasobem złotych. Ze zmiany ich uzyskali 12.000
lei, ponadto ambasada polska wyasygnowała im 15.000 lei. Wy-
starczało to na kupienie biletów do Paryża.

Od Ripy nie było wiadomości. Raczkiewicz zdecydował, że
nie może dłużej czekać, zwłaszcza że planował zatrzymać się po-
drodze w Szwajcarii, by odwiedzić Ignacego Paderewskiego i
uzyskać od niego wskazówki i polecenia do Stanów Zjednoczo-
nych. Ale wyjazd 23 września do Paryża był niemożliwy. Naj-
wcześniej można było dostać miejsca w pociągu dopiero 25
września.

Dwa dni pobytu w Bukareszcie poświęcił Raczkiewicz wy-
łącznie na rozmowy związane z misją. Najdłużej konferował
z ambasadorem Rogerem Raczynskim, J. Piskorskim i dyrekto-
rem Światopoli Stefanem Lenartowiczem. Znał dobrze Lenarto-
wicza, darzył go sympatią, ale nie chciał go na razie włączać do
swej ekipy. Mówiono że nie ma zbyt dobrych stosunków z Po-
lonią amerykańską, gdyż niektórzy jej przywódcy zarzucają mu
iż za bardzo ulegał wskazaniom rządu, co nie godziło się ze sta-

nowiskiem dyrektora organizacji społecznej. Nie było to słuszne, gdyż z przeciwnymi zarzutami występowało wobec Lenartowicza M.S.Z. Raczkiewicz nie raz musiał przed nimi bronić Lenartowicza. Uważając skuteczne wykonanie misji za rzecz najważniejszą, odłożył w ogóle skompletowanie ekipy na Paryż. Skrętnie za to notował wszystko, co słyszał o możliwościach pomocy Hoovera, o otoczeniu prezydenta Roosevelta, o przychylnych Polsce gubernatorach stanowych, o możliwości pozyskania dla swej misji Żydów amerykańskich.

Od Prezydenta Mościckiego i od premiera Składkowskiego nie otrzymał już ani bezpośrednio ani pośrednio żadnych zleceń, choć ambasador Raczyński zawiadomił Prezydenta i rząd o jego pobycie w Bukareszcie.

Tym co się działo w tych pierwszych dniach emigracji na odcinku wewnątrzno-politycznym zupełnie się nie interesował. Już w pierwszym dniu swego pobytu w Bukareszcie zauważył że ambasador Roger Raczyński jest pod pełnym wpływem radcy Ponińskiego, który uważa, iż Prezydent Mościcki powinien jak najszybciej ustąpić na rzecz przebywającego od niedawna w stolicy rumuńskiej generała Władysława Sikorskiego. Sikorski znajdował się już w drodze do Paryża. Temu nowemu kursowi orientacyjnemu przypisywał pełne chłodnej rezerwy podejście do niego zarówno Raczyńskiego jak i Ponińskiego. Zajęty jednak wyłącznie sprawą misji, nie brał udziału w rozmowach na temat ustąpienia Prezydenta i nie słuchał krążących gęsto na ten temat przypuszczeń i plotek. 25 września opuścił Bukareszt z postanowieniem przerwania podróży do Paryża w Mediolanie, by stamtąd udać się do Szwajcarii, do Paderewskiego.

26 września na dworcu mediolańskim spotkał obu przyjaciół konsul generalny Żmigrodzki. Od niego dowiedział się Raczkiewicz, że w Paryżu odbywają się narady trzech ambasadorów: Edwarda Raczyńskiego z Londynu, Juliusza Łukaszewicza z Paryża i Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego z Rzymu, i że bierze w nich także udział szef kancelarii cywilnej Prezydenta Mościckiego, dr S. Łepkowski. Żmigrodzki informował, że w czasie tych narad zapadną ważne decyzje, związane z faktem internowania Prezydenta Mościckiego i wyrażał opinię że Raczkiewicz jako Prezes Światopoli i były Marszałek Senatu powinien jak najszybciej udać się do Paryża i wziąć udział w naradach.

Po wahaniach Raczkiewicz zdecydował się na odłożenie podróży do Paderewskiego. Nie opuszczając pociągu Bukareszt-Paryż, obaj przyjaciele ruszyli w dalszą drogę i 27 wieczorem znaleźli się w stolicy Francji. Decyzja ta zaważyła na dalszych losach ostatniego wojewody pomorskiego Niepodległej Polski.

Na granicy francuskiej przyjaciele obliczyli skrupulatnie fundusze i doszli do wniosku, że będą mogli w Paryżu pozwolić sobie w hotelu na jeden podwójny pokój. Piotrowski, który znał dobrze Paryż, zaproponował hotel „Lutecia” położony niedaleko ambasady R.P.

Po rozlokowaniu się Raczkiewicz udał się niezwłocznie do ambasadora J. Łukasiewicza, by zasięgnąć informacji o tym co się w Paryżu dzieje. Wrócił późno i potwierdził Piotrowskiemu informacje Żmigrodzkiego. Istotnie, w związku z internowaniem Prezydenta Mościckiego i rządu przez Rumunów rozważana jest sprawa następcy. Rzecz skomplikowała się o tyle, że Prezydent Mościcki desygnował już na swego następcę ambasadora Wieniawę-Długoszowskiego na co rząd francuski oświadczył, że takiego następcy nie uzna. Raczkiewicz oburzał się na bezceremonialną interwencję Francuzów w nasze sprawy wewnętrzne, nie ukrywał jednak, że nominacja Wieniawy była posunięciem niefortunnym. Znał, lubił i cenił Wieniawę, lecz nigdy go sobie na stanowisku prezydenta nie wyobrażał. A w akcji rządu francuskiego dostrzegał skutki działań przybyłych już do Paryża: generała W. Sikorskiego i drugiego przedstawiciela tzw. „Frontu Morges” — prof. S. Strońskiego. Kończąc swe opowiadanie Raczkiewicz dodał, że uważa za swój obowiązek pozostać na razie w Paryżu i brać udział w dalszych naradach.

W toku opowiadania Raczkiewicz dzielił się z Piotrowskim wiadomościami o wydarzeniach, które poprzedziły jego przyjazd. Więć że Wieniawa przybył do Paryża 25 września na wezwanie Łukasiewicza, a Łukasiewicz wzywał Wieniawę na wyraźne zlecenie Prezydenta Mościckiego. Prezydent wyznaczył pierwszego września swym następcą Marszałka Śmigłego-Rydza, lecz decyzję tę anulował 17 września, wskazując na następcę Wieniawę-Długoszowskiego. W liście do Wieniawy, utrzymanym w bardzo serdecznym tonie, wyjaśnił powód swej decyzji: obawia się, że w wytworzonej sytuacji ani Śmigły ani on nie będą mieli swobody działania. Donosił także, że zarządzenie o nominacji podpisał w dwóch wariantach. Wieniawa ma skorzystać z tego, który z punktu widzenia formalnych wymagań art. 24, ust. I Ustawy Konstytucyjnej, wyda mu się najodpowiedniejszy. Wówczas drugi wariant ma zniszczyć.

Przyjechawszy do Paryża, Wieniawa poddał się decyzji Prezydenta Mościckiego. Wspólnie z Łukasiewiczem doszli do przekonania, że najpilniejszą sprawą jest powołanie nowego rządu. Wieniawa rozumiał, że do sprawy przyszłego premiera musi pod-

chodzić bardzo ostrożnie, biorąc pod uwagę opinię narodu zawiedzionego po klęsce do tych, którzy przed wrześniem nim rządili. Z dylematu znalazł wyjście, wysuwając na szefa nowego rządu przebywającego w Rzymie Ks. Kardynała A. Hlonda. 25 września po południu, działając w charakterze Następcy, wysłał na ręce chargé d'affaires przy Watykanie, St. Janikowskiego, telefonogram, w którym *expressis verbis* pisał że „zgodnie z życzeniem p. Prezydenta” chciałby widzieć na stanowisku premiera kardynała Hlonda. Nazajutrz otrzymał dwie odpowiedzi. W jednej ambasada R.P. przy Watykanie przytaczała opinię generała Ojców Jezuitów, Ojca Ledóchowskiego. Ledóchowski wyrażał m.in. pogląd, że Papież nie zgodziłby się na objęcie szefostwa rządu polskiego przez Hlonda. Druga depesza pochodziła od samego kardynała. Tłumaczył, że nie może przyjąć „zaszczytnej propozycji”, nie mając przygotowania do tak odpowiedzialnego stanowiska.

Pomysł Wieniawy czy Mościckiego i Wieniawy nie został zrealizowany, a Francja, najważniejszy sojusznik Polski w wojnie z Niemcami, odmawiała uznania w Wieniawie następcy prezydenta Mościckiego.

Orientując się już jako tako w sytuacji, Raczkiewicz udał się nazajutrz na naradę znajdujących się w Paryżu przedstawicieli stronnictw. Jak się później zwierzał Piotrowskiemu, był zmartwiony przypadkowym zespołem, który ma decydować czy współdecydować o tak niesłychanie ważnej sprawie dla państwa, jak sprawa następcy. O niektórych „przedstawicielach”, jak Ładoś czy Stańczyk, nie miał wysokiego mniemania. Wobec stanowiska rządu francuskiego w sprawie Wieniawy grupa „Frontu Morges” zaczęła forsować dwie kandydatury: Ignacego Paderewskiego i gen. Władysława Sikorskiego. Plan ten jednak nie mógł się udać z wielu powodów. Kandydatura Paderewskiego nie wchodziła w rachubę ze względu na stan zdrowia mistrza. Kandydatura Sikorskiego odpadła dlatego, że Łepkowski oświadczył obradującym 28 września politykom, iż Prezydent Mościcki wskazał mu ustnie listę kandydatów na Następcę. Lista obejmowała cztery nazwiska w następującej kolejności: K. Sosnkowski, W. Raczkiewicz, E. Raczyński i B. Wieniawa-Długoszowski. Na liście nie było nazwiska Sikorskiego. Wieniawa odpadał, Raczyński nie chciał, pierwszego na liście, Sosnkowskiego, w Paryżu nie było i los jego nie był znany. Jedynym kandydatem z listy Prezydenta Mościckiego był więc Raczkiewicz. Była również mowa o kandydaturze Augusta Zaleskiego, ale nie brano jej pod uwagę. Liczono się, że w przyszłym gabinecie zajmie odpowiedzialne stanowisko.

Sikorski zorientował się, że musi pogodzić się z kandydaturą Raczkiewicza, jeśli chce utrzymać zasadę ciągłości prawnej pań-

stwa polskiego. Oświadczył że nie kandyduje na żadne stanowisko polityczne, gdyż interesują go przede wszystkim sprawy wojskowe. Sądzi, że uda mu się stworzyć we Francji większą jednostkę wojska polskiego, która walcząc u boku aliantów, podtrzymywać będzie w czasie toczącej się wojny ciągłość walki zbrojnej Polaków z najeźdźcą. Wypowiedział się za kandydaturą Raczkiewicza. Przedstawiciele partii politycznych także w zasadzie zgodzili się na tę kandydaturę, wysuwali jednak konieczność omówienia najpierw z Raczkiewiczem problemu prerogatyw, którymi obdarzyła Prezydenta R.P. konstytucja kwietniowa.

Późnym wieczorem 28 września Raczkiewicz analizował z Piotrowskim przebieg tego dnia. Przyznawał, że najchętniej zostałby premierem rządu, powołanym przez gen. Sosnkowskiego jako Prezydenta R.P. Według Raczkiewicza Sosnkowski był jedynym, bezkonkurencyjnym kandydatem na Prezydenta i gdyby był w Paryżu sprawa byłaby załatwiona. Prezydent Mościcki tego sobie właśnie życzył. Sosnkowski cieszył się ponadto dużym uznaniem wśród opozycji, orientującej się w jego krytycznym stosunku do rzeczywistości politycznej w Polsce po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Wreszcie — był jednym z generałów, którzy w krótkotrwałej kampanii rozegrali zwycięską bitwę z Niemcami.

29 września, w toku dalszych narad, Raczkiewicz zgodził się na ograniczenie przysługujących Prezydentowi według Konstytucji prerogatyw, a to w tym sensie, że będzie je wykonywał w porozumieniu z premierem rządu, który zostanie zorganizowany na zasadzie udziału w nim przedstawicieli wszystkich głównych kierunków myśli politycznej. Jak mówił Piotrowskiemu, wzorem dla tego rządu ma być rząd Witosa powstały w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Raczkiewicz mówił dalej, że musiał się zgodzić na ograniczenie prerogatyw Prezydenta, gdyż innego wyjścia nie było. Nikt z polityków nie stawiał w ich obronie, zaś politycy opozycyjni atakowali je jako „niedemokratyczne”, powołując się wciąż na konstytucję marcową z 1921 r. Twierdzili, że po powrocie do Polski trzeba będzie do niej powrócić.

Również tego samego dnia naradzano się nad kandydaturą przyszłego premiera rządu. Były tylko trzy kandydatury: gen. Sosnkowskiego, gen. Sikorskiego i b. ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego. Wobec nieobecności w Paryżu Sosnkowskiego w grę wchodził dwaj pozostali kandydaci. Kandydatura Zaleskiego spotkała się z opozycją przedstawicieli „Frontu Morges”. Argumentowali swe stanowisko tym, że dwóch naczelnych stanowisk państwowych nie mogą zajmować osoby związane z okresem rządów pomajowych. Zdaniem ich obóz piłsudczy-

ków będzie i tak wystarczająco reprezentowany w rządzie skoro tekę ministra spraw zagranicznych obejmie Zaleski, a ministrem skarbu zostanie pułkownik Adam Koc. Było rzeczą oczywistą, że w tej sytuacji premierem zostanie Sikorski, choć wciąż powtarzał że interesują go tylko zagadnienia wojska.

Sprawa objęcia urzędu Prezydenta przez Raczkiewicza została zdecydowana definitywnie późnym wieczorem 29 września. Teraz wszyscy nalegali na pośpiech. Uważali inne sprawy za drugorzędne w porównaniu ze sformalizowaniem sukcesji po Prezydencie Mościckim. Raczkiewicz, oświadczwszy że urząd przyjmuje, wysunął tylko jeden warunek. Z chwilą przybycia do Paryża generała Sosnkowskiego, którego nazwisko figurowało na pierwszym miejscu listy Prezydenta Mościckiego, zgłosił gotowość złożenia urzędu prezydenta w ręce generała. Sikorski oświadczył, że w razie gdyby Sosnkowski dotarł do Francji również mu się podporządkuje. Oba oświadczenia padły w obecności ambasadora Łukasiewicza i gen. Burhardta-Bukackiego. Nie ujęto ich na piśmie w formie protokołu. Miały przeto charakter ustnego *gentlemen agreement*. Taki sam charakter ustnego porozumienia z politykami obecnymi w Paryżu miała deklaracja Raczkiewicza o wykonywaniu przysługujących mu prerogatyw w porozumieniu z rządem. Nie wynikało z niej, że prezydent ma uzgadniać z ustępującym premierem kandydaturę nowego premiera i skład nowego rządu. Raczkiewicz powtarzał wciąż, że przedstawicielom opozycji chodziło o to, by nie wydawał samowolnie dekretów, korzystając z tego że Sejm jest rozwiązany i że może powoływać się na „konieczności państwowe”. Jeden z przedstawicieli opozycji zrobił nawet Raczkiewiczowi analizę prawną artykułów: 55, 56 i 57 Konstytucji.

O wszystkich tych sprawach Raczkiewicz informował Piotrowskiego, rekapitułując przebieg wydarzeń 29 września. Choć był niezwykle podniecony i pełen obaw czy sprostą ciężkiemu zadaniu, i choć rozmowa miała czasem przebieg chaotyczny, pamiętał dokładnie postanowienia jakie w czasie narad zapadły i zobowiązania jakie wziął na siebie.

Nazajutrz, 30 września rano, odbyło się w gmachu ambasady paryskiej zaprzysiężenie Władysława Raczkiewicza na Prezydenta Rzeczypospolitej. Pierwszym aktem nowego Prezydenta było podpisanie dekretu udzielającego dymisji rządowi Składkowskiego i dekretu powołującego rząd Władysława Sikorskiego.

Tak oto krótki, kilkudniowy pobyt w Paryżu przestawił nieoczekiwanie dla Raczkiewicza jego plany. Nie miał czasu myśleć o niespełnionej misji w Stanach Zjednoczonych, lecz wkrótce do tego tematu wrócił, mówiąc że zadanie które miał wykonać musi

być zrealizowane przez inny zespół. Z dwuosobowego zespołu który dojechał do Paryża nie było nikogo. Wojewoda pomorski został Prezydentem R.P., a inżynier Adam Piotrowski znalazł się na liście domu cywilnego Prezydenta w charakterze jego sekretarza.

Tadeusz KATELBACH

DOKUMENTY

Józef BECK

PRELIMINARIA POLITYCZNE DO WOJNY 1939 ROKU

...Działanie układu polsko-niemieckiego z 1934 roku w jego praktycznym zastosowaniu istniało do końca 1938 roku i wymagać będzie niewątpliwie szczegółowych komentarzy. Tu ograniczę się tylko do stwierdzenia, że nie istniał w tym okresie żaden inny układ między Polską a Niemcami, jak tylko znany pakt o nieagresji, „o niewchodzeniu sobie wzajemnie w drogę”, i odbywało się to nawet bez żadnej zasadniczej rozmowy, po prostu obie strony — Niemcy i Polska w czasie akcji przeciwko Czechosłowacji — orientowały się, gdzie leży rozgraniczenie ich sfer interesów...

Muszę choć jednym zdaniem odpowiedzieć na powracające pytanie, dlaczego w 1938 roku, wobec zarysowującego się nacisku Niemiec na wschód, nie była podjęta decyzja zaangażowania Polski przeciw Niemcom na tle sprawy czeskiej: 1) Byliśmy przekonani, że Czesi nie będą się bić, a nie można pomagać komuś, kto się sam nie bije. 2) Mocarstwa Zachodnie nie były moralnie, ani materialnie dojrzałe do poważnego zaangażowania się. 3) Pozycja Rosji już wtedy była podejrzana...

Praktycznie decydującą dla mnie była rozmowa z Hitlerem w Obersalzberg 4 stycznia 1939 roku. Rozmowa ta pozwoliła mi usłyszeć nowe akcenty w sposobie mówienia Hitlera. Spotkanie to odsłoniło mi niebezpieczną sylwetkę Ribbentropa. Od chwili objęcia Wilhelmstrasse przez Ribbentropa można było stwierdzić nowy prąd w sposobie myślenia i mówienia Hitlera. Hitler w rozmowie 4 stycznia 1939 w sprawach bezpośrednio nas obchodzących poruszył zagadnienie Gdańska i komunikacji przez Pomorze.

Hitler, po mojej spokojnej, ale uzasadnionej odmowie, cofnął się jeszcze tym razem, nie stawiając sztywnych formuł, ani definitywnych żądań. Natomiast Ribbentrop — obecny — chciał powrócić przy rozmowie na drugi dzień w Monachium do większej natarczywości...

Wizyty Ribbentropa i Ciano w Warszawie w styczniu 1939 roku: w wizycie Ribbentropa uderzał przede wszystkim osobisty nacisk Hitlera na pośpiech. Ribbentrop coraz natarczywiej i uporczywiej wracał do swych postulatów gdańskich i komunikacyjnych, mimo mego ostrzeżenia, żeby zapomniał o słowie eksterytorialność, mówiąc o autostradzie; jako kontrwalor ze swej strony wspominał o Słowacji, a ponadto podjął ostatnią próbę kombinacji antyrosyjskiej, posuwając się nawet w towarzyskiej rozmowie do powiedzenia: „Pan jest taki uparty w sprawach morskich — Czarne Morze jest również morzem”. Wizytę Ciano przewidywałem, jako próbę pośrednictwa. Całej wizyty Ciano nie mogłem w ogóle zrozumieć. Na propozycje Ribbentropa co do Rosji odpowiedziałem, że nasz pakt o nieagresji z Rosją traktujemy jako rozwiązanie trwałe. Ciano niespodziewanie proponował wizytę Prezydenta R.P. u Króla Włoskiego; nalegał, aby wizyta miała miejsce już w kwietniu lub maju. Wobec dysproporcji między polityczną wartością rozmów, a propozycją Ciano, zbyłem zaproszenie uprzejmą wymówką...

Od początku niepokojących obserwacji co do zamiarów Niemiec, rozważałem możliwości wzmocnienia naszej reasekuracji na Zachodzie. Wróciliśmy do prób usprawnienia działania aliansu francuskiego. Rozmowy były dość przewlekłe, a reakcja francuska chwiejna. Skupiłem całą obserwację na teren angielski. Wobec relacji o głębokiej reakcji na cyniczną taktykę Hitlera w Monachium i po Monachium w opinii angielskiej, wykorzystałem najbliższą rozmowę z ambasadorem brytyjskim, aby wypowiedzieć opinię, „iż jedyną istotną stratą, którą ponieśliśmy, rezygnując z miejsca w Lidze Narodów, jest utrata bezpośredniego kontaktu z angielskimi mężami stanu, kiedy Europa może być terenem wielkich wstrząsów”. Reakcja była szybka i jasna. W parę dni później ambasador Kennard oświadczył mi, że kontakt jest możliwy i pożyteczny, nie tylko w Genewie, ale na przykład w Londynie, pod jakimś pretekstem, albo i bez pretekstu. Wobec tak żywej reakcji ułożyliśmy termin 2 kwietnia 1939 roku. Sprawa aliansu w moim przekonaniu zarysowała się realnie, choć była to idea nowa. Wobec jasnego już faktu, że całkowite prawie kierownictwo polityki zagranicznej Francji znajduje się w Londynie, sądziłem, że decydować będzie zakres układu z tym kierowniczym czynnikiem. W szeregu rozmów na Quai d'Orsay w których co

kilka dni przedstawiano inne projekty, wycofaliśmy się z nich, następnie w porozumieniu z marszałkiem Śmigłym zdecydowane było, że alians francuski spróbujemy wzmocnić i sprecyzować na drodze wojskowej, uzupełniając stronę polityczną w zależności od wyników spotkania londyńskiego. W tych warunkach mimo napięcia wywołanego nowymi wydarzeniami w Czechach zdecydowaliśmy się utrzymać za wszelką cenę termin podróży do Londynu. Postawiłem zasadę aliansu wzajemnego. Według wiarogodnej informacji ten sposób postawienia sprawy nadał zupełnie inny charakter negocjacjom. Zdawałem sobie sprawę, że alians ten obciąży i tak już napięte stosunki nasze z Niemcami. Niemniej jednak byłem przekonany, że będzie to bądź ostatni skuteczny środek prewencyjny, bądź też decydujące posunięcie dla zapewnienia naszemu Państwu potężnego alianta, gdyby Niemcy nie chciały już się cofnąć od zamiarów agresywnych w stosunku do nas. Miałem w pamięci rozmowę z Hitlerem z lata 1935 roku, w której on kilkakrotnie wracał do twierdzenia, że „naród niemiecki dla pomyślnego rozwoju potrzebuje na kontynencie dobrych stosunków z Polską, zaś w skali światowej dobrych stosunków z Anglią. Reszta — to sprawy dodatkowe”. Ponieważ oświadczenie to pochodziło jeszcze z czasu, kiedy Hitler mówił szczerzej o celach swojej polityki, musiałem tę sprawę brać znacznie poważniej. Dodatkowym czynnikiem w rozmowach angielskich była sprawa rosyjska. W momencie mojej londyńskiej wizyty nie była ona jeszcze w Anglii dostatecznie wyjaśniona. Chamberlain i Halifax odnosili się do Sowietów z wyraźną nieufnością, jako do partnera w skali międzynarodowej, jak i do czynnika podejrzanego o naciski wewnętrzno-polityczne na decyzje Rządu Angielskiego. Większe zainteresowanie dla tej sprawy wykazywały elementy na pozór skrajnie odmienne: Churchill, jako człowiek, który zachował niespodziewany zasób energii i niezmienną animozję do Niemiec, lecz zarazem rozumował kategoriami 1914 roku, to znaczy widział Rosję jako problem, a komunizm jako fazę przejściową — oraz Eden, zaplątany w oxfordzką i genewską metodę myślenia, nie robiący wrażenia kogoś, kto by myślowo ten problem pogłębił, ale przez swą przeszłość ministerialną dość do tych spraw przywiązany. Niewątpliwie natomiast było silne oddziaływanie Francji, uparcie powracającej do koncepcji rosyjskiej, jako klucza dla stworzenia równowagi europejskiej. Chciałbym dodać że, nawiasem, w moim najgłębszym przekonaniu, przez cały okres mojej pracy politycznej w dziedzinie spraw zagranicznych, tj. w praktyce przez 20 lat, nabrałem przekonania najgłębszego, że czynnikiem zasadniczym dzielącym naszą politykę od polityki francuskiej nie były nigdy sprawy niemieckie, a zaw-



JOZEF BECK
4.X.1894 - 5.VI.1944

4X.1894 - 5.VI.1944



sze zagadnienie rosyjskie. W sytuacji, którą zastałem w pierwszych dniach kwietnia 1939 roku w Londynie, sądziłem że najpraktyczniej będzie zająć stanowisko, które zostało sprecyzowane w protokołach moich rozmów z Chamberlainem. W skrócie wyglądało ono w ten sposób: Nie mamy, my Polacy, zaufania do Rosji, ani do celów jej polityki. Widzimy na podstawie doświadczenia dwa imperializmy — carski lub komunistyczny. W praktyce, jeśli chodzi o nasze sprawy, obydwaj mają te same cele i na jedno to dla nas wychodzi. Rozumiem natomiast, że w obliczu zagrożenia niemieckiego nie ma żadnego interesu zniechęcenie Rosji i korzystniej jest zabezpieczyć dla siebie przynajmniej jej neutralne stanowisko. Nie wierzyłem w sowieckie zaangażowanie się *au fond* po stronie naszych aliantów i po naszej. Pragnęlibyśmy, ażeby ten czynnik nie grał jako wrogi. Nie chcemy stanowić przeszkody. Z naszej strony, mając na względzie zarówno ostatnią szansę uniknięcia wojny z Niemcami, jak też ostrożność nakazaną przez doświadczenia, wykorzystaliśmy po napięciach w jesieni 1938 roku najbliższą sposobność, aby przywrócić nasze stosunki sąsiedzkie, wyrażone w naszym pakcie o nieagresji. Nie będziemy przeszkadzać żadnym próbom porozumienia między Anglią i Francją z jednej strony, a Sowietami z drugiej strony. Natomiast, podobnie jak było to w czasie zawierania paktu francusko-sowieckiego o wzajemnej pomocy, musimy się zastrzec, że żaden układ zawarty przez naszych zachodnich aliantów bez naszego udziału, nie może na Polskę nakładać żadnych nowych obowiązków. Praktycznie bylibyśmy zadowoleni, gdyby nasi zachodni alianci doszli z Sowietami do takiego porozumienia, które nam pozwoliłoby korzystać w razie wojny z Niemcami z tranzytu materiału wojennego od Zachodnich Aliantów przez Sowiety do nas, oraz z dostaw surowców i materiałów wojennych sowieckich, potrzebnych nam do prowadzenia wojny. W owym czasie ministrowie angielscy z wyraźną niechęcią odnosili się jeszcze do negocjacji z Sowietami, dzielając raczej nasz punkt widzenia na praktyczne możliwości ewentualnego układu. Kończąc negocjacje londyńskie, staraliśmy się sprecyzować wspólnie z angielskimi ministrami pojęcie wzajemności naszego układu. Anglicy oświadczyli, że Zjednoczone Królestwo musi się bronić nie tylko na wyspach, ale także na przedpolu, tj. na wybrzeżach Morza Północnego. W pierwszym rządzie wymieniano z ich strony Belgię, Holandię i Danię, dodając, że Francuzi żądają od nich także Szwajcarii, jako *casus foederis*. Odpowiedziałem, że mam pełnomocnictwa do przyjęcia zasady wzajemności i gwarancji ale, wobec tak szerokiej interpretacji dawanej przez Anglików, zastrzegam sobie aprobatę mego Rządu, dodając że osobiście przypuszczam, że nasz Rząd taką

formułę przyjmie, będzie jednak zmuszony ze swej strony rozszerzyć gwarancje angielskie na wypadek, gdybyśmy mieli udzielić pomocy państwu Bałtyckim, oczywiście w wypadku gdyby one swej niezależności lub neutralności broniły z bronią w rękę i zwróciły się do nas z żądaniem o pomoc. Wszystko to zostało zaprojektowane, jako *pactum de contrahendo*. Dłuższe kontrowersje istniały między nami, co do sprawy rumuńskiej. Anglicy, którzy dość lekkomyślnie udzielili swej gwarancji Rumunii, nie bardzo wiedząc jak ją mogą zrealizować, chcieli nam tę sprawę „podrzucić”, obarczając nas wykonaniem tej gwarancji. Wyjaśniłem z mej strony, że interesy Rumunii, jako naszego Alianta przeciw Rosji, nie są nam nigdy obojętne, ale w rejonie naddunajskim musimy, zgodnie z naszą historią i naszymi dzisiejszymi interesami, prowadzić politykę własną. Nie mając dość sił, aby zaangażować się w sposób decydujący na południe od Karpat inaczej jak przeciw Rosji, skoncentrowaliśmy nasze wysiłki aby: 1) pracować nad uregulowaniem stosunków rumuńsko-węgierskich; 2) aby udzielić Węgrom pewnej moralnej i dyplomatycznej pomocy potrzebnej, aby ten Naród mający głębokie przywiązanie do swej niezależności, zachował odporność przeciwko niemieckim tendencjom, zmierzającym do uczynienia z Węgier wasala Niemiec. Akt kapitulacji Węgier pod naciskiem Niemiec mógłby nas skłonić do rewizji tej polityki.

Wracając z Londynu, na dworcu w Berlinie powiadomiłem ambasadora Lipskiego *grosso modo* o układzie angielskim, podkreślając, że układ ten, jako całkowicie analogiczny do sojuszu polsko-francuskiego, w założeniu przynajmniej nie pozostaje, moim zdaniem, w żadnej sprzeczności z paktem o nieagresji polsko-niemieckim, gdyż nosi charakter czysto obronny. Równocześnie poleciłem ambasadorowi uprzedzić Wilhelmstrasse, że zaraz po powrocie mam zamiar poinformować ambasadora Rzeszy w Warszawie o celach i o charakterze tego układu. Mimo że przybyłem do Warszawy w przeddzień Świąt Wielkiejnocy, poleciłem uprzedzić von Moltke, że gotów jestem go w tej sprawie przyjąć bezwzględnie, odkładając w tym celu mój wyjazd na parodniowy odpoczynek. Ambasada niemiecka udzieliła mętnej odpowiedzi, komunikując najpierw że ambasador zgłosi się w dniu następnym, dodając później, że został zatrzymany w Berlinie. Ambasador Rzeszy nie zgłosił się do mnie nigdy w tej sprawie. Zgodnie z instrukcją oświadczenie ambasadora Lipskiego nie znalazło również żadnej odpowiedzi.

Prezydent R.P., marszałek Śmigły-Rydz i premier Składkowski, na konferencji odbytej na Zamku po moim powrocie, bez zastrzeżeń zaaprobowali to szersze rozwiązanie, które przeprowadziłem

w Londynie. Prasa niemiecka i wiadomości z kół dyplomatycznych zapowiadały publiczne wystąpienie Kanclerza Hitlera w związku z sytuacją europejską. Widoczne było, że Hitler i Rząd Rzeszy unikają przy tym jakichkolwiek kontaktów z nami. Z mej strony miałem sytuację wewnątrzno-polityczną dość obciążoną przez fakt, że w czasie budżetowej sesji parlamentu uchylałem się od zasadniczego *exposé*, uważałem jednak że sytuacja międzynarodowa, a w szczególności stosunki polsko-niemieckie są tak niebezpieczne, że wszelkie przedwczesne wypowiadanie opinii generalnej o położeniu może być nieostrożne i wolałem narazić się na zarzuty w kraju, niż skompromitować interesy naszej polityki zagranicznej. Brałem także pod uwagę, że w Niemczech u Kanclerza Hitlera obok interesów merytorycznych grają dużą rolę interesy sztucznego prestiżu. Już 4 stycznia 1939 roku w Bertechsgaden mogłem wyczuć ze strony Hitlera ambicje organizowania nie tylko Niemiec, ale Europy, a może być i świata. W tych warunkach wolałem zostawić mu pierwsze słowo, zarówno ze względu na taktykę w stosunkach polsko-niemieckich, jak i na przywiązanie świata anglosaskiego i Francji do szczególnej ostrożności w dziedzinie tak zwanej odpowiedzialności za wojnę, i to nie tylko w meritum, ale i w zewnętrznych formach przedstawienia sprawy. 28 kwietnia 1939 roku Kanclerz Hitler w swojej mowie przedstawił żądanie włączenia Gdańska do Rzeszy i eksterytorialności autostrady przez Pomorze, jako żądania nie podlegającego dyskusji, a w dodatku jako żądania: „w przeszłości raz tylko postawionego”. Odczekawszy nadzwyczajne zwołanie Izb Polskich zdecydowałem się postawić całość sprawy wobec Niemiec wobec obywateli Rzeczypospolitej i wobec świata w syntetycznym ujęciu. Po raz pierwszy wypadło mi wyjść ze świadomie narzuconego sobie, węższego omawiania polityki polskiej, którą starałem się oddzielić od doktrynalnych i imperialistycznych zapędów wielkich mocarstw i, w przeczuciu wielkiego zasadniczego starcia idei i interesów, postawić naszą metodę w ramach kryzysu grożącego całej Europie. Pragnąłem unikać zlokalizowania naszych najbardziej żywotnych zagadnień i raz jeszcze miałem na myśli, że tylko jasne postawienie sprawy może być bądź to ostatnim środkiem zapobiegawczym, bądź też drogą do zaangażowania sił naszego kraju w ramach wielkiej wojny koalicyjnej.

Jak wspominałem poprzednio, negocjacje z Rządem Francuskim, mające na celu usprawnienie działania naszego traktatu sojuszniczego przewlekały się dzięki tradycyjnym metodom *Quai d'Orsay*. Zdecydowana poprzednio metoda przeniesienia najpierw punktu ciężkości na rozmowy wojskowe znalazła swój wyraz w misji generała Kasprzyckiego do Paryża. W rezultacie tej misji

podpisany został protokół między generałem Kasprzyckim a generałem Gamelin, który stwierdzał gotowość „do natychmiastowego współdziałania wobec niemożności zastosowania procedury Ligi Narodów”, oraz określił techniczne formy i daty wystąpienia Francji. Protokół ten został mi przez marszałka Śmigłego zakomunikowany. Za najważniejszy szczegół uważałem zobowiązanie Francji do rozpoczęcia generalnej ofensywy w 15 dniu mobilizacji francuskiej. Dochodzące do nas wiadomości, jakoby koncentracja francuska przewidywała zgrupowanie gros sił lądowych przeciwko Włochom, a pozostawienie od strony Niemiec tylko silnej osłony, zostały w owym czasie przez generała Gamelin kategorycznie zdementowane.

Wytworzona sytuacja dawała nam maksimum *reassurance*, na papierze przynajmniej, nie zamykając — jeśli chodzi o nasze stanowisko, tak jak je publicznie sformułowaliśmy — możliwości dalszych rozmów z Niemcami.

Nie miałem natomiast złudzeń, że ujęcie sprawy Gdańska i sprawy autostrady, postawione w mowie Hitlera nie tylko jako jednostronne żądanie, ale opatrzone jeszcze zastrzeżeniem że chodzi tu o przeszłość, a nowe żądania mogą nastąpić, stworzyło sytuację prawie bez wyjścia.

Alianci nasi mimo swych sugestii i zwrócenia w naszym kierunku prób negocjacyjnych, komunikowali nam ocenę raczej pesymistyczną, ze swej strony aktywując gorączkowo negocjacje z Moskwą. W tej sprawie Anglicy pozostawili kierownictwo rokowań o przewodnictwo delegacji Francuzom, nie chcąc wyraźnie brać odpowiedzialności za te sprawy. Moskwa, coraz bardziej wymagająca wobec naszych Aliantów, w stosunku do Polski stosowała daleko idącą uprzejmość. Ustąpienie Litwinowa wnosilo tu nowe elementy. Można było sądzić, że specyficzny uraz psychiczny tego człowieka w stosunku do Polski zniknął z jego odejściem i przyjściem Mołotowa. Mołotow, objawwszy tekę, od razu przystąpił do zlikwidowania zaległych, drobnych spraw spornych i w szybkim tempie doszliśmy do zawarcia korzystnego układu handlowego, rozszerzającego bardzo poważnie naszą wymianę gospodarczą. W ramach układu ze strony sowieckiej przewidziany był import do Polski szeregu surowców, ważnych pod kątem widzenia wojny. W okresie letnim 1939 zawiadomiono mnie że Potiomkin, wracając z Turcji, przejeżdżać będzie przez Warszawę. Pragnąc pójść na rękę polityce Aliantów i dążąc w ramach naszych politycznych możliwości do zapewnienia sobie frontu wschodniego w razie konfliktu z Niemcami, wyraziłem dyskretnie chęć spotkania się z Potiomkinem. Inicjatywa ta została żywo przyjęta i Po-

tiomkin odwiedził mnie w dniu końca czerwca 1939 roku. Rozmowa trwała półtorej godziny. Wynik naszej rozmowy można było streścić w sposób następujący: z mojej strony stwierdziłem, że mam wrażenie iż szereg szeroko rozszerzanych po świecie pogłosek o jakichkolwiek naszych umowach z Niemcami, co do akcji wspólnej przeciw Sowietaom, został przez bieg wypadków kategorycznie zdementowany. Wyraziłem przekonanie, że w ten sposób odpadły przeszkody do kształtowania naszego dobrego sąsiedztwa, nie tylko według litery prawa, ale i ducha naszego układu z 1932 roku. Oświadczenie to podkreśliłem stwierdzeniem, że żadna poważna akcja zbrojna przeciw Sowietaom nie jest możliwa bez naszego udziału. A za tym bezpieczeństwu Sowietów nic nie grozi, z chwilą kiedy w stosunku do nich Rząd Polski takich tendencji nie żywił.

Potiomkin bardzo gorąco podkreślił znaczenie tego faktu i stwierdził, że całkowicie podziela mój pogląd co do interesu, jaki mają Sowiety w stanowisku do Polski. Oświadczył mi, powołując się na upoważnienia swego Rządu, że gdyby Polska stała się obiektem napaści z Zachodu, to może liczyć na całkowitą życzliwość ze strony Związku Sowieckiego; zrobił mi aluzję, że trzeba będzie o tym pomówić szerzej. Zakończyliśmy rozmowę stwierdzeniem, że najlepiej byłoby utrzymać pokój, ale w razie gdyby ktoś ten pokój chciał naruszyć, to wszyscy inni mają wspólny interes w niedopuszczeniu do tego, aby metody agresywne miały decydować o przyszłości Europy.

Nowy ambasador sowiecki w parę dni później zakomunikował mi, że Mołotow z dokładnością inżyniera przestudiował parokrotnie raport Potiomkina o rozmowie ze mną, którą ocenił, jako bardzo pozytywną i określającą te rozsądne ramy, jakie powinny istnieć w stosunkach polsko-sowieckich.

Ambasador w rozmowie dodał: „Mołotow powiedział — ja właściwie bardzo dobrze rozumiem pułkownika Becka”. — Rewanżując się — a było to w dwa dni po pierwszej mowie Mołotowa — odpowiedziałem: „Ja, jeszcze, też dobrze rozumiem Mołotowa”.

Niedługo po tym wydarzeniu Francja i Anglia z inicjatywy francuskiej rozpoczęły konkretne negocjacje w Moskwie o pakt wzajemnej pomocy przeciw Niemcom. Sowiety prowadziły te rozmowy, działając wyrażnie na zwłokę i wykazując w swych żądaniach stałe tendencje do ustalenia gwarancji mocarstw dla szeregu mniejszych państw, nie licząc się zupełnie z pozycją zainteresowanych. Odnosiło się to w szczególności do Państw Bałtyckich. Kiedy negocjacje o układ polityczny zbliżały się do końca,

Rząd Sowiecki zmienił taktykę i zażądał, jako *condition préalable*, zawarcia konwencji wojskowej, deklarując dopiero potem gotowość do podpisania układu politycznego. W tym okresie negocjacji, poza informacjami udzielanymi nam dokładnie ze strony brytyjskiej, a bardzo ogólnikowo ze strony francuskiej, nie spotkał się z żadnej strony z żądaniem wzięcia udziału w rozmowach. Problem ten został dopiero przez Francuzów poruszony, kiedy przyszło do rozmów wojskowych. Oświadczono nam, że prawdopodobnie będzie żądanie polskiego obserwatora przy tych rozmowach. Do Moskwy przybyły misje wojskowe francuska i angielska. Anglicy przewodnictwo i wszystkie sprawy lądowe zostawili Francuzom. Rozmowy wojskowe potoczyły się szybciej. Woroszyłow oświadczył delegacji francusko-brytyjskiej, że Rząd Sowiecki oczekuje od swych partnerów, ażeby uzyskały od Polski zgodę na przemarsz sił sowieckich przez terytorium Polski i to w dwóch rejonach: 1) przez Wilno i 2) przez Małopolskę Wschodnią (Lwów). Generał Douminge, szef misji francuskiej, zajął w pierwszej chwili jedyne, moim zdaniem, słuszne stanowisko, oświadczając, że Polska jest Państwem suwerennym, skutkiem czego tego rodzaju zagadnienie może być omawiane tylko wprost z Polską. Po dłuższej debacie i naradzie Woroszyłowa z Rządem, Woroszyłow oświadczył, że między ZSSR a Polską nie ma umów, które by uzasadniały tego rodzaju wystąpienie, którego też Rząd Sowiecki nie ma zamiaru uczynić pozostawiając kontrahentom załatwienie tej sprawy w Warszawie.

Przewodniczący delegacji wojskowej podjął się tym razem — nie informując nas z góry — wysondowania terenu. Odpowiednia *démarche* została zrobiona nie kanałem wojskowym lecz u mnie, przez ambasadora francuskiego z naciskiem, przez ambasadora angielskiego poparta — dla formy.

Przedstawiłem to zagadnienie najwyższym czynnikom państwowym, oświadczając ze swej strony, że formę wystąpienia sowieckiego uważam za niedopuszczalną, redukowałaby ona Polskę do roli obiektu martwego w tej całej sprawie.

Mój punkt widzenia nie wywołał zastrzeżeń. Wobec tego odpowiedziałem ambasadorom Francji i Anglii, że stanowisko zajęte przez generała Douminge uważam za słuszne i że Rząd Polski inaczej patrzeć na to nie może. Jesteśmy zainteresowani w życzliwym stanowisku Sowietów w ramach ich realnych możliwości w razie konfliktu na Zachodzie, ale nie możemy dopuścić do traktowania naszego terytorium, jako przedmiotu negocjacji między państwami trzecimi. Dla ambasadora angielskiego odpowiedź ta była wystarczająca. Ambasador francuski nalegał na znalezienie jakiegoś wyj-

ścia i sugerował przeniesienie rozmów na negocjacje między sztabami generalnymi. Odpowiedziałem, że w Polsce istnieje jedna polityka i jedna metoda działania państwowego, a zatem Sztab Główny nie może odpowiedzieć nic innego, niż ja. Analogicznej odpowiedzi udzielił generał Stachiewicz attachés wojskowym francuskiemu i angielskiemu. Mimo że dla nas taktyka sowiecka była jasna i nie budząca żadnego zaufania, tym razem zrobiłem jeszcze wysiłek, aby nie utrudniać akcji naszych Aliantów. W wyniku rozmów uzgodniliśmy oświadczenie szefa wojskowej misji francuskiej w Moskwie, brzmiące w ten mniej więcej sposób: Sztaby Generalne Francuski i Brytyjski mają pewność, że w razie konfliktu państw sprzymierzonych z Niemcami wywołanego agresją niemiecką, istnieją podstawy do życzliwego porozumienia między Polską a Związkiem Sowieckim. Ramy tego porozumienia winny być ustalone między obu zainteresowanymi Państwami. O ile mnie pamięć nie myli, Woroszyłow wysłuchał tego oświadczenia bez reakcji. Obrady wojskowe między Woroszyłowem a misją aliancką formalnie zostały odroczone. Bezpośrednio po tym Rząd Sowiecki wydał komunikat o decyzji zawarcia paktu o nieagresji między Niemcami a Sowietami.

W stosunkach polsko-niemieckich od maja 1939 roku nie było żadnej poważniejszej wymiany poglądów. Ambasadorowi R.P. w Berlinie — pragnąc wyczerpać wszystkie środki, które by mogły zapobiec zbrojnemu konfliktowi — poleciłem w ramach godności jego stanowiska, próbować w drodze nieoficjalnych kontaktów informacyjnych nawiązania rozmów. W szczególności poleciłem mu szukać rozmów z marszałkiem Goeringiem, który od 1934 roku był wyraźnie reprezentantem polityki nieagresji w stosunku do Polski. Sposobność nadarzyła się przez fakt zaproszenia ambasadora Lipskiego na cykl polowań przez Goeringa. Ambasador Lipski przyjął zaproszenie i wyraził życzenie podziękowania za nie osobiście. W rozmowie, która miała miejsce w Berlinie, okazało się wyraźnie, że Goering nie ma w polityce zagranicznej Rzeszy tego znaczenia, które miał poprzednio, oraz, że sprawy rozwijają się w sposób niepokojący. W rozmowie tej jedno zdanie Goeringa uderzyło mnie szczególnie: „Panie Ambasadorze — powiedział Goering — nam przecież wcale nie chodzi o Gdańsk — kamieniem obrazy jest wasz alians z Anglią”.

Jeżeli chodzi o zewnętrzne pozory, to jedynie Kanclerz Hitler usiłował utrzymać pewne formy w stosunku do nas. Ambasador von Moltke był właściwie w Warszawie nieobecny, w każdym razie nie zgłaszał się do mnie.

Propaganda niemiecka podjęła przeciw nam kampanię na temat spraw mniejszościowych. Pisma niemieckie podawały codzien-

nie mniej lub więcej zmyślane wiadomości — przykłady przesławiania ludności niemieckiej. Przypominało to przygotowania do akcji, zwróconej przeciw Czechosłowacji. Z drugiej strony przypisywano nam tendencje i zamiary wojownicze. Stwierdzić należy, że z polskiej strony popełniono w tej sprawie pełno nieostrożności. Bezpośrednio po mojej mowie majowej, w której świadomie zastosowałem najdalej idący umiar w obliczu powagi sytuacji, dwóch członków gabinetu wygłosiło niezbyt rozsądne przemówienia, traktując agresywnie nasz stosunek do Niemiec, prawdopodobnie dla dogodzenia zbyt łatwo zapalnym nastrojom opinii, zwłaszcza w dzielnicach zachodnich. Zmusiło to mnie do pisemnego zwrócenia się do Prezesa Rady Ministrów z żądaniem by p.p. ministrowie nie wypowiadali się publicznie w sprawie stosunków do innych mocarstw, inaczej jak w porozumieniu ze mną. Z drugiej strony wojewodowie — w szczególności śląski, Grażyński, i poznański, Bociański, — jakby rywalizowali ze sobą, wydając zarządzenia mało skuteczne jeśli chodzi o zagadnienia mniejszości w prowincjach zachodnich, dostarczające natomiast strawy dla propagandy niemieckiej. Byłem wobec tych wystąpień mimo kilkakrotnych interwencji, dość bezsilny.

Według wiarygodnych źródeł można było przypuszczać, że w okresie letnim Ribbentrop i szereg jego kolegów wywierało presję moralną na Hitlera dla otrzymania ostatecznej decyzji wojny przeciw Polsce, operując dwoma kategoriami elementów: 1) opierając się na przesadnych, bądź wprost kłamliwych danych: przedstawiano Hitlerowi rzekomą martyrologię Niemców w Polsce, wyolbrzymiając lokalne ekscesy, jak na przykład w Tomaszowie Rawskim, do rozmiarów ogólnej polityki wewnętrznej Polski, 2) strasząc Hitlera oburzeniem narodu niemieckiego za „zdradę odwiecznych interesów niemieckich na wschodzie Europy”.

W miesiącach letnich napięcie stosunków polsko-niemieckich wzrosło poza tym skutkiem mnożenia się incydentów granicznych i niedwuznacznej aktywności niemieckiej w Gdańsku.

Na życzenie Rządu Angielskiego rozmowy odbywały się pomiędzy marszałkiem Smigłym a generałem Ironside przy udziale czynnika politycznego, w praktyce z polskiej strony brałem udział ja, a ze strony angielskiej chargé d'affaires Norton. Generał Ironside, który zrobił przez swój prosty język wojskowy jak najlepsze wrażenie w Warszawie, przybywając do nas miał jasno zaznaczone instrukcje swojego Rządu, nie znał natomiast dostatecznie technicznych możliwości angielskich w dziedzinie wojskowej, gdyż wyruszył do Warszawy w parę dni po swym przybyciu do Londynu z Gibraltaru, którego do tej pory był gubernatorem. Gene-

rał Ironside dawał wyraz przekonaniu Rządu Brytyjskiego, że wojna z Niemcami jest nieunikniona i że będzie prowadzona przez Anglię z całą bezwzględnością do końca. Stwierdził poza tym, że Rząd Brytyjski i czynniki wojskowe całkowicie rozumieją i podzielają poglądy polityki polskiej. „Nie można dawać Niemcom sposobności do stworzenia pozorów że zostały sprowokowane, natomiast z całą bezwzględnością należy odrzucić dalsze próby załatwiania siłą przez Niemcy ich niemożliwych do przyjęcia żądań politycznych i terytorialnych”. Ze strony Polski generał Ironside otrzymał wszystkie potrzebne dane co do sił i środków, którymi będziemy rozporządzać w razie najazdu. W szczególności była podkreślana konieczność natychmiastowego współdziałania z nami lotnictwa mocarstw zachodnich, gdyż druzgocąca materialna przewaga niemiecka w tej dziedzinie mogłaby w przeciwnym razie sparaliżować nasz wysiłek obronny. Generał Ironside, uznając słuszność żądań naszych, obiecał przestudiować bezzwłocznie: 1) możliwość przerzucenia sił lotniczych angielskich na terytorium Polski, zastrzegając się jednak iż obawia się, że istniejące, już przygotowane, lotniska we Francji, zaopatrzone w personel techniczny i materiały, co zdwaja niejako obsługę lotnictwa angielskiego, może uczynić trudnym potrojenie niejako tego wysiłku na terenie polskim; 2) uważając jednak związanie sił lotniczych niemieckich za konieczność pierwszego okresu wojny, wyrażał przekonanie, że odpowiednia akcja angielsko-francuska z terenu francuskiego musi natychmiast nastąpić.

Poza tym, uzupełniając rozmowy co do przysłania do Polski sztabowej misji angielskiej, obiecał dostarczenie przez Galacz 100 aparatów bombowych najnowszej typu i ich akcję, mającą na celu zwiększenie obiecaną już skromnej liczby aparatów myśliwskich Hurricane. Poza tym powiadomił nas, że siły zbrojne angielskie na terenie francuskim podlegać będą jednolitemu dowództwu francuskiemu, które jest jedynie miarodajne do przyjmowania zobowiązań i do ich zastosowania. Dodał również, że połowa pokojowej armii angielskiej, znajdującej się normalnie w koloniach i dominiach, w sile około 60 batalionów piechoty (bez wojsk kolorowych) oraz odpowiednia proporcja innych broni, będą skoncentrowane w Egipcie dla dalszego szerokiego strategicznego działania, zależnie od rozwoju wypadków wojennych. Użycie tych sił nie zależy od francuskiego dowództwa. „Być może, że przyjdziemy do was przez Morze Czarne” — zakończył generał Ironside.

Rozmowy wojskowe, jak widać, wzięły kurs bardzo pozytywny, pozwalający na pewien optymizm. Negocjacje, prowadzone przez pułkownika Koca w Londynie, zaplątały się od razu

w dość teoretyczne rozważania na temat systemu walutowego, statutu Banku Polskiego itp.

Druga połowa sierpnia 1939 roku nosi już raczej charakter szybkich, czasem gorączkowych działań, w których Niemcy do swej gry przygotowawczej wprowadzają moment rosyjski. (Rozmowy wojskowe zachodnich Aliantów w Moskwie — o czym mowa wyżej — zakończyły się dopiero 22 sierpnia 1939).

Jak zwykle w takich sytuacjach nastąpił jeszcze szereg dość nieskoordynowanych akcji dyplomatycznych, mających na celu uniknięcie konfliktu. Najpoważniejszą i najpoważniej przez nas traktowaną była próba mediacji angielskiej pomiędzy nami a Niemcami. Anglicy podjęli ją, ostrzegając Niemcy bardzo poważnie o swej ostatecznej decyzji zaangażowania się wojennego w razie napadu niemieckiego na Polskę, lub próby stworzenia *fait accompli* w Gdańsku, naruszającego polskie prawa. Anglicy apelowali do obu stron celem nawiązania bezpośredniej wymiany zdań, zastrzegając z góry bardzo lojalnie swój respekt dla naszych, uzasadnionych tez. Mając na względzie powagę sytuacji i groźne skutki ewentualnego konfliktu potraktowałem mediację angielską pozytywnie, upoważniając Rząd Angielski do oświadczenia w Berlinie, że gotowi jesteśmy, bez względu na istniejące lokalne napięcie, spróbować obiektywnej negocjacji z Berlinem, która nie może oczywiście dotyczyć jednostronnych koncesji z naszej strony, a byłaby prowadzona w duchu rozsądnego kompromisu.

Mniej fortunne były inicjatywy Stolicy Apostolskiej. Skutkiem inicjatywy Msgr. Orsegnino, Nuncjusza Papieskiego w Berlinie, Papież przez Msgr. Cortezi zwrócił się do mnie z propozycją jakiejś wielkiej deklaracji polskiej w sprawie dania mniejszości niemieckiej w Polsce korzystnego reżymu i pozytywnych intencji Rządu Polskiego w tej dziedzinie. Odpowiedziałem, że sprawy te w przeszłości były między nami a Rządem Niemieckim omawiane, ale zawsze na zasadzie wzajemności. Wobec tego możemy rozważyć to, o ile identyczna *démarche* będzie zrobiona w Berlinie, a stolica Apostolska zakomunikuje nam gotowość Rządu Rzeszy do analogicznej akcji. Nuncjusz nie powrócił już więcej do tego tematu. W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku Papież ponownie zwrócił się do nas, tłumacząc, że odstąpienie Pomorza i Gdańska może uratować pokój. Odpowiedziałem, że ogłoszenie tej *démarche* obraziłoby najżywsze uczucia katolickiej większości obywateli mego Kraju. Dodałem, że stanowisko nasze zostało jasno sformułowane i do uznania Stolicy Apostolskiej pozostawiam ogłoszenie lub nie tej *démarche*.

Na apel Prezydenta Roosevelta do Prezydenta Mościckiego,

mający na celu spowodowanie ponownej wymiany zdań pomiędzy nami a Niemcami dla uregulowania spraw spornych, Prezydent Mościcki odpowiedział bezzwłocznie wyrażeniem zgody na ten system szukania wyjścia z niebezpiecznej sytuacji. Kanclerz Hitler uchylił się od odpowiedzi Prezydentowi Rooseveltowi.

Jak wspominałem powyżej, najrealniej traktowaliśmy mediację angielską, uczciwą i rozsądną w formie. W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku Anglicy byli w posiadaniu naszej formalnej odpowiedzi, którą mieli zakomunikować Berlinowi.

30 sierpnia 1939 roku wieczorem ambasador Lipski na prośbę brytyjskiego ambasadora w Berlinie, Hendersona, zwrócił się do mnie, aby niezależnie od naszej pozytywnej odpowiedzi na angielską propozycję mediacji, zrobić jakiś bezpośredni gest z naszej strony w stosunku do Niemców przez ambasadora Lipskiego, ażeby odprężyć sytuację, dla porządku — nie wierząc już w możliwość powstrzymania niemieckiej agresji — poleciłem natychmiast ambasadorowi Lipskiemu zażądać widzenia się z Ribbentropem i oświadczenia mu, że Rząd Polski przyjął angielską propozycję wymiany poglądów w ramach określonych w nocy angielskiej, o czym niewątpliwie Rząd Niemiecki będzie ze szczegółami w najbliższych godzinach poinformowany przez Rząd Brytyjski, jako mediatora w tej sprawie. 31 sierpnia 1939 roku o godzinie 13 ambasador Lipski zażądał natychmiastowego widzenia się z ministrem spraw zagranicznych Ribbentropem. Po zapytaniu przez Weitzsäckera, czy Lipski działa, jako specjalny pełnomocnik, czy jako ambasador, odpowiedział p. Lipski, że jako ambasador wyraża miarodajne opinie Rządu i, że w tym charakterze żąda widzenia. Między godziną 18 a 19 dnia 31 sierpnia 1939 roku ambasador Lipski został przyjęty przez Ribbentropa. Ribbentrop zaaranżował już to przyjęcie — podobnie jak to robił w stosunku do Czechów — tj. z tłumem, zgromadzonym na Wilhelmstrasse, specjalną obsadą gmachu, schodów i wejść przez oddziały SS itp.

Ambasador Lipski wykonał instrukcję, na co Ribbentrop jeszcze raz domagał się specjalnych pełnomocnictw dla ambasadora dla szybkiego rozstrzygnięcia. Ambasador Lipski stwierdził, że działa ściśle w ramach propozycji mediacyjnej brytyjskiej i stanowisko, co do meritum sprawy będzie mógł zająć po zaznajomieniu się dokładnym ze stanowiskiem Rządu Rzeszy.

Ribbentrop obiecał sprawę zreferować Hitlerowi.

1 września 1939 roku o świcie Niemcy — bez żadnych dalszych kroków dyplomatycznych — rozpoczęły działania wojenne przeciw Polsce.

Józef BECK

KOMENTARZE DO HISTORII DYPLOMATYCZNEJ WOJNY 1939 ROKU

Zarządzenia wojskowe polskie, poprzedzające atak niemiecki

Zanim przejdę do działań dyplomatycznych w czasie wojny notuję w krótkości historicum naszych zarządzeń wojskowych. W marcu, w okresie działań niemieckich przeciw Kłajpedzie i Czechom, oraz w obliczu rosnącej koncentracji niemieckiej w Prusach Wschodnich, po porozumieniu między Szefem Sztabu Głównego a Ministrem Spraw Zagranicznych, została zarządzona mobilizacja DOK IX (Brześć nad Bugiem) i oddziały tego korpusu — trzy dywizje piechoty i brygada kawalerii — zostały skierowane na północ od Warszawy, wzdłuż pogranicza Prus Wschodnich. Wobec faktów, że w całej Rzeszy od czerwca 1939 zarządzane zostały daleko idące kroki mobilizacyjne, a zmobilizowane jednostki systematycznie kierowane były ku granicy polskiej, zwłaszcza w rejonie Śląska Górnego, Zachodniego Pomorza i Prus Wschodnich, śledziliśmy z Szefem Sztabu Głównego rozmiar i charakter poruszeń wojska niemieckiego. Szybkie wzrastanie niemieckiej koncentracji od 20 sierpnia 1939 skłoniło nas do zwrócenia się do marszałka Śmigłego-Rydza, który w związku z chorobą wyjechał na *week-end* z Warszawy, z prośbą o powrót dla rozpatrzenia sytuacji.

Po wspólnym jej rozważeniu marszałek Śmigły-Rydz zarządził 24 sierpnia 1939 roku zmobilizowanie wszystkich wielkich jednostek naszej armii, które można było zmobilizować „systemem kartkowym”, bez plakatowania powszechnej mobilizacji. Dawało to około 25 dywizji piechoty i całość lub większość brygad kawalerii wraz z szeregiem formacji specjalnych, a zatem około 3/4 całości polskich sił zbrojnych. Jednostki te w czwartym dniu swej mobilizacji (28 sierpnia 1939) zostały pośpiesznymi transportami skierowane do rejonów koncentracji. Mobilizacja i koncentracja tych sił odbyła się bardzo sprawnie i przewozy były zakończone w ciągu 48 godzin (30 sierpnia 1939).

Wobec ostrzeżeń otrzymywanych dalej od sprzymierzonych, oraz przy naszych bezpośrednich obserwacjach i wobec agresywnego tonu polityki i publicystyki niemieckiej, powszechna mobilizacja została zdecydowana i zarządzona na dzień 30 sierpnia godzina 16-ta. O fakcie tym, w chwili kiedy Rada Ministrów pobie-

rała odnośną uchwałę, powiadomiłem natychmiast wiceministra Szembeka, aby zakomunikował ambasadorom angielskiemu i francuskiemu. W pół godziny później zgłosili się obaj do mnie z namietnym protestem przeciw temu zarządzeniu, zastrzegając, że nie chodzi im o meritum, które jest słuszne, lecz o to że plakaty mobilizacyjne są równocześnie aktem politycznym, który może przyspieszyć wybuch konfliktu. Brak doświadczenia wojskowego ambasadora Kennard'a utrudniał mu zrozumienie mego wyводу, że armia nie ma środków dla wzmocnienia pogotowia, gdyż zakres mobilizacji „kartkowej” został już wyczerpany. W ożywionej dyskusji powiedziałem obu ambasadorom ostro, że mogę się co najwyżej zapytać władz wojskowych, czy rozplakatowanie mobilizacji w Warszawie może być bez szkody dla jej wykonania powstrzymane do wieczora, oraz, że mogę nałożyć cenzurę na prasę i telegramy, ale uprzedzam ich, że ich Rządy byłyby odpowiedzialne, gdyby w razie napaści na nas zabrakło około 10 dywizji piechoty na polu walki. Uprzedziłem ich, że osobiście żądań żadnych w stosunku do wojska stawiać nie będę, gdyż jako dawny oficer muszę mieć dziś już tylko bezpieczeństwo Państwa na uwadze. Attachés wojskowi — francuski i brytyjski — wystąpili z analogiczną *démarche* u Szefa Sztabu Głównego, który powstrzymał na parę godzin rozlepianie afiszów mobilizacyjnych. Ze swej strony natychmiast po wyjściu ambasadorów, zwróciłem się telefonem „dyrektorskim” do marszałka Śmigłego, komunikując mu „z obowiązku sprawozdawczego” o *démarche* ambasadorów, o tym że nie zrobiłem im żadnej nadziei poza prasą i że wobec powagi sytuacji biorę na siebie trudności dyplomatyczne, jeśli marszałek uważa że utrzymanie zarządzenia jest konieczne. Marszałek po zbadaaniu sprawy z generałem Stachiewiczem zakomunikował mi około godziny 18-tej 30 sierpnia 1939, że wobec faktu, iż zarządzenie mobilizacyjne wydane było, a może być rozplakatowane stosunkowo później, zwłoka do dnia następnego nie wprowadzi właściwie głębszej zmiany, gdyż jednostki i formacje mobilizowane plakatami i tak dopiero będą gotowe za kilka dni, a wszystkie, które już zostały zmobilizowane, znajdują się już w rejonach koncentracji. Wobec tego marszałek zdecydował przesunięcie mobilizacji o jeden dzień. Zakomunikowałem to niezwłocznie Aliantom, dodając, że jest to najwyższy wysiłek ze strony władz wojskowych dla uzgodnienia taktyki z Aliantami, że osobiście nie byłem zwolennikiem dalszej zwłoki, mam jednak nadzieję, że Państwa sprzymierzone, oceniając naszą zimną krew, ze swej strony odpowiedzą przyspieszeniem swoich zarządzeń wojskowych. W tym czasie rząd francuski zawiadomił nas, że mobilizując nowych 600.000 ludzi wyczerpał ze swej strony „mobilizację indywidualną”. Dal-

szym krokiem może być we Francji tylko mobilizacja powszechna. Anglia jednocześnie zmobilizowała kompletnie flotę.

W o j n a

Działania lotnicze niemieckie rozwijały się planowo w następującym porządku: 1) atak na lotniska, 2) bombardowanie dworców, linii kolejowych i węzłów drogowych, 3) składów broni i przemysłu wojennego.

Rządy francuski i angielski przyjęły naszą *démarche* przez ambasadorów w sposób nie budzący wątpliwości że powstał *casus foederis*, niemniej zasadnicze decyzje wojenne opóźnione były przez zastosowanie dawnej procedury rad gabinetowych, uchwał Izb, itp. Francja zarządziła powszechną mobilizację, wyznaczając 2 września 1939 jako pierwszy dzień mobilizacji. Termin ten był dla nas szczególnie ważny, gdyż umowa francusko-polska przewidywała generalną ofensywę francuską wszystkimi siłami na 15 dzień mobilizacji francuskiej (protokół Gamelin-Kasprzycki). Jak ze strony francuskiej i angielskiej stwierdzono otwarcie — rząd angielski domagał się w Paryżu pośpiechu w postawieniu ultimatum Niemcom i wypowiedzenia wojny w niewątpliwym wypadku odrzucenia tego ultimatum. Według informacji od ambasadora francuskiego Halifax miał oświadczyć dnia 2 września 1939 Francuzom, że Rząd Jego Królewskiej Mości czuje się już prawie niehonorowym, gdyż zobowiązał się do pomocy natychmiast. Dnia 3 września we wczesnych godzinach rannych Anglia postawiła Niemcom dwugodzinne ultimatum z żądaniem zaprzestania działań wojennych i wycofania wojsk z terytorium Polski i obszaru W. M. Gdańska. Francja uczyniła to samo w parę godzin później, dając dłuższe ultimatum do wieczora. Przed południem 3 września 1939 Chamberlain oświadczył w Izbie Gmin przez radio, że nie otrzymał pozytywnej odpowiedzi od Rządu Rzeszy i że Anglia znajduje się w stanie wojny z Niemcami. Francuskie wypowiedzenie wojny przyszło we wczesnych godzinach wieczornych.

Dnia 3 września 1939 w nocy poseł holenderski w Warszawie, żądając natychmiastowej audiencji, zawiadomił mnie, że Rząd Rzeszy za jego pośrednictwem komunikuje, że dowództwo niemieckie wydało rozkaz swemu lotnictwu bombardowania jedynie obiektów mających znaczenie wojskowe i powstrzymania się od bombardowania miast otwartych, o ile dowództwo polskie wyda analogiczne zarządzenia. Ponieważ na kilka dni przed wojną nastąpiła pufna wymiana not pomiędzy nami a Wielką Brytanią co do

sposobu prowadzenia wojny lotniczej, w sposób jeszcze bardziej dbający o oszczędzanie życia i mienia ludności cywilnej — byłem w możności odpowiedzieć natychmiast, że tego rodzaju rozkazy są w armii polskiej wydane i będą dotrzymane.

Z godziny na godzinę przybywały wiadomości o ogłoszeniu przez szereg państw neutralności, które w dość niejednolity sposób dawały interpretacje swej neutralności. W stosunku do Litwy w pierwszym lub drugim dniu wojny z naszej strony uczyniliśmy krok, zapewniający temu Krajowi ściśle respektowanie jego neutralności przez naszą siłę zbrojną. Stanowisko Litwy było w pierwszym okresie w stosunku do nas bez zarzutu. Węgry zdecydowanie potwierdziły swą neutralność, zapewniając odmowę użycia ich terytorium jako bazy działań wojennych. Słowacja, jako bierne narzędzie w ręku Niemiec, nie miała własnego oblicza. Od pierwszego dnia wojny wojska niemieckie uderżyły od południa na nasze terytorium od granicy słowackiej w kierunku Śląska Cieszyńskiego i Nowego Targu.

Zachowanie się ambasadora sowieckiego nie pozostawiało nic do życzenia, zdradzał on nawet chęć do rozmów, co do możliwości dowozu pewnych towarów przez ZSSR.

Obok zarządzeń, wynikających z obowiązków mego resortu, zwróciłem się od początku z zapytaniem do marszałka Śmigłego, czy nie należałoby natychmiast sformować Rządu wojennego, którego organizacją, jako grupy politycznej ministrów z udziałem Naczelnego Wodza jako członka gabinetu, była przez marszałka Piłsudskiego z Prezydentem R.P. i wszystkimi po-majowymi premierami przepracowana i uzgodniona. Z przyczyn mi nieznanych marszałek Śmigły nie przychylił się do mego projektu, przesądzając tym samym stanowisko premiera Składkowskiego w tej sprawie. Wobec zatrważającej formy niemieckiej ofensywy, której decydującym elementem było masowe współdziałanie lotnictwa i wojsk pancernych z nacierającymi jednostkami piechoty i planowego niszczenia kraju przez lotnictwo, szybko zaczynała się zarysowywać ewentualność ewakuacji Rządu z Warszawy. Było to przewidziane i przepracowane na szereg tygodni przed wybuchem wojny, jednak prace te były powierzone delegatom ministerstw w niższych szczeblach służbowych, pod przewodnictwem wyższego urzędnika z Prezydium Rady Ministrów, tak że przygotowania te poza wyznaczeniem rejonów dla poszczególnych ministerstw i przygotowaniem z grubsza organizacji poszczególnych resortów i podziału ich na eszelon ciężki i sztab ścisły, niewiele było zrobione. Kiedy dowiedziałem się — o ile pamiętam w lipcu (1939) — że dla Prezydenta R.P. i centralnego ośrodka (Rządu) wyznaczony jest Lublin, a dla ministerstwa Spraw Zagranicznych Nałęczów i Kazimierz

nad Wisłą, zwróciłem uwagę marszałkowi Śmigłemu na fakt, że rejon ten nie posiada telekomunikacji kablowej, a łączność drutowa co najmniej jest nie wystarczająca. Proponowałem, że sprawy te omówię bliżej z odpowiednimi organami Rządu i wojska, ale otrzymałem odpowiedź, że marszałek sam wyda zarządzenia. Ze swej strony poczyniłem pewne zarządzenia w Nałęczowie. Wspomniana już szybkość działań wojennych niemieckich i niemożność opanowania ich przez nas, wobec druzgoczącej przewagi liczebnej i materialnej (technicznej), wyłoniła wątpliwości, czy rejon Lublina będzie mógł normalnie służyć do planowego przesunięcia najwyższych władz i zorganizowania tam ich działalności. W obliczu tych dwóch zjawisk — rozmiarów ofensywy niemieckiej i wątpliwej przydatności terenu Lublina — wysunąłem wobec marszałka Śmigłego myśl powzięcia decyzji bardziej radykalnej, w razie gdyby powstała konieczność ewakuacji, a mianowicie przeniesienie stolicy do Lwowa. Rozmowa z marszałkiem Śmigłym miała miejsce w Kwaterze Głównej na Rakowieckiej. Marszałek zastanowił się nad sprawą ewentualnego przeniesienia stolicy do Lwowa bez większej sympatii dla mojej myśli i później zawiadomił mnie, że nie sądzi aby było to wskazane. Mniej więcej równocześnie (między 3-6 września) Prezes Rady Ministrów wydał zarządzenie przygotowania, a potem wykonania ewakuacji ciężkiego eszelonu ministerstwa Spraw Zagranicznych, co uzupełniłem poleceniem ewakuacji korpusu dyplomatycznego w rejon Lublina. Orientując się, że przy tym biegu wypadków na żadną rozsądną pracę Rządu nie mogę liczyć, zaproponowałem marszałkowi Śmigłemu, że powierzając na terenie Nałęczowa wiceministrowi Szembekowi kierownictwo biur MSZ oraz kontakt z korpusem dyplomatycznym, sam osobiście sformuję minimalny ilościowo mój sztab polityczny i techniczny (własna radiostacja nadawczo-odbiorcza oraz szyfry) zdolny do poruszania się nie więcej niż na 10 samochodach i pozostanę w Warszawie tak długo, dopóki będzie tam Kwatera Główna, a następnie będę przesuwiał moje miejsce postoju równoległe z Naczelnym Dowództwem. Jako motyw podałem koalicyjny charakter wojny, wymagający najściślejszej koordynacji dowództwa wojskowego z polityką zagraniczną, dodając że moja radiostacja zapewni także wojsku łączność ze światem. Projekt ten został przyjęty.

Skutkiem specyficznego charakteru tej wojny wypadki nie dały długo na siebie czekać. Zanim nastąpił rozkaz opuszczenia Warszawy przez naczelne władze Państwa było już jasne, że teren Lublina jest nie do wyzyskania dla zamierzonych celów. Od Prezesa Rady Ministrów Składkowskiego otrzymałem osobiście polecenie, jeszcze 4 września 1939, przygotowania ewakuacji ciężkie-

go eszelonu, a w dniu następnym, 5 września 1939, nową decyzję przesunięcia Rządu na Wołyń z centralą do Łucka, z tym, że dla MSZ i korpusu dyplomatycznego przeznaczony był pierwotnie Włodzimierz Wołyński, a następnie Krzemieniec. Komisarzem dla spraw ewakuacji został wyznaczony wojewoda poznański Bociański, który tę zmianę zarządził. Orientując się w trudnościach technicznych, nie próbowałem wprowadzać nowego zamieszania. W myśl zarządzeń tych nastąpiło przesunięcie MSZ i korpusu dyplomatycznego do Nałęczowa, następnie do Krzemieńca. Wśród największych trudności ewakuowano biura ministerstwa Spraw Zagranicznych, urzędników i ich rodziny. W nocy z 6 na 7 września 1939 otrzymałem od Prezesa Rady Ministrów *préavis* (awizo), że na żądanie Naczelnego Wodza Prezydent R.P. i Rząd, który pozostał w Warszawie jedynie z najszczuplejszym Sztabem urzędników, musi być gotowy do opuszczenia miasta z powodu: a) przedarcia się niemieckiej pancernej dywizji z kierunku Łódź-Łowicz na Warszawę oraz b) skutkiem powtarzającego się bombardowania mostów. Zawiadomiłem zatem Prezesa Rady Ministrów że, w porozumieniu z Naczelnym Dowództwem, powierzam wiceministrowi Szembekowi kierownictwo normalnego urzędu, sam do dalszych decyzji będę się poruszał z Kwaterą Główną, szukając jak najczęściej łączności z Prezesem Rady Ministrów. Wobec tego, że w godzinach wieczornych 6 września 1939 Naczelnny Wódz nie był dokładnie zorientowany w sytuacji na froncie a, niezależnie od zarządzanej w ciągu nocy ewakuacji Rządu, nie wykluczał pozostawienia Kwatery Głównej w Warszawie, pozostawiłem łącznika w Kwaterze Główniej, zatrzymując swój „zmotoryzowany sztab” w gmachu MSZ. O godzinie.. otrzymałem telefon od Prezesa Rady Ministrów i od łącznika mego w Kwaterze Główniej, że Rząd i Kwatera Główna mają niezwłocznie opuścić Warszawę. Były przy tym wyznaczone punkty i godziny poruszania się. Zgodnie z planem przesunąłem się ze swoim najściślejszym sztabem w pobliże Kwatery Głównej do Brześcia nad Bugiem. W Brześciu łączność radiowa MSZ została w ciągu dwóch godzin nawiązana lecz depesze dochodziły niekompletne wobec przeciążenia stacji i faktu, że wzięliśmy na siebie łączność z attachés wojskowymi. W Brześciu akcję dyplomatyczną skoncentrowałem na następujących zagadnieniach: a) nacisk na Zachodnie Mocarstwa (Anglię i Francję) w kierunku rozpoczęcia akcji lotniczej i przyspieszenia akcji lądowej, wobec faktu, że prawie całość sił zbrojnych niemieckich działa w Polsce, co grozi katastrofą. Komunikaty z frontu zachodniego wskazywały na kompletny brak aktywności Francuzów. Otrzymałem potwierdzenie, że ambasadorowie nasi w Londynie i w Paryżu posuwali się prawie

do brutalnych form, przedstawiając ten stan rzeczy, b) na szukaniu dróg dowozu amunicji i materiałów pędnych dla armii przez aktywowanie rozmów z Sowietami, oraz wysłanie odpowiednich misji technicznych i finansowych do krajów sprzymierzonych, c) na domaganiu się akcji dyplomatycznej Aliantów w Kownie, wobec meldunków posła Charwata, że Niemcy rozwijają gwałtowną działalność, mającą na celu sprowokowanie Litwy do zajęcia Wilna i Wileńszczyzny.

W Brześciu uzyskałem połączenie telefoniczne z wiceministrem Szembekiem, który mi komunikował, że przybył do Krzemieńca z biurami MSZ i korpusem dyplomatycznym, że ma znaczne trudności z opanowaniem sytuacji, gdyż korpus dyplomatyczny okazuje tendencje do opuszczenia terytorium Polski, motywując to brakiem kontaktu z Rządem, co p. Szembek interpretował, jako brak kontaktu ze mną, oraz że ambasador francuski wystąpił z bardzo poważną sugestią przeniesienia najwyższych władz państwowych Polski do Francji na wypadek gdyby przewaga sił niemieckich doprowadziła do załamania naszego zbrojnego oporu. W związku z tym ambasador francuski w pierwszym etapie sugerował takie przesunięcie korpusu dyplomatycznego i MSZ ku południowi, ażeby tego rodzaju decyzje, o ile by zapasć miały, mogły być zrealizowane. Wiceminister Szembek dodawał, że wobec nastrojów korpusu dyplomatycznego jest sam już bezsilny i tylko moje przybycie do Krzemieńca może naprawić sytuację. Wspomniał przy tym lekko, że korpus dyplomatyczny rozszerza szereg niepokojących wiadomości co do postawy Sowietów. Waga tego meldunku skłoniła mnie do powzięcia decyzji odłączenia się od Kwatery Głównej i przeniesienia mego miejsca postoju do Krzemieńca.

W godzinach popołudniowych, 9 września 1939, udałem się do Kwatery Głównej w twierdzy Brześć dla omówienia tego zagadnienia. W chwili mego przybycia dowiedziałem się, że marszałek Śmigły zajęty jest przy Hughesie. Równocześnie powiadomiono mnie, że generał Sosnkowski został mianowany ministrem koordynacji gospodarki wojskowej w charakterze wicepremiera, nie objął jednak swych funkcji, lecz przybył do Kwatery Głównej. Korzystając ze sposobności odwiedziłem generała Sosnkowskiego. Zastałem go w stanie wielkiego podniecenia. Zwrócił się on do mnie mówiąc, że jest i będzie lojalnym wobec Naczelnego Wodza, który jedynie ma prawo pobierać decyzje, jednak mnie — jako Ministra Spraw Zagranicznych, a przede wszystkim, jako starego żołnierza — chciałby najpoufniej zaznajomić z tym co zamierza powiedzieć marszałkowi Śmigłemu. Generał Sosnkowski był zdania, że kampania jest przegrana i że należy przesunąć Rząd

i te jednostki, które jeszcze można oderwać od nieprzyjaciela i skierować w nowym kierunku w obszar południowo-wschodni, aż do Rumunii, szukając drogi która by pozwoliła na przyszłość odbudowę Polskich Sił Zbrojnych na terenie Aliantów. Uważa on jednak, że jest już prawie za późno na wykonanie tej decyzji, ponieważ jednostki nasze pozostawały zbyt długo na północnym zachodzie (armie Kutrzeby i Bortnowskiego). Podkreślał przy tym Sosnkowski raz jeszcze: mam prawo i obowiązek przedstawić mój pogląd; decyzja należy do Naczelnego Wodza; swoje ministerstwo uważa za bezprzedmiotowe, prosił o poufność rozmowy, wyrażając przy tym zadowolenie, że może wymienić poglądy z Ministrem Spraw Zagranicznych. Odpowiedziałem generałowi Sosnkowskiemu: „Szczerość za szczerość!”. W Warszawie proponowałem przeniesienie stolicy do Lwowa z motywów wspomnianych powyżej. Uważam, że myśl jest słuszna. Rozumiem, że moralnie dla Prezydenta, marszałka, czy Rządu, tak dalekie przewidywania najgorszych ewentualności są trudne, jednak, ja, jako ten Minister który w obliczu sytuacji międzynarodowej ma obowiązek najdalej przewidywać, gotów jestem to zagadnienie zgłębić. Będę dziś rozmawiał z marszałkiem Śmigłym i następnie wyjeżdżam dla opanowania paniki pośród korpusu dyplomatycznego i rozważenia jakie mamy środki dla przygotowania przyszłości. Zapewniłem generała Sosnkowskiego, że jego wynurzenia traktuję oczywiście poufnie i personalnie, jako wyraz wspólnej troski o przyszłość losu Rzeczypospolitej w obliczu tak groźnej sytuacji.

W ciągu dalszych dwóch godzin nie miałem możliwości zobaczyć marszałka Śmigłego; zobaczywszy go wieczorem, usłyszałem już powzięte decyzje. Marszałek Śmigły nie wspomniał nic o rozmowie z generałem Sosnkowskim, ani o swoich zamiarach dalszego prowadzenia kampanii. Powiedział mi tylko, że wobec tego co się stało na froncie, zdecydował dalszy plan kampanii i wydał już odpowiednie rozkazy. Plan polega na tym, że armie generałów Kutrzeby i Bortnowskiego mają uderzyć w kierunku Łęczyca-Łódź-Kutno, a następnie otworzyć sobie drogę do Warszawy. Przesunięcie tych armii na wschód od Wisły nie wydaje się możliwe. Warszawa ma rozkaz bronić się tak długo, jak wystarczy amunicji i żywności. Wszystkie inne siły, począwszy od broniącego się jeszcze do poprzedniego dnia Osowca, Białegostoku i innych punktów nad Narwią i Biebrzą, siły znad Bugu oraz jednostki odwodowe, a w pierwszej linii świeża i świetna pod względem kadr i wyposażenia 35 dywizja piechoty, sformowana z kadr Korpusu Ochrony Pogranicza, znajdująca się na północny wschód od Brześcia nad Bugiem, otrzymują rozkaz wycofania się, o ile możliwości transportami kolejowymi, lub ostatecznie marszami w kie-

runku na Małopolskę Wschodnią celem zatrzymania cofającej się armii generała Fabrycego. Jeżeli to technicznie będzie możliwe, to bataliony marszowe będą przesunięte w tym samym kierunku. Bitwa dwóch armij na zachód od Warszawy stworzyć musi wielki akt wojenny, wyprowadzający nasze armie z czystej taktyki odwrotowej. Siły zaangażowane są tak poważne, że skrwawią się same, ale narażą Niemców na tak duże straty, że będzie to ważyć na dalszych losach wojny.

Omawiając te decyzje, skonstatowałem, że nie jest moją rzeczą wypowiadanie opinii o sposobach militarnego prowadzenia wojny, mimo że jako stary oficer sztabu generalnego jestem czasem wodzony na pokuszenie. Z chwilą jednak, kiedy decyzja jest powzięta i rozkazy są wydane, mogę tylko skonstatować, że na podstawie swego dzisiejszego dnia spędzonego w Kwaterze Głównej, nabrałem przekonania że bez mej obecności w Krzemieńcu: 1) nastąpi przedwczesne opuszczenie naszego terytorium przez korpus dyplomatyczny i 2) że wobec wyraźnej już operacji wojennej dalszą akcję dyplomatyczną mogę skutecznie prowadzić po wysłuchaniu wiadomości, które korpus dyplomatyczny otrzyma od swych rządów. Wobec tego mam zamiar przejechać do Krzemieńca, gdzie zrobię wszystko, aby ułatwić drogę koncesji i dostaw zagranicznych, ale sądzę że będę musiał przygotowywać dyplomatyczne wyjście na wypadek gdyby wszystkie nasze wysiłki wojskowe nie pozwoliły na zatrzymanie natarcia niemieckiego. W końcu rozmowy marszałek Śmigły zawiadomił mnie, że przewiduje dalszy ruch Kwatery Głównej, przy czym będzie to Kowel, mówi mi o tym dla przyszłej łączności.

W dniu następnym, 11 września 1939, przyjechałem do Krzemieńca i skonstatowałem od razu, że nastroje korpusu dyplomatycznego miały głębokie podłoże psychiczne, poza rozumowaniem politycznym i dlatego doszedłem do przekonania, że sugestia wiceministra Szembeka była słuszna. W ciągu przedpołudnia udało mi się nastroje korpusu opanować przez krótką przemowę do zebranych szefów misyj dyplomatycznych, w której wyjaśniając im nowy i specyficzny charakter wojny, podziękowałem w imieniu Rządu, że mimo tego z poświęceniem osobistym spełniają swój obowiązek, co Państwo nasze i nasz Naród ocenić potrafią. Mimo skromności mego przemówienia i unikania momentów politycznych, Nuncjusz, widocznie w porozumieniu z kolegami, zabrał głos i niedwuznacznie oświadczył, że opinia Rządów, które są tu reprezentowane, musi sądzić obiektywnie ale i sprawiedliwie wydarzenia i że korpus dyplomatyczny akredytowany w Polsce pragnie w każdej sytuacji spełnić swe zadanie wobec Kraju, który broni swych praw i swej godności. Po tym wstępie nastąpiły

rozmowy polityczne. Z ambasadorami sprzymierzonymi, których przyjąłem wbrew dotychczasowej praktyce razem, poruszyłem dwie zasadnicze myśli: 1) że z ubolewaniem stwierdzam, iż obowiązek natychmiastowej pomocy w moim przekonaniu nie został wykonany, co się stać może ze szkodą dla wspólnej sprawy — wystarczy przytoczyć samo zagadnienie lotnictwa niemieckiego, które paraliżuje naszą obronę, 2) oświadczyłem, że niezależnie od tego co jako Polak muszę w tej chwili odczuwać, pragnąłbym wznieść się na poziom obiektywizmu i tu proszę obu ambasadorów, aby powtarzając moje zastrzeżenia, zakomunikowali swym Rządom, że oceniam długofalowość ich prac i zapowiedź wojny na 3 lata, ale obawiam się, że mocarstwa zachodnie zbyt wiernie powtarzają koncepcje poprzedniej wojny europejskiej, kiedy sytuacja nie była taka sama. Najślabszym punktem Niemiec jest ich sytuacja wewnętrzna i przyzwyczajenia ludności do zbyt łatwych zwycięstw politycznych, psychologicznych czy wojennych i mała odporność reżymu na jakiegokolwiek niepowodzenia. Że w 1914 roku rezerwy ludzkie i materiałowe Niemiec były niepomniernie większe, dzięki poprzedniemu okresowi *prosperity* i przez dysponowanie generacją wypoczętą i wychowaną w dobrych warunkach. Dziś walczy natomiast zmęczony świat. Rozumiem, że groźba długiej wojny jest dla kierowniczych mężów stanu w Niemczech bardzo niebezpieczna. Rozumiem, że działanie propagandy ma swoje znaczenie, ale jako człowiek znający być może lepiej Niemcy, a zwłaszcza kierowników Trzeciej Rzeszy, niż wielu innych polityków w Europie, muszę stwierdzić że atak bombowy na fabryki lotnicze, czy węzły kolejowe jest dla mentalności tego narodu lepszą propagandą, niż papiery zrzucone z samolotów. Prosiłem obu ambasadorów, aby zakomunikowali swoim Rządom tę opinię, jako próbę oceny sytuacji *en gros*, a nie pretensje polskie z powodu niedostatecznego wykonania zobowiązań. Obaj ambasadorowie byli wyraźnie wstrząśnięci i obiecali najdokładniej relacjonować tę rozmowę swoim Rządom. Ambasador francuski, oddzielnie, dał wyraz swemu niepokojowi co do stanowiska Sowietów. Wobec tego, że ambasador sowiecki zaraz po nim zapowiedział wizytę, odroczyłem dalszą rozmowę na ten temat. Ambasador sowiecki 11 września 1939 w południe zgłosił się do mnie oświadczając, że jego łączność z Rządem w Moskwie jest pod względem technicznym nie wystarczająca wobec powagi sytuacji, i dlatego pragnie on wyjechać do Szepietówki dla telefonicznego skomunikowania się z Moskwą. Dodał przy tym, że zostawia sekretarza ambasady, jako *chargé d'affaires*, że jeśli Rząd Sowiecki zadowolony się rozmową telefoniczną, to wróci pojutrze, jeśli wezwany będzie do Moskwy, to powróci za tydzień. Wobec tego, że spra-

wy różnych dostaw z Rosji są aktualne wydał on na własną odpowiedzialność wizę dla pułkownika Zaborowskiego dla wyjazdu do Moskwy celem negocjacji o zakup materiałów sanitarnych i innych. Nie mógł tylko, zgodnie ze swoimi instrukcjami, dać wizy pułkownikowi Kowalewskiemu, jako oficerowi który już był oficjalnie w Moskwie poprzednio akredytowany. Poza tym dał wyraz swemu optymizmowi, co do rozszerzenia dostaw sowieckich dla Polski.

12 września o świcie ambasador Szaronow z attaché wojskowym i kilkoma osobami wyjechał samochodem do Szepietówki.

Komunikując ambasadorowi francuskiemu moje wrażenia, raczej mieszane, z rozmowy z ambasadorem sowieckim, usłyszałem od p. Noëla wiadomość, że jego kolega z Moskwy obawia się, że Sowiety mogą dążyć do wywołania rozruchów ukraińskich w Małopolsce Wschodniej, aby szukać pretekstu do interwencji w tej sprawie. Wiadomości te w sprawozdaniu z rozmowy i z opinii w korpusie dyplomatycznym wysłałem specjalnym kurierem dla Naczelnego Wodza 11 września późną nocą.

Wiadomości o mobilizacji kilku roczników w zachodnich okręgach sowieckich przysłyły dość mętne, a ambasador Grzybowski w swej depeszy, wyrażającej pewne obawy co do chęci wykorzystania sytuacji przez Sowiety, nie sądził aby zarządzenia mobilizacyjne były wystarczające dla poważnego zaangażowania wojennego. Dyskutując te wszystkie zagadnienia z ambasadorem francuskim i nie mogąc ze względu na odległość i brak połączeń telefonicznych skomunikować się z Prezydentem R.P., Premierem i Naczelnym Wodzem, na własną rękę powróciłem do zakomunikowanej mi przez wiceministra Szembeka *démarche* francuskiej, co do przeniesienia siedziby naczelnych władz państwowych polskich na teren Francji, na wypadek załamania militarnego i zażądałem konkretnie, aby ambasador Noël w moim imieniu zapytał, czy Rząd Francuski jest gotów w razie potrzeby udzielić Szefowi Państwa i Rządowi Polskiemu prawa eksterytorialnego (*le droit de résidence*) we Francji, na zasadzie precedensu belgijskiego z 1914 roku. Dodałem przy tym, że praktycznie widzę tranzyt z Rumunii na okrętach, czy eskadrze wojennej francuskiej lub angielskiej, która w jednym z portów rumuńskich weźmie na pokład Prezydenta R.P. i przynajmniej kilku członków Rządu, aby przeniesienie władzy odbyło się legalnie. Ambasador francuski odpowiedział mi, że nie ma najmniejszej wątpliwości i że Rząd Francuski udzieli wszystkich żądanych ułatwień i że zażąda natychmiast formalnego potwierdzenia układu. Poza tym dyskutowaliśmy nad tym, czy flota angielska czy też francuska mogłaby pierwsza zrealizować ten plan. Ambasador francuski dodał, że Prezy-

dent i Rząd, wstępując na pokład okrętu Państwa sprzymierzonego korzystać będą z prawa *droit de résidence*. Wezwałem niezwłocznie ambasadora brytyjskiego i poinformowałem go o tej *démarche*, aby uprzedził Rząd Angielski zaznaczając, że rezerwuję sobie zwrócenie się do Rządu Brytyjskiego o przysłanie okrętu wojennego.

Nuncjusz Apostolski, który rezydował wspólnie z Kardynałem Hlondem na plebanii w Krzemieńcu zwrócił się do mnie z dość dziwną myślą swego powrotu do Warszawy z chwilą, gdy korpus dyplomatyczny zmuszony byłby opuścić terytorium Polski. Odpowiedziałem, że nie jest moją rzeczą wchodzić w misje duchowne, powierzone przez Ojca Świętego wysokim dygnitarzom Kościoła, obawiam się jednak, że tego rodzaju krok mógłby wywołać poważne nieporozumienia, co do pozycji Stolicy Apostolskiej wobec tego co z najazdu na teren Polski wyniknie.

Wieczorem dnia 11 września 1939 o godzinie 19 otrzymałem telefon od Prezesa Rady Ministrów z Łucka wzywający na konferencję do Prezydenta do Ołyki. Premier dodał, że Naczelnny Wódz będzie obecny. Wyjechałem natychmiast, przybyłem jednak dopiero 12 września z opóźnieniem wobec odległości i trudności komunikacyjnych. Marszałek Śmigły informował Prezydenta o stanie operacji na froncie, jednak były to informacje detaliczne, przy braku ujęcia syntetycznego i braku jakichkolwiek konkluzji i wniosków. Musiałem zadowolić się stwierdzeniem, że nie unikniemy bardzo radykalnych decyzji, mających na celu utrzymanie pozycji naszego Państwa w ramach koalicji. Wspomniałem o sugestjach francuskich i zarezerwowałem sobie sprawę powrotu do tego tematu. Naczelnny Wódz i Prezydent Rzeczypospolitej nie okazali skłonności do rozwijania tego tematu.

W ciągu dnia 13 września 1939 usiłowałem nawiązać łączność z Prezesem Rady Ministrów generałem Składkowskim, urzędującym w Łucku, gdzie na radach gabinetowych zastępował mnie pozostawiony w charakterze łącznika p. Arciszewski. W związku z bombardowaniem lotniczym łączność nie była możliwa. Poselstwa akredytowane przy naszym Rządzie wysłały delegację w składzie posłów estońskiego, łotewskiego i węgierskiego, która najpierw u Nuncjusza, a następnie u mnie domagała się ewakuacji korpusu dyplomatycznego, wobec faktu że bezpieczeństwo nie może być gwarantowane. Ambasadorowie, oraz *chargés d'affaires* egipski, jako *belligérent*, powstrzymali się od tej *démarche*. Za pośrednictwem Nuncjusza Papieskiego, którego wezwałem w godzinach wieczornych, zakomunikowałem szefom misji, że nie mogąc ich zabezpieczyć przed atakami lotniczymi, pozostawiam im wolną rękę co do pozostania lub wyjazdu z Polski. Zlecenia im

dać nie mogę, ponieważ polityczne znaczenie ich misji zależne jest od ich własnej oceny. Wobec tego oświadczenia posłowie opuścili Krzemieniec, udając się do Rumunii; ambasadorowie oświadczyli natomiast, że dopóki ja pozostaję, uważają za swój obowiązek reprezentować czynnie Szefów swoich Państw.

Następnej nocy z 13 na 14 września 1939 o godzinie 00.30 przybył dyrektor Tadeusz Kobylański z pułkownikiem Biegańskim i oświadczyli, że Kwatera Główna i Rząd oraz oddziały pancerne i przeciwlotnicze, towarzyszące Kwaterze Głównej są w pełnym odwrocie i domagali się ode mnie zarządzenia natychmiastowej ewakuacji w kierunku granicy rumuńskiej. Odpowiedziałem tym panom, że nie mam zwyczaju wycofywać się bez rozkazu. Podobne sugestie uczynił mi tegoż dnia francuski generał Faury, szef francuskiej misji wojskowej — które również odrzuciłem.

O godzinie 6.45 dnia 14 września 1939 dyrektor Gwiazdowski doręczył mi pisemny meldunek z zawiadomieniem, że Prezes Rady Ministrów, generał Składkowski, zarządził natychmiastową ewakuację MSZ do rejonu Kosów-Kuty. Wiceminister Szembek dodawał od siebie, że wydał rozkazy ewakuacji i że uprzedził korpus dyplomatyczny. Tytułem komentarza p. Szembek zawiadomił, że formacje pancerne niemieckie przeszły na północ i na południe od Lwowa, grożąc przecięciem komunikacji z Małopolską Wschodnią.

14 września 1939 odjechałem do Kut ze ścisłym sztabem. W ciągu dnia przybyłem do Kosowa gdzie dowiedziałem się, że przewidziany jest tam pobyt Prezydenta R.P. i większości ministerstw, wobec tego zainstalowałem się w Kutach. Dowiedziałem się zbyt późno, że przez nieporozumienia korpus dyplomatyczny skierowany został do Zaleszczyk, nie mniej spotkałem ambasadora brytyjskiego już w Kutach. Przez władze administracyjne natychmiast wezwałem tych szefów misji, którzy zamierzali pozostać do końca w Polsce, aby przybyli do Kut.

Dnia 15 września 1939 nawiązałem łączność z Premierem w Kosowie, od którego starałem się uzyskać informacje o sytuacji wojskowej. Dowiedziałem się od niego, że Kwatera Główna przyjechała do Kołomyi, wobec czego w godzinach popołudniowych udałem się do Naczelnego Wodza. Marszałek Śmigły sygnalizował mi osłabienie nacisku niemieckiego, tłumacząc to zmęczeniem wojsk niemieckich i zużyciem materiałów, zwłaszcza sprzętu pancernego. Wykazywał natomiast niepokój, co do skrzydła południowego, którego dowództwo, jak wtedy mnie zawiadomił, objął generał Sosnkowski rezygnując ze stanowiska ministra. Marszałek Śmigły wyraził przypuszczenie, że w tych warunkach, przy obronie Warszawy, uzyskać będzie można tak cenny czas dla oczekania

na akcję Aliantów na Zachodzie. Przy tej sposobności pokazał mi osobistą depeszę generała Gamelin, doręczoną za pośrednictwem generała Faury, w której francuski Naczelnny Wódz komunikuje, że zgodnie z zawartymi umowami, w dniu 15-tym mobilizacji, tj. 17 września 1939, rozpocznie generalną ofensywę na froncie zachodnim. Wobec przesunięcia władz Państwa i Kwatery Głównej w pobliże granicy rumuńskiej oświadczyłem marszałkowi Smigłemu, że pragnąc najgłębiej jak najdłuższego oporu w tym rejonie, na własną odpowiedzialność przygotowałem dyplomatycznie przeniesienie władz państwowych polskich do Francji i że pragnę pozyskania dla tej myśli Prezydenta R.P. Jako żołnierz będę szczęśliwy, jeżeli to nie będzie potrzebne, jako minister spraw zagranicznych mam obowiązek to przygotować.

Dnia 16 września 1939 poszukiwałem na pograniczu ambasadora rumuńskiego, aby zamierzony mój układ z Francją, co do *droit de résidence* uzupełnić układem z Rumunią, co do *droit de passage*.

17 września 1939 roku o godzinie 6-tej rano p. Sędzielowski z Gabinetu Ministra obudził mnie wiadomością, że wojska sowieckie na całej długości granicy weszły na terytorium Polski. Korpus Ochrony Pogranicza stawia opór w walkach odwrotowych. W tym momencie nie miałem żadnej wiadomości jeszcze o *démarche* Potiomkina wobec naszego ambasadora w Moskwie. Połączywszy się telefonicznie z Kwaterą Główną i stwierdziwszy autentyczność tej wiadomości, wydałem bezwzględnie instrukcje placówkom dyplomatycznym polskim zawiadomienia Rządów, przy których są akredytowane, iż nastąpił akt agresji ze strony Związku Sowieckiego w stosunku do Polski. Wobec Aliantów zazna-czyłem, że oddziały graniczne polskie stawiały opór i że Rząd Polski oczekuje zajęcia stanowczej pozycji przez Państwa Sprzymierzone wobec Rządu Sowieckiego. Zdając sobie sprawę z sytuacji, nie inwokowałem w stosunku do Rumunii *casus foederis*, w przekonaniu, że niewątpliwie nie będzie on przez to Państwo respektowany. Po wydaniu instrukcji wyjechałem do Kołomyi, do Kwatery Głównej, gdzie około godziny 11.30 spotkałem Premiera generała Składkowskiego.

Widoczne było, że katastrofa jest nieunikniona. Na moje pytanie, czy marszałek Smigły dysponuje jakimikolwiek siłami w Małopolsce Wschodniej aby powstrzymać napór wojsk sowieckich, otrzymałem odpowiedź, że poza oddziałami KOP mogą znaleźć się tylko luźne bataliony marszowe, ale praktycznie opór jest bezna-dziejny. Marszałek Smigły wahał się, jakie ma wydać rozkazy wojsku, co do walki z oddziałami sowieckimi, skłonny był raczej do nieprzyjmowania walki.

Marszałek Śmigły i Premier generał Składkowski wahali się poważnie, co do swych decyzji. Marszałek Śmigły powiedział, że myśli nad przejazdem do wojsk generała Sosnkowskiego. Premier generał Składkowski, z właściwym mu niezrozumieniem roli Rządu, zgłosił gotowość wobec tego do analogicznego przesunięcia Rządu. Zwróciłem mu uwagę na to, że pojęcia dowództwa i Rządu są różne. Że w ramach wojny koalicyjnej Państwo Polskie musi utrzymać swój charakter podmiotu, a nie przedmiotu wydarzeń międzynarodowych. Dlatego uważam dla Prezydenta R.P. i Rządu za najrozsądniejsze zrealizowanie planu, który zostanie uzgodniony z Aliantami, tj. kontynuowanie działalności na zasadzie *droit de résidence* w państwie sprzymierzonym. Ponieważ w rozmowie nie było wyraźnej decyzji oświadczyłem, że uważam za konieczne: 1) natychmiastowe przesunięcie miejsca postoju Prezydenta R.P. do Kosowa, a najlepiej do Kut, 2) odbycie jak najszybciej wspólnej narady nad dalszymi decyzjami. Marszałkowi Śmigłemu powiedziałem: „Niech przyjedzie do Kosowa, czy Kut na naradę, skąd przez Nadworną do Stanisławowa ma Pan drogę znacznie pewniejszą, niż z Kołomyi dla odszukania generała Sosnkowskiego, i po odbyciu wspólnej narady może Pan powziąć swoją ostateczną decyzję”. Marszałek Śmigły oświadczył, że nad swoimi decyzjami musi się zastanowić, że w każdym razie do nocy pozostanie w Kołomyi, ale wieczorem znajdzie jakiś sposób, bądź telefoniczny, bądź przez oficera, aby powiadomić Rząd o sytuacji i o swoich decyzjach. Po tej rozmowie powróciłem do Kut. W godzinę po mnie przybył na moją kwaterę Prezydent Mościcki, którego uprzednio prosiłem o niezwłoczne opuszczenie Śniatynia. Niezwłocznie potem zjawił się odszukany ambasador rumuński; ambasador francuski i turecki oczekiwali na mnie już na miejscu. Ambasador rumuński, z którym chciałem ułożyć warunki naszego przejazdu przez Rumunię, uprzedził mnie, oświadczając w imieniu Króla Rumunii, że Król Karol ofiarowuje nam — tj. Prezydentowi i Rządowi: *hospitalité ou droit de passage*..

Dziękując ambasadorowi za to oświadczenie, powiedziałem, że nie żądam wykonania aliansu polsko-rumuńskiego, jeśli chodzi o agresję sowiecką, rozumiejąc że w tej tak ciężkiej sytuacji międzynarodowej Rumunia nie będzie mogła, prawdopodobnie, wykonać swoich zobowiązań, natomiast że oczekuję, iż sprawa tranzytu najwyższych władz Państwa Polskiego będzie w związku z tym szczególnie życzliwie przez Rząd Rumuński potraktowana. Ambasador nie wyraził, co do tego żadnej wątpliwości, oświadczył że będzie oczekiwał decyzji Prezydenta i Rządu, aby osobiście ułatwić przejście granicy. Ambasador francuski w gorących słowach zakomunikował mi pełną solidarność swego Rządu z Rządem Polskim

w tej trudnej sytuacji i wyraził przekonanie, że techniczne szczegóły, co do rezydencji Rządu Polskiego we Francji nie doszły do niego tylko z powodu uszkodzenia depesz szyfrowych, ale, że, co do meritum nie istnieją żadne wątpliwości. Ambasador turecki powiedział, że zgodnie z wiekową tradycją pozostanie przy mnie na terytorium Polski do ostatniej chwili i że w imieniu swego Państwa i Rządu oświadcza, że Rząd Turecki gotów jest zrobić wszystko dla nas, co tylko jest w jego mocy.

Niespodziewanie dla mnie, około godziny 16 dnia 17 września 1939, marszałek Śmigły zjawił się w Kutach razem z Premierem Składkowskim; jak oświadczył przybył dla scharakteryzowania Prezydentowi Mościckiemu beznadziejności sytuacji wojskowej, dodając że opuszczenie granic Państwa przez Rząd i Prezydenta R.P. wydaje się być sprawą najbliższego czasu. Według słów marszałka Śmigłego miarodajne będzie przekroczenie linii Dniestru przez wojska sowieckie. Nasze bardzo skromne siły trzymają się na mostach i na brodach na Dniestrze. W tym momencie p. Łepkowski przedstawił projekt orędzia Prezydenta, objaśniającego obywatelom Rzeczypospolitej decyzję opuszczenia granic Państwa przez Prezydenta R.P. i Rząd. Tekst został bez dłuższej dyskusji ustalony. Co do zamiarów marszałka Śmigłego osobistych, nie usłyszeliśmy żadnego wypowiedzenia wobec ponawianych oświadczeń, że sytuacja wymaga wyjaśnienia, a Kwatera Główna nie omieszka uprzedzić Prezydenta i Rządu o działalności wojsk nieprzyjacielskich. Praktycznie decyzje więc zostały zawieszone do czasu otrzymania pełnych informacji. Marszałek Śmigły i Premier generał Składkowski odjechali po tej konferencji, zapowiadając nawiązanie łączności w ciągu wieczora.

W czasie kolacji — w Kutach — około godziny 20.15 zatelefonował Premier generał Składkowski, komunikując, że wojska sowieckie, oddziały pancerne i kawaleria, znajdują się w odległości nie więcej, niż 30 kilometrów od Kut, wobec czego w ciągu paru godzin grozi ostateczne odcięcie od granicy rumuńskiej. Na moje pytanie, jakimi środkami rozporządzamy dla zatrzymania marszu wojsk sowieckich, otrzymałem odpowiedź, że żadnymi poza eskortą Prezydenta R.P., która według słów szefa gabinetu wojskowego Prezydenta generała Shally, składa się z 12 żandarmerów, obecnych w Kutach i około 40 żołnierzy oddziału zamkowego, o niewiadomym miejscu postoju. Premier Składkowski w rozmowie telefonicznej, powołując się na Naczelnego Wodza, żądał natychmiastowego przejścia granicy rumuńskiej przez Prezydenta R.P. i Rząd. Powiadomiłem o powyższym Prezydenta R.P., po czym nastąpił w ciągu około dwóch godzin odjazd w kierunku mostu, prowadzącego do Wyżnicy.

Ambasador rumuński przez swego attaché wojskowego zawiadomił, że oczekuje na moście, aby zgodnie z *gentlemen agreement* przeprowadzić Prezydenta Rzeczypospolitej i członków gabinetu polskiego na terytorium rumuńskie. Przejazd odbył się w nocy 17 września 1939. W Czerniowcach zastaliśmy przygotowane kwatery. Dla Prezydenta R.P. w lokalu Metropolity, w rezydencji królewskiej i w jednym z miejscowych hoteli. Nad ranem z telefonu Premiera, nadanego z Wyżnicy, dowiedziałem się, że marszałek Śmigły przekroczył granicę i pozostaje na moście ze względu na złe traktowanie naszych oddziałów przez władze rumuńskie. Premier Składkowski w imieniu marszałka Śmigłego domagał się ode mnie interwencji. Interwencję tę zrobiłem wobec p. Grucescu, szefa protokołu rumuńskiego, który zgłosił się do mnie w Czerniowcach w imieniu Rządu Rumuńskiego.

Z nastaniem dnia 18 września 1939 o świcie zgłosił się do mnie ambasador rumuński w Warszawie oraz p. Grucescu, żądając w imieniu Rządu Rumuńskiego podpisania deklaracji, której tekst, pisany ręką rumuńską, posiadam w oryginale. Brzmiała ona, jak następuje: „*Monsieur le Ministre, en venant demander pour le Gouvernement Polonais le transit à travers la Roumanie vers un pays neutre, je déclare que depuis son entrée dans ce pays ami et neutre, le Gouvernement Polonais a renoncé à toutes ses attributions constitutionnelles, politiques et administratives...*”.

Odpowiedziałem, że tekst jest oczywiście nie do przyjęcia dla mnie, ani dla moich kolegów i nie odpowiada zasadzie, omówionej z ambasadorem rumuńskim w Kutach. Jestem natomiast gotów oświadczyć formalnie w imieniu Rządu, że w czasie naszego tranzytu przez Rumunię gotowi jesteśmy w pełni respektować neutralność tego Kraju. Jest to maksymalne oświadczenie, jakie mogę zrobić. Po paru telefonach z Bukaresztu p. Grucescu oświadczył, że wobec nagłości wydarzeń Rząd Rumuński proponuje udanie się naszych władz na teren poza Bukowiną, z tym że p. Gafencu, minister spraw zagranicznych, przybędzie osobiście, aby omówić ze mną dalsze metody postępowania i formułę deklaracji. Równocześnie zostało nam zakomunikowane, że pociąg specjalny będzie formowany, który o godzinie 11.30 dnia 18 września 1939 w kilku częściach odwiezie przedstawicieli najwyższych władz polskich do wyznaczonych miejsc. zapewniających należyty komfort pobytu do czasu załatwienia sprawy tranzytu. Po szybkim porozumieniu się z Prezydentem R.P. i marszałkiem Śmigłym zażądałem odroczenia terminu wyjazdu, wobec faktu że szereg ministrów nie przybyło jeszcze do Czerniowiec. Wyrażając opinię, że opuszczenie Czerniowiec możemy uznać jako słuszne wobec zarządzeń mobilizacyjnych na tym terenie, ale liczymy na ułatwienie nam dalszego

tranzytu. Przedstawiciele Rumunii nieśmiało wspomnieli w tym momencie, że sytuacja Rządu Rumuńskiego jest utrudniona przez fakt wydania orędzia Prezydenta R.P. z terenu Rumunii. Zaprzeczyłem kategorycznie, stwierdzając, że orędzie Prezydenta wydane było w Kutach, a jedynie dla ułatwienia komunikacji technicznej konsul polski w Czerniowcach powtórzył telegraficznie tekst orędzia, aby upewnić, że dotarło ono do naszych placówek za granicą.

Na wszelkie moje pytania, co do *régime'u*, miejsca i sposobu umieszczenia Prezydenta R.P., marszałka Śmigłego i Rządu na terenie Rumunii przedstawiciele rumuńscy odpowiadali mi, że nie mają żadnych bliższych instrukcji i że jest to kwestia pilna, która zostanie uregulowana we wzajemnym porozumieniu.

Ambasador R.P. w Bukareszcie, którego wezwałem do Kut, gdzie 17 września 1939 zakomunikowałem mu o powziętych decyzjach, żądając dopilnowania ze strony rumuńskiej *gentleman agreement*, co do *droit de passage*, był obecny w Czerniowcach w nocy z 17 na 18 września 1939, jednak o świcie, nie meldując się, odjechał do Bukaresztu. Sposób, niewątpliwie przygotowany, w którym Rząd Rumuński skierował Prezydenta R.P. Mościckiego ze szczupłą świtą do Bicz, marszałka Śmigłego do Craiova, a członków Rządu do Slanic, wskazywał wyraźnie, że akcja była przygotowana.

Z miejsca do osobistości polskich zastosowano metodę internowania, nie uzasadnioną przez żadną konwencję międzynarodową. Stało się jasne że Rumuni, pod wpływem tych czy innych mocarstw, zamierzają uniemożliwić przejazd najwyższych władz polskich na teren Państw Sprzymierzonych.

Józef BECK

Leon MITKIEWICZ

NIEZNANE PRACE MIN. JÓZEFA BECKA JÓZEFA BECKA

Gdy byłem w Londynie doręczono mi plik dokumentów, pochodzących z ambasad Rzeczypospolitej Polskiej w Rzymie i w Bukareszcie. Znalazłem w nich pomiędzy innymi list b. ministra spraw zagranicznych Józefa Becka do ambasadora R.P. w Rzymie, z lutego 1940 roku, w którym pisze on, że przesyła mu opracowane przez siebie — jak pisze na świeżo — prace z historii polityki zagranicznej Polski od roku 1932, oraz własne zapiski o wydarzeniach w Polsce we wrześniu 1939 roku.

W liście tym minister Beck, jakby odpowiadając komuś, zaznaczał, że prace jego nie są przeznaczone do ogólnej wiadomości publicznej, do opublikowania, a powinny być przechowane i użyte w przyszłości, jako dokument historyczny, pochodzący z pierwszego źródła.

Do listu ministra Becka były dołączone dwa maszynopisy, po kilkadziesiąt stron każdy, zatytułowane: „Preliminaria polityczne do wojny 1939 roku” oraz „Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 roku”.

Z przyczyn zupełnie niezależnych ode mnie nie zachowałem tych dokumentów poprzestając na sporządzeniu odpisów.

32 lat upływa od czasu, gdy minister Józef Beck pisał te swoje prace.

Najbardziej wymownym świadectwem, wystawionym przez ministra Becka, jako odpowiedzialnego ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, jest jego własny opis przebiegu wydarzeń wrześniowych 1939 roku — opisanie dzień po dniu kampanii wrześniowej i zarazem dziariusz czynności Rządu R.P. i Naczelnego Dowództwa. Jest to praca pt. „Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 roku”.

Prace min. Becka podaję w odpisie.

Leon MITKIEWICZ

RELACJE I WSPOMNIENIA

Stanisław KIRKOR

EWAKUACJA MINISTERSTWA SKARBU W 1939 ROKU

(Ze wspomnień osobistych)

Wspomnienia osobiste z okresu pracy mej w Ministerstwie Skarbu w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku w Polsce nie łączą się ściśle z tematem rozprawy o sprawach finansowych Polski w przededniu ostatniej wojny, stanowią jednak tego tematu uzupełnienie może nie bez znaczenia. Wspomnienia te spisałem w czerwcu 1941 roku, gdy żywe były jeszcze w pamięci zdarzenia tamtych dni.

Ewakuacja Ministerstwa Skarbu

W Ministerstwie Skarbu podobnie jak i w innych ministerstwach istniał plan ewakuacyjny. Plan ten przewidywał ewakuację w dwóch rzutach, przy czym pierwszy rzut obejmował Ministra, wiceministrów i nieliczny sztab najbliższych współpracowników ministra. Reszta biur stanowić miała drugi rzut ewakuacyjny. W myśl założeń planu każdy z rzutów miał mieć możliwość samodzielnej pracy na wypadek rozdzielenia. Pod koniec sierpnia dostarczono do biur ministerialnych skrzynie do pakowania akt oraz maski gazowe dla urzędników. Podjęto również dzielenie akt na akta potrzebne dla pierwszego i drugiego rzutu. Po wybuchu wojny przystąpiono do pakowania akt do skrzyń, co jednak było wykonywane bez pośpiechu. Do chwili wyjazdu z Warszawy biura

ministerialne pracowały sprawnie, wśród urzędników panował spokój. Minister Skarbu co dzień z rana przyjmował u siebie na krótką odprawę wszystkich wiceministrów i dyrektorów departamentów. Mimo, że nie tał przed nami, że sytuacja militarna jest ciężka, nikt nie przypuszczał, że rozkaz ewakuacji może przyjść tak szybko. W poniedziałek dnia 4 września niedługo po powrocie do domu po skończonym urzędowaniu otrzymałem telefoniczne polecenie udania się z powrotem do Ministerstwa Skarbu na godz. 6-tą wieczór do wiceministra Kozuchowskiego na ważną konferencję. Na tej konferencji spotkałem wszystkich kierowników biur ministerialnych; oznajmiono nam, że ma być natychmiast przeprowadzona ewakuacja drugiego rzutu. Jak z tego widać zmieniono pierwotny plan ewakuacyjny, Minister ze swym sztabem miał zostać w Warszawie, biura miały wyjechać na prowincję. Urzędnicy i ich rodziny oraz akta miały być gotowe do wyjazdu pociągiem z dworca Wschodniego następnego dnia najdalej na godz. 10-tą rano. Trzeba było natychmiast rozpocząć zawiadamianie ludzi oraz dokończyć pakowanie akt. Prace te trwały przez noc w sposób dość chaotyczny z powodu trudności porozumienia się z wszystkimi, których rozkaz ewakuacji miał dotyczyć. Osobiście pilnowałem tych prac do godz. 1-szej w nocy. Gdy następnego dnia tj. we wtorek dnia 5 września rano, znalazłem się znowu w Ministerstwie, zastałem zmienione dyspozycje. Przede wszystkim dowiedziałem się, że koło 2-giej w nocy przyszedł rozkaz, że drugi rzut ma natychmiast zjawić się na dworcu celem załadowania. Wprowadziło to niebawmy chaos, rozbiło potworzone grupy, kto był w Ministerstwie jechał na dworzec, inni dowiadywali się, że przybyli za późno. Aktów nie wywieziono. Następnie przyszedł rozkaz, że ci z rzutu drugiego, co nie wyjechali w nocy, oraz cały rzut pierwszy mają też natychmiast się ewakuować. Natychmiast tzn. najdalej do 2-giej w południe. Nikt nie rozumiał tego pośpiechu, ale rozkazy były kategoryczne i wyjazd urzędników był rozumiany jako obowiązkowy. Jednocześnie wśród urzędników zaczęły krążyć wiadomości, że warunki ewakuacji pociągiem, który odszedł w nocy, były jak najgorsze. W tej sytuacji wśród urzędników, przynajmniej w moim departamencie, panowała na ogół duża niechęć do wyjazdu. Kilku z nich prosiło mnie o pozwolenie pozostania w Warszawie, na co w paru wypadkach zezwoliłem na własną odpowiedzialność, biorąc pod uwagę warunki rodzinne tych ludzi. Gdy w ciągu dnia dowiedziałem się, że Urząd Pożyczek Państwowych, liczący ok. 300 urzędników (a z rodzinami osób dużo więcej) oraz moc aktów i ksiąg, nie został, jak było polecone, rano wyewakuowany, udzieliłem kierownikowi tego urzędu telefonicznie polecenie pozostania w Warszawie, z tym, że

w razie niebezpieczeństwa zajęcia Warszawy przez Niemców winni zniszczyć wszystkie papiery wartościowe, znajdujące się w Urzędzie, co, jak potem się dowiedziałem, zostało wykonane. Tymczasem w Ministerstwie Skarbu wśród wielkiego chaosu kończono pakowanie akt i wywożenie ich za miasto. Urzędnik kierujący ewakuacją miał bezwzględne polecenie wywieżenia wszystkich akt, a ponieważ nie miał do tego odpowiednich środków lokomocji ścigał z ulic różne dorożki i furki chłopskie, ładował na nie skrzynie z aktami, sadzał na nich po jednym lub dwu urzędników i wysyłał za Wisłę. Te akta rozsiały się potem gdzieś na wschód od Warszawy. Biura Ministerstwa Skarbu nie miały się już nigdy zebrać, Ministerstwo przestało istnieć.

Ewakuacja banków

Około południa tegoż dnia, 5 września, zgłosił się do mnie prezes Związku Banków Fajans, oraz dyrektor tego Związku Skonieczny z zapytaniem o instrukcje. Plan ewakuacyjny przewidywał ewakuację central Banków państwowych, natomiast co do banków prywatnych nie były mi znane żadne decyzje. Nie mogąc już z nikim się skomunikować, na własną rękę wydałem polecenie nie ewakuowania banków prywatnych i pozostania ich w Warszawie, dodając, że w razie zajęcia kraju przez Niemców, zadaniem ich będzie podtrzymywać w miarę możliwości polskie życie gospodarcze. Miałem wrażenie, że Fajans i Skonieczny przyjęli tę decyzję do wiadomości z zadowoleniem. Tegoż dnia rozmawiałem jeszcze raz telefonicznie z Prezydentem Miasta Starzyńskim oraz przyjąłem odwiedziny wiceprezydenta miasta Około-Kułaka, który miał potem zginąć w czasie oblężenia Warszawy. Prezydent Starzyński mówił mi, że co do władz miejskich nie było żadnych dyspozycji w związku z ewakuacją i że zostaje on wraz ze swoimi biurami w Warszawie.

Praca Ministerstwa Skarbu w Łucku

Pierwotny plan ewakuacyjny przewidywał, że wszystkie Ministerstwa mają być ulokowane w Lublinie i okolicy. Praktycznie jednak żadne urzędowanie w Lublinie miejsca nie miało. Zresztą już w dwa dni po przyjeździe do Lublina, a mianowicie w czwartek 7 września, przysłyły rozkazy natychmiastowego dalszego wyjazdu na wschód. Minister Skarbu z pierwszym swym rzutem miał wyznaczony jako miejsce pobytu Łuck. Wyjechałem z Lublina

rano 8 września i przybyłem do Łucka w południe. W gmachu Izby Skarbowej w Łucku tegoż dnia po południu miały miejsce pierwsze konferencje na temat koniecznych zarządzeń skarbowych. Aparatem wykonawczym był personel Izby Skarbowej, gdyż personel Ministerstwa Skarbu był zupełnie rozproszony i również aktów nie było żadnych. Następnego dnia, tj. 9 września nawiązałem kontakt z Dyrekcją Banku Polskiego, która też przybyła do Łucka i rozpoczęła urzędowanie w miejscowym oddziale Banku Polskiego. Sprawy, którymi tak Ministerstwo jak i Bank Polski musiały się zajmować, dotyczyły zaopatrzenia w potrzebne środki płatnicze władz wojskowych i cywilnych. Na głównym placu w Łucku stały samochody z częścią zapasu złota Banku Polskiego pod strażą wojskową. Tegoż dnia po południu dowiedziałem się od wiceministra Kożuchowskiego, że płk Koc, powołując się na Ministerstwo Spraw Wojskowych, wystąpił z żądaniem nieograniczonych pełnomocnictw do sprzedawania za granicą złota oraz zaciągania za granicą kredytów na potrzeby związane z wojną i że Minister Skarbu skłonny jest udzielić mu takiej delegacji zagranicznej i pełnomocnictw z zastrzeżeniem jednak telegraficznego uzgadniania z Ministrem Skarbu spraw najważniejszych. Płk Koc miał zamiar wyjechać za granicę wraz z Baczyńskim i Repeczką oraz naczelnikiem Mohlem z Ministerstwa Skarbu. Równoległe z tym zostały tegoż dnia podjęte decyzje natychmiastowego wywozu złota za granicę, oraz został zlecony wyjazd Dyrektorowi Banku Polskiego Z. Karpińskiemu z pełnomocnictwami Banku Polskiego do występowania w jego imieniu za granicą. Tego również dnia MSZ wysłało odpowiednie instrukcje do Ambasadora R.P. w Bukareszcie, celem zapewnienia transportu złota przez Rumunię oraz zostały wydane polecenia do Brześcia i do Zamościa wywozu złota nad granicę rumuńską do Śniatynia. Transport złota znajdującego się w Łucku został powierzony na wniosek płk. Koca Floyar-Rajchmanowi i Ignacemu Matuszewskiemu.

Misja płk. Koca i wywóz złota za granicę

Następnego dnia, tj. w niedzielę 10 września rano wiceminister Kożuchowski zakomunikował mi, że płk Koc otrzyma pełnomocnictwa w formie przez niego żądanej, z tym, że jednocześnie będzie on mianowany wiceministrem Skarbu i że zamiast poprzedniego warunku telegraficznego uzgadniania ja zostaną przydzielony do jego misji jako dyrektor Departamentu Obrotu Pieniężnego. Otrzymałem polecenie natychmiastowego wygotowania nominacji na wiceministra dla płk. Koca, napisania dekretu Prezy-

denta R.P. o specjalnych uprawnieniach finansowych Ministra Skarbu oraz delegacji tych uprawnień przez Ministra Skarbu na Wiceministra Adama Koca. Te wszystkie akty zostały sporządzone w ciągu przedpołudnia, tak, że w południe tegoż dnia cała misja płk. Koca wyjechała z Łucka i 12 września w południe przybyła do Czerniowiec.

W Czerniowcach w Konsulacie R.P. dowiedzieliśmy się, że wszystkie zarządzenia odnośnie transportu złota przez Rumunię zostały już wydane. Złoto miało być przewiezione pociągiem rumuńskim do Konstancy, gdzie miało być załadowane na zarekwirowany przez Ambasadę angielską angielski statek naftowy¹. Chodziło tylko o to, czy wszystkie trzy transporty przyjdą na czas do Śniatynia, gdyż z przewozem przez Rumunię nie można było zwlekać z powodu obawy interwencji niemieckiej, która by mogła zatrzymać transport złota na terenie Rumunii. Pod wpływem ambasadorów polskiego, francuskiego i angielskiego rząd rumuński zajął w tej sprawie stanowisko bardzo przychylne, minister Gafencu zaznaczał jednak, że pośpiech jest konieczny i że przewóz musi nastąpić jednym transportem, gdyż ewentualnej interwencji niemieckiej nie mogłby się oprzeć.

Do Śniatynia pierwszy przybył transport złota z Łucka na samochodach. Reszta przybyła szczęśliwie wnet potem kolejną z Brześcia, względnie samochodami z Zamościa, tak, że wszystkie transporty mogły razem odejść 13 września do portu w Konstancy, gdzie zostały natychmiast załadowane na statek. Nazwisko pułkownika, który prowadził transport z Brześcia było znane, natomiast nie było znane nazwisko porucznika, który prowadził samochodami transport z Zamościa, zdaje się w najtrudniejszych warunkach. Transporty te przybyły w najpełniejszym porządku, z tym jedynie, że w Dubnie zatrzymano z nich 70 skrzynek złota wartości 22,6 milionów złotych z rozkazu Naczelnego Dowództwa, bowiem ta część złota miała pozostawać w zasięgu bezpośrednich dyspozycji Rządu względnie wojska.

Misja płk. Koca dnia 14 września rano przybyła do Bukaresztu i pozostawała tam przez dwa dni, omawiając w Ambasadzie i przygotowując sprawy, związane z zakupami najkonieczniejszych rzeczy dla armii. Oprócz uzbrojenia do tych najkonieczniejszych rzeczy należały środki opatrunkowe oraz buty.

Dnia 16 września rano misja płk. Koca wyjechała do Paryża,

1. Jakie dziesięć lat temu ambasador angielski w Addis Ababie, Sir Denis Wright, opowiadał mi, że to on jako wicekonsul angielski w Konstancy przeprowadzał rekwizycję tego statku i pilnował załadunku złota polskiego.

przy czym według zamiarów płk. Koca część misji miała pozostać w Paryżu, zaś druga część miała się udać do Londynu. Przyjazd do Paryża nastąpił 18 września, a więc po wkroczeniu bolszewików do Polski i tym samym pierwotne zadania misji stały się bezprzedmiotowe. Jednocześnie przybył do Paryża dyrektor Karpiński. Zamiast swych pierwotnych zadań misja płk. Koca podjęła w Paryżu prace, związane z nową sytuacją, zmierzające do zabezpieczenia majątku polskiego za granicą oraz wydawania koniecznych dyspozycji finansowych z zakresu kompetencji Ministerstwa Skarbu, które płk Koc jako wiceminister Skarbu miał prawo zastępować. Trwało to do chwili utworzenia nowego Rządu we Francji, z tą chwilą misja płk. Koca przestała istnieć, a płk Koc wszedł do nowego Rządu jako Minister Skarbu.

Stanisław KIRKOR

L. RAYSKI

ZŁOTO POLSKIE

Artykuł J. Łobodowskiego w *Tygodniku Polskim* z dn. 23 maja 1970, zatytułowany „Złoto Hiszpańskie”, przypominał mi sprawę złota polskiego, które podobnie jak złoto hiszpańskie znikło tajemniczo.

Historia jego jak i mojej z nim styczności przedstawia się następująco: Gdy Hitler zajął Czechosłowację 15 marca 1939 roku, stało się jasne, że stoimy w obliczu wojny, że teraz przyszła nasza kolej i że musimy robić wszystko, żeby się militarnie wzmocnić. Z tego powodu, będąc wtedy Szefem Lotnictwa, poszedłem do I-go wice-Ministra i z nim razem do Ministra gen. Kasprzyckiego, któremu przedstawiłem prośbę, a raczej ultimatum — albo natychmiastowe puszczenie przemysłu lotniczego na pełną parę i przydział odpowiednich funduszy albo proszę o zwolnienie ze stanowiska. Następnego dnia zostałem zwolniony i oddany do dyspozycji II-go wice-Ministra.

Po rozmaitych tych czy innych zleceniach czy przydziałach, prawie razem z początkiem wojny dostałem polecenie zorganizowania zakupów broni za granicą. Do pomocy w sprawach pieniężnych został mi przydzielony były wice-Minister Skarbu Koc, który łącznie z mobilizacją został powołany do wojska w stopniu pułkownika. Celem uregulowania i ustalenia strony finansowej, sposobów płatności itd. przyszłych zakupów pojechaliliśmy: gen. Litwinowicz (II-gi wice-Minister), płk Koc i ja do Ministra Skarbu Kwiatkowskiego. Zostało ustalone, że zakupy sprzętu we Francji i w Anglii będą pokryte z kredytów jakie nam te kraje przyznały, inne natomiast trzeba będzie płacić gotówką — to znaczy złotem.

W ten sposób powstała sprawa złota i konieczności jego ewakuacji. Minister Kwiatkowski proponował użycie do tego celu samolotów „Lotu” i ewa-

kuację przez Wilno do Szwecji. Ponieważ było tego przeszło 70 ton, a jeden samolot (Lockhead mógł unieść około półtorej tony, całość wymagałaby około 50 lotów, co w tych warunkach było za ryzykowne, więc ja stanowczo zaprotestowałem. W rezultacie ewakuacja została zadecydowana na wschód, a gen. Litwinowicz podjął się ją zorganizować.

Sądziłem, że w ten sposób moje koneksje ze złotem są skończone. Okazało się że byłem w błędzie. W Zamościu, gdy meldowałem się u Ministra Spraw Wojskowych dowiedziałem się, że około 3½ tony było tam złożone na jednym z fortów i zostały wysłane ciężarówką pod opieką inż. Wrażęja na wschód. Gdy Naczelne Dowództwo wycofało się do Brześcia nad Bugiem, mając swoje sprawy do załatwienia, też się tam znalazłem. Rozmawiając z gen. Malinowskim, usłyszałem jego skargi na trudności w rozlokowaniu Dowództwa, gdyż jeden z fortów został zajęty na skład złota. Podskoczyłem — jakie złoto? — Przyszło z Warszawy przeszło 30 ton. Pokazało się, że połowa przeszło 30 ton została wywieziona transportem samochodowym pod dowództwem mjr. Raychmana (byłego Ministra Przemysłu), a druga połowa wysłana koleją i tu złożona. Sytuacja na froncie stawała się beznadziejna i jeżeli mogła być mowa o uratowaniu złota, musiało ono natychmiast znaleźć się na granicy. Poszedłem w tej sprawie do gen. Kleberga, dowódcy fortecy, z którym miałem nieprzyjemną wymianę słów, gdyż on wyraził opinię, że należy przeczekać aż się front ustali itd. Wobec tego poszedłem do Ministra (Spraw Zagranicznych) Becka, który był też w Brześciu i z nim razem do Marszałka Rysza-Śmigłego, od którego uzyskałem rozkaz natychmiastowego wysłania złota na granicę rumuńską. Minister Beck dał również odpowiednie zlecenie do naszego Ambasadora w Rumunii, by się wystarał o zezwolenie rządu na przewóz złota przez Rumunię. Przyjechawszy na granicę do Śniatynia (Kuty) poprosiłem naszego attaché z Bukaresztu o przyłot dla ustalenia szczegółów. Przyjechał zastępca mjr Zimnal i przywiózł wiadomość, że Minister Spraw Zagranicznych Rumunii Gafenko, zgadza się na przejazd złota, ale pod warunkiem, że będzie tylko jeden transport, ze względu na wywiad niemiecki. Transport drógowy mjr. Raychmana przyszedł (12-go) i stał ukryty w lesie. Na wspólnej konferencji, wobec coraz gorszych wieści z frontu, postanowiliśmy ratować co się da nie czekając na resztę w nocy z 13-go na 14-ty załadować złoto na pociąg. Tymczasem 13-go rano zameldował się u mnie Płk (niestety nazwiska nie pamiętam) z transportem kolejowym złota z Brześcia. Brakowało nam jeszcze do całości te 3½ tony inż. Wrażęja. Pojechałem w stronę Kołomyi zaglądając do wszystkich spotkanych kolumn taborowych, i miałem takie szczęście, że w bloku koszarowym zobaczyłem inżyniera golącego się. W nocy z 13-go na 14-ty transport został załadowany, a 14-go rano, bardzo sprawny komendant stacji Śniatyn por. rezerwy Gawryłowicz (nie jestem pewien nazwiska) zameldował mi o jego przejściu przez granicę. Kierownictwo transportu od stacji Śniatyn (Kuty) objął I. Matuszewski (były kierownik Min. Skarbu). Pociąg wywozący złoto był pełen „elity” Ministerstwa Skarbu wyjeżdżającej z rodzinami, za granicę — „na wojnę”.

L. RAYSKI

NIEZNANE LOSY KOSTKA-BIERNACKIEGO

ZAMIAST WSTĘPU

Komuniści starają się zacierać ślady swoich zbrodni i często się im to udaje. Czasem jednak, po latach, fakty wypływają na jaw ku zdumieniu i przerażeniu świata. Tak stało się właśnie z morderstwem politycznym, dokonany przez władze PRL na przedwojennym wojewodzie poleskim Kostku-Biernackim. Został on zadržczony w więzieniu warszawskim. Nie znamy dotąd ostatniego okresu jego pobytu w więzieniu, ale wiemy już dziś wiele z tego, co przeszedł nim został skazany przez „prawomocny” sąd „ludowy”. Stało się to dzięki p. Józefowi Marchwińskiemu, który przez pewien czas dzielił z Kostkiem-Biernackim celę w więzieniu mokotowskim.

Józef Marchwiński był przed wojną aktywnym działaczem partii komunistycznej na terenie Łodzi. Przed wojną odbył łączną karę 6 i pół roku więzienia za działalność wywrotową.

W czasie wojny, w kwietniu 1942 roku powstał w okolicach Stołpce-Mir oddział partyzancki, który szybko rozrósł się do 70-80 osób, przeważnie Polaków, a także miejscowych Żydów i Białorusinów. Oddziałem dowodził Marchwiński. Oddział powiększał się liczebnie, wchłaniając głównie żołnierzy z rozbitych jednostek sowieckich. W styczniu 1943 Marchwiński został poważnie ranny, a oddział jego został rozdzielony pomiędzy kilka sowieckich oddziałów partyzanckich. Do walki Marchwiński wrócił w maju 1943 i dostał dowództwo nad specjalnie utworzonym oddziałem, składającym się z Polaków. Jesienią 1943 mianowano go zastępcą dowódcy komсомolskiej brygady partyzanckiej, wchodzącej w „Newskie zgrupowanie gen. Czernyszewa” (pseud.: Platon). Zgrupowanie zostało rozwiązane po zajęciu terenów Białorusi przez Armię Czerwoną w czerwcu 1944 roku. Później Marchwińskiego mianowano zastępcą dowódcy 3 dywizji artylerii przeciwlotniczej II armii W.P. Uzyskał w niej stopień podpułkownika. Po wojnie był przez pewien czas komendantem M.O. na Łódź, a następnie na woj. olsztyńskie. Właśnie w czasie pełnienia tej ostatniej funkcji został na zlecenie U.B. aresztowany i osadzony w więzieniu. Usiłowano zmontować przeciwko niemu proces o szpiegostwo na rzecz imperializmu anglo-amerykańskiego, włączając w to okres jego dowodzenia sowieckim zgrupowaniem partyzanckim. W istocie chodziło o to, że zbyt dosłownie brał za rzeczywistość hasła głoszone przez komunizm, co prowadziło do ostrych konfliktów między nim, jako komendantem M.O., a władzami Urzędu Bezpieczeństwa. Do konfliktu takiego doszło m.in. jeszcze w okresie, gdy kierował milicją w Łodzi na tle głośnego i krwawo przez U.B. stłumionego strajku robotników w Zakładach Włókienniczych Poznańskiego. Szefem U.B. w Łodzi był wtedy Mieczysław Moczar. Za przeciwstawienie się metodom zastosowanym przez U.B., z poparciem Komitetu Łódzkiego PPR — którego pierwszym sekretarzem był Ignacy Loga-Sowiński — Marchwiński został przeniesiony do Olsztyna, skąd po pewnym czasie wezwano go do Warszawy i tam z ulicy zabrano do lochów U.B. na Koszykowej. Jak się dowiemy z wywiadu z nim, w pewnym okresie znalazł się w jednej celi z Kostkiem-Biernackim i... Erichem Kochem, hitlerowskim zbrodniarzem wojennym.

Marchwiński został zrehabilitowany w 1955 roku.

Początkowo, po wyjściu z więzienia, pracował w Łodzi jako sprzedawca sklepowy. Po rehabilitacji został prezesem spółdzielni sztuki ludowej, następnie był kierownikiem bazy remontowej przemysłu budowlanego na woj. łódzkie. Od 1956 do 1964 roku był dyrektorem Łódzkich Zakładów Wyróbów Metalowych. Od 1964 do 1967 roku dyrektorem miejskich łaźni w Łodzi. Później przez kilka miesięcy zastępcą dyrektora ogrodu zoologicznego w Łodzi. Od stycznia 1968 bez pracy.

Józef Marchwiński znajduje się od półtora roku na Zachodzie. Wyjechał „legalnie” z „żydowskim” dokumentem podróży w kieszeni. Jest, co prawda — przyjmując terminologię nazistowsko-moczarowską — czystej krwi aryjczykiem, ale jego żona jest pochodzenia żydowskiego. On zaś ma dodatkowo „na sumieniu” ocalenie w okresie okupacji kilkuset Żydów.

Jan KLIGERT

— W jakich okolicznościach poznał Pan przedwojennego wojewodę poleskiego Kostka-Biernackiego?

— W 1948 zostałem aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Po wielomiesięcznym pobycie w więzieniu MBP na Koszykowej przeniesiono mnie do Centralnego Więzienia Mokotów na Rakowiecką. Tam właśnie przebywał wówczas Kostek-Biernacki i tam z nim się zetknąłem.

— Czy wiedział Pan wcześniej, że przebywa on w tym więzieniu?

— Nie, nic o tym nie wiedziałem. W polskich więzieniach istnieje tak ścisła izolacja, że jest prawie niemożliwe, aby wiadomość o jakimś więźniu, zwłaszcza ważnym, mogła się przedostać do innych cel.

Natomiast z nazwiskiem Kostka-Biernackiego spotykałem się jeszcze przed wojną. Wśród komunistów, a ja byłem już wtedy komunistą, uważany był za faszystę, którego dziełem było stworzenie obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej, odpowiedzialnego za nieludzkie traktowanie więźniów w tym obozie. Mówię szczerze, że gdybym wcześniej, nim go poznałem, dowiedział się o jego uwięzieniu, uznałbym to chyba za słuszne. Ale nie pamiętam, aby mi było wiadome o jego powrocie po wojnie do kraju* i jego uwięzieniu, mimo że przed moim aresztowaniem pełniłem wysoką funkcję w Milicji Obywatelskiej — byłem mianowicie kolejno szefem komendy wojewódzkiej w Łodzi i Olsztynie.

Jak powiedziałem, zetknąłem się z nim osobiście dopiero — nie potrafię niestety tego dziś ściśle określić — albo w końcu grudnia 1949 roku, albo na początku stycznia 1950 roku. Niech się Pan temu nie dziwi — w więzieniu, zwłaszcza w takich warunkach, jakie stworzono w polskich więzieniach, traci się nie-

* Kostek-Biernacki, internowany po wrześniu 1939 w Rumunii, po jej zajęciu przez wojska sowieckie został wydany Polsce Ludowej.

kiedy rachubę czasu. Pamiętam natomiast numer celi. Była to „dziesiątka” na pierwszym piętrze. Gdy wprowadzono mnie tam, był już wczesny zimowy wieczór. W celi zastałem trzech więźniów. Nim zdążyłem rozejrzeć się, podszedł do mnie jeden z nich i zapytał kim jestem. Był to mężczyzna, którego wieku nie potrafiłbym określić, tak bardzo był wychudzony i wyniszczony. W każdym razie wydawał mi się starcem. Zwróciłem szczególną uwagę na jego ręce. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, co było tego przyczyną, że palce obu jego rąk były potwornie zniekształcone, a całe dłonie były wykręcone niemal zupełnie do tyłu. Być może dlatego nie podał mi ręki.

Powiedziałem mu kim jestem. Wtedy on przedstawił się: „Kos-tek-Biernacki”. Zastanowiłem się chwilę, bo nie od razu skojarzyłem sobie nazwiska z osobą, i powiedziałem: „Nazwisko nie jest mi obce. Czy nie jest Pan przypadkiem krewnym byłego wojewody?” Odpowiedział mi: „To ja sam jestem”. I dodał: „Muszę wyjaśnić, dlaczego do Pana podeszłem. Chcę mianowicie uprzedzić Pana, że ten człowiek — wskazał na jednego z dwóch pozostałych więźniów — to Erich Koch, zbrodniarz wojenny, a ten drugi to „folksdojcz”, ale nie potrafię powiedzieć za jakie przestępstwa został uwięziony, bo z żadnym z nich dotąd nie wymieniałem jeszcze ani jednego słowa, chociaż siedzimy w tej samej celi już od dawna”.

— Wróćmy do momentu Pana wejścia do celi: jak ta cela wyglądała, jakie zrobiła na Panu wrażenie?

— Jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że przebywały w niej wraz ze mną tylko cztery osoby, to muszę powiedzieć, że była to cela przyjemna, bo w takiej wielkości celach siedziało zazwyczaj po dwudziestu i więcej więźniów.

— Jak była duża?

— O, wymierzyłem ją tysiąckrotnie krokami, gdyż na zewnątrz, na tzw. spacer, nas nie wyprowadzano. Miała ona, jak pamiętam, cztery kroki wszerek i pięć wzdłuż. To była duża cela. Była w tej celi jedna prycza, stolik i dwa stołki — wszystko z nieomalowanego drzewa. Okratowane okno wysoko pod sufitem, bez tzw. kosza, czy jak to się w więzieniach mówi — „namordnika”. To dlatego, że okno wychodziło na biegnący równoległe do naszej celi o kilka metrów wysoki mur więzienny. Co jeszcze mogę dodać do opisu? No, słaba, niczym nie osłonięta żarówka pod sufitem i cuchnąca parasza w kącie.

— Więc uważa Pan, że to była dobra cela?

— Jeśli wziąć pod uwagę warunki więzienne w Polsce „ludowej”, które znam z własnych przeżyć i opowiadań innych więźniów, była to bardzo dobra cela.

— Czy sądzi Pan, że Kostka-Biernackiego umieszczono w tej celi dlatego, że uznano, iż należą mu się lepsze warunki niż innym więźniom?

— Bynajmniej. O ile zdołałem poznać Kostka-Biernackiego, to przypuszczam, że wolałby przebywać nawet w znacznie gorszych warunkach, dzielić los z tymi, którzy stłoczeni byli po dwudziestu w celi, byle byli to Polacy. To był sposób moralnego znęcania się nad Kostkiem-Biernackim. W ten sposób chciano go poniżyć. Był to dodatek do fizycznych tortur, jakich mu nie szczędzono, o czym jeszcze powiem. Wspomniałem, że przez cały czas pobytu w jednej celi Kostek-Biernacki nie zamienił z Kochem ani jednego słowa.

— Czy ma Pan inne dowody tego, że chodziło o moralne poniżenie Kostka-Biernackiego?

— Opowiedziałem Panu, że w celi była tylko jedna pryczka. Pan domyśla się już zapewne, że spał na niej właśnie Koch? Mnie to nie mogło się zgoła w głowie pomieścić. Widocznie byłem zbyt prymitywny w pojmowaniu komunizmu... Kostek-Biernacki spał na układanym na noc na ziemi, cieniutkim, zaszarganym, niemal pustym sienniku.

— Przecież również Pan i ten czwarty więzień spalście na ziemi.

— Tak, ale nie bacząc już na to, że Koch był zbrodniarzem wojennym, winnym i współwinnym śmierci tysięcy ludzi, a Kostek-Biernacki był Polakiem, to przecież był to człowiek bardzo, a to bardzo schorowany. Powiedziałbym — śmiertelnie chory.

— Co to była za choroba?

— Najwięcej cierpień sprawiał Kostkowi-Biernackiemu reumatyzm nabyty w więzieniu. Z jego opowiadań wiem, że najdłużej trzymano go w mokrych i zimnych karcerach. Miesiącami... Ręce miał tak zniekształcone, że nie był nawet w stanie ukroić sobie kawałka chleba lub słoniny. Groza brała patrzeć na te biedne ręce. Później, tak długo dopóki przebywałem w tej celi, wyręczałem go, w czym mogłem. Tę chorobę było widać. Widać było straszliwe wychudzenie — skutek głodu, choroby i tortur. Kostek-Biernacki cierpiał również na jakąś przewlekłą chorobę przewodu pokarmowego. Cierpiał podwójnie — fizycznie i moralnie, gdyż musiał często korzystać z paraszy, a wynoszono ją tylko wtedy, gdy strażnik był w dobrym nastroju i godził się na to. Co to była za choroba i jakie inne jeszcze choroby pustoszyły organizm Kostka-Biernackiego — nie wiem. Przypuszczam, że i on sam tego nie wiedział. W każdym razie przez trzy z górą miesiące mojego pobytu w tej celi, ani razu nie skorzystał z jakiegokolwiek formy pomocy lekarskiej.

— Czy dostawał inne jedzenie ze względu na chorobę?
— Nie, dostawał normalne jedzenie z kotła. Jakie to było jedzenie, nie będę opisywał, bo są to rzeczy powszechnie znane.
— Jakie jedzenie dostawał Koch?
— Koch dostawał jedzenie szpitalne.
— Czy było to jedzenie lepsze?
— Oczywiście, bez porównania. To było najlepsze i najbardziej kaloryczne pożywienie, jakie wydawano w więzieniu. Dużo gorsza od niego była dieta dla więźniów uznanych za chorych, ale pozostających w celach. Najgorszy był zwykły kocioł.

— Czym się to różniło?
— Myśmy dostawali np. na obiad rzadką, wstrętną braję, nazywaną zupą. Koch zaś dostawał drugie danie, często ze sporym kawałkiem mięsa i całymi lub gniecionymi kartoflami, oprócz zupy.

— Z tego mogłoby wynikać, że Koch był chory. Ze znacznie późniejszego co prawda okresu, gdy toczył się proces przeciwko Kochowi, wiem z prasy, że był chory. Czy potwierdza to Pan?

— Nie jestem lekarzem, więc nie mogę dać odpowiedzi na to pytanie. Stwierdzam jednak z pełną świadomością, że u Kostka-Biernackiego każdy mógł zauważyć, że jest bardzo ciężko chory. Miał np. straszliwie spuchnięte nogi. Natomiast tego rodzaju rzucających się w oczy objawów u Kocha nie dostrzegłem. Przeciwnie, wyglądał zdrowo, powiedziałbym nawet, że był spasiony. Jadł dużo i z apetytem. Dostawał paczki, nie wiem skąd. Miał też widocznie pieniądze i zezwolenie na kupowanie żywności w kantynie więziennej. Widziałem, że jadał czekoladę i owoce. On wtedy, proszę Pana, nie miał jeszcze siwego włosa na głowie.

— Czy Kostek-Biernacki korzystał z kantyny?

— Nie miał złamanego grosza i nigdy niczego nie kupował. Bardzo rzadko i to dopiero po dłuższym czasie pobytu w więzieniu dostawał skromniutkie przesyłki żywnościowe od jakiejś krewnej. Trochę słoniny i cukru. Dzielił się tym ze mną. Już pierwszego wieczoru, gdy tylko przyszedłem, zaproponował mi bym usiadł i od razu poczęstował mnie ze swoich szczuplutkich zapasów.

Przypomniałem sobie jeszcze jeden przykład różnic w traktowaniu Kocha i Kostka-Biernackiego przez władze. Koch mianowicie, jak również i ten „folksdojcz”, byli we własnych cywilnych ubraniach i obuwiu. Mam przed oczyma granatową, dwurzędową marynarkę Kocha, jego czystą białą koszulę i starannie zawiązany krawat. Natomiast Kostek-Biernacki (a nawiasem mówiąc, ja też) miał odzież i bieliznę więzienną oraz drewniane chodaki na nogach. Tak, Koch cieszył się dużymi względami władz więziennych. Może

dlatego, że o Kochu świat pamiętał, a o Kostka-Biernackiego nie miał się kto upomnieć. Jestem prawie pewien, że zbliża się dzień, kiedy Koch zostanie przekazany przez rząd PRL władzom NRF i znajdzie się na wolności.

Do nas, Kostka-Biernackiego i mnie, służba więzienna zwracała się przez „wy”, natomiast do Kocha, a nawet o Kochu mówili „pan”. Zauważyłem, że owo faworyzowanie Kocha sprawiało, iż był butny. Pamiętam takie oto zdarzenie: Gdy pierwszej nocy mieliśmy się ułożyć do snu, byłem przekonany, o czym już wspominałem, że z pryczy korzysta Kostek-Biernacki. Okazało się, że tak nie jest. Wpadłem w złość. Odczuwałem to jako zniewagę nie tylko w stosunku do niego, ale i do mnie. Powiedziałem groźnie po polsku: „Ty, Koch, będziesz teraz spał na ziemi, zrozumiałeś bandyto?” Koch próbował mnie sprostować: „Ich bin Herr Koch!”. Zaciśnąłem mu przed nosem pięść i powiedziałem: „Dam ci zaraz takiego herra, że ci zęby tyłkiem wyjdą”.

Krótko mówiąc, tej nocy spałem z Kostkiem-Biernackim na pryczy, bo sam nie godził się na niej spać. Ale była to jedyna noc. Następnego dnia weszło do celi dwóch strażników i zrzuciło mnie z pryczy, Kostek-Biernacki zaś sam zszedł z niej. Strażnicy uprzedzili mnie, że prycha jest „pana Kocha” i ostrzegli, bym nie próbował tego zmienić, bo to się dla mnie źle skończy. Ale ilekroć mówiłem: „Koch, bierz miotłę i posprzątaj celę”, to bez słowa wykonywał zlecenie. Widział, że u mnie na względy nie może liczyć.

— Mówił Pan, że Kostek-Biernacki był w więzieniu torturowany. Skąd Pan o tym wie?

— Opowiadał mi o tym. Przede wszystkim przetrzymywano go całymi miesiącami w karcercze. Nawiasem powiem, że przed wojną wolno było ukarać więźnia najwyżej 48-godzinny karcercem i to nie w celu wymuszenia zeznań, lecz za wyraźne przewinienie, np. za poważne naruszenie regulaminu więziennego. Najłagodniejszy karcerc w więzieniu na Mokotowie to zimny, ciemny loch, bez jakiegokolwiek poświaty. Gorszy jest karcerc mokry, w którym jedynym względnie suchym miejscem jest wąska deska, na której można najwyżej stać. Były w owym czasie jeszcze karcercy, w których więzień musiał stać po kolana w fekaljach. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe. Przypominam sobie, że kilka lat później, na plenum KC partii w październiku 1956 roku, jeden z dyskutantów mówił o takich karcercach. Było to wydrukowane czarne na białym w *Nowych Drogach* i w pełni zgadzało się z tym, co mi opowiadał Kostek-Biernacki.

Kostka-Biernackiego bito niemiłosiernie. Pięścią, biczem, mocnym powrozem. Opowiadał mi, jak kazano mu stać w nie-

skończoność przez całe dni twarzą zwróconą do ściany, z wzniesionymi nad głowę lub założonymi do tyłu na szyję rękoma. Za zmianę pozycji lub oparcie się o mur bito do utraty przytomności, a następnie cucono przy pomocy kubła zimnej wody. Opowiadał, jak między palce wkładano mu ołówki a następnie miażdżono dłonie. Wbijano mu pod paznokcie drzazgi. Sam widziałem i oświadczam, że w czasie gdy go poznałem nie miał już wcale paznokci na palcach. Podczas przesłuchiwania musiał całymi godzinami siedzieć na jednej cienkiej nodze odwróconego stołka. Ta noga wbijała się zwolna w kiszkę stolcową. Proszę mi wierzyć, bo ja sam to przeżyłem również.

— Jaki cel miało to znęcanie się nad Kostku-Biernackim?

— Chodziło o wymuszenie fałszywych zeznań. Początkowo chciano, aby przyznał się do winy za wszelkie nieprawości, jakie działy się w obozie w Berezie Kartuskiej. Utrzymywał, że to nieprawda, nie on tworzył ten obóz, który powstał na mocy Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 17 czerwca 1934 roku, a wykonanie jego poruczone zostało ministrom Spraw Wewnętrznych i Sprawiedliwości. Bereza Kartuska podlegała mu jedynie terytorialnie, gdyż znajdowała się w administrowanym przez niego od jesieni 1937 roku województwie. Później usiłowano zmontować proces o szpiegostwo i dywersję, który wykorzystano by przeciwko istniejącej w kraju opozycji. Pamiętajmy, że był to okres montowania tego rodzaju procesów.

Mimo tortur nie potrafiono go złamać.

— Jaki był stosunek Kostka-Biernackiego do Rosji i Związku Sowieckiego?

— Kostek-Biernacki nie był nieprzyjdanym, zaślepionym przeciwnikiem Związku Sowieckiego. Przeciwnie, uważał, że usytuowanie naszego kraju wymaga współpracy z naszym wschodnim sąsiadem. Uważał jednak, że powinny to być stosunki oparte na zasadach równości i niezawisłości. Ubolewał nad tym, że znajdując się przed 1939 rokiem między sowieckim młotem a hitlerowskim kowadłem, ówczesny rząd polski nie potrafił lepiej ułożyć swoich stosunków z ZSSR. Była to jednak, niestety, wina nie tylko jednostronna naszego rządu. Z rozmów z Kostkiem-Biernackim zacząłem sobie wyraźniej uprzytomniać, że będąc przed wojną komunistą, nie słusznej służyłem sprawie, nie ojczyźnie mojej służyłem.

— Jeżeli rozmawialiście na ten temat, to jakie były przewidywania Kostka-Biernackiego co do przyszłości Polski?

— Niejednokrotnie wracał do tej sprawy. Patrzył na tę przyszłość zarówno realnie, jak i pesymistycznie. Utrzymywał, że świat został po wojnie podzielony między dwa potężne mocarstwa — USA i ZSSR. Polska została oddana na łaskę i niełaskę

Sowietów i nikt na Zachodzie nie będzie się z nimi wadził o nasz kraj. W tej sytuacji — twierdził Kostek-Biernacki — należy przynajmniej dążyć do tego, aby w sferze dominacji wpływów rosyjskich zachować lub wywalczyć sobie tyle wewnętrznej swobody, ile to jest możliwe. A to zależne jest, mówił, od tego jakich komunistycznych przywódców będzie Polska miała. Jeśli będą to patrioci, to na pewno potrafią zagwarantować dla kraju dość dużą niezależność polityczną, gospodarczą i kulturalną. Mówił, że nawet między komunistami mogą istnieć różnice w poglądach na kwestię suwerenności państwowej. Nie wiedział nic ani o potężnym niedawno Gomułce, ani o wyniesionym do władzy Bierucie, ode mnie dowiedział się o tym co zaszło w 1948 roku i przyjął to jako potwierdzenie swoich twierdzeń. W zmianie jaka nastąpiła, dopatrywał się zwiększenia uzależnienia Polski od Kremla. Ale liczył również na zmiany, jakie mogłyby zajść w samym Związku Sowieckim po śmierci Stalina, co miałoby wpływ również na sytuację Polski. Patrzył zresztą na sprawę szerzej — twierdził, że wszelkie zmiany w Polsce będą ściśle uzależnione od wewnętrznej sytuacji politycznej w Związku Sowieckim. Jak powiedziałem, liczył na zmiany po śmierci Stalina, ale wierzył też w narastanie wewnętrznego oporu w społeczeństwie sowieckim po zetknięciu się z Zachodem w czasie zakończonych działań wojennych i okresie powojennym. Twierdził, że mimo krwawego terroru wytrzymałość społeczeństwa na ucisk ma swoje granice i musi dojść do momentu, gdy przypadek spowoduje nieunikniony wybuch.

Kostek-Biernacki był ogromnie spragniony wiadomości ze świata, od których był całkowicie odcięty od chwili uwięzienia. Prekazywałem mu wszystko, co mi było wiadome. Komentował te wiadomości inaczej niż czyniła to prasa krajowa i inaczej niż ja to wcześniej rozumiałem. Wiele też pod tym względem nauczyłem się od niego.

— A czy Koch otrzymywał jakieś gazety lub książki?

— O tak, dostawał niemieckie gazety. Przypuszczam, że wydawane na terenie sowieckiej strefy okupacyjnej. Miał też książki.

— Wróćmy do Kostka-Biernackiego. Jakich przekonań politycznych był w okresie, gdy dzieliliście wspólną celę?

— W czasie wojny przeszedł Kostek-Biernacki dużą i chyba zrozumiałą metamorfozę. Gdy go poznałem, był zwolennikiem jak najszerszych swobód demokratycznych. Myślę, że świadczy o tym również jego przyjazny stosunek do mnie, wówczas jeszcze komunisty z przekonania, szukającego błędu w realizacji idei, a nie w niej samej.

— Czy Kostek-Biernacki potrafił krytycznie ocenić okres, w którym on sam był przedstawicielem władzy w Polsce?

— Tak, jak najbardziej. Szukał błędów tych m.in. jako przyczyn klęski wrześniowej. Jego zdaniem niewybaczalnym błędem był udział Polski w najeździe Niemiec na Czechosłowację w 1938 roku i zajęcie Śląska Cieszyńskiego. Twierdził, że należało wspólnie z Czechosłowacją stawiać czoła Hitlerowi. Polska miała bitną i dobrze wyszkoloną armię, Czechosłowacja miała uzbrojenie, jakiego Polsce brakowało. Kto wie, czy w ogóle doszłoby do II wojny światowej, gdyby ówczesne rządy Polski i Czechosłowacji umiały lepiej patrzeć w przyszłość? — mówił Kostek-Biernacki. Uważał, że również w przyszłości oba nasze kraje powinny ze sobą ściśle współpracować na rzecz własnego bezpieczeństwa zarówno ze względu na zagrożenie ze wschodu, jak i zachodu.

— A czy bronił wewnętrznej polityki ówczesnego rządu?

— Nie, w niej widział również wiele przyczyn słabości Polski. Między innymi twierdził, że fałszywą była polityka dyskryminująca mniejszości narodowe, zwłaszcza Ukraińców. Mówił mi, że należało dać Ukraińcom na terenach, gdzie stanowili większość prawa autonomiczne w ramach Państwa Polskiego. Na skutek błędnej polityki mieliśmy Ukraińców przeciwko sobie. Mówił, że była to niewybaczalna ślepotą, skoro graniczyliśmy z wcieloną do Sowietów, przewyższającą nas liczebnie Ukrainą. Mieliśmy więc wrogów po obu stronach granicy.

— Czy zechciałby Pan powiedzieć coś o różnicach w traktowaniu więźniów przed wojną i w PRL?

— Siedziałem przed wojną w kilku różnych więzieniach: w Piotrkowie Trybunalskim, Łodzi, Łęczycy i Sieradzu. Najcięższe warunki były w Piotrkowie, gdzie przebywałem w okresie 1931-1933. Nie wiem, od czego zacząć porównania. Niech będzie, że od stwierdzenia, że nawet w tym więzieniu mieliśmy dużą bibliotekę, prowadzoną przez swojego bibliotekarza.

— Co znaczy „my”?

— Mam na myśli więźniów politycznych, komunistów. Dostawaliśmy regularnie prasę. Biblioteka była zaopatrzona w literaturę polityczną. Mieliśmy np. wszystkie dzieła Lenina, Marksa, Engelsa i innych teoretyków komunizmu.

Cele nie były przepełnione. Każdy więzień miał swoją prycę i na podłodze nikt nie spał. Mieliśmy grube, świeżo wypchane sienniki, czystą bieliznę pościelową, zagłówek, koce, częstą kąpiel.

— Czy po wojnie tego nie było?

— Ależ skąd! Prócz siennika, o którym już mówiłem, nie dostawaliśmy z pościeli niczego. Ale chcę mówić o przedwojennych więzieniach. W Piotrkowie Trybunalskim mieliśmy godzinę spaceru dziennie, podczas którego można było swobodnie chodzić i rozmawiać ze sobą. W Piotrkowie cele były zamykane, ale w koń-

cu 1933 roku zostałem przeniesiony do więzienia w Sieradzu. Wydawało mi się, że przyjechałem na wypoczynek. Proszę sobie wyobrazić, że tylko na oddziale śledczym cele były zamykane, natomiast po zapadnięciu wyroku więźnia lokowano na oddziale karno-politycznym, gdzie wszystkie cele stały otworem. Ponieważ w celach prowadzone było samokształcenie, mogliśmy w zależności od tematu lekcji przechodzić swobodnie z celi do celi. W Sieradzu mieliśmy 4 godziny spaceru na powietrzu w dni powszednie i od rana do wieczoru w niedziele i dni świąteczne. Jedzenie było różne w zależności od więzienia, ale w każdym razie było bez porównania lepsze i obfitsze od tego, czym się karmi więźniów w PRL. Gotowaną strawę dostawaliśmy np. w Sieradzu dwa razy dziennie — na obiad i kolację. Warto wspomnieć, że więźniowie polityczni mieli prawo noszenia własnej cywilnej odzieży.

Różnice między więzieniami w Polsce kapitalistycznej a PRL sam sobie uprzytamniałem, zwłaszcza gdy rozmawiałem z Kostkiem-Biernackim. I przyznam, że było mi wstyd, tak jak bym ja pełnił rolę „gospodarza” w tym strasznym więzieniu.

Gdy miałem opuścić więzienie mokotowskie Kostek-Biernacki prosił abym, jeśli będę mógł, pisał do niego. Posłałem mu po wyjściu na wolność kilka listów, posłałem mu też kilka paczek z żywnością. Ostatnia, wysłana w październiku 1950 roku, wróciła z dopiskiem: „adresat nieznany”. Widocznie ponownie zastrzono rygor wobec Kostka-Biernackiego. Żył jeszcze kilka lat.

Jan KLIGERT

Michał BORWICZ („ZYGMENT”)

KARTKI Z DZIAŁALNOŚCI O.W. i O.B. — P.P.S.

„REPUBLIKA PROSZOWICKA”

W lipcu 1944, kolejna moja kwatera w Miechowskim mieściła się w Opatkowicach, koło Proszowic. Zajmowałem ją tym razem z „Tomaszem” (Stanisławem Kowalczykiem), który — zgodnie z jego zadaniami konspiracyjnego wysłannika P.P.S. do spraw politycznych — krążył między Miechowskim a Krakowem. Mały domek, służący nam za tzw. punkt postoju, znajdował się

na górnym krańcu osiedla. Drzewa rosnące gęstą ścianą nad pobliskim strumieniem, osłaniały tajne wizyty łączników. Równocześnie położenie Opatkowic czyniło z nich dogodny etap wyjściowy dla naszych nocnych wędrówek w teren, do szeregu wsi, gdzie P.P.S. - W.R.N. posiadała dobrze zorganizowane grupy cywilne i wojskowe.

Jednak w ramach przesunięć Wehrmachtu, okupant skierował niektóre oddziały również do Opatkowic. Grupy te rozłożyły się tutaj na kwaterach. Wieś i jej drogi zarożyły się z dnia na dzień od niemieckich mundurów. Godzina policyjna, która przedtem obowiązywała tylko w teorii, nabrała teraz także praktycznego znaczenia.

Któregoś wieczoru — było to w połowie ostatniej dekady lipca — wróciłem późno z obchodu w terenie. Ze względu na włączące się we wsi grupki Wehrmachtowców, odprawiłem towarzyszącego mi łącznika już na przedpolu Opatkowic. Potem kluczyłem dosyć długo w ciemnościach, aby — kierując się do mieszkania — uniknąć natknięcia się na Niemców.

Na kwaterze znajdował się tylko jeden nasz bojowiec — młody właściciel chałupy, i jego żona. Tomasz wyjechał kilka dni wcześniej do Krakowa. Ledwie zasnąłem, gospodarze budzą mnie gwałtownie:

— W bliskim sąsiedztwie, jakaś polska bojówka zraniła jednego ze stacjonujących tam Wehrmachtowców! — mówią mi, przestraszeni.

Zza okien w istocie dochodziły odgłosy wystrzałów: znak, że wypadek zaalarmował już niemiecki garnizon.

Uświadomiwszy sobie sytuację zebrałem w pośpiechu znajdującą się w mieszkaniu broń i archiwum. Gdy — objuczeni — wyszliśmy w trójkę z chałupy, strzały rozlegały się już zewsząd. Ponieważ słysząc je było z nazbyt wielu miejsc równocześnie, mogło to świadczyć, że Niemcy strzelają chaotycznie aby sygnalizować sobie wzajemnie zajmowane pozycje. Została nam jedna możliwość: orientując się w ich ruchach na podstawie migających tu i ówdzie świateł i rozlegających się strzałów, próbować przebicia się poza formowany przez nich kordon. W razie potrzeby, mogliśmy oddać w ciemności kilka strzałów w powietrze i — pozorując w ten sposób obecność ich własnych żołnierzy — wyperswadować im strzelanie na ślepo w naszym kierunku.

Dopadłszy na koniec miniaturowego mostku i znalazłszy się poza ruchomym kręgiem Niemców, odbiliśmy w kierunku tzw. kolonii. Tu zbudziliśmy sołtysa (który należał do miejscowych działaczy W.R.N.). W schowku opodał jego zabudowań ukryliśmy archiwum i część broni. W chałupie sołtysa została również

żona mojego gospodarza. Natomiast on sam pomaszerował ze mną przez Jazdowiczki w kierunku szosy miechowskiej. W chwili gdy opuszczaliśmy w pośpiechu kolonię, ujrzelśmy z daleka płomień bijący w niebo na cyplu Opatkowic. Przeszukując — jak się później okazało — całą wieś, Wehrmachtowcy podpalili właśnie naszą chałupinę. Gdy ogień dosięgał dachu, rozległy się niespodziewanie huki resztek zapomnianej przez nas na strychu i wybuchającej teraz od żaru amunicji. Hitlerowcy uznali zapewne, że trafnie wybrali obiekt na spalenie. Tych kilka skromnych detonacji stanowiło dla nich dowód, że budynek, który puścili z dymem był naprawdę „gniazdem bandytów”.

O szczegółach tego zajścia dowiedziałem się jednak dopiero nazajutrz, dzięki raportom łączników. Na razie, przekroczywszy szosę miechowską, oddaliliśmy się w głąb terenu leżącego po przeciwległej stronie Proszowic. Tak przybyliśmy do Górki Jaklińskiej, gdzie znajdował się jeden z punktów W.R.N.

Akurat następnego dnia, Tomasz wracał z Krakowa, tym razem w towarzystwie Baški (Anny Kuciel) i Ewy (Stanisławy Cebulakowej). Zastłyszawszy w drodze o wypadkach w Opatkowicach, wysiedli z wąskotorówki i zmienili trasę. Także oni przybyli do Górki. Zdziwili się zastawszy mnie tutaj żywego: ponieważ ludzie, których spotkali w okolicy, mówili im o podpalonym przez Niemców domku i o zastrzeleniu tam niezidentyfikowanego we wsi przybysza, wywnioskowali, że chodziło o mnie.

W takich okolicznościach dotarła do nas wiadomość o ultimatum skierowanym przez Armię Krajową do niemieckiego garnizonu w Ziemi Proszowskiej. Zastłyszawszy tę nowinę, Tomasz spojrział na mnie pytająco. Jako komendant powiatowy oddziałów W.R.N. winienem być ją znać. W rzeczywistości nie byłem uprzedzony. Decyzja i wstępne uderzenie miały miejsce poza granicami powiatu Miechowskiego, po czym wypadki od razu potoczyły się bardzo szybko. Nagle opuszczenie przeze mnie kwatery w Opatkowicach pogmatwało na domiar — zresztą tylko na krótko — łańcuch kontaktów, ustalonych wcześniej z Inspektorem Armii Krajowej.

Potwierdzenie jakie otrzymałem kilka godzin później od powiatowej Delegatury Rządu, dotyczyło ubezpieczenia terenu w przewidywaniu ustąpienia okupanta. Wydałem wtedy z miejsca rozkazy, ustalające ruchy i działania oddziałów W.R.N.

Zarówno niemiecki garnizon, jak tzw. *Stützpunkt*-y niemieckiej żandarmerii rzeczywiście opuszczały teren, wycofując się w kierunku Miechowa. Ziemia Proszowska znalazła się w rękach wyłącznie polskich.

W wytworzonej sytuacji nie brakło zabawnych paradoksów.

Tak np. udając się w tamtych latach koleją z Krakowa do Ziemi Proszowskiej dojeżdżało się pociągiem do Kocmyrzowa; tutaj trzeba było przenieść się na wąskotorówkę. Ponieważ Kocmyrzów (leżący mniej więcej w połowie drogi z Krakowa do Proszowic) znajdował się pod administracją okupanta, władze polskie respektowały kupione tam bilety. I na odwrót: w Kocmyrzowie uznawano bilety sprzedane pasażerom w miejscowościach wolnej części Ziemi Proszowskiej.

Sytuacja powyższa trwała pełne dwa tygodnie. Miejscowa ludność nazwała ją familiarnie „republiką Proszowicką”. Mówię — familiarnie, gdyż w tym samym czasie mieszkańcy innych okolic chrzcili to samo zjawisko nazwą swoich miasteczek. Rozległość terenów, z których okupant ewakuował swoje placówki przekroczyła bowiem nie tylko Ziemię Proszowską, ale również granice powiatu Miechowskiego. W kronikach władz Armii Krajowej całość tych wydarzeń odnotowano pod łączną nazwą „republiki Pińczowskiej”, co jest oczywiście tylko rodzajem *pars pro toto*. Jeżeli zważyć przy tym z jednej strony odległość dzielącą Proszowice od Pińczowa, z drugiej przedłużenie tego stanu od Proszowic w kierunku południowym, należy uznać, że rozległość terenów objętych omawianą sytuacją przekroczyła grubo pojęcie „lokalności”.

Paradoksalne fakty nie wyczerpują zresztą prawdziwej wymowy tego zjawiska. Jeżeli okupant zastosował się do notyfikowanego mu ultimatum, stało się to dlatego, że wcześniejsze wystąpienia sił podziemia na tym terenie kazały mu poważnie z nim się liczyć. Tragiczna sytuacja, spowodowana nagłym i celowym zatrzymaniem się ofensywy sowieckiej sprawiła, że obrona tej czasowo uwolnionej enklawy stała się niemożliwa. Z drugiej strony, wróciwszy w ten teren, najeźdźca nie odważył się na podjęcie represji, co w warunkach okupacyjnych było zjawiskiem wyjątkowym. Jest przy tym jasne, że nie dyktowała go dobra wola okupanta, lecz jego przymusowe liczenie się z poważnymi siłami podziemia w tym terenie.

Ponadto: wbrew mniemaniom, że miesiące po Powstaniu Warszawskim były już tylko konsumowaniem bohaterskiej klęski, zbrojne akcje podziemia toczyły się dalej. Co więcej: właśnie w tym okresie Oddziały Wojskowe W.R.N. zorganizowały m.in. szereg dalszych akcji.

W tym samym jeszcze miesiącu sierpniu, po porozumieniu się i uzgodnieniu planów z Krakowem, wydzieliłem — z miechowskich oddziałów PPS-WRN — nowe grupy bojowe. Jedną z nich, której dowództwo powierzyłem „Zamkowi” (Długoszowi), skierowaliśmy w Beskidy, gdzie znajdował się już krakowsko-myślenicki

pluton W.R.N. Kilka połączonych w ten sposób drużyn stacjonowały zrazu w Jastrzębi, następnie w Jaworzu (koło Harbutowic), potem kolejno — w Trzebuni, w Zawadce, (koło Pcimia) i na Babiej Górze.

Patrole połączonego oddziału zaczęły od „skoków” przeciw miejscowym załogom niemieckim, między innymi w miasteczku Kalwarii i we wsi Sułkowice, później przeciw placówce Niemców, pozostających na służbie niemieckiej Kałmuków i Ukraińców, w jednym z okolicznych dworów. Po zwiększeniu w ten sposób własnego uzbrojenia, oddział przeprowadził kilka znaczniejszych akcji. Na stacji Stronie zatrzymał pociąg wojskowy, obezwładnił i rozbroił całą jego niemiecką ekipę wartowniczą oraz służbę na samej stacji, zdobywając pokaźną (w naszych warunkach) ilość długiej i krótkiej broni.

Atak przeciw niemieckiej załodze w Izdebniku, dokonany 18 października, przyniósł między innymi znaczny ekwipunek w postaci koców, butów i mundurów. Zdobyte na Niemcach konie ułatwiły w tej górskiej okolicy aprowizację oddziału. Następujące dalsze ataki, dokonywane — ze zmiennym szczęściem — to przeciw placówkom wroga (na przykład w Żarnówce), to przeciw jego konwojom przy spędzie bydła (w pobliżu Kalwarii). W ostatnich dniach listopada oddział W.R.N., tym razem ze stacjonującą w tej okolicy II. Kompanią A.K., stoczył walkę z okrążeniem zorganizowanym przez ekspedycję niemieckiej żandarmerii.

W tych samych miesiącach, inne jednostki W.R.N. powiatu miechowskiego wykonały szereg „skoków” na własnym terenie. Zrazu, by uniknąć wywołania krwawych represji przeciw ludności cywilnej, poszczególne zaskoczenia, rozbrojenia i sabotaże miały cele rozmyślnie ograniczone. Ponieważ realizowane były jednak na różnych odcinkach, wywoływały one i podtrzymywały u Niemców nastrój niepewności i zagrożenia. Analogiczne akcje podejmowały w tym samym czasie również inne oddziały. W rezultacie, mundurowi Niemcy coraz troskliwiej unikali zapuszczania się w te strony. Nocami teren kontrolowany był całkowicie przez polskie organizacje podziemne.

UROCZYSTE AKADEMIE W.R.N. - P.P.S.

Są to wszakże miesiące dramatycznej jesieni 1944: miesiące tragicznych wiadomości i napływu uchodźców z Warszawy, miesiące spotęgowanych przez okupanta łapanek i aresztowań. Do zwalczania ciężkiego przygnębienia, tajna prasa zdawała się nie wystarczać.

W tych to okolicznościach powziąłem plan, uważany zrazu przez niektórych bliskich towarzyszy za szaleństwo: zorganizować nie tylko „opłatki” dla żołnierzy, lecz manifestacje w formie naprawdę uroczystych akademii. Takich na domiar, w których mogłaby licznie uczestniczyć także ludność cywilna. Pierwsza z nich, poświęcona była pięćdziesiątej drugiej rocznicy założenia P.P.S.

Stary działacz robotniczy z Zagłębia „Florian” (Piotr Oraczewski), odpowiedzialny w tym okresie za cywilną działalność W.R.N. w terenie, próbował mi zrazu wyperswadować to — jak mówił — „nieobliczalne prowokowanie diabła”. Potem jednak dodał:

— Jeżeli mimo mojej dobrej rady, zrobisz, będę lojalnie współpracować.

Krótko przed wyznaczonym terminem, zawiadomiłem Kraków, lecz w formie gotowego już zaproszenia. W określonym dniu, rzeczywiście przybył Marian Bomba (komendant Oddziałów Bojowych P.P.S. okręgu krakowskiego) w towarzystwie kilku innych przyjaciół. W chwili, gdy nasi żołnierze krzatali się wokół przygotowań do tej odmiennej od zwykłych eskapady, zamknął się ze mną w wiejskiej stodole. Wykonawca szeregu akcji bojowych (w tym wysadzenie dynamitem krakowskiego *Arbeitsamtu*), tym razem również on zaczął od cierpkiej reprimendy za narażanie ludności cywilnej. Zapewniłem go, że teren znajduje się naprawdę w naszych rękach i że ubezpieczenie imprezy zostało bardzo dokładnie opracowane. (W duchu, przyznaję, myślałem: jeśli półtora roku wcześniej mogłem organizować liczne zebrania we lwowskim obozie śmierci, cóż dopiero tutaj, w terenie gdzie dowodziłem uzbrojonymi i gotowymi zawsze do boju oddziałami!)

W praktyce wyglądało to tak, że na dużych płachtach papieru, które można było zwinąć w przenośne rulony, wymalowaliśmy nasze godło — wielkiego białego orła na czerwonym tle, z inicjałami OB PPS — oraz szereg przystosowanych do okoliczności napisów. Ustalonej nocy, w wyznaczonej wsi (do której już za dnia ściągnęli uprzedzeni wcześniej członkowie i sympatycy z okolic), bojówki nasze otaczały budynek miejscowej szkoły. W świetlicy rozwieszano nasze dekoracje. Budynku strzegły nasze patrole z automatyczną bronią oraz czujki, rozstawione w dalekim promieniu.

Przy tłumnie nabitej sali (dotąd widzę ten ścisk, i te płonące spojrzenia!) przydzielona drużyna, w mundurach, prezentowała broń, po czym rozpoczynała się akademie. Krótkie przemówienia przypominały ogniwa sponad pół-wiekowego łańcucha walk P.P.S. o niepodległość. Chłopaki z naszych oddziałów i dziewczęta z sekcji kobiecych wygłaszały przygotowane na tę okazję utwory. W manifestacji uczestniczyli zaproszeni reprezentanci inspektoratu Armii

Krajowej i terenowej Delegatury Rządu oraz nasi towarzysze, przybyli specjalnie z Krakowa: oprócz wzmiankowanego już Mariana Bomby, nasza dzielna „mama od bojowców” Zocha (Jadwiga Rysiewicz-Różankowska), *Lutek* (L. Motyka) i inni.

Inauguracyjna i zarazem najbardziej uroczysta spośród tych akademii odbyła się w Karwinie, pod Proszowicami. Druga (nie licząc pomniejszych) w Mniszowie pod Nowym Brzeskiem, trzecia na granicy powiatu Pińczowskiego.

Kierownik danej szkoły był oczywiście z góry uprzedzony. Tytułem (jakże zresztą teoretycznego!) alibi, bywał jednak na pozór — to znaczy formalnie — „terroryzowany”. Zdarzyło się wszelako, że podczas jednego z wymienionych wieczorów, taki rzekomo terroryzowany kierownik szkoły zapomniał całkowicie o swojej roli, zaczął okłaskiwać zawzięcie recytatorów i zwrócił się do stojącego przy nim bojowca: „Idźcież — mówi mu — i sprowadźcie tu pod terrorem także moją żonę, by i ona mogła ucieszyć sobie serce takim świętem”.

A potem jeszcze, iżby wyższym prawom konspiracji stało się już całkiem zadość, w naszym krakowskim organie „Wolność” wydrukowano, bez nazw miejscowości — to prawda — i bez nazwisk, lecz poza tym bardzo dokładne sprawozdanie z owych wieczorów.

W decyzji przeprowadzenia tych imprez, w zapale jaki wykazali zarówno bojowcy jak cywilna ludność (ściągająca na nie nawet z miejscowości stosunkowo odległych!), nie chodziło na pewno ani o prowokowanie dodatkowego niebezpieczeństwa na wielką skalę, ani — tym więcej — o lekceważenie czyhającej zewsząd grozy. Wyraziło się w nich natomiast głębokie przekonanie, że manifestacyjna afirmacja wyznawanych idei stanowi integralną część walki i wpływa na postawę społeczeństwa.

POST SCRIPTUM

Publikując — swego czasu — w *Kulturze* (Nr 237-238; lipiec-sierpień 1967) wspomnienie o *Majorze Czerwonej Armii Kabanowie*, zbiegłym z niemieckiej niewoli i uratowanym — dzięki zorganizowanej przeze mnie akcji — przez podziemną sieć P.P.S., zmuszony byłem dołączyć do owego artykułu obszernie *Post scriptum*, by sprostować karkołomne przeinaczenia, fabrykowane — w związku z tamtą sprawą — w publikacjach krajowych, które zamasyście przemianowały miechowskie oddziały P.P.S. - W.R.N.

ni mniej i ni więcej, lecz na „najgłośniejsze” w Ziemi Proszowskiej oddziały... „Gwardii Ludowej”, powstałe rzekomo (cytuję dosłownie) „z inicjatywy P.P.R.”.

W rzeczywistości były to oddziały Wojskowe i Oddziały Bojowe P.P.S. - W.R.N., które (zachowując — przewidzianą układem z AK autonomię wewnętrzną) scalone były z Armią Krajową. Wy tłumaczyłem przy tym, że w pierwszych latach okupacji, organizacja wojskowa P.P.S. nosiła w istocie nazwę „Gwardii Ludowej”. Zmieniła ją jednak na O.W. i O.B. - P.P.S., właśnie dlatego, że nazwę „Gwardii Ludowej” przywłaszczyła sobie bezprawnie P.P.R.

Z tego samego *Post-scriptum*, mogli się wówczas czytelnicy dowiedzieć, jak to wspomniany sowiecki major Kabanow, uratowany przez nas w drugiej połowie 1944, to znaczy zaledwie kilka miesięcy przed końcem niemieckiej okupacji, zmienił się — w wojennych publikacjach krajowych — na „skoczka radzieckiego”, który objął rzekomo dowództwo oddziału „Gwardii Ludowej” imienia Konstantego Rokossowskiego” w roku 1943 (czyli dokładnie na cały rok przed jego ucieczką z niemieckiej niewoli!).

Okazuje się, że wytknięty wtedy przeze mnie „chwyt”, polegający na mnożeniu jednostek wojskowych P.P.R. za pomocą przemianowania oddziałów wojskowych P.P.S. (W.R.N.) na własną „Gwardię Ludową” stosowany bywa w publikacjach krajowych nadal i to systematycznie. Oto typowy przykład takiego fałszerstwa:

W nrze 202 (i to właśnie) *Żołnierza Wolności*, z dnia 28 sierpnia 1970 wydrukowano artykuł pod nazwą „Towarzyski frontowy dróg: Dziewczeta z Podgórze”. Czołową spośród fotografii ilustrujących ten artykuł, znam dobrze; posiadam ją zresztą w mojej osobistej kolekcji. Przedstawia ona grupę żołnierzy z oddziału, który powierzyłem „Zamkowi” i pochodzi z okresu postoju tegoż oddziału na Babiej Górze. Co więcej: na pierwszym planie, figurują na tym zdjęciu przybyli tam z Krakowa na wojskową inspekcję najbliżsi moi — i nieżyjący już — towarzysze bojów, śp. Jadwiga Rysiewicz i Marian Bomba.

Artykuł o którym mowa opracowany był przez współpracowniczkę *Żołnierza Wolności* na podstawie rozmów, przeprowadzonych z byłymi uczestniczkami naszej (to znaczy P.P.S. - W.R.N.-owej) grupy, składającej się w czasie hitlerowskiej okupacji — z bardzo młodych dziewcząt. Pod kierownictwem najstarszej z nich Jadwigi Rysiewicz („Zochy”) — wykonywały one niebezpieczne funkcje łączniczek i kolportererek prasy podziemnej, przносиły dokumenty a nieraz broń i amunicję. Szkoliły się też jako sanitariusz-

ki, opiekowały się osobami zagrożonymi przez okupanta i tak dalej.

Mimo, że artykuł o którym mowa poświęcony jest w zasadzie grupie wymienionych dziewcząt, dalsze wspomnienia tych (dzisiaj już oczywiście dorosłych) kobiet wiodą do naturalnych skojarzeń z akcjami przeprowadzanymi wtedy przez starszych działaczy i bojowców P.P.S. Mowa zatem między innymi o dwóch akcjach dokonanych pod dowództwem Mariana Bomby, mianowicie o podpaleniu wagonów z materiałami wybuchowymi w „Solvay'u” pod Krakowem i o wysadzeniu dynamitem krakowskiego *Arbeitsamtu*, oraz o działaniach bojowych naszych oddziałów partyzanckich i tak dalej.

Chociaż więc o gazecie która wydrukowała tę wspomnieniową wiązkę posiadam sąd jak najgorszy, przyznaję, że sam artykuł przeczytałem z dużym wzruszeniem. Tym więcej, że wszystkie przytoczone w nim fakty są zgodne z prawdą. Dlaczego więc, ukończywszy tę okolicznościową lekturę musiałem jak zwykle przy czytaniu prasy krajowej — i tym razem wzruszyć z niechęcią ramionami?

Oto w całym tym artykule, nie tylko o W.R.N. ale choćby o P.P.S. nie ma nawet najmniejszej wzmianki. Mowa za to systematycznie i konsekwentnie, o... „Gwardii Ludowej”.

Nie ma w tym — niewątpliwie — winy byłych uczestniczek, których relacje posłużyły autorce artykułu jako materiał. Autorka artykułu sama bowiem notuje, że miała okazję zapoznania się z pamiętkami rodzinnymi, przechowywanymi przez jedną z owych byłych uczestniczek, w tym nie tylko ze zdjęciami z oddziałów partyzanckich, lecz również z „egzemplarzami prasy konspiracyjnej”. Wiedziała więc dokładnie jaka to i czyja była prasa. Te wszystkie szczegóły wołała już jednak „wielkodusznie” przemilczeć.

Tak to wygląda jedna ze stosowanych systematycznie metod partyjnej propagandy za pomocą których P.P.R.-owska „Gwardia Ludowa” nie przestaje — jeszcze dzisiaj, w ćwierć wieku po wojnie! — rekrutować do swych szeregów nowe oddziały wojskowe i sieci byłych konspiracyjnych działaczy oraz wpisywać na swoje konto ich dokonania: aż do grupy dawnych dziewcząt z Podgórza włącznie.

Metoda takich fałszerstw historycznych nie wymaga komentarzy.

Michał BORWICZ („ZYGMENT”)

ZIEMIANIE Z PODZIEMIA

„UPRAWA” I „EXPRESS” LEON KRZECZUNOWICZ

Ze wspomnień

Poznałem Leona Krzeczunowicza, pseudonim Express, w drugiej połowie 1940 roku w Krakowie. Administrował wtedy jakimś majątkiem w Jasielskim i wkrótce potem, z powodu zajmowania się wraz ze swoją siostrą Dzidzią przerzutami na Węgry, zagrożony przez Gestapo, i spalony, objął administrację majątku Sieciechowice, pow. Miechów. Majątek ten należał do męża mojej ciotki Jadwigi Branickiej (Wilanów) — Stanisława Reya. Leon przebywał tam do aresztowania w sierpniu 1944 roku.

Przyprowadziła go do moich Rodziców moja siostra, Maria Andrzejowa Popielowa (Czaple Małe pow. Miechów) albo jeden z moich kuzynów. Leon znał mego ojca Hilarego sprzed wojny ze Lwowa i kiedy się zjawił miał z nim jakieś „tajemnicze” polityczne rozmowy. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że Leon te rozmowy prowadził w imieniu ZWZetu, ściślej z ramienia ówczesnego Korczaka, gen. Tadeusza Bór-Komorowskiego, powinowatego mego ojca (stryj Tadeusza, Adam — był *primo voto* żonaty z siostrą mego ojca Marią Bnińską). Chodziło o to, że pod jesień 1940 roku Dyrektor Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), Adam Ronikier, usiłował namówić mego ojca, by został czymś w rodzaju „dyrektora gabinetu” RGO. Mój ojciec znał Adama Ronikiera od lat, miał zastrzeżenia co do współpracy z nim i odmówił. Czego innego chciał Leon i, jak mi po latach powiedział Tadeusz Bór-Komorowski, on też nie był zadowolony z odmowy mego ojca. Mój ojciec obawiał się, że poza innymi względami, nie sprostą łączeniu pracy oficjalnej w RGO z działalnością w Podziemiu. Nie miał w tej dziedzinie najmniejszego doświadczenia.

W rozmowach z moim ojcem Leon poruszył inną sprawę i ta rykoszetem trafiła we mnie i rozpoczęła coś na kształt lawiny wypadków. Pamiętam jak dziś, że na Plantach krakowskich spotkałem w tym czasie Leona i powiedział mi, że od jakiegoś czasu chciał ze mną mówić — czy mam czas, by go podprowadzić, to mi wszystko wytłumaczy. Chodziliśmy ponad godzinę, Leon wyłożył ogólną sytuację, tak jak ją widział, i zarysy Podziemia. Pierwszy raz usłyszałem wówczas kryptonim UPRAWA, do któ-

rej Leon chciał, bym dołączył. Wszystko było bardzo interesujące i logiczne. Powiedziałem Leonowi, że jestem już „podwiązany” do komórki ZWZetu w Nisku n. Sanem i że mam oprócz tego literacko-naukowe pomysły. Leon nalegał i mówił, że moi kuzyni, pseudo „Leliwa” i „Pług” wiedzą, że on miał ze mną rozmawiać i żebym z nimi sprawdził jego kroki i zamiary, bo oni też liczą, że dojdę do „Uprawy”.

„Uprawa” była konspiracyjną organizacją ziemian. Należało do niej pod koniec 1943 roku gros właścicieli obiektów przemysłowo-rolnych w tzw. GG. Grupę powołano do życia wyłącznie i jedynie dla celów stworzenia części zaplecza dla ZWZ, czyli następnie Armii Krajowej. Żaden z ludzi odpowiedzialnych za jej powstanie nie pragnął, nie łudził się, ani nie zmierzał do tego, żeby grupa ta była, lub mogła być czymś innym, na przykład narzędziem, czy „wehikułem” politycznym. Dlaczego mogę z całą odpowiedzialnością za te słowa tak mówić? Pewnym ludziom przyświecała wspólna filozofia, która mimo pozorów, była równie realna, jak przydrożny kamień. Kiedy w roku 1937 Adolf Bniński, wbrew opinii mego ojca i mego stryja Romana przyjął Prezesurę Stronnictwa Konserwatywnego (po odsunięciu ks. Janusza Radziwiłła), a był wtedy też Prezesem Związku Ziemian i Senatorem RP — powiedział memu ojcu, że robi to dlatego, że w katastrofach, które nadchodzą „klasa ziemian” musi się skończyć. Uważał, że łatwiej niż kto inny może uratować jej wkład w życie polskiej państwowości. Chciał sterować ku reformom. We wrześniu 1939 roku nie wyjechał z Poznania i tam zginął jako Delegat Rządu RP na Okręg Poznański.

Na Plantach w Krakowie, pod koniec roku 1940, Leon Krzeczunowicz zarysowując plany „Uprawy” powiedział: „Musimy zrobić co można, żeby w tych wojennych czasach bezmyślność i zawadiackość nie rozproszyła potencjału jakim w specyficznych warunkach dysponują dziś ziemianie. To wszystko właściwie jest już skończone. Ale kończenie może być spożytkowane, albo zmarnowane. Musimy potencjał, którym ostatni raz w historii dysponuje ziemiaństwo, zorganizowanie postawić do dyspozycji Podziemia. Sprowadza się to do zabezpieczenia zaplecza wojska. Jeżeli nie zrobi się tego w sposób zorganizowany, to indywidualne zapędy nieobliczalnie rozdrobnią sumę możliwości, z których może korzystać wojsko. Ale nie ma żadnych celów politycznych. Polityczne zabiegi o majątki to bzdura, którą trzeba zwalczać, bo będzie paraliżować wykorzystanie potencjału”.

„Uprawa” była organizacją paramilitarną. Inicjatorem jej był gen. Tadeusz Bór-Komorowski. Już w listopadzie 1939 roku, w Krakowie, rozmawiał on na ten temat z bratem mojej matki

Hieronimem Tarnowskim (Rudnik n. Sanem, Szlak w Krakowie), a ten wskazał mu na Andrzeja Sapiechę pseudonim „Kodeński” — (Żurawica k. Przemyśla), którego T. Bór-Komorowski powinien dla tej sprawy pozyskać.

Tadeusz Bór-Komorowski, wówczas jako „Korczak”, dowodził Obszarem ZWZ Kraków i nie wiem kiedy, ale zainteresował pomysłem swojego przedwojennego przyjaciela Leona Krzeczunowicza i zlecił mu wprowadzenie go w życie. Początki organizowania „Uprawy” zaczęły się na przełomie 1940/41. Przenosiny Leona z Jasielskiego w Miechowskie musiały mieć coś wspólnego z planami organizowania „Uprawy”, pamiętam jednak, że Leon był na Podkarpaciu zagrożony w związku z pracą nad przerzutami na Węgry i akcją grupy „Miecz i Pług”, która też zajmowała się przerzutami przez góry i na tym tle w tych okolicach zinfiltrowana została przez wywiad niemiecki.

W „Uprawie” Leon Krzeczunowicz był duszą i motorem akcji. Śmiało można powiedzieć, że było to jego dziecko, o które dbał i prowadził po ojcowsku. Leon był człowiekiem głębokiej mądrości, cichy i niepozorny. Pełen energii i sprytu, wszystkich dobrych cech jego ormiańskich przodków.

Po ustaleniu postępowania z Leonem powiedziałem komórcze ZWZ w Nisku n. Sanem, że przenoszę się niemal na stałe do Krakowa, a moim kolegom gimnazjalnym, góralom z okolic Rabki, że na nasze plany literacko-naukowe nie będę miał czasu. Pełna współpraca z Leonem zaczęła się dla mnie z początkiem 1941 r. Byłem łącznikiem-koordynatorem. Korzystając z tak zwanych „murowanych” *Aussweis*’ów (prawdziwych i fałszywych zarazem) jako niezbędny pracownik Przedsiębiorstw Przemysłu Drzewnego mego wuja Hieronima Tarnowskiego i mówiąc płynnie po niemiecku mogłem się poruszać bez żadnych ograniczeń po całym tzw. GG. Oprócz tego zapisałem się do Liceum Handlowo-Administracyjnego w Krakowie — jedynej tego rodzaju szkoły, funkcjonującej jeszcze wtedy mniej więcej według dawnego programu. Zabawne, że legitymacja tej szkoły skutecznie chroniła przed łapankami, a co też ważne, dawała prawo do pobytu w Krakowie i do kartek żywnościowych. Do rozjazdów używałem papierów z Rudnika n. Sanem.

Na początku 1942 roku, na życzenie KG ZWZ i na podstawie potrzeb dowódców obszarów i okręgów uzgodnionych z szefami czwartych oddziałów (kwaterymistrzostwo), zadania i siatka organizacyjna „Uprawy” przedstawiały się następująco:

1. Kierownictwo „Uprawy” spoczywało luźno ujęte w rękach: Leona Krzeczunowicza — „Express”,

Romana Lasockiego — „Prezes” (z Łomżyńskiego, w czasie wojny dyrektor Fundacji im. Łubieńskich w Warszawie, biuro przy ul. Kredytowej, mieszkał przy Alejach Ujazdowskich),

Leona Popławskiego z Obszaru Warszawa,

Andrzeja Śapiehy — „Kodeński”, do wiosny 1944,

„Leliwy” z Okręgu Kraków i

„Ogończyka” z Obszaru Warszawa,

oraz jeszcze jednej osoby z terenu Okręgu Lublin.

2. Stały kontakt z KG AK utrzymywał Roman Lasocki przez „Denhoffa” — płk. dypl. Zygmunta Miłkowskiego, Szefa Oddziału IV KG AK, a przedtem dowódcę Okręgu Kraków.

3. Przy każdym dowództwie Okręgu AK w tzw. GG działał przedstawiciel „Uprawy”, który w zależności od układu lokalnego współpracował bezpośrednio z Komendantem Okręgu, lub jego kwatermistrzem.

4. Podwładni okręgowych przedstawicieli „Uprawy” posiadali odpowiednie kontakty z dowódcami Inspektoratów i Obwodów. Zasadniczo unikało się organizacyjnych bezpośrednich powiązań z placówkami czy też oddziałami bojowymi. Naturalnie były od tego wyjątki, dyktowane potrzebami akcji. Chodziło między innymi o to, aby np. w roku 1943 — oddziały bojowe AK korzystały z pomocy „Uprawy” na zasadzie ustawień drogą służbową, a nie w wyniku „własnych zabiegów” czy np. ewentualnie dobrych stosunków danego właściciela majątku z danym d-cą oddziału bojowego.

„Nie od razu Kraków zbudowano” — więc dopinanie siatki następowało rozmaicie w rozmaitych terenach. Mam jednak wrażenie, że w jesieni 1942 roku — kiedy od bieżących spraw „Uprawy” odszedłem do innych, wyłącznie wojskowych zajęć, siatka ta funkcjonowała i pokrywała całe tzw. GG. Oficjalne uruchomienie „Uprawy” nastąpiło specjalnym rozkazem Komendanta Armii Krajowej w 1943 roku do Komendantów Obszarów i Okręgów.

Napisałem, że kierownictwo „Uprawy” „było luźno ujęte...”. Jedno z założeń zmierzało do tego, aby „Uprawa” zaspakajała potrzeby dowództw terenowych, a nie była jakimś centralnie kierowanym organizmem. Toteż ciężar właściwego kontaktu spoczywał na szczeblach okręgów AK. Jak „Uprawa” działała — zależało to głównie od umiejętności jej okręgowego kierownika, od ilości obiektów przemysłowo-rolnych w rękach polskich na terenie danego Okręgu i wymagań d-cy Okręgu AK.

Centralne, luźne kierownictwo spełniało raczej rolę nominalną. Czasami otrzymywało od KG AK zlecenia dotyczące jakichś bardziej ogólnych zagadnień, jak na przykład statystyk produkcji i za-

pasów produktów rolnych, inwentarza żywego, stanu lasów etc. Szef IV Oddziału KG AK otrzymywał od Romana Lasockiego ramowe sprawozdania z prac „Uprawy” w Okręgach.

Zadania jakie Komendant Główny AK wyznaczył „Uprawie” wynikały z możliwości jakimi dysponowali właściciele obiektów przemysłowo-rolnych. „Uprawa” stawiała do dyspozycji Armii Krajowej:

1. Możliwości legalizacyjne i ukrywania zagrożonych żołnierzy AK,
2. zaopatrzenie sanitarne,
3. pomoc więźniom i rodzinom aresztowanych żołnierzy AK,
4. zaopatrywanie oddziałów bojowych w żywność i kwatery,
5. fundusze.

Ostatni punkt pragnę bliżej wyjaśnić, bowiem stanowił jeden z problemów długo debatowanych i ustawianych.

Według ostatecznie ustalonych zasad terenowym przedstawicielom „Uprawy” nie wolno było przekazywać jakichkolwiek sum pieniężnych nikomu innemu jak tylko przedstawicielowi Okręgowemu „Uprawy”. Ten porozumiewał się z Komendantem Okręgu i na jego żądanie i według jego potrzeb kwartalnie przekazywał mu fundusze. O ile dany Komendant Okręgu nie potrzebował całej sumy — różnica wpłacana była do KG AK.

Powstało swego czasu pytanie czy fundusze zebrane przez „Uprawę” mają być wpłacane Delegaturze Rządu RP dla Armii Krajowej i na inne jej cele czy też bezpośrednio Armii Krajowej. Przeważała teza, że skoro „Uprawa” jest organizacją para-militarną, więc jak wszystkie inne „usługi” fundusze będą wpłacane bezpośrednio AK. Zagadnienie to w roku 1942 sprawiało pewne zamieszanie, powstałe między innymi przez to, że jeden z Okręgowych Delegatów Rządu RP zgłosił istotne zastrzeżenia, ale następnie po zapoznaniu się z sytuacją i on też uznał logikę założenia. Sprawa została definitywnie załatwiona między KG AK, a Delegaturą Rządu RP.

Jak zbierane były fundusze?

Ustalony został rodzaj podatku. Wpłaty przypadające na poszczególne obiekty rolno-przemysłowe ustalali: okręgowy delegat „Uprawy” z przedstawicielami „Uprawy” przy Inspektoratach, czyli przeciętnie na Okręg AK — sześć do dziesięciu osób. Nie pamiętam klucza jakim posługiwano się do wyznaczania wpłat. Na pewno nie stanowiła podstawy ilość hektarów danego obiektu. Warto bowiem przypomnieć, że warunki gospodarki w czasie okupacji były dość specyficzne. I tak na przykład dochody stosunkowo małych obiektów, ale posiadających uprawę tytoniu, buraka cukrowego, hodowlę, młyny, gorzelnie, były „stokroć” większe,

aniżeli obiektów leśnych. Nad większymi obiektami kontrola niemiecka była silniejsza, niż nad mniejszymi. Naturalnie opodatkowane były tylko te obiekty, które znajdowały się w bezpośrednim zarządzie właścicieli. Ale — w wypadku np. Wilanowa pod Warszawą, który należał do mego wuja Adama Branickiego i przez okres okupacji był pod zarządem niemieckim, było inaczej. Kiedy Wilanowem z ramienia władz niemieckich zarządzał Polak z Poznańskiego, Podziemie w pełni korzystało z możliwości jakie zorganizował.

W późniejszym okresie (1943), wobec bardzo znacznego skupu zaopatrzenia sanitarnego przez „Uprawę”, część funduszków stawianych do dyspozycji Komendantów Okręgów przeznaczali oni na ten cel. Było tak np. w Okręgu Kraków.

Zdarzało się, że na wniosek Komendanta Okręgu AK fundusze z „Uprawy” docierały do rąk Okręgowego Kierownika Walki Cywilnej. Wiem o co najmniej dwukrotnym przekazaniu z inicjatywy Komendanta Okręgu AK Kraków w roku 1943, tamtejszemu Kierownikowi Walki Cywilnej prof. Sewerynowi — „Sosze” sum na pomoc więźniom i Żydom, oraz rodzinom profesorów Uniwersytetów.

Wątpię, by ktokolwiek był w stanie ustalić wiele pieniędzy „Uprawa” wpłacała Armii Krajowej, lub jaką wartość pieniężną stanowiło zaopatrzenie sanitarne, zgromadzone w wielu wiejskich i miejskich punktach. Jakies dziesięć dni przed powstaniem Warszawskim, kiedy na inne tematy rozmawiałem u Romana Lasockiego z płk. „Denhoffem” suma wpłat była wzmiankowana, ale jej nie pamiętam. W okresie luty 43 do maja 44, kiedy byłem adiutantem Komendanta Okręgu AK Kraków, przypuszczam, że Okręg Krakowski i KG AK otrzymały z tego terenu około dwu milionów złotych okupacyjnych.

To co powyżej napisałem daje ogólny obraz prac „Uprawy”. Trzeba dodać, że w miastach „Uprawa” stawiała do dyspozycji lokale kontaktowe i noclegowe, oraz ułatwiała niektóre zadania wywiadu czy kontrywiadu.

Leon Krzeczunowicz, poza pracami „Uprawy” w latach 1941-1944 zajmował się również dla KG AK i dla Komendy Okręgu Kraków co najmniej trzema innymi sprawami. Była to pomoc Żydom, kontakty z Ukraińcami oraz misje doraźne jak np. rozmowy z niektórymi członkami tzw. Komisji Katyńskiej czy pomoc przy organizowaniu AK na terenach województwa lwowskiego. Wiele z tych spraw Leon załatwiał bezpośrednio z Tadeuszem Bór-Komorowskim, do którego miał zawsze bezpośredni dostęp.

W sprawach „Uprawy” nie wszystko szło gładko. Z trudności, o których wiem lepiej, wspomnę trzy. Sprawa Łańcuta, spra-

wa obojętnych czy inaczej zaangażowanych ziemian i sprawa nacisków różnych oddziałów leśnych względnie zwykłych band.

Alfred Potocki z Łańcuta (jak zresztą i jego matka, pod której był silnym wpływem) nie miał zacięcia filantropa. Łańcut, jako obiekt przemysłowo-rolny, posiadał ogromne „naturalne wartości”, mogące ułatwić życie Podziemiu i pomoc społeczną. Przez pewien okres — na początku okupacji — Łańcut znajdował się pod bardzo ścisłą gospodarczą kontrolą Niemców, która z czasem rozluźniła się. Wiele energii i czasu zeszło na skłonienie wreszcie Alfreda Potockiego — za pośrednictwem dyrektora Łańcuta p. Dwernickiego (?) — do ustalenia *modus vivendi* Łańcuta z Podziemiem. Chodziło również o to, aby ustały przesadne i nieprzynoszące nikomu pożytku kontakty Alfreda Potockiego z Niemcami, lub żeby Podziemie miało z nich jakiś zysk. To zupełnie się nie udało, ale Łańcut wpłacał pieniądze „Uprawie” i udostępnił pewne możliwości techniczne. Skoro wspominam tu jednego Potockiego, to nie od rzeczy zaznaczyć, że inny — Maurycy Potocki z Jabłonnej pod Warszawą — razem ze swoim dyrektorem dr. Pętkowskim dawne i nowe znajomości z wpływowymi Niemcami wydatnie zużytkowywali dla Podziemienia. W Podziemiu i w opinii publicznej, ani Maurycy Potocki, ani dr Pętkowski nie cieszyli się dobrą sławą, przeciwnie. A jednak nie byli to ludzie prywaty. Nie wszyscy właściciele obiektów przemysłowo-rolnych należeli do „Uprawy”. W początkowym stadium organizowania się ujawniały się dwie linie zastrzeżeń. Niektórzy, z przekonania że Podziemie jest szkodliwe, odmawiali współpracy (znam trzy takie wypadki, ale pod koniec 1943 roku zmienili zdania). Byli też tacy, którzy z obawy komplikacji unikali Podziemienia. Pewna liczba ziemian, zwłaszcza w warszawskim i lubelskim, od wczesnego okresu okupacji była zaangażowana politycznie w Stronnictwie Narodowym, pomagając oddziałom NOW, a niektórzy, zwłaszcza młodzi, wiązali się z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Akcje scaleń i zaistnienie Armii Krajowej ułatwiły pewne problemy. Nie wszystkie.

Na chwilę odejdę od tematu prac „Uprawy”, aby wskazać na pewne dziwactwa. Jednym z przeciwników prac „Uprawy” w miechowskim był przebywający tam u krewnych Aleksander Bocheński. Nie tylko „Uprawę”, ale całe Podziemie uważał za szkodliwe i głupie. Przez jakieś bliżej nieokreślone zbiegi okoliczności pod koniec okupacji nawiązał kontakt z jedną z frakcji NSZetu. W końcu stycznia, lub początkach lutego 1945 r. w Krakowie z ramienia innych i z własnego konceptu wybrał się na konferencję ze sławnym Borejszą.

Chodziło mu o skłonienie komunistów do wpłynięcia na Mos-

kwę, by zwolniono z więzienia rosyjskiego ks. Janusza Radziwiłła który, według projektu ustalonego w formie memoriału do Stalina, miał zaangażować szlachtę w „masowy” udział w komunistycznej rzeczywistości polskiej. Tak to autor książki pt. „Historia Głupoty w Polsce”, Aleksander Bocheński i kilku nieprzytomnie ambitnych i zagrożonych przez NKWD jego przyjaciół — niestety z kół ziemiańskich — dowiedli, że historia głupoty nie ma granic.

W niektórych okolicach GG istniały problemy organizacyjne, wynikające z faktu, że właściciele obiektów rolnych, zwłaszcza mniejszych, pomagali rozmaitym oddziałom leśnym, często nawet takim, które podszywały się pod Podziemie, a w rzeczywistości były luźnymi bandami. Dlatego „Uprawa” wymagała, aby wszelka pomoc i kontakt z oddziałami leśnymi następowały na żądanie i za wiedzą odpowiednich dowództw terenowych Armii Krajowej. Między innymi chodziło o zabezpieczenie zaopatrzenia sanitarnego, aby nie przechodziło do niepowołanych rąk.

Chcę wreszcie wspomnieć, że w dwu znanych mnie wypadkach „Uprawa” wystąpiła do Armii Krajowej z wnioskami rozpoczęcia postępowania sądowego przeciwko dwu byłym ziemianom o zdradę i pracę na rzecz wroga. Nazwisk i powodów nie podaję, bowiem osoby te już nie żyją. Wyroki nie zapadły, bo rozpoczęła się „Burza”.

Dla względów kronikarskich podaję kilka nazwisk lub pseudonimów członków „Uprawy”, z którymi współpracowałem, lub o których wiedziałem służbowo. Pomijam wielu, bowiem przebywają oni nadal w Polsce, więc najprawdopodobniej spotkaliby się co najmniej z szykanami.

Okręg Kraków: — delegat Okręgowy „Leliwa”;
Inspektorat Kraków i miasto Kraków: — „Pług”;
Inspektorat Mielec: — Alfred Łubieński (Zasów).

Delegatów w Inspektoratach: Tarnów, Rzeszów i Krosno nie wymieniam.

Szef akcji sanitarnej „Uprawy” na Okręg Kraków: — Maria Andrzejowa Popielowa (Czaple Małe pow. Miechów) — „Dorota”. Szef akcji sanitarnej w Inspektoracie Miechów: — Helena Alfredowa Morstinowa (Kowary pow. Miechów) — „Weronika”.

Główny punkt skupu i rozdziału zaopatrzenia sanitarnego: — Apteka „Pod Gwiazdą” przy ul. Floriańskiej w Krakowie. Skupem zaopatrzenia kierowali Zygmunt Karłowski i jego żona Jadwiga Kosz, właścicielka apteki.

Pragnę w tym miejscu dodać, że z początkiem roku 1943 z „Uprawy” przeszedł do Komendy Okręgu Kraków „Wiesław”, który aż do aresztowania D-cy Okręgu płk. dypl. Edwarda Godlewskiego — „Gardy”, w listopadzie 1944 roku, pełnił funkcję

płatnika KO. Również z „Uprawy” była łączniczka ostatniego Szefa Sztabu KO Kraków, płk. Przyzby (pseudonim) panna „Agata”.

Z terenu Okręgu Kraków następujący członkowie „Uprawy”, o których wiem, zginęli z racji udziału w Armii Krajowej:

Leon Krzeczunowicz, obóz koncentracyjny Dora, wiosna 1945,
Zygmunt Karłowski, zabity w czasie badań przy ul. Pomorskiej w sierpniu 1944,

Jadwiga Kosz, żona Zygmunta Karłowskiego, zabita w czasie badań przy ul. Pomorskiej — we wrześniu lub początku października 1944,

Bolesław Chodkiewicz, Kraków, ul. Batorego 10, aresztowany z żoną w sierpniu 1944, zginął w obozie koncentracyjnym na wiosnę 1945,

Aleksander Michałowski (Krzysztoporzyce k. Krakowa) aresztowany 6 sierpnia 1944 w Krakowie, zginął w obozie koncentracyjnym Nordhausen 20 marca 1945,

Andrzej Sapieha, w czerwcu 1944 wysłany przez KG AK na bazę AK do Budapesztu, tam zaginął zimą 1944, lub początkiem 1945.

Z innych terenów mogę nadmienić, że wśród kierowników „Uprawy” Obszaru Warszawa znajdował się Konstanty Radziwiłł (Zegrze), zastrzelony przez Niemców w sierpniu 1944, Felicjan Dembiński (Sucha k. Grębkowa), Tadeusz Rey (Warszawa miasto), w Okręgu Radom — jednym z nich był Paweł Potocki (Chrzastów-Konieczpol) a nazwisk z Okręgu Lublin podać na razie nie mogę.

Największą zaletą Leona Krzeczunowicza była umiejętność spokojnego przekonywania, wpływania na ludzi i kierowania według planu, który przemyślał i ułożył. Był człowiekiem szerokich horyzontów i bez złudzeń. Raczej z typu milczków, chwilami z pozorami jakiegoś nieobliczalnego oderwania od codziennego zgiełku życia.

Bardzo szybko pogłębiła się nasza przyjaźń. Niemal tragiczny punkt osiągnęła jakoś zimą 1941/42. Leon zapadł wtedy na tak silną gripę i tyfus, że życie jego wisało na włosku. Wezwał mnie z Krakowa do Sieciechowic. Z największym wysiłkiem — chwilami tracąc przytomność — dyktował mi dwa listy. Jeden do Andrzeja Sapiehy, drugi do Romana Lasockiego. Oba były testamentem-naciskiem, aby nie zaniedbać spraw „Uprawy”, Podziemia. Oba kreśliły moje zadania, jak je widział, na wypadek jego śmierci. Poleciał mi niezwłocznie doręczyć je adresatom, co też zrobiłem w następnych dniach. Po miesiącu choroby Leon powrócił do sił. Pod koniec roku 1943, D-ca AK Okręgu Kra-

ków, płk dypl. Józef Spychalski — „Jurand”, „Luty”, „Lawina” (na tym stanowisku od stycznia 1943 do 24 marca 1944 roku) dekorował Leona Złotym Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Po aresztowaniu płk. dypl. J. Spychalskiego 24 marca 1944 i moim ostatecznym zagrożeniu w KO w maju tegoż roku, już w Warszawie doszedł do moich rąk gryps płk. dypl. J. Spychalskiego, nadany z więzienia, w którym mianował nasz dowódca Leona Krzeczunowicza-„Expressa”, Zygmunta Wielopolskiego-„Wiesława” i mnie, adiutanta KO — „Romana” — opiekunami Rodziny i wykonawcami testamentu.

Kiedy Gestapo, w sierpniu 1944 aresztowało Leona nie było mnie na terenie Okręgu Kraków. Z wybuchem Powstania Warszawskiego Niemcy przeprowadzili w Krakowie i okolicach „prewencyjne” aresztowania podejrzanych osób. Oprócz tego miały też miejsce szersze łapanki czy obławy. Leona Krzeczunowicza aresztowano na szosie około 1 sierpnia 1944 w drodze między Krakowem, a Sieciechowicami.

Niezależnie od tych „prewencyjnych” obław, 13 sierpnia 1944 Gestapo aresztowało w mieszkaniu Zygmunta i Jadwigi Karłowskich, w domu „Pod Pszczołami” przy ul. św. Marka, ówczesnego dowódcę Okręgu Kraków, gen. Stanisława Rostworowskiego-„Odrę”, wraz z nim dwu oficerów i jednego cywila z jego Sztabu, jak również Karłowskich. Była to jedna z tragiczniejszych wysp Okręgu Kraków. Tragedia jej polegała na — niestety nie pierwszej — niewiarygodnej wprost lekkomyślności „Odry”.

Kilka wspomnień o pracy i poświęceniu Leona dla Podziemia i „Uprawy”, którą uruchomił, nie byłyby chociaż częściowo warte Jego pamięci, gdybym nie napisał, że zrozumienie, pomoc i zachętę znajdował każdej chwili u swej żony, Wandy. Sprostowała wszelkim niebezpieczeństwom tragedii spotkań więziennych. Bez brawur. Łączyła ich ta sama „szkoła jazdy”.

Dlaczego „Express”? Pseudonim Leona Krzeczunowicza był imieniem konia-przyjaciela. Razem pokonali wiele przeszkód.

Wacław H. BNIŃSKI

Waszyngton, D.C., 21 czerwiec 1970

L I S T

W tych dniach otrzymałem z Hamburga list od Niemca, który po przeczytaniu niemieckiego tłumaczenia „Na nieludzkiej ziemi” zechciał mi prze-

kazać garść wspomnień o jeńcach, więźniach-Polakach spotkanych w 1947 roku w obozie sowieckim (oraz kilka zapamiętanych nazwisk), które poniżej podaję w nadziei, że może jeszcze dziś ten fragment listu pomoże któremuś z Czytelników *Zeszytów Historycznych* w natrafieniu na ślad wędrówek i męki kolegów i bliskich.

Józef CZAPSKI

„... Przeżycie, jakie dała mi Pana książka cofa mnie ku wypadkom, których byłem świadkiem jako mieszkaniec obozu Cze-repowiec, należącego do tej samej grupy obozów co Griazowiec. Przed bramą obozu, w którym było nas około 6.000 oficerów różnej narodowości (Węgrzy, Austriacy, Czesi, Słowacy, Rumuni i masa Niemców) ukazała się w słoneczne popołudnie, w czerwcu 1947 roku, kolumna marszowa siły około jednego batalionu, w polskich mundurach. Wywołało to zamęt i intensywny ruch w sowieckiej komendanturze. Szybko przenikła wiadomość, że przyjsie tego kontyngentu do obozu, gdzie były jeszcze tysiące Niemców, którzy mieli być w najbliższym czasie odesłani na Zachód, nastąpiło na skutek pomyłki organizacyjnej. Nie mając dokładnych wiadomości o „najmłodszej” historii Polski, nazwaliśmy ich „Ci, którzy przeżyli Katyń” — robili oni wrażenie składu ludzkiego nader heterogenicznego. Świadczył o tym chociażby fakt, że w tej grupie, składającej się z ok. 350 ludzi, znajdowało się około 40 kobiet. Od pierwszej chwili spotkania z nimi uderzyła nas ich niezłomność: większość tych ludzi robiła doskonałe wrażenie, które oddziaływało na innych. Władze sowieckie pośpieszyły ulokować ich w oddzielnym baraku, który został natychmiast oddzielony drutem kolczastym od reszty obozu. Wszelkie stosunki między dotychczasowymi mieszkańcami obozu i nimi zostały surowo zakazane. Sam mogłem ominąć kontrolę, bo pracowałem w obozowym szpitalu, dokąd trafiali również Polacy. Miałem tam wówczas możność mieć z niejednym z nich dłuższe rozmowy, z których dowiedziałem się, że niektórzy z tych Polaków byli zesłani już od 1939 roku, inni zaś od 1944-1945 byli w niewoli sowieckiej. Jeden z moich rozmówców był oficerem Armii Krajowej — który przybył do Polski z Anglii jako zrzutek. Jego dywizja została perfidnie rozbrojona i internowana (w moim wspomnieniu było to w okolicach Wilna) po uroczystej defiladzie, w której brał on udział. Wówczas po raz pierwszy dowiedziałem się o tego typu wypadkach. Pamiętam również szereg posiwiąłych wyższych oficerów i oficerów rezerwy, o których mówiono mi, że już w okresie pierwszej wojny ratowali się ucieczką z Syberii. Mnie i moich kolegów najbardziej uderzyła grupa 30-40 letnich oficerów, których postawa działała krzepiąco na nastrój całej polskiej grupy. Niektórych z nich widziano zawsze parami, przeważnie z bardzo

sympatycznymi kobietami, również zesłanymi. Moja funkcja i moje zainteresowania doprowadziły do tego, że z niektórymi z tych par, jak również z paru pojedynczymi osobami miałem na tyle dobre, sąsiedzkie stosunki, że stały się niejednokrotnie prawdziwą przyjaźnią. Może wspólny los tu działał, że nigdy nie miałem uczucia, traktowania mnie jako „kusego Niemczyka”. Moich notatek, spisów nazwisk, w tym również moich polskich współwięźniów, nie udało mi się przewieźć przez granicę, z wyjątkiem jednego skrawka papieru, na który przerzuciłem nazwiska zapisane cyrylicą w tym samym układzie i porządku, jak w kartotece:

<i>Nazwisko</i>	<i>Imię</i>	<i>Imię ojca</i>	<i>Data urodzenia</i>
Miłaszewski	Kacper	Adolf	(nieczytelna)
Polaczek	Jerzy	Władysław	1919
Czartoryska	Stanisława	Hipolit	1915
Rzewuska	Aniela	Wawrzyniec	1923
Błachowicz	Zorka (?)	(nieczytelne)	(nieczytelna)

Cztery pierwsze osoby były to związane ze sobą pary — nie wiem jednak jaki był ich wzajemny do siebie stosunek.

Jednego z późniejszych dni (to była chyba jesień 1947 roku) zjawił się oddział sowieckich wartowników, który miał zabrać (pojedynczo) paru Polaków do transportu (transport „pojedynczy” słowo bardzo przykre) i wywiózł ich bezpowrotnie. Do nich należeli Rzewuska, jej towarzysz i Czartoryska. (Do przedmiotów wykładanych nam przed wojną nie należały sprawy dotyczące historii Polski czy Polski Jagiellońskiej, wskutek tego powyższe nazwiska nic mi nie mówiły). Rozdzielenie tych dwóch par było rozdzierające, mówiono o jednej próbie samobójstwa. Opowiadanie to wówczas głęboko wstrząsnęło wszystkimi, którzy mieli kontakty z polską grupą. Reszta grupy opuściła obóz zimą 1947 na 1948 (może przeszli do Griazowca, a może do Krasnowodsk). Stało się to przed latem 1948 roku kiedy to mnie odesłano do Niemiec. Ten polski kontyngent zrobił na mnie takie wrażenie, że obudził we mnie zainteresowanie historią Polski.

Wszystkie moje poszukiwania co się stało z moimi czerepowieckimi przyjaciółmi Węgami doprowadziły mnie do przekonania, że nie doczekali powrotu do swojej ojczyzny, wielokrotnie zapypywałem się co mogło się stać z moimi polskimi współwięźniami. Ale o tym książka Pana nie mówi”.

Redakcji znane jest nazwisko i imię autora niemieckiego listu, prosił on by go nie ujawniać.

KILKA UWAG O PARTYZANTCE NA WILEŃSZCZYZNIE

Mało dotąd w kraju pisało się o oddziałach partyzanckich na Wileńszczyźnie, być może że geneza tych oddziałów była nieco odmienna od tego co się cenzura krajowa tych rzeczy nie przepuści.

Trzeba bowiem uprzytomnić sobie co się działo na tych terenach w czasie wojny, przed wybuchem konfliktu niemiecko-rosyjskiego w dniu 22 czerwca 1941 roku. Po okresie kilku tygodni okupacji sowieckiej od dnia zaboru z 17 września 1939 — samo miasto z bliższą okolicą, tj. powiat wileńskotrocki, nowo-święciański, rejon Oran zostały oddane Litwie mającej chwilowo jeszcze pozory niepodległości. Pozostała część wileńszczyzny została przyłączona do tzw. Zachodniej Białorusi razem z woj. Nowogródzkim. Mniej znane są te ostatnie tereny, i ich losy, od początku okupacji sowieckiej, ale los ludności polskiej na nich był bardzo ciężki, taki jaki nastąpił na terenach Wileńszczyzny przyłączonych do Litwy po wcieleniu jej w 1940 do ZSSR.

Ludność polska na terenach przyłączonych do Litwy w 1939 roku wycierpiała niemało od Litwinów, którzy odnosili się do niej bardzo wrogo. Nie było jedynie tak masowego wywożenia i aresztowań jak później po wcieleniu Litwy do ZSSR w 1940 roku. Wtedy zaczęła się gehenna ludności polskiej. Masowe aresztowania, okropne warunki więzienne, tortury w stosunku do więźniów, a w stosunku do ogromnej ilości ludności łapanki i wywózki w okropnych warunkach na tereny pustynne Kazachstanu lub na mroźną północ ZSSR — to są rzeczy ogólnie znane. Chyba największe nasilenie tych łapanek i wywozek miało miejsce w czerwcu 1941 roku, przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej. Matki z małymi dziećmi tuły się po lasach, bez odpowiedniego zapewnienia jakiego takiego ekwipunku czy żywienia, skoro najczęściej uciekły z domu tak jak stały w momencie gdy ciężarówka zabierająca ludzi stanęła przed domem.

Nic też dziwnego że ludność polska wymęczona i sterroryzowana powitała z radością bomby niemieckie spadające na ich domy, a fakt wkroczenia wojsk niemieckich na tereny Wileńszczyzny był dla nich wybawieniem. Trzeba przyznać, że w początkowej fazie swych rządów Niemcy specjalnie nie dali się we znaki ludności polskiej, nie było łapanek i masowych aresztowań. Niemcy chytrze rozwiązali sprawę: administrację terenową niższych szczebli przekazali Litwinom wrogo usposobionym do Polaków i Żydów; stworzyli na tej samej zasadzie policję litewską, było nawet „Gestapo” litewskie. Ale fakt faktem, że bezpośrednio ludności polskiej nie dokuczali, zostawiając tę „funkcję” Litwinom.

W tych warunkach musiał upłynąć pewien okres czasu zanim ustalił się pełny i jednolity front przeciwko okupacji niemieckiej, która początkowo nie terroryzowała ludności polskiej bezpośrednio. Stąd też początkowo ruch oporu koncentrował się na organizowaniu siatki terenowej wszystkich szczebli, zbieraniu broni i innych materiałów i przygotowywaniu podstawy do stworzenia w późniejszym okresie oddziałów i wydawania prasy podziemnej.

Pierwszy oddział partyzancki „Kmicica” powstał w 1942 roku w rejonie jeziora Narocz. W tym też rejonie przebywał oddział partyzancki sowiecki. Początkowo stosunki między tymi oddziałami były sąsiedzkie, bez zatargów. Jednak z biegiem czasu, wykorzystując odwiedziny w oddziale polskim, podczas których odpowiednio podpatrzono rozlokowanie i porządek dnia oddziału polskiego, partyzanci sowieccy wyczekawszy chwili kiedy nasi byli przy czyszczeniu rozłożonej broni, otoczyli i napadli obóz polski rozbrajając i likwidując oddział. Tylko niewielu partyzantom udało się uciec, reszta została przymusowo wcielona do oddziału sowieckiego.

W okresie lat 1942/43 zaczęły tworzyć się pod egidą sowiecką bandy składające się z partyzantów sowieckich, Białorusinów, Litwinów i Żydów, w ogromnej większości z różnych mętów społecznych, które nie tylko rabowały, ale także zaczęły się zdarzać wypadki mordowania ludności polskiej, nieraz całych rodzin. Toteż w drugiej połowie 1943 roku obok już organizowanych planowo polskich oddziałów partyzanckich, zaczęły powstawać samorzutnie oddziały samoobrony na polskich terenach, które później podporządkowywały się dowódcy Okręgu Wileńskiego A.K., gen. „Wilkowi”. Zresztą na tym terenie zasadniczo nie nazywano tych oddziałów oddziałami Armii Krajowej, lecz brygadami Wojska Polskiego, dając im odpowiednie numery. I tak np. była 1-sza brygada WP pod dowództwem „Juranda” (zginął po walkach z Niemcami w czasie zdobywania Wilna); 3-cia brygada WP pod dow. „Szerbca”, która bardzo ciężkie straty poniosła przy ataku na Wilno od strony traktu lidzkiego wskutek nieotrzymania obiecanego i uzgodnionego wsparcia artylerii sowieckiej (o czym nie wspomina w swojej książce *Wspomnienia Partyzanckie* Stanisław Truszkowski, „Sztremer”, chyba ze względu na polską cenzurę); 5-ta brygada słynnego „Łupaszki”; 6-ta brygada „Konara” i inne. Nie było w całym okresie partyzanckim na Wileńszczyźnie jakichkolwiek oddziałów polskich innego rodzaju niż A.K., a nazwy G.L., A.L., B.Ch., N.S.Z. były nawet ogółowi polskiej partyzantki nieznane. W każdej brygadzie były reprezentowane wszystkie klasy społeczne, w największej zgodzie. Okres okupacji sowieckiej, stosującej bezwzględny i okrutny terror, wywózki, rozdzielanie rodzin i dzieci, nawet małych, od rodziców, zdołał scementować ludność polską która miała trzech wrogów: niemieckiego, rosyjskiego i litewskiego.

Siły i liczebność oddziałów polskich tak wzrosły, że okolice Wilna, Oszmiany, były opanowane przez wojsko polskie, zaś władza niemiecka, przy pomocy zorganizowanej przez siebie 15-tysięcznej armii litewskiej gen. Plechaviciusa, miała we władaniu tylko miasta i miasteczka oraz dozorowała ważniejsze linie komunikacyjne. Szczególnie w 1944 roku władze niemieckie nie mogły już ściągać na wsi kontygentów, a ponadto oddziały polskie przyczyniły się swoimi działaniami bojowymi do zlikwidowania litewskich oddziałów Plechaviciusa. W bitwie pod Murowaną Oszmianką rozbiły dwa bataliony litewskie, podobnie było w Ejszyszkach i Olkiennikach, gdzie oddziały Okręgu Nowogródzkiego AK odniosły w walkach dwa sukcesy. O tych bitwach naturalnie się nie mówi w kalendarzach radiowych PRL. „Uspokojo” też administrację litewską, co jest to zasługą 5-tej brygady WP „Łupaszki”, który po wymordowaniu przez Litwinów w Podbrzeziu, w majątku „Liegenschaftu” 47 osób, w tym całych rodzin z dziećmi, ruszył ze swoją brygadą na Litwę kowieńską likwidując w odwecie około 100 osób i powodując kilka pożarów. Od tego czasu administracja litewska zaprzestała wszelkich szykan. Siły polskie tak wzrosły, że gdy przybliżył się do Wilna front wschodni, skoncentrowane oddziały okręgów wileńskiego i nowogródzkiego zdobyły na Niemcach, przed zajęciem Wilna przez wojska sowieckie, całą zachodnią prawobrzeżną od rzeki Wilii część Wilna i część od południa i wschodu, podczas gdy oddziały sowieckie tylko klinem, od północy — od strony Niemenczyna, wdarły się na Antokol prowadząc natarcie na śródmieście Wilna. O ile mi wiadomo liczebność oddziałów polskich oceniano na około 25.000, co odpowiadałoby początkowym obietnicom Rosjan stworzenia z tych oddziałów dwóch dywizji piechoty i jednej brygady kawalerii. Przez kilka dni po zdobyciu Wilna istniała nawet w części prawobrzeżnej miasta polska komenda garnizonu a władze sowieckie, jak zwykle podstępnie, łudziły utworzeniem wspomnianych dywizji polskich, wyznaczając rejon koncentracji w Miednikach. Wiadomo czym to się skończyło: oddziały polskie otoczone zostały wojskami pancernymi i rozbrojone, szeregowcy wywiezieni

do Kaługi na roboty leśne, gdzie wielu z wycieńczenia zmarło. Wszystkich oficerów uwięziono na Łukiszkach w Wilnie, po czym wywieziono do kopalni na Uralu.

W Miednikach nie znalazła się jednak 5-ta brygada „Łupaszki” i, o ile wiem, także 6-ta brygada „Komara”, które przeczuły co się święci i odskoczyły od Wilna.

Warto wspomnieć o 5-tej brygadzie „Łupaszki”, bodaj najśłynniejszej na Wileńszczyźnie w tym okresie. Stoczyła ona kilka poważnych bitew z oddziałami niemieckimi, gdzie Niemcy ponieśli duże straty. Po jednej z bitew z wojskami niemieckimi, kiedy to oddział był osłabiony walką i szczególnie zużyciem amunicji, bezpośrednio następnego dnia napadła nań partyzantka sowiecka. Szczęśliwie, ale z trudem 5-ta brygada wycofała się bez większych strat. To postępowanie partyzantki sowieckiej spowodowało dalsze konflikty między brygadą a oddziałami partyzantki sowieckiej. Wskutek tego brygada podczas koncentracji oddziałów dla uderzenia na Wilno znalazła się na zachód od miasta, by nie wpaść w ręce bolszewików. Przy przedzieraniu się dalej w kierunku Białostocczyzny, część brygady została jednak pod Olkienikami ogarnięta przez wojska sowieckie i wywieziona w głąb Rosji, reszta z „Łupaszka” przedarła się na Podlasie.

Pseudonim „Łupaszki” przyjął rotmistrz S., oficer zawodowy 4 p.uł. zamieńskich, a jego brygada w której był dość duży oddział kawalerii nosiła barwy 4 p.uł. (może by tym zainteresował się kwartalnik *Przegląd Kawalerijski i broni pancерnej*, wychodzący w Anglii). Urodzony dowódca oddziału partyzanckiego, nie mógł się pogodzić z nową rzeczywistością wiedząc zaś, że władze polskie nie darują mu zatargów z partyzantką sowiecką na Wileńszczyźnie w czasie okupacji niemieckiej — zresztą zapoczątkowanych przez oddziały sowieckie — przebywał już z małym oddziałem na terenie Polski, przesuwając się stopniowo na zachód w rejon borów tucholskich. W końcu został w 1947 roku (?) ujęty i po pokazowym procesie stracony. Wielu jego żołnierzy ujęto w 1946 r. i bez procesu zastrzelono w więzieniu w Gdańsku za samo należenie do oddziału „Łupaszki”. W procesie robiono z niego ostatniego bandytę. Gorący patriota, popełnił jednak ten błąd, że zawczasu nie przedarł się na zachód Europy oszczędzając siebie i wiernych mu żołnierzy.

POLEMIKI

Władysław MICHNIEWICZ

„SZKODLIWA KSIĄŻKA”?

W umieszczonym w 18-tym *Zeszycie Historycznym* (str. 221-229) artykule pod alarmującym sumienie narodowe tytułem „Szkodliwa Książka”, Kazimierz Iranek-Osmecki uznał za szkodliwą i potępił moją wydaną po francusku książkę pt. „Operation Haifa”.

Iranek nie formułuje jasno swych krytyk, ale dyskredytuje arbitralnie książkę, której myślą przewodnią jest rehabilitacja człowieka bezzasadnie posądzonego o szpiegostwo, podstępnie porwanego i uwięzionego i którego, z braku dowodów, nie ośmielili się porywacze postawić przed trybunałem, tylko go zamordowali pod perfidnym pretekstem ucieczki.

Sprawa Mikicińskiego wyrosła na tle tragicznych skutków naszego Września. Jako posiadacz neutralnego chilijskiego paszportu dyplomatycznego, Mikiciński mógł jeździć swobodnie po Niemczech i okupacji i był szeroko wykorzystany przez nasz sztab i rząd w Paryżu do nawiązania łączności z krajem na linii Paryż-Warszawa, później Bukareszt-Warszawa.

Gdy powołany z urzędu do spraw konspiracyjnych Oddział II Sztabu Głównego ugrzązł w pełnym składzie w Rumunii i gdy z końcem września 1939 powstał w Paryżu rząd generała Sikorskiego, z polecenia hotelu „Regina” (wspólnej siedziby nowo utworzonego rządu i sztabu w Paryżu) wydano zarządzenie zabraniające dopływu do Francji oficerów Oddziału II. Powodem tego niepowszedniego zakazu było ich rzekome zaangażowanie polityczne po stronie dawnych rządów „pułkownikowskich” — zarzut

zgoła niesłuszny. Poza okresem 1918/1923, kiedy Oddział II wpływał na wiele spraw wagi państwowej jak — wymienię dla przykładu — rozmowy kpt. Boerner z Moskwą, gen. Karnickiego z Denikinem czy umowa polityczna zawarta z Petlurą przez kpt. Sławka — „Dwójka” aż do wojny nie zajmowała się sprawami polityki zagranicznej a jeszcze mniej wtrącała się do spraw wewnętrzno-politycznych. W połowie r. 1923, z chwilą odejścia Marszałka Piłsudskiego z szefostwa sztabu i Biura Ścisłej Rady Wojennej, a ppłk. Matuszewskiego i Miedzińskiego z szefostw Oddziału II Sztabu Generalnego względnie M.S.Wojsk., Oddział II w późniejszych latach trzymał się ściśle fachowych ram wojskowych. Tak było w okresie sejmokracji w latach 1923-26, i po maju 1926 — Marsz. Piłsudski, który nigdy nie szukał doradców politycznych, nie wypatrywał ich na pewno z Oddz. II. Natomiast właśnie po maju Oddział II został szeroko rozbudowany wyłącznie dla zadań wojskowych, stawianych przez GISZ, organ pracy przyszłego nacz. wodza. Podobnie funkcjonował Oddział II za czasów Rydza-Śmigłego w latach 1935-39. Nawet po cichu Dwójka nie uzyskała autorytetu w sprawach polityki zewnętrznej, czego najlepszym świadectwem było przejście do MSZ wieloletniego szefa Oddziału II, płk. Schaetzla, który zajął tam nader skromne stanowisko — tym skromniejsze że było to ministerstwo, gdzie rolę szarej eminencji grał sam minister.

Oficerów Oddziału II którzy własnym sprytem przedostali się na przełomie lat 1939/40 z Rumunii do Francji, odsyłano do obozu karnego w Cérizay, w najlepszym zaś razie do linii, do nowotworzących się naszych oddziałów. W Paryżu zaś, jak Wenus z mętnej pianki politycznej, powstała nowa kreacja Oddziału II, uzupełnianego tradycją lat 1918/23 wyłącznie na zasadzie lojalności politycznej do Sikorskiego przy równoczesnej najdalej idącej tolerancji jeśli idzie o ignorancję kandydata w sprawach wojskowych. Szefem paryskiej Dwójki został płk Wasilewski, odwołany z Jugosławii *attaché*, znany ze swych powiązań w prawicowych kołach sejmowych sprzed roku 1939.

Z pewną dozą ironii i wyrozumiałości można było darować wyrzucie do góry dnem w Paryżu instytucji obowiązanej do stałego dostarczania wojskowych informacji ze źródeł konfidencyjnych. Bowiem użyteczność Oddziału II poza krajem, wyrwanego z korzeniami z gleby macierzystej, odciętego od posiadanych źródeł, zbyt cennego dla formującego się szczupłego i niesamodzielnego wojska, miała we Francji wyjątkowo wąskie widoki. Dwójka w Paryżu zaczynała pracę od nauki języka i od pokornego obijania progów sztabu francuskiego, przy wyraźnej do nas niechęci ambitnych gospodarzy, zdetonowanych naszą klęską i nadrabiają-

cych miną wobec mętnej i mrocznej przyszłości, oraz wielkiej, własnej, polityczno-strategicznej blagi *drôle de guerre*.

Tymczasem w Paryżu wybuchły pilne zadania na kraj natury wojskowej i politycznej, wymagające niecodziennej zreczności i dyskrecji, typowych dla organów wywiadowczych. Z patriotycznym zapałem organizowano w Polsce opór podziemny, a siedzący we Francji politycy czekali na rychłe żniwo, usiłując ożywić w kraju wpływy swoich partii w zamiarze uchwycenia władzy natychmiast po pobiciu okupanta. Kalkulowano wysoce optymistycznie, że ukoronowana zwycięstwem wojna może się skończyć za rok, najdalej za dwa lata. Te obliczenia oparte były na pozornej jak wykazały niestety późniejsze dopiero wypadki — potędze wojennej Francji oraz na rzekomym zabójczym działaniu gospodarczej blokady Niemiec wespół z fermentem nurtującym od lat niemieckie opozycyjne koła wojskowe. Znacznie słuszniej Polacy liczyli na własne, niezniszczone we Wrześniu siły narodowe, które po ujęciu w karby organizacji i po dosłaniu pomocy z Zachodu, mogły waleśnie przyczynić się do zwycięstwa. Tak powstało ZWZ i AK, a Paryż stał się ośrodkiem dyspozycyjnym oporu zbrojnego nad Wisłą. Generał Sosnkowski objął krajowe sprawy wojskowe, a minister Kot — polityczne.

Z miejsca natrafiono na trudności przy nawiązaniu łączności z krajem, bez której śmiałe plany pozostawały martwą literą. Z braku nowoczesnych środków technicznych słano zaufanych kurierów przez Włochy i Węgry pociągami, po czym skrycie na piechotę poprzez Karpaty. Droga była ciężka i przewlekła, często zawodna i zasłana trupami. Pisanie i przesyłanie instrukcji dla kraju wywołały od razu rywalizację pomiędzy Sosnkowskim i Kotem, który nie chciał uznać w kraju innej akcji wojskowej jak tylko pod własnym nadzorem politycznym. Nie ufając Sosnkowskiemu, zaczął Kot tworzyć własną sieć wywiadowczą na kraj i szukać własnych dróg łączności. Możliwości paryskie były ograniczone, ale energiczny Kot, dysponując znacznymi funduszami dobierał sobie łatwo wiernych ludzi, odgradzając się nie tylko od Sosnkowskiego ale i od „starego” i „nowego” Oddziału II. W kraju znalazł oparcie wśród swoich licznych wyznawców politycznych, a równocześnie obsadzał swoimi konfidentami, stanowiące pośrednie ogniwa łączności z krajem, placówki dyplomatyczne i konsularne w Europie i na Bliskim Wschodzie.

Czas naglił do harmonijnego działania, a tymczasem temperamenty partyjne rosły i wyrodziły się w opory wewnętrzne. Dzięki rozproszению i niezgodzie wiele wysiłków szło na marne. Rozpętana u góry rywalizacja w terenie przeszła w otwartą walkę agentur i sieci konkurencyjnych o wpływy w Polsce na rzecz swoich

pryncypałów. Z każdej strony usiłowano usidlać i przekabacić wiekowego o dobrotliwym usposobieniu, ówczesnego delegata na kraj, emerytowanego pułkownika Skorobohatego-Jakubowskiego. Za każdym wysłanym przez Sosnkowskiego kurierem do kraju gnał zaraz ze sprzecznymi instrukcjami kurier ministra Kota, z zadaniem by ubiec rywala i zneutralizować jego ingerencję, potępianą globalnie jako „sanacyjną”, rzekomo poczętą w zмовie z internowanym w Rumunii rządem. W pewnym momencie doszło do wzajemnych oskarżeń o sfałszowanie wysłanych z kraju raportów politycznych delegata rządu.

Na tranzytowych placówkach w Budapeszcie i Bukareszcie, a po upadku Francji również w Stambule i Kairze, szczerzyli zęby do siebie przedstawiciele trzech naszych dykasterii, polskich z nazwy ale zachowujących się z wzajemną wrogością i przekorą niczem na żołdzie Gestapo. To byli wysłannicy Dwójki paryskiej, przedstawiciele generała Sosnkowskiego oraz ministra Kota — wszyscy z tego samego „polskiego” Paryża. Zaczynali od podglądania się i zwodzenia się, a rychło doszło do bardziej zaczepnych aktów jak wykradanie poczty konkurenta, idącej do kraju czy z kraju... Nie szukając daleko, z tego mało zaszczytnego źródła pochodzą zdjęcia odręcznych listów i notatek ministra Kota, zdobiące artykuły Hellera-Iranka w *Tygodniu Polskim* z roku 1959.

Te metody stosowano jednak w Paryżu przy zachowaniu pewnych form i pozorów, natomiast występowały one z całą brutalnością na placówkach, obsadzonych przez płomiennych partyjników, chcących się popisać i podchlebić swoim szefom, dyletantów wywiadowczych. Taką była zatruta atmosfera, do której wpadł w październiku 1939, radośnie witany, Mikiciński. Pracował w niej przez rok i potem padł jej ofiarą.

Mikiciński pochodził z polsko-żydowskiej rodziny z Litwy, a wychował się w Moskwie w domu zamożnych rodziców. W czasie wojny został powołany do wojska. W czasie wojny domowej służył u Denikina, doszedł do stopnia kapitana artylerii. Po klęsce „białych” przedostał się przez Turcję do Polski gdzie długo nie zagrzał, zamieszkując na przemian we Francji, Belgii i Niemczech, gdzie prowadził niezbyt szczęśliwe interesa aż do roku 1930, kiedy został urzędnikiem poselstwa chilijskiego i tłumaczem i szefem kancelarii w Warszawie, później w Brukseli i znów w Warszawie, gdzie w roku 1939 zastała go wojna. Pracując w poselstwie wyrabiał pożyteczne dla siebie stosunki i miał możliwość robienia ubocznych interesów, przeważnie do spółki z zaprzyjaźnionymi i dostatecznie handlowo nastawionymi szefami, jak *chargé d'affaires* Franciszek Madrid i ostatni poseł w Polsce a następnie w Turcji, Hector Briones Luco.

Uzbrojony w paszport dyplomatyczny mógł łatwo wydostać się po wybuchu wojny z Warszawy i przez Szwecję przybyć do Paryża. Tu dzięki pośrednictwu warszawskich znajomych został wciągnięty do współpracy z naszym rządem, który w tym czasie za każdą cenę szukał okazji nawiązania szybkiej i pewnej łączności z okupowanym krajem. Za umówionym, hojnym wynagrodzeniem parokrotnie jeździł samochodem przez neutralną Belgię do Warszawy, tam i z powrotem, zawożąc listy i pieniądze, przywożąc potwierdzenia odbioru i odpowiedzi prywatne i wysoce urzędowe oraz konspiracyjne. W swoich wyjazdach pod okupację korzystał z pomocy przyjaciela z wojska rosyjskiego, Niemca bałtyckiego, który po rozbiciu Denikina dostał się do Niemiec, wyrzekł się obywatelstwa rosyjskiego, za Hitlera został powołany do wojska, a następnie, przeszkolony jako ekspert do spraw rosyjskich, został zastępcą, później szefem ekspozytury Abwehry we Wrocławiu, nastawionej wywiadowczo na południową Rosję i na Bałkany.

Mikiciński w wyjątkowo krytycznym dla Polaków momencie oddał nieocenione usługi oderwanym od rodzin przez wojnę wygnańcom we Francji a także przysłużył się naszym pracującym na kraj resortom, jak Oddział II, czy sztab gen. Sosnkowskiego, a zwłaszcza profesorowi Kotowi, jako zaufany kurier tego sprężystego i zaborczego ministra do spraw krajowych. Oprócz szyfrowanych czy metaforycznie pisanych listów urzędowych, dzięki Mikicińskiemu szły do kraju i z kraju setki listów informacyjnych do tych samych i od tych samych, dawnych czy przyszłych, działaczy politycznych. Przewoził także Mikiciński miliony zebranych w Paryżu banknotów złotych, za granicą bezwartościowych, ale w kraju mających obieg, i cennych w obliczu głodu i nędzy panującej pod okupacją.

Wyjazdy obładowanego worami listów i banknotów dyplomaty „Chilijczyka” odbywały się z początku gładko ku powszechnemu zadowoleniu osób prywatnych i szyszek urzędowych. Ale po drugiej, znakomicie udanej wyprawie, Oddział II w osobie ustosunkowanego w nowych warunkach rtm. Nowińskiego, zadowolony o wysoce harmonijną współpracę Mikicińskiego z ministrem Kotem, postanowił odbić go ministrowi, angażując jako łącznego agenta na Polskę. Gdy podstępna próba spotkała się ze zdecydowaną odmową Chilijczyka, mściwy Nowiński chwycił się mniej godnego sposobu. Doniósł Sikorskiemu że Mikiciński przed wojną był notowany w kartotece Oddziału II jako „podejrzany” i dziś wzbudza podejrzenia swą łatwością poruszania się po okupacji. Cytując kartotekę z pamięci zamilczał Nowiński złośliwie, że podłoże podejrzeń w przedwojennym wypadku było zgoła odmiennej natury: chodziło bowiem o luźne zupełnie stosunki

handlowe Chilijczyka z Sowpoltorgiem, mieszaną spółką do handlu z Rosją. Były też poszlaki że Mikiciński chadzał tam nie tylko w celu zarobków handlowych ale również za namową Oddziału II, w zgoda innych zamiarach. Podejrzenia zatem nie były sprecyzowane, bynajmniej nie skierowane w stronę Niemiec, tylko Rosji, raczej na korzyść Polski a nie odwrotnie, o czym doskonale wiedział i celowo przeinaczył Nowiński. A dla podbicia bębena, zwołując na dobre Sikorskiego, wpłótł celowo do intrygi przedstawiciela irytującej szefa rządu — grożącej mu wyrwaniem berła — „sanacji”, kapitana Marescha. Był to przedwojenny oficer Oddziału II, głośniejszy z powodu brata-piśsudczyka, generała i szefa departamentu sprawiedliwości M.S. Wojsk. Nowiński oskarżył Marescha przed Sikorskim, że razem z „podejrzanym” Mikicińskim — obaj będąc semickiego rodowodu — masowo sprzedawali na wagę złota polskie i chilijskie paszporty zmaltretowanym i przez Hitlera wysiedlonym z Niemiec Żydom. I dla uaktualnienia intrygi, Nowiński oszkalował także gen. Sosnkowskiego, twierdząc że Mikiciński w czasie pobytu w Warszawie za każdym razem zatrzymywał się i urzędował w opuszczonym mieszkaniu generała przy ulicy Frascatti. To było kłamstwo, bowiem Sosnkowski mieszkał przed wojną przy alei Szucha, natomiast przy Frascatti miało swą przedwojenną siedzibę poselstwo chilijskie, dokąd mógł pod okupacją jeździć Mikiciński w roli gospodarza, jako szef kancelarii i jedyny urzędnik i zastępca nieobecnego posła.

Intryga Nowińskiego wzburzyła Sikorskiego i miała rozległe i przykre skutki. Pod presją szefa rządu Sosnkowski odsunął się od Mikicińskiego i musiał ostrzec przed nim swych ludzi w kraju, a nasze rozgałęzione, pracujące na kraj i korzystające skwapliwie z usług Chilijczyka, urzędy pokłóciły się ze sobą śmiertelnie. Ale minister Kot nie dał wiary oszczercy i — ku zgrozie konkurentów — słał Mikicińskiego do Polski z najbardziej poufnymi zleceniami.

Tymczasem przed samym upadkiem Francji Briones Luco został mianowany posłem Chile w Turcji i udał się tam zabierając ze sobą Mikicińskiego, ku wielkiemu zadowoleniu ministra Kota gdyż, pod ciśnieniem wypadków wojennych, odległy Stambuł stał się nowym i jedynym węzłem penetracji na kraj.

Osiadłszy w Stambule Mikiciński, z braku dróg i samochodowych połączeń kolejowych poprzez Bałkany i Rumunię, miał duże trudności z jazdą do Polski. Ale szybko zdołał cały obrót pocztowy z Polską przerzucić na zaangażowanych przez siebie Bułgarów, obywateli zaprzyjaźnionego z Niemcami państwa, jeżdżących samolotami kurierów dyplomatycznych, kursujących po Wschodniej Europie i za odpowiednim wynagrodzeniem dowożą-

cych naszą pocztę do Warszawy i stamtąd do Stambułu czy Sofii. Sam Mikiciński ograniczył swe wypadły do Sofii i Bukaresztu gdzie, zainteresowawszy grono przyjaciół, założył do spółki ruchomy bank, operujący na linii Warszawa-Bukareszt-Stambuł, ze Środkowym Wschodem jako zapleczem, gdzie tworzyło się wojsko polskie i dokąd licznie jeździło — wypłoszone po najeździe Bałkan przez Niemców — nasze uchodźstwo.

Bank miał duże powodzenie, obroty z Polską rosły, zwłaszcza gdy musieli z niego korzystać również przeniesieni do Anglii po upadku Francji, coraz bardziej odcięci od kraju, nasi uchodźcy z wojskiem na czele. Tymczasem zawiśła nad Mikicińskim i jego bankowcami nieoczekiwana i niedostrzegalna groźba: jego zespół był ciągle obserwowany „w imię dobrej sprawy i dla zneutralizowania ministra Kota” przez wysłanników Oddziału II, ostatnio zainstalowanego w Londynie. Zadanie obserwacji powierzono porucznikowi Szapiro-Szarkiewiczowi, dyletantowi wywiadowczemu, ale zawziętemu słuźbiecie i karierowiczowi.



W sierpniu 1940 roku, pod groźbą niemieckiego najazdu wspólnicy Mikicińskiego zmuszeni byli pośpiesznie opuścić Rumunię wraz z całym swoim, i powierzonym przez klientów, majątkiem. Załadowali się w Constanzy na polski statek „Warszawa” i dnia 17 września 1940 roku lądowali w Haifie, szczęśliwie uniknąwszy włoskich bombardowań ale nie bomby Szarkiewicza. W Haifie czekała na nich w samym porcie przykra niespodzianka: skarby ich zostały zaskwestrowane przez władze brytyjskie, zaś podróżników aresztowano pod zarzutem szpiegostwa, na szyfrowe zlecenie majora Orłowskiego-Ostaszewskiego, szefa ekspozytury Oddziału II ze Lwowa, cofającej się pod niemieckim naporem skokami na południe, przez Bukareszt do Stambułu. Jednak — pomimo starannego badania zatrzymanych „bankierów-szpiegów”: Kuttana, Schwarzwsteina, Stefanowskiego, Hemara i paru innych nie znaleziono najmniejszych śladów pracy wywiadowczej na rzecz Niemiec. Natrafiono jedynie na moc notatek z adresami osób w Polsce, korzystających z przekazów pieniężnych, których równoważnik w przeróżnych walutach czy złotych wieźli ze sobą uciekający „bankowcy”. Wobec takiego tragikomicznego obrotu sprawy, ja, jako szef Oddziału II na Środkowym Wschodzie, nie posiadając poza krótkim szyfrem ze Stambułu żadnego innego kryterium, nie miałem innego wyjścia jak tylko czekać na zapowiedziany w tym samym szyfrze przyjazd por. Szarkie-

wicza, źródłowo wtajemniczonego i mającego z ramienia Londynu prowadzić dochodzenia.

Inkwizytor niebawem zjawił się, ale — choć i jego dwutygodniowe wysiłki badawcze nie dały żadnego rezultatu — więźniów mimo tego nie zwolnił! Sam zaś Mikiciński w cztery miesiące później, dn. 16 stycznia 1941, został porwany w Stambule przez tegoż Szarkiewicza przy pomocy Brytyjczyków. Spętanego i uśpionego, wywieziono go do Palestyny samolotem wojskowym RAF'u, pilotowanym przez lorda Forbes'a, lotnika, okolicznościowo bawiącego w Stambule w składzie brytyjskiej misji polityczno-wojskowej. Badania Mikicińskiego w Palestynie nie dały wyniku mimo groźb Szarkiewicza, więzień nie przyznał się do kontaktów wywiadowczych z Niemcami, ani nie wyduszono z niego niczego obciążającego. Znalaziono zatem haniebne wyjście: Mikiciński został zamordowany „przy próbie ucieczki”, sfingowanej w czasie teatralnego przewożenia więźnia.

Również uwięzionym współnikom Mikicińskiego, których ilość w pewnym momencie dochodziła do liczby 40-stu, nie udowodniono niczego poza niekaralnymi obrotami walutowymi. A mimo to pięciu z nich przesiedziało się w obozie Masra pod Haifą pięć lat bez sądu — aż do zakończenia działań wojennych.

Krzywdą jednostki zatarła się bezkarnie wśród wojennych wypadków i milionów ofiar, pokryła się kurzem w tajnych archiwach i zdawała się ulec zapomnieniu. Grubo po wojnie, w 1959 roku na łamach *Tygodnia Polskiego* w Londynie, pod sensacyjnymi tytułami ukazały się cztery artykuły A. Hellera piętnujące Mikicińskiego *jako ponad wszelką wątpliwość szpiega niemieckiego*.

Znając sprawę z czasów wojny, wobec uderzającej arbitralności sądu Hellera, zainteresowałem się nią bliżej, rozpisałem kwestionariusze do związanych ze sprawą osób, pojechałem do Chile i do Anglii, w końcu wydałem rehabilitującą Mikicińskiego książkę pt. „Operation Haifa”, która ukazała się po francusku, ponieważ nie znalazłem polskiego wydawcy. Książka spotkała się z dostatecznie przychylną krytyką francuską, natomiast Iranek — nie przyznając się otwarcie, że Heller to jego pseudonim, napisał „Szkodliwą Książkę”, artykuł będący dalszym ciągiem zmyślonych zarzutów przeciwko Mikicińskiemu pióra Hellera przy czy objął oskarżeniem mnie jako autora „Operation Haifa”, a z podejrzanych względów broniącego niemieckiego szpiega.



Oskarżające Mikicińskiego o szpiegostwo artykuły Hellera-Iranka, nie są oparte na żadnych dowodach, a tylko na dowolnych

przypuszczeniach. W pogoni za taną sensacją, autor posługując się niezbędnymi mu do fabuły pozorami, spotwarza Mikicińskiego robiąc z niego szpiega.

Tylko z powodu ograniczonego miejsca nie mogę przytoczyć w pełni krytycznego, w daremnym poszukiwaniu argumentów, rozbioru wspomnianych artykułów Hellera z Nrów 11, 12, 13 i 14 *Tygodnia Polskiego*. Drobiazgowy ten rozbiór wykazał jak przy zupełnej pustce dowodowej, autor, posługując się tylko domysłami, ogłosił nad Mikicińskim sąd potępiający.

I bez poczucia sprawiedliwości, z lekkim sumieniem kończy swe artykuły tryumfalną konkluzją, zatytułowaną „Zasłużony Koniec”, opisując jak na pustynnej drodze palestyńskiej, pod urojonym „zagajnikiem”, pozbawiony z tajemnych powodów kajdan, Mikiciński wyskoczył z samochodu „licząc że w mroku wieczornym uda mu się zmylić czujność eskorty”, i został zastrzelony...

Wystąpiłem z „Operation Haifa” w obronie Mikicińskiego w imię sprawiedliwości i praw ludzkich. Zresztą czuję się również osobiście poszkodowany na opinii jako pełniący wówczas funkcję szefa Oddziału II na Środkowym Wschodzie. Wielkie odium spadło na mnie gdy Szarkiewicz uwięził w obozie Internment Masra Camp pod Haifą około 40 naszych żołnierzy i uchodźców, jako podejrzanych o szpiegostwo, rzekomych współników Mikicińskiego, tylko dlatego że skorzystali z transferu pieniędzy do Polski za pośrednictwem „banku”. Podniosły się wśród uchodźstwa liczne skargi, przypisujące mnie, jako lokalnemu szefowi, odpowiedzialność za bezprawie. Na skutek mojej szyfrowej interwencji, przybył z Londynu zastępca szefa Dwójki, płk Gano i zainteresował się śledztwem, ale jego spóźniony przyjazd zbiegł się niemal z „zasłużonym końcem” Mikicińskiego.

W sierpniu r.ub. w 18-tym *Zeszycie Historycznym*, Iranek w artykule pt. „Szkodliwa Książka”, powtarza w skrócie, dostatecznie zaplątany, pozorne dowody winy Mikicińskiego zapożyczone ze swego, drukowanego pod pseudonimem opisu afery Mikicińskiego. Dodaje tym razem nowe „dokumenty” mające wesprzeć dawne „przypuszczenia”. Nie mogę pominąć ich rozpatrzenia.

1) Są to wyciągi z protokołu przesłuchań uwięzionego i steryzowanego w Haifie Mikicińskiego, wyduszonych przez Szarkiewicza, a tym niemniej nie zawierających dowodów winy szpiegostwa na rzecz Niemiec. 14 lutego 1941 Mikiciński miał rzekomo zeznać że Scholtz, wyższy oficer z Abwehry we Wrocławiu, dokąd zajeżdżał M. jadąc do Polski, i gdzie pracował jego kolega z armii rosyjskiej, „miał większe zainteresowanie do spraw fran-

cuskich aniżeli polskich z terenu okupacji". Interesował się podobno sprawami politycznymi, wzajemnym stosunkiem żrących się partii polskich, stosunkiem Sikorskiego do „sanacji” (!), brakami żywnościowymi we Francji, stosunkiem ludności do wojny, stosunkami polsko-francuskimi itd. W rezultacie były to drobiazgi dziennikarskie, o których do znudzenia pisały tak pisma francuskie jak i niemieckie. Wszystko rzeczy dalekie od szpiegostwa. A jeżeli chodzi o to „czy dużo jest wojska polskiego we Francji”, to w lutym 1940 roku, w dzienniku w Zürichu, ukazał się o tej sprawie tak dokładny artykuł, że w polskim Paryżu posądzano, że mógł go napisać... tylko szef sztabu gen. Sikorskiego!

Cytowane w „Szkodliwej Książce” nader drobiazgowe zeznania Mikicińskiego na temat jego personalii, wyróżniają się charakterystycznie tym że więzień nic w nich nie wspomina że od roku 1930 pracował w poselstwie chilijskim. Jak więc zapobiegliwie dyktował te „zeznania” Szarkiewicz, żeby nie być posądzonym o więzienie chilijskiego dyplomaty!

2) Cytuje Iranek wyciągi z „ekspertyzy” fachowej Oddziału II na temat Mikicińskiego, ekspertyzy opracowanej w czerwcu 1941, a więc nie przed sądem wygłoszonej, jak to winno mieć miejsce według norm procedury sądowej, tylko w cztery miesiące po zamordowaniu tegoż Mikicińskiego przez oficerów Oddziału II, kolegów tych samych panów ekspertów. Ekspertyza, dla uzasadnienia swej konkluzji oskarżycielskiej, nie podaje żadnych faktów konkretnych. Żadnych argumentów rzeczowych. Żadnej konfrontacji świadków, ani porównania ich zeznań z zeznaniem „oskarżonego”. I kogo miał na celu przekonać ten „wynik ekspertyzy”? Chyba nie sędziów, bo oskarżonego nie chciano postawić przed sądem, zresztą w chwili pisania ekspertyzy już nie żył, zatem, według kodeksu postępowania sądowego, sprawa podlegała umorzeniu? Czy eksperci nie pisali swojej ekspertyzy dla uspokojenia wyrzutów sumienia zabójców?

3) Podkopem na poczekaniu zmyślonym dla pogwałcenia obrony jest zarzut Iranaka, że Wagner, który „jest trzonem konstrukcji książki”, jest tylko postacią „mityczną”, fikcją stworzoną przez autora dla przekonania czytelnika o niewinności Mikicińskiego.

— Podobnie mityczną jak minister Kuwalski — śmiem zapewnić oponenta. W pamiętnikach Schellenberga figuruje jako szef Abwehry we Wrocławiu, cieszący się przed wojną opinią dobrego specjalisty w sprawach rosyjskich, zaprzyjaźniony z szefem kontrwywiadu w tym samym mieście. Obaj mieli przejść szkołę rosyjską służąc w armii rosyjskiej. Podobno nawet w domu rozmawiali po rosyjsku, co wzbudziło podejrzenia Schellenberga. Gdy podczas wojny, jeden z nich jako ofiara wypadku samochodowego,

zameldował o zaginięciu przy tej okazji teczek z dokumentami, Schellenberg wydał rozkaz aresztowania obu, ale rozkaz trafił w próżnię; obaj zawczasu uciekli wraz z plikiem dokumentów. Gestapo doszło do przekonania że od dawna byli w kontakcie z wywiadem sowieckim, po zdemaskowaniu uciekli do Rosji. Mogli również współpracować z Mikicińskim.

Iranek przeczy sobie opisując niejakiego Scholtza, wyższego oficera Abwehry z Wrocławia jako „szefa” Mikicińskiego, który starał się ułatwiać mu podróże do Warszawy? Czy nie był to jeden ze „zdrajców” niemieckich, o których pisze Schellenberg?



Opinie ludzi znających bliżej Mikicińskiego są o nim nie-
dwuznaczne.

A jakiego zdania jest o nim koronny świadek całej sprawy, minister Kot, przez cały czas wykorzystujący Mikicińskiego jako swego łącznika z krajem? Píše do mnie w swoim liście z dnia 12 listopada 1960:

„Na moje pytanie opowiedział mi Mikiciński w jakich warunkach podróżuje do kraju. Podczas służby w armii Denikina zaprzyjaźnił się z bałtyckim Niemcem, który później przeszedłszy do Niemiec doszedł w wojsku do wybitnego stanowiska w Abwehrze i obecnie prowadzi we Wrocławiu biuro Abwehry na Polskę. Po kampanii wrześniowej postanowili działać w ścisłym porozumieniu aby zarobić na konflikcie polsko-niemieckim, mianowicie przez przewożenie przez granicę okupacyjną kosztowności i pieniędzy za wysoką opłatą, którą się dzielą. Mikiciński przewozi, a oficer Abwehry daje ochronę transportu”.

Dalej pisze prof. Kot na temat rozmów Mikicińskiego z oficerem Abwehry:

„Mikiciński uprzedził mnie, że w rozmowach ze swoim przyjacielem-oficerem musi coś niecoś powiedzieć o sytuacji za granicą, i prosił aby mu wszystko podyktować, co sobie życzymy aby powiedział i jak ma sytuację oświetlić. Chodziło tylko o charakterystykę ogólną, żadnych szczegółów”.

Deklaracja Kota w istocie pokrywa się z cytowanym przez Iranika na str. 225 protokołem zeznania Mikicińskiego z dnia 14 lutego 1941 na temat jego rozmów w ekspozyturze Abwehry we Wrocławiu, punkty 1) do 5), pytania bardzo ogólne, na które prawdopodobnie Mikicińskiemu podyktował odpowiedzi minister Kot, albo pytany odpowiadał na podstawie wiadomości z pierwszej lepszej starej gazety francuskiej:

1) Braki żywnościowe we Francji? 2) Stosunek ludności francuskiej do

wojny? 3) Stosunki francusko-angielskie? 4) Stosunki francusko-polskie.
5) Życie we Francji?

Ale jak wybitna różnica występuje w ocenie ważności udzielonych Niemcom informacji u Kota i u Iranek! Anglicy słusznie uważają, że inteligencja jest ostoją wywiadu, który stąd bierze swoją nazwę w ich języku. Gdy Kot, choć cywil, ale człowiek o wyjątkowej inteligencji, zgadza się z lekkim sercem czy nawet z kpinami, na udzielanie informacji w zamian za pomoc przy niezwyklej dla nas wagi wyjazdach Mikicińskiego do kraju, Iranek, zawodowy wojskowy w wyższym stopniu, ale ignorant wywiadowczy w angielskim rozumieniu sprawy, rozdziera szaty robiąc z Mikicińskiego — na zasadzie niedosłyszanych rozmów we Wrocławiu — patentowanego szpiega i entuzjastycznie akceptując jego „zasłużony koniec”.

A jakiej klasy i wagi mogły być informacje wojskowe o Francji znane Mikicińskiemu z rozmów kawiarnianych w Paryżu, świadczy głęboko mylne ale za to wszem i wobec do wierzenia podawane uświadomienie naszej góry rządowej o sytuacji we Francji. Dosłownie na tydzień przed upadkiem Paryża, „najbardziej optymistycznie wyjaśniał Sikorski na Radzie Narodowej przyczyny przejściowych niepowodzeń francuskich i zapewniał radnych kategorycznie, że sytuacja jest nie tylko opanowana, ale całkowicie odwrócona” — pisze historyk tego okresu, Malinowski. Więc jeżeli tak fałszywie oceniał sytuację wojskową generał Sikorski, to co mógł o niej wiedzieć pogrążony w zyskowych obrotach z Polską Mikiciński, „typ Żyda-kombinatora”, jak o nim pisze „Rakoń” według dokumentacji Iranek na str. 226?

Autor „Szkodliwej Książki” rozpisując się o winie porwanego i zlikwidowanego Mikicińskiego, ani słowem nie zająknął się o jego „wspólnikach”, niewinnie więzionych przez tegoż porywacza w tym samym czasie i pod tym samym czczym zarzutem szpiegostwa. Iranek wolał przemilczeć ten niedogodny dla jego koncepcji argument, gdy chodziło o ludzi z całym zaślepieniem, niesłusznie posądzonych o zdradę kraju. Długo prowadzone przez Szarkiewicza dochodzenie nie dało i nie mogło dać oczywiście najmniejszego wyniku w stosunku do żadnego z oskarżonych.

Gdy ci zmuszeni byli uciekać przed Niemcami do Palestyny, ich prześladowca był pewien — jak to Heller-Iranek potwierdza — że w bagażach podręcznych znajdzie sporo szpiegowskich „materiałów kompromitujących”. Jednak zarządzona na gorąco rewizja

doprowadziła do wykrycia tylko grubych pieniędzy oraz zapisków godnych starannego buchaltera bankowego. Cienia szpiegostwa! Ta pustka tak zaskoczyła Szarkiewicza, że więził „bankierów” bez końca. A zagniewany, stosował dowolnie na prawo i na lewo dalsze areszty wśród przybywających do Palestyny, następnymi transportami, naszych Bogu ducha winnych uchodźców i żołnierzy. Polował na osoby, które z Rumunii przesyłały do Polski listy i pieniądze do rodzin przez „bank” (czy „bazę” szpiegowską jak chce Iranek) i miały sposobność spotkać się osobiście z Miki-
cińskim.

Przytoczę z pamięci niektóre nazwiska tych ludzi pokrzywdzonych: Jan Szczepkowski, porucznik, były pomocnik attaché wojskowego w Moskwie; Franciszek Kwiatkowski, adwokat, działacz narodowy z Poznania, po zwolnieniu odbył kampanię włoską w Oddziale II jako szef sekcji Badań Jeńców; Jan Okoński, urzędnik Żupy Solnej w Wieliczce; Janusz Jasieńczyk, literat; Paweł Prokopieni, artysta-śpiewak; troje Badenich w wieku lat 18, 19 i 22; Poray-Biernacki, adwokat z Warszawy; podchorąży Mastalerz; Kosinowski, obywatel ziemski; Marian Hemar — nazwisko nic nie mówiące jedynie półinteligentnemu zupakowi; Kuten, przemysłowiec; Schwarzwstein, finansista; Stefanowski, dziennikarz... Wdzięczny będę za uzupełnienie tej niekompletnej listy.

Szarkiewicz, wyposażony w *plein pouvoir* z Londynu, był panem życia i śmierci więźniów, trzymał ich bez sądu pod pretekstem *security risk*. Zwalniał pojedynczo dopiero po interwencji władz wojskowych i pod naciskiem opinii publicznej, a szczytem okrucieństwa stało się internowanie przez pięć lat, do końca wojny, trójki „bankowców” z „Warszawy”. Hemar wierszem upamiętnił haniebny obóz. Przytoczę strofkę z niego wiersza:

*Myśmy się w Masra poznali,
Nas złączył kolczasty drut,
Nas bracia rodacy wydali
Na głód, na poniewierkę i brud.
O Ojczyzno, nasz los znieważony...*



A oto niektóre detale, sformułowane przez Iranka w formie zarzutów:

1) „Obwoluta książki ukazuje wyidealizowaną twarz młodego przystojnego mężczyzny”, a to w rzekomym celu „ażeby zamaskować wygląd Miki-
cińskiego, o którym znająca go osoba wyraża się, że był odrażający”.

Fotografia jest powiększeniem jego zdjęcia z *Archives Diplo-*

matiques et Consulaires No 10, z października 1939 roku, którą załączam. Jest podpisana „Le Dr. Sanson Mikiciński, chef de la chancellerie de la légation de Chili à Varsovie. Colonel, Médaille militaire”. Wygląd wcale nie taki odrażający? Zresztą, to kwestia gustu. Ale co to ma do rzeczy, nie rozumiem!

Colonel? Wyszedł od Denikina w roku 1921 w stopniu kapitana, do roku 1939 zdążył dwukrotnie awansować metodą „denikinowską”, podobnie jak się dzieje w polskim Londynie po 1945 roku... A *Médaille militaire* — miał order św. Jerzego najniższego stopnia.

2) „Nie sprawdził Michniewicz że Hector Briones Luco za życia Mikicińskiego w żadnym okresie kariery dyplomatycznej nie był ambasadorem chilijskim ani w Belgii, ani w żadnym innym kraju”.

Tak twierdzi Iranek. Nigdzie Brionesa nie wywyższyłem na ambasadora, był natomiast posłem, jak to stwierdzają *Archives Diplomatiques et Consulaires* z września 1939, gdzie figuruje jego zdjęcie wraz z zaszczytnym omówieniem całej kariery:

„S. E. M. Hector Briones Luco, nouveau ministre auprès du gouvernement polonais a remit ses lettres de créance”, potem następuje w skrócie jego życiorys podający, że przed nominacją do Polski był *chargé d'affaires* w Belgii, Egipcie i Turcji. Załączam odbitkę, ale poseł czy *chargé d'affaires*, czy to takie ważne dla sprawy szpiegostwa?

3) Przy okazji dysputy poseł czy ambasador, oddając głos ówczesnemu radcy naszej ambasady w Turcji, Z. Szczerbińskiemu, który w liście swoim z 23 stycznia 1960 wyjaśnia w sposób obiektywny wiele ważniejszych spraw naświetlając działalność Mikicińskiego:

Mikicińskiego poznałem w Angers w początku maja 1940, został on mi polecony w MSZ wraz z *chargé d'affaires* chilijskim Briones Luco, obaj udać się mieli niebawem do Turcji... Wkrótce też obu tych panów spotkałem na mojej placówce, widując ich zarówno w Ankarze jak i Stambule, gdzie zamieszkał”.

„Opowiadał mi Mikiciński o śniadaniu u ambasadora von Papena w Ankarze, na które został zaproszony ze swoim chilijskim szefem”.

„Mikiciński wywoził stale z Bukaresztu walizą dyplomatyczną waluty i kosztowności obywateli polskich Żydów, którzy inaczej nie byli w stanie uratować swego dobytku”.

„Mikiciński zdradzał oznaki wielkiego niepokoju i zdenerwowania, ja, oczywiście, zachowywałem rezerwę, nie zmieniając mego stosunku do niego, zapraszając do restauracji i przyjmując jego zaproszenia, będąc do tego upoważniony przez Anglików, którzy popierali moje kontakty z Mikicińskim” (chodzi o grudzień roku 1940).

4) W roku 1961 odwiedziłem w Santiago de Chile panią Helenę Briones Luco, która poza wieloma pamiątkami po mężu,

pod koniec rozmowy w wielkim zaufaniu pokazała mi walizeczkę pełną... naszych przedwojennych 100-złotówek. Nowiutkich, w oryginalnych paczkach po sto, przeliczonych i sygnowanych przez Bank Polski. Uważam to za dowód, że Mikiciński dzielił się z szefem zyskami na linii Warszawa-Stambuł, z tym że wskutek przeoczenia terminu wymiany czy stemplowania (luty 1940?) złotówki uległy przedawnieniu, a biedna staruszka ciągle liczyła na ich wykup przez polski rząd.

5) „Kroplą, która przeważała szalę był kolportaż — dostarczanej Mikicińskiemu przez Niemców — *fałszywej waluty brytyjskiej*. Spowodowało to udzielenie placówce polskiej pomocy, bez której nie byłaby w stanie przeprowadzić uprowadzenia własnymi siłami” — pisze Iranek na str. 226.

Nie jest prawdą posądzenie Mikicińskiego o ten kolportaż, bowiem ani w skonfiskowanych 17 września 1940 w Haifie walorach nie było fałszywych funtów, ani konsul nasz, Rychlewicz, przejmując urzędowo w Stambule od poselstwa chilijskiego „skarb” porwanego Mikicińskiego, nie stwierdził w nim takowych. Iranek uprzedza fakty, gdyż Niemcy dopiero w latach 1942/43 zaczęli masowo fałszować funty angielskie. Wielka ich ilość została po klęsce zatopiona w Austrii w górskim jeziorze, część zaś wywieziona do Mediolanu przez jednego z cudem ocalałych przymusowych fałszerzy, włoskiego Żyda, specjalisty od farb. Natomiast w roku 1940 pojawiły się w Szwajcarii i Turcji najprawdziwsze funty, zdobyte przez Niemców pod Dunkierką na cofających się w popłochu Anglikach.

6) Nie ma najmniejszego znaczenia dla sprawy Mikicińskiego czy jego kat Szarkiewicz był niechlujem czy nieposzlakowym elegantem, zagadnienie które z taką żarliwością podnosi Iranek na str. 228/9 swej „Szkodliwej Książki”. Inaczej zresztą mógł wyglądać obserwowany przeze mnie Szarkiewicz w roku 1940 w Palestynie, w upały tropikalny, nieogolony, w zaniedbanym stroju podróżnym, inaczej zaś przedstawiał się w Londynie jako członek ekipy pilnującej bezpieczeństwa gen. Sikorskiego czy powojenny dorobkiewicz, właściciel kina nabytego w wyniku swej „bezinteresownej pracy w wywiadzie” — jak widział go w tym czasie Iranek i podziwia na str. 229. Tymczasem dla historii nie są ważne pozory zewnętrzne, tylko poziom moralny, inteligencja i zdolności fachowe, których brakowało zdecydowanie oprawcy Mikicińskiego.



Iranek potwierdzając w „Szkodliwej Książce” wytoczone przed 12 laty na łamach *Tygodnika Polskiego* oszczercze zarzuty przeciwko Mikicińskiemu, przechodzi do ataku na mnie, jako autora

„Operation Haifa”. Zarzuca mi podrywanie autorytetu Oddziału II-go, odślanianie jego wstydlwych kulis, kalandanie własnego „gniazda” oraz „cui-bon’izm”, obronę Mikicińskiego jako szpiega oraz działanie na korzyść bliżej nie określonych wrogich Polsce sił tajemnych — masonów, Żydów, Niemców czy skrajnej lewicy? — trudno dojść gdy pisze mętnie i zagadkowo.

Autorytet Oddziału II? Stał wysoko, będąc oparty na krytycznym dociekaniu prawdy. Instytucja dążąca do zdobywania źródłowych informacji i wyciągania z nich syntezy nie mogła taić rzeczywistości czy szerzyć pocieszających fałszów. Tak było przed rokiem 1939, a o tym mogę mówić, przesłuzujący z moich 30 lat w mundurze prawie 20 lat w Oddziale II, przeważnie na zagranicznych placówkach. Inaczej poczęło się dziać w latach wojennych, gdy zasiedli w Oddziale II dyletanci, poplecznicy partyjni i tani pochlebcy. Wystarczy wspomnieć niektóre tendencyjne, mające na celu zawodną propagandę patriotyczną, szerzone przez Oddział II oceny sytuacji wojskowo-politycznej. Chociażby wspomniany już, podszeptany niewątpliwie przez Dwójkę, optymizm generała Sikorskiego z czerwca 1940 roku, na tydzień przed upadkiem Paryża. Podobnie fałszywie informowali Brytyjczyków w roku 1942 nasi dufni specjaliści od spraw rosyjskich o idącej rzekomo groźbie niemieckiej z Kaukazu w stronę nafty irackiej. Tamci uwierzyli, co wywołało szereg próżnych przegrupowań strategicznych i opóźnienie akcji na głównym froncie. Jak fatalną decyzję powzięło również dowództwo A.K. na zasadzie podanego przez podległy organ informacyjny fałszywego ugrupowania Niemców okrakiem na Wiśle w przededniu powstania. Równie zdrożną była ocena możliwości udzielenia Warszawie pomocy z Zachodu oraz zupełne niezrozumienie globalnego układu polityczno-strategicznego, zagadnień których rozpracowanie należało do zakresu Dwójki. Złe rozeznanie dało pochoo do powstania, tej prawdziwej klęski narodowej...

Także i inne bardziej osobiste afery w czasie wojny podkopały „autorytet” złożonego z dyletantów Oddziału II. Wystarczy przytoczyć obok Mikicińskiego sprawę ppłk. Hańczy, kolegi Iranka z A.K., zamordowanego i ograbionego przez pewną swej bezkarności Dwójkę. Oba wyczyny zostały pokryte milczeniem, a nawet znaleźli się obrońcy.

Zarzucane mi przez Iranka „kalandanie własnego gniazda” jest niczem innym jak napisanym z otwartą przyłbicą przyczynkiem historycznym: co mogło ujść w zgiełku wojennym, nie może być przemilczane z perspektywy czasu.



Występujący w roli niepowołanego obrońcy naszego wojennego Oddziału II, Iranek sam przed wojną nie służył w Dwójce i jako obcy temu opartemu na przenikliwej inteligencji i wymagającym doświadczenia zawodowi opisuje aferę Mikicińskiego na zasadzie zasłyszanych wersji, czy przeczytawszy wyduszone przez Szarkiewicza zeznania więźnia czy sfabrykowaną „ekspertyzę” z czerwca 1941 roku. W poszukiwaniu świadectwa prawdy oddaje jeszcze raz głos ministrowi Kotowi. Píše mi on w liście z 12 listopada 1960:

„Zobaczyłem się z gen. Sosnkowskim (luty 1940), a na moje pytanie dlaczego generał w dalszym ciągu nie korzysta z Mikicińskiego dla potrzeb swego resortu, usłyszałem że stało się to niemożliwe z powodu *wrogiego (było i określenie tajnickiego)* stanowiska Oddziału II, który przedtem sam używał Mikicińskiego; gdy ten odmówił dalszych usług, *dwójkarze zadunucjowali go* u wywiadu francuskiego i angielskiego jako agenta niemieckiego. Sosnkowski uważa to za stwarzanie mu specjalnych trudności, aby zmusić go do powierzenia całej łączności Oddziałowi II, względnie jego kontroli, i że *nawet wyszantażowano na nim*, gdy już Mikiciński wyjechał w drogę do kraju, ostrzeżenie do kilku placówek przed jego osobą. Musiał to zrobić ze względu na wyjątkowy charakter tajnej organizacji wojskowej, bo gdyby stało się tam jakie nieszczęście, okrzyczano by jego za sprawcę”.

Komentarze są zbędne. Wiadomo zatem skąd się wzięło ostrzeżenie wysłane do kraju, wiadomo dlaczego Heller-Iranek odwraca kota ogonem, pisząc w Nrze 11 *Tygodnia Polskiego*, że naszą placówkę wywiadowczą w Bukareszcie „oficer brytyjski współpracujący z nią ostrzegł, że wywiad brytyjski nie ma zaufania do Mikicińskiego” czyli jak mówi Krasicki „skoro zełgał najpierwszy, wszyscy łgali rżędem”.

Gdy Iranek na str. 227, cytując wyrok „ekspertyzy”, że Mikiciński przystępując do akcji w roku 1939 „był on już całkowicie technicznie przygotowany do opracowania nawet bardzo *koronkowej gierki* tego typu”, w Nrze 12 *Tygodnia Polskiego* pisze, że „koronkowa robota” zamieniła się w krzyczącą ostentację, bo:

„odwiedzali go Niemcy i on sam bywał częstym gościem w różnych urzędach niemieckich, również w Gestapo przy alei Szucha”.

Tę jawność podkreśla minister Kot:

„Wymawiałem też Mikicińskiemu, co dwójkarze rozgłaszali, że w Warszawie 'szastał się szeroko i robił hałas koło siebie'. Odpowiedział: 'Gdybym się przemykał ostrożnie pod murami, byłbym podejrzany. Za to chodząc hałaśliwie i pijąc szampana po lokalach z gestapowcami, byłem niepodejrzany i bezpieczny — to jest moje przeświadczenie’”.

I pisze dalej:

„Po wojnie spotkałem jednego z odbiorców, b. rektora Uniwersytetu Ja-

giellońskiego w Krakowie, który ze wzruszeniem opisywał mi scenę odwiedzin Mikicińskiego i doręczenia worków ze złotymi, z których wszyscy profesorowie żyli do końca wojny. Wybuchnął wzburzeniem gdy się dowiedział że Mikicińskiego skazała Dwójka na rozstrzelanie jako agenta niemieckiego”.

„Oddział II od początku wiedział jakie transakcje finansowe załatwiał Mikiciński i z którym oficerem *Abwehry* w spółce i dla swoich celów korzystał z jego wypraw. Mikiciński poniósł karę za to że odmówił współpracy z *Dwójką*, oddał wielką przysługę Rządowi Polskiemu, przeciwko któremu politycy Oddziału II intrygowali i na emigracji i w kraju, utrudniali łączność jego z krajem, chcąc wymusić, aby wszelka łączność znalazła się w rękach i pod kontrolą Oddziału II”.

Prof. Kot przytacza opinię gen. Sikorskiego o Mikicińskim:

„Przed samym wyjazdem przyszedł Mikiciński z prośbą o wyrobienie mu karty żołnierza polskiego... Udałem się do gen. Sikorskiego, który bez wahania polecił wydać Mikicińskiemu legitymację żołnierską: 'człowiek który tak wyjątkową usługę oddaje rządowi, jakiej nikt inny oddać nie może, wart jest takiej karty i jeżeli się powiedzie, nawet jakiegoś odznaczenia'”.

Można być dalekim od zachwyty nad polityką gen. Sikorskiego ale nikt nie ośmieliłby się odsądzić go od patriotyzmu i prawości charakteru. Nawet eksperci Oddziału II...

Zwróciłem się również o informacje do długoletniego szefa referatu Wschód w Oddziale II, kpt. J. Niezbrzyckiego, pisującego pod pseudonimem Wragi. Nie znał bliżej nie należącej do jego zakresu kontr-wywiadowczej sprawy, napisał krótko:

„Wyjątkowo łagodzącą okolicznością było, że sprawę prowadził przeciwko Mikicińskiemu Szarkiewicz-Szapiro, jako że to był istotnie sukin-syn w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. Miałem zawsze wrażenie że Szarkiewicz był agentem sowieckim, a kto wie czy nie niemieckim”.

Więc i Szarkiewicz był na liście podejrzanych w Oddziale II?

Przytaczam jeszcze zdanie o Mikicińskim naszego posła w Madrycie, min. Józefa Potockiego z jego listu z 14 stycznia 1960:

„Dnia 31 grudnia 1939 roku... około 4-ej rano zjawił się w moim pokoju we własnej osobie Mikiciński, przynosząc długie, pierwsze listy od mojej odnalezionej rodziny. To był z pewnością najszczęśliwszy, choć samotny Sylwester, jaki w życiu spędziłem. Mikiciński posiedział u mnie z godzinę, opowiadając o okupowanej Warszawie. Wychodząc zapytał czy nie zaszedłbym do niego około 10-ej rano na ranne śniadanie gdyż chciałby mi oddać parę kosztowności, które powierzyła mu żona moja. Byłem u niego o oznaczonej godzinie i otrzymałem kilka dobrze mi znanych, cennych obiektów. Rozmowa z Mikicińskim była swobodna i łatwa. Zrobił mi on wrażenie człowieka dynamicznego, o pewnym geście, odnoszącego się do spraw polskich z wyrażną sympatią. Nie krył on przede mną że na tych przejazdach i na przewozie sum rządowych zarabia komisję, nie było jednak mowy o tym, by wziął on cokolwiek za osobistą usługę, jaką mnie oddał”.

I dalej:

„Będąc w tym czasie czynnym (i na dość odpowiedzialnym stanowisku) w naszym MSZ, miałem oczywiście kontakty także z naszymi czynnikami wojskowymi i rola Mikicińskiego musiała mnie blisko interesować. Wiedziałem od mojej żony, która w styczniu 1940 roku przybyła z Kraju do Angers, że *Mikiciński odbywa swe podróże w jakimś porozumieniu z władzami wojskowymi niemieckimi i z Gestapo*. To zresztą w ówczesnych warunkach było *nieuniknione*. Wszystko razem robiło wrażenie jakiejś bardzo ryzykownej gry, szczególnie, gdy się zważy, że Mikiciński był przecież żydowskiego pochodzenia. Robił on mi wrażenie semity z jakimś kresowym rozmachem, 'szero'ką ręką', a także z bezczelną odwagą. W żadnej chwili nie uważałem go za człowieka działającego na rzecz wywiadu niemieckiego czy w ogóle hitlerowskich Niemiec”.



Pozory w sprawie Mikicińskiego były mylne, a służba wywiadowcza, której zadaniem jest ich rozpraszenie, nie spełniła tego zadania. Raczej wytoczony Mikicińskiemu zarzut dwustronności był tylko celowo rozdmuchanym straszakiem. Dwustronność? Właśnie wywiad agencji w najbardziej delikatnych sytuacjach osiąga rezultaty, używając podwójnych agentów, wyreżyserowanych w zamiarze zdobycia na przeciwniku wartościowych wiadomości w zamian za dostarczanie mu małoważnych czy przestarzałych materiałów, zrećnie przy tym zabarwionych pożądaną dla nas tendencją. Pięknym przykładem udanej inspiracji, która niesety działała na naszą niekorzyść, było gładkie funkcjonowanie przez siedem lat fikcyjnej, znanej pod nazwą „Trust”, zorganizowanej przez Moskwę podziemnej organizacji monarchistycznej. Zwodziła w latach 1921-26 naszą Dwójkę wraz z innymi nastawionymi na Rosję wywiadami. Za cenę podporządkowania sobie zagranicznych związków „białych” Rosjan i wpajania im niecelowości zbrojnej interwencji przeciwko Moskwie. „Trust” regularnie dostarczał nie tylko — jak w wypadku przypisanym Mikicińskiemu — plotek kawiarnianych, ale szeregu sowieckich dokumentów wojskowych, uznawanych przez fachowców za prawdziwe. „Trust” doszedł do pozycji niemal monopolistycznej, prowokując siłą rzeczy likwidację przez nas innych, mniej wydatnych choć wiernych agentur.

Ciekawych czy sceptyków odsyłam do artykułu Wragi w Nrze 4/21 *Kultury* z roku 1949 oraz do angielskiej książki Baileya „The Conspirators”, z których mogą się przekonać jak długo i sprawnie zwodził nas „Trust” aż do czasu, kiedy dzięki przenikliwości marszałka Piłsudskiego prysła ta oparta na dwustronności legenda dezinformacyjno-inspiracyjna.

Kończąc omówienie i dokumentowanie zabagnionej sprawy, nie wolno nie uwypuklić znaczenia zasad moralnych, wiążących pracę wywiadowczą. Pracownicy Oddziału II są szczególnie narażeni na zdradzieckie pokusy, tym dla nich groźniejsze że zwykli są działać pojedynczo i samodzielnie i pod osłoną trudnej do przeniknięcia tajemnicy wojskowej. Afera Mikicińskiego pozostanie przykładem rażącego, przy jej rozgrywaniu, zaniku zasad moralnych.

Należy też zapobiec aby nieprawdziwa jej ocena przedostała się do historii pod płaszczykiem maskowniczym. Tolerując najbardziej zacięty spór o przesłanki i wnioski, z gruntu odrzucić należy „umoralnienie” afery Mikicińskiego, co jest zamiarem Iranika piszącego na str. 229, że „akt uprowadzenia był wyczynem sportowym, który *oczywiście* miał swoje podłoże moralne”. A zatem gwałtu i znęcania się nad Mikicińskim w dniu 16 stycznia 1941 nie uważa za cyniczną zbrodnię? Rodzaj „umoralnionego” sportu, z pistoletem u skroni ofiary?

Nie przekona: wywiad, to inteligencja i legalizm.

Władysław MICHNIEWICZ

Józef MACKIEWICZ

„REDAKTOR” BOHDAN MACKIEWICZ

Dużym zaskoczeniem było dla mnie wydrukowanie w *Zeszytach Historycznych* (zeszyt dziewiętnasty) „Listu Zygmunta Jundziłła do Prezydenta Raczkiewicza” z 29 maja 1952 r. (Oczywisty *lapsus calami*: nie Raczkiewicza, lecz Prezydenta Zaleskiego. Raczkiewicz umarł w 1947 r.). Jak też dopisek Redakcji, że list dotyczy: „tzw. sprawy J. Mackiewicza”, gdyż sądziłem dotychczas że nie istnieje „sprawa J. Mackiewicza”, a tylko kierowana na gonka bandy oszczerców, z dosyć znanych i przejrzystych względów.

Z odpisem tekstu listu prof. Jundziłła zapoznałem się po raz pierwszy dawno; akurat w okresie gdy występowałem przed Specjalną Komisją Kongresu Amerykańskiego do Zbadania Zbrodni Katyńskiej, jako świadek, i rzeczoznawca dla oceny sowieckiego urzędowego „Komunikatu”. Później kiedyś, jeden z moich przyjaciół londyńskich zamierzał spowodować ogłoszenie tego listu w *Wiadomościach*. Prosiłem go usilnie, aby zaniechał swego zamiaru. I prosiłem redaktora *Wiadomości*, aby tego nie publikował. Albowiem list senatora prof. Jundziłła wprowadza w błąd, i pośrednio wybiela niejako autorów oszczerczej przeciwko mnie kampanii, sugerując że genezą jej stało się zwyczajne nieporozumienie spowodowane identycznością nazwisk. Gdyż jakoby redaktorem wydawanego przez Niemców w Wilnie *Gońca Codziennego* miał być istotnie Mackiewicz, ale inny, Bohdan.

W rzeczywistości tak nie było.

Prof. Zygmunt Jundziłł należał do ludzi o wyjątkowej uczciwości osobistej, dużej kultury, nieskazitelnym w swej, trochę staroświeckiej, prawości. Akurat jednak te przymioty charakteru — przytoczone tu nie jako panegiryk pośmiertny, lecz jako cechy właściwe — nie zawsze ułatwiały rozeznanie w sieciach wojny podziemnej, i w splotach krecich intryg na kilku frontach jednocześnie. Z czego później montowano historię: „tak straszliwie — jak to słusznie zauważa W. M. Marcinkowski w tym samym numerze *Zeszytów* — fałszowaną...!!”

Wymieniony przez Zygmunta Jundziłła Mackiewicz, nigdy nie był redaktorem *Gońca Codziennego*. — Bohdan Mackiewicz (ani mój krewny, ani powinowaty) pochodził z Kowieńszczyzny. W latach niepodległości Polski służył jakiś czas w policji; w r. 1926 przydzielony został do tajnej ochrony osoby prezydenta Wojciechowskiego. Po zamachu majowym otrzymał przez protekcję „endecką”, posadę w administracji *Kuriera Warszawskiego*. Wkrótce po tym mianowany kierownikiem filii *Kuriera Warszawskiego* w Wilnie, przy ul. Tatarskiej 1. W Wilnie znalazł się w orbicie lokalnej prasy. Był na ogół lubiany w gronie dziennikarskim, jako „biesiadnik”, lepiej określony rosyjskim powiedzeniem: „sobutylnik”, przy stolikach restauracyjnych. A że napisał ze dwie korespondencje do Warszawy (oficjalnym korespondentem *Kuriera Warszawskiego* był dr Stanisław Kodź), więc przyjęty został do Syndykatu Dziennikarzy (Związku Dziennikarzy), o co bardzo usilnie się starał. Jak wiadomo członkom tego Związku — formalnie, czy zwyczajowo, już nie pamiętam — przysługiwał tytuł: „redaktor”. Bohdan Mackiewicz szczególnie sobie ten tytuł cenił, gdyż poza tym nie wykazywał większych ambicji, będąc w istocie pracownikiem administracyjnym, a nie redakcyjnym. Znałem go bardzo dobrze. W grudniu 1939, za czasów litewskich, będąc redaktorem naczelnym i wydawcą *Gazety Codziennej*, przyjąłem Bohdana Mackiewicza na zastępcę administratora, którym był wtedy b. administrator *Słowa*, Kazimierz Luboński. Zdaje się że w tym czasie jedyną funkcją redakcyjną jaką spełnił Bohdan Mackiewicz na moje polecenie, było wyprośzenie Stefana Jędrzychowskiego, obecnego ministra spraw zagranicznych PRL, który chciał w redakcji mojej *Gazety* objąć „dział ekonomiczny”. — Wkrótce jednak władze litewskie odebrały mi koncesję na redagowanie i wydawanie pisma (u nich wymagało to formalnych „koncesji”). Bohdan Mackiewicz pozostał w *Gazecie Codziennej*, i z wkroczeniem bolszewików w 1940, wszedł do „Kolektywu Wydawniczego”. Figurował na zamieszczonej w gazecie fotografii tego „Kolektywu”, obrócony sprytnie tyłem. Zdradzało go tylko wymienione nazwisko. Pamiętam — będąc już wtedy furmanem wozu ciężarowego — jak podżartowywał ze mnie, że pod jego nazwiskiem czytelnicy myślą zapewne, że to ja. Ale, zdaje się, nie myśleli. — Niezadługo bolszewicy zamknęli obydwie gazety polskie (*Gazetę Codzienną* i *Kurier Wileński*) i utworzyli na ich miejscu jedną: *Prawdę Wileńską*. Bohdan Mackiewicz w niej nie pracował. Handlował, jak wielu wówczas, spekulował na czarnym rynku, do czego miał zresztą nieprzeciętny talent.

Z chwilą wkroczenia Niemców w 1941, gdy zaczął wychodzić *Goniec Codzienny*, Bohdan Mackiewicz zostaje w tym piśmie zastępcą administratora, którym jest Eugeniusz Kotlarewski. Kotlarewski był przed wojną redaktorem i wydawcą rosyjskiej gazety w Wilnie: *Russkoje Słowo*. Z tamtego czasu łączyła go bliska przyjaźń z Bohdanem Mackiewiczem, i zaangażował go do pracy administracyjnej, nie wspólnego z redagowaniem pisma nie mającej. Ażebym wyjaśnić w jaki sposób Zygmunt Jundziłł mógł wyciągnąć swój błędny wniosek z wizyty w redakcji *Gońca Codziennego*, należy opisać stan faktyczny, o którym nie tylko „głośno”, ale w ogóle nie wolno mówić. Było tak:

Lokal *Gońca Codziennego* stał się upatrzonym miejscem spotkania, a wkrótce pewnego rodzaju centrum „handlowym” i giełdą czarnego rynku, z czego w tych ponurych czasach żyło tak wielu mieszkańców miasta. Unikano jednej, czy dwóch kawiarni; nie było restauracji (nie tak jak w Warszawie!), ani innych lokali publicznych. Salka administracyjna *Gońca*, przedzielona drewnianym przepierzeniem z okienkami dla przyjmowania ogłoszeń, prenumeraty etc. nadawała się znakomicie: gwarantowała maksimum bezpieczeństwa; większe skupisko nie budziło podejrzania, gdyż tłumaczyło się interesantami, którzy przyszli zapłacić prenumeratę, względnie dać ogłoszenie do gazety; jako instytucja niemiecka, chroniła przed wkroczeniem litewskiej policji ścigającej spekulację etc. itd. Osobiście, mieszkając w odległym o 12 km. od miasta Czarnym Borze, gdy przychodziłem do Wilna, też używałem tego lokalu jako pierwszej „bazy” orientacyjnej, zwłaszcza w zimie, gdzie się można było ogrzać, spotkać tego i owego, dowiedzieć o stanie bezpieczeństwa w mieście, w ogóle: „co słychać?”; sprzedać jakąś rzecz, zorientować w cenach czarnego rynku. Otóż nad tym codziennie tam gromadzącym się tłumkiem ludzi królowała, jeżeli nie jako król to w każdym razie wówczas już jako królik wileńskiego czarnego rynku, „redaktor” Bohdan Mackiewicz. Znaczna część, jeżeli nie większość interesantów, to byli jego osobiści klienci. Miał też rozległą klientelę wśród uprzywilejowanej ludności litewskiej. Stąd, nad głowami wizytatorów *Gońca Codziennego* od rana aż do zamknięcia, unosiło się ciągle wołanie: „Redaktor Mackiewicz...!”, „gdzie jest redaktor Mackiewicz?!...”, „redaktor Mackiewicz do telefonu!...”, „czy redaktor Mackiewicz wyszedł? Kiedy przyjdzie redaktor Mackiewicz?...” — i w tym zagajeniu spraw, bez końca. Nic więc dziwnego, że gdy Zygmunt Jundziłł, nie obeznany z nową dla niego topografią wileńską, zapytał w lokalu *Gońca Codziennego* o „redaktora Mackiewicza”, skierowany został do Bohdana Mackiewicza, i mylnie stąd wyciągnął wnioski, że insynuacja jakoby to ja był redaktorem *Gońca*, wynikała z prostego nieporozumienia przez pomieszenie identycznych nazwisk. Nie wiedział bowiem, a zapewne i nie domyśliłby się nigdy, że istnieje jeszcze inna, trochę paradoksalna okoliczność. Ta mianowicie, że:

...*Goniec Codzienny* był *de facto* robiony i wydawany rękami A.K. i podziemia cywilnego... Zwłaszcza po zamordowaniu redaktora Ancerewicza blady strach padł na wszystkich pracowników. Jeden przez drugiego starali się nawiązać kontakt z Podziemiem, i przeistoczyć się w tzw. „wtyczkę”. Ze strachu przed podziemnym terrorem, względnie dla asekuracji na przyszłość. Rezultat był taki, że w końcu cały zespół składał się z „wtyczek” Podziemia, bodaj łącznie z redaktorem Lubieżyńskim (czy Lubierzyńskim?), który nastał po zastrzeleniu Ancerewicza. Dawało to zresztą dosyć wygodną pozycję. (Nawiasem podobnie jak w większości instytucji niemieckich na terenie okupacji. Jak mówi rosyjskie powiedzonko: „*I kapital priobrieti, i niewinnost' sobliusti*”). Opowiadał mi o tym — zniżając głos — tenże „redaktor” Bohdan Mackiewicz („Bodzio”), jak dziś pamiętam, z okazji pewnej transakcji „karakułowych łapek”:

— Fantastyczne rzeczy! Nie masz o tym pojęcia! Może tam za boksem przyszły wojewoda wileński siedzi... — Podnosił swoim zwyczajem wzrok do sufitu, i opuszczał oczy tajemniczo, dając do zrozumienia, że i on, oczywiście, zajmuje szczególnie eksponowane stanowisko w Podziemiu. Że zajmował, nie miałem wątpliwości, choć zapewne bardziej podrzędne niż to, jakie było w zwyczaju dawać wówczas do zrozumienia przez opuszczanie powiek. Według jego oceny 80 % wszystkich pracowników redakcji, administracji i ekspedycji, to „wtyczki”. Według mojej, na oko, 99 %. Tym bardziej, że tych ludzi było tam niedużo. Co mogli robić, o tym istotnie, nie mam pojęcia. Śledzili jeden drugiego? Pisali nawzajem donosy do Podzie-

nia? Czy tylko „dawali do zrozumienia”? O ile wiem, aresztowana została przez Niemców tylko jedna, zresztą wyjątkowo ładna dziewczyna, Piłsudska, ale nie krewna głośnej rodziny. Bodaj wypuszczona niebawem. Zbiegiem okoliczności, jedyny rozstrzelany przez Gestapo, później już, w Warszawie, to główny administrator *Gońca Codziennego*, Rosjanin, Eugeniusz Kotlarewski, który akurat w żadnej podziemnej organizacji nie brał udziału. Brat rodzony tego, o którym wspomina Stefan Korboński. Szczegóły opisał ciekawie Sergiusz Wojciechowski w *Nowoje Russkoje Słowo* (New York, 10. V. 1970). Nie przeszkodziło to wszakże agentowi komunistycznemu („b. dowódca 1 Brygady Wileńskiej AK, Roman Korab-Zebryk”) napisać w warszawskiej *Kulturze* o nim, że: „... osiągnęła go karząca ręka sprawiedliwości...” (!!!) — (Nawiasem, wszystkie inne „rewelacje” owego Żebryka są na podobnym poziomie)*. — Jeżeli chodzi o resztę zespołu, to opłaciło się im w rezultacie. Po wojnie nie było, o ile słyszałem, żadnego procesu *Gońca Codziennego*. Bohdan Mackiewicz wypłynął później w Warszawie w aureoli cichego bohatera, gdzie też spokojnie dokonał żywota. Już w Monachium doszła mnie wiadomość, że jakoby przed śmiercią zapisał się do partii. Rzecz byłaby banalna, ale nie potwierdzona.

Tak więc senator Jundziłł nie mógł wiedzieć, że kompozytorzy nagonki na moją osobę, nazwijmy ich skromnie: z lewego pod-skrzydła „sojuszników — naszych-sojuszników”, mieli informacje z pierwszej ręki. „Redaktor Mackiewicz!...” rozbrzmiewające w *Gońcu* przez tamte lata mogło, istotnie, mylić nie jednego bywalca z miasta, ale nigdy kierowników intrygi. Ci orientowali się dokładnie, że redaktorem *Gońca Codziennego* był Ancerewicz, a po jego zastrzeleniu Lubieżyński. (Zresztą ten sam, który robił ze mną wywiad po moim odwiedzeniu Katynia). Nie zaś skromny pracownik administracji Bohdan Mackiewicz, którego wskutek „nieporozumienia” rzekomo pomieszała z... Józefem Mackiewiczem. Nie, to „nieporozumienie” zarówno spreparowane było, jak podtrzymywane jest, z całą premedytacją i świadomością fałszu i celów jakim służy.

Józef MACKIEWICZ

* To co szczególnie oburzyło tego „b. dowódcę 1 Brygady Wileńskiej AK” w mojej książce to, jak pisze: „... wypadły w dziedzinę, które powinny być dla autora i niedosiężne i nietykalne. Mam na myśli przede wszystkim brudny paszkwil na naród radziecki... etc. etc.” — (Patrz jego recenzję z mojej książki „Nie trzeba głośno mówić”, którą zamieścił w *Kulturze* warszawskiej, nr 4, z 25. I. 1970).

Maurice ADUS

NA MARGINESIE „PAMIĘTNIKÓW” WITOSA

(W pięćdziesiątą rocznicę Jabłonny)

Gdy wziętem do rąk, przed kilku laty, drugi tom *Wspomnień* Witosa, mniemałem, że znajdę tam coś nie coś o Jabłonce. —

Ani słowa. Wprawdzie wspomina nieraz o Żydach, ale o Jabłonce — nic.

Mam wrażenie, że Czytelnicy *Kultury* wiedzą coś niecoś o Szczypiornie, ale na pewno nic o Jabłonce. W Szczypiornie internowano Legionistów polskich w 1917 roku, a w Jabłonce w 1920 roku poborowych i ochotników, żołnierzy i podoficerów WP, ale wyznania mojżeszowego. W tym cała różnica. Taki rozkaz wydano natychmiast po rozpoczętej kontrofensywie Piłsudskiego, a więc 16 lub 17 sierpnia 1920 roku.

By zrozumieć genezę tego rozkazu należy sobie uprzytomnić ówczesną atmosferę, bardzo duszną po nieudanej wyprawie na Kijów, zakończonej zupełną klęską.

Armia polska, rozbita, cofała się wówczas w wielkim popłochu. Wilno, Grodno i inne miasta ewakuowano bez bitwy. Pod Grodnem cała dywizja uciekła przed oddziałami kawalerii bolszewickiej. Witos dodaje nawet, że pod Radzyminem dwa pułki czmychnęły przed... krowami, które wzięto za jazdę bolszewicką.

Któż w tym zawinił? W każdym razie nie Żydzi. A jednak przeciwko nim agitowano w wojsku i społeczeństwie polskim.

W pierwszych dniach lipca wydano odezwę do obywateli, by wstąpili do wojska. Spodziewano się nawet, że gabinet Witos wyda również odezwę do Żydów. Zamiast odezwy w kilka tygodni później narodziła się Jabłonna.

Ponieważ rozkaz w sprawie utworzenia obozu w Jabłonce wydany został prawie jednocześnie z kontrofensywą Piłsudskiego dowodzi to, że taki projekt istniał już przedtem. Ale ani gen. Leśniewski, Minister Spraw Wojskowych, ani też Grabski, ówczesny Prezes Rady Ministrów, na taki krok odważyć się nie mogli. Takich skrupułów nie mieli ich następcy: gen. Sosnkowski i Wincenty Witos. Chcieli więc wyeliminować Żydów z wojska polskiego, aby móc wskazać palcem wojskowym i społeczeństwu gdzie należy szukać zdrajców i szpiegów.

Wystarczy przeczytać *Wspomnienia* Witos, aby się przekonać jaki był jego stosunek do Żydów. Starczy również przeczytać wywiad gen. Sosnkowskiego, który ukazał się w *Dwugroszówce* 24 sierpnia 1920 roku. Otóż minister był bardzo niezadowolony z oficerów rosyjskich, którzy choć „biali”, wstępowali tłumnie, z powodu Kijowa, do armii czerwonej. Wedle niego związek armii carskiej z Żydami-komunistami jest „kazirodczy”. Innymi słowy: każdy bolszewik w Rosji był Żydem, a w Polsce na odwrót: każdy Żyd był bolszewikiem. Czegóż więc mogli żołnierze-Żydzi spodziewać się po takim Ministrze Spraw Wojskowych, który w dodatku udzielał swych wywiadów *Dwugroszówce*?

Nawet komunikaty sztabu generalnego, zwłaszcza w drugiej połowie sierpnia, nie oszczędzały Żydów. Wykorzystano każdą okoliczność, by ich przedstawić jako zdrajców.

Nie ma jeszcze żadnej pracy o Jabłonce, a już tworzy się legenda. Dr Emanuel Ringelblum, twórca archiwum podziemnego

w getcie warszawskim, napisał w 1943 roku bardzo ciekawy artykuł „Stosunki polsko-żydowskie w czasie I wojny światowej”. Wspomina również Jabłonnę.

Otóż wydawca tego Archiwum dodał od siebie komentarz następujący: „W roku 1920 szef sztabu generalnego WP gen. Kazimierz Sosnkowski wydał poufny rozkaz, aby około 10 tysięcy Żydów-żołnierzy, podoficerów, lekarzy WP internować w obozie izolacyjnym pod Jabłonną. Jak się niebawem okazało, miano ten obóz wraz z Żydami wysadzić w powietrze. Plan został jednak w porę zdemaskowany i obóz w Jabłonce rozwiązano. W międzyczasie jednak parę tysięcy „obozowiczów” zmarło na skutek głodu i epidemii, wielu spośród tych którzy wyszli na wolność pozostało na zawsze kalekami”.

Jest tu nieścisłość i pomieszanie faktów. Ponieważ sam byłem ochotnikiem w 1920 roku i parę tygodni spędziłem w Jabłonce, mogę więc jako świadek naoczny dodać nieco szczegółów.

Po pierwsze, nikt tam z głodu nie umarł, wątpię nawet czy tam grasowała jakaś epidemia. Co prawda odżywiano nas źle, bardzo źle nawet, ale był tam jakiś Komitet Pomocy. Po drugie, większość żołnierzy pochodziła z Warszawy. Porucznik Słowik, komendant obozu i człowiek zacny, by dowieść że my wszyscy żyjemy i nic złego nam się jeszcze nie stało, zezwolił abyśmy mogli dwa razy na tydzień wyjść na polanę na jaką godzinkę. Nasze matki i siostry przyjeżdżały wówczas hurmem do Jabłony, aby nas odwiedzić, a jednocześnie przynosiły nam żywność. A więc dzięki matkom naszym nikt z nas z głodu nie umarł.

Nieboszczka matka moja przy tej okazji opowiadała mi o tych wszystkich fantastycznych pogłoskach, które wówczas grasowały w stolicy i które nam nic dobrego nie wróżyły. Nie przewidziano jednak katastrofy kolejowej.

Traktowano nas w obozie jako więźniów, a pilnowali nas pończaczy; wiadomo, co to byli za antysemita. Strach był wielki. Gdy przybyłem do Jabłony krążyły wówczas pogłoski, że mają oni zamiar podpalić baraki, oczywiście w nocy. Aby się nie dać zaskoczyć postanowiono nocne warty.

Gdy Wrzos, korespondent *Robotnika*, odwiedził Jabłonnę 8-go września, też stwierdził „paniczny strach” wśród „szarego tłumu”. „Co z nami zrobią?”, pytano się go. Ten „paniczny strach”, wedle Wrzosa, spowodowany został „niehumanitarnym traktowaniem” ze strony żandarmów i policjantów poznańskich. Por. Słowik starał się ukroić owe szykany, ale niewiele mógł dokonać.

Co się tyczy studentów, to ci byli bardzo rozgoryczeni. Powieździeli Wrzosowi, że Jabłonna ma już swoją historię i literaturę. Przeczytali mu wiersz „pełen bólu i goryczy”.

Wiersz ten, którego Wrzos oczywiście nie podaje, był wówczas bardzo rozpowszechniony w Warszawie w dzielnicy żydowskiej. Był on napisany przez jakiegoś studenta w Jabłonce. Była to

parafraza znanej pieśni Legionów „My Pierwsza Brygada”. Początek tego wiersza brzmiał:

*My obóz Jabłonna,
Nadzieja płonna”, etc.*

W Jabłonie tego wiersza nie rozpowszechniano, pozostał prawie nieznanym.

Trzeba przyznać, że Jabłonna narobiła trochę szumu w Warszawie. Dyskutowano o niej nawet na Radzie Ministrów. Byli więc ministrowie — i zapewne większość — którzy nie byli zachwyceni całą tą imprezą gen. Sosnkowskiego i Witosa. Coś nie coś o tych tarciach musiał dowiedzieć się *Robotnik*, bo donosi 2 września, że na ostatnim posiedzeniu Rady Ministrów mianowano komisję, która miała się zająć likwidacją Jabłony. Upłynęło jakieś 10 dni od tej uchwały zanim rozpoczęto likwidację obozu.

Gazety warszawskie, polskie, nic albo bardzo mało pisały o Jabłonie, oprócz *Robotnika* i *Dwugroszówki*. *Robotnik* twierdził, że jeśli Żydzi są winni, to trzeba ich sądzić i ukarać, a jeśli niewinni, to nie należy ich więzić w Jabłonie. Dodał również że nie wolno za grzechy jednostek karać całego narodu. *Dwugroszówka* odpowiedziała, że do Jabłony wysłano „część” Żydów-żołnierzy „podejrzanych zapewne” o jakąś zdradę i dodała: „podejrzanych, tj. takich których wieszać nie można”. Dodać należy, że rozpuszczono wówczas pogłoskę, że to gen. Weygand — którego Francja przysłała do Warszawy na pomoc Piłsudskiemu — był inicjatorem Jabłony. By położyć kres tym pogłoskom *Journal de la Pologne*, który około 15 sierpnia przeniósł się do Poznania, zapytał o to generała przez swego korespondenta. Gen. Weygand, oburzony do żywego, odparkł: „*C'est complètement faux*”.

Sprawa Jabłony oburzyła również niektórych Polaków ze sfer intelektualnych. W chwili likwidacji obozu pojawił się protest szlacheckich Polaków i Polek, protest podpisany przez 72 osobistości, a byli to m.in. profesorowie i uczeni: J. Baudouin de Courtenay i L. Petrażycki; dr Zofia Daszyńska-Golińska, Dr Natalia Gąsiorowska; posłowie na Sejm: M. Niedziałkowski i Z. Żuławski; pisarze: Andrzej Strug i Stefan Żeromski.

„Historia nasza — czytamy w tej odezwie — jest historią tolerancji religijnej i protestujemy 'z całej naszej mocy' przeciwko tej imprezie. Winnych należy surowo ukarać. Żądamy pociągnięcia autorów tych rozporządzeń do odpowiedzialności”.

Nastąpiła nareszcie likwidacja Jabłony. 9 września Minister Spraw Wojskowych wystosował list adresowany do Witosa, ale przesłany na ręce Daszyńskiego, socjalisty i wiceprezesa Rady Ministrów, oznajmiając o likwidacji Jabłony, podał jednocześnie przyczynę i cel założenia obozu: w Jabłonie skoncentrowano nadwyżkę procentową Żydów-żołnierzy celem ich podziału na różne D.O.G.

Powód błahy, spóźniony i nieprawdziwy. Z jednej strony oskar-

żano Żydów że się „dekują”, a z drugiej — że procentowo jest ich zbyt wielu w wojsku. W takim razie należałoby im podziękować za patriotyzm, ale nie Jabłonną. W kompanii, w której służyłem, było 10-ciu, może 15-tu Żydów. Wszystkich wysłano do Jabłonn, dokąd odsyłało Żydów ze wszystkich pułków, konsystujących w Warszawie, Modlinie i okolicy.

9 września, późno wieczorem, rozpoczęto likwidację. Wysłano wówczas pierwszą grupę do której należałem. Dano nam na drogę trochę żywności i zamknięto nas w towarowych wagonach. Pociąg szedł powoli i zatrzymywał się często na stacjach. Wówczas pozwolono nam wychodzić na peron. Do Krakowa przybyliśmy 12 września nad ranem.

Tymczasem opuściła Jabłonną druga grupa. Pod Lublinem 11 września nastąpiła katastrofa kolejowa. P.A.T. dał o tym lakoniczną wzmiankę: są zabici i ranni. Prasa żydowska powtórzyła tę notatkę, korygując liczbę zabitych i podając ich nazwiska. Bilans ogólny: kilkunastu zabitych kilkudziesięciu rannych.

Nie wiem czy prasa polska o tej katastrofie wzmiankowała czy nie. Wiem jedno: *Robotnik* ani pisał. Mógł, oczywiście, podać suchą wzmiankę o katastrofie, ale bez komentarza lub artykułu. Tak postąpić nie mógł, czy też nie chciał. A ponieważ dwukrotnie był już ukarany, wołał w ogóle o tej katastrofie nie pisać.

Później tylko, 23 września, ukazał się tam następujący nekrolog: „Tow. Mieczysław Weltman, żołnierz W.P. zginął 11 b.m. wskutek ran odniesionych w przejeździe z Jabłonn, podczas katastrofy kolejowej pod Lublinem”. I to wszystko.

Cała ta sprawa: Jabłonna i katastrofa kolejowa przypomina mimo woli inną, ćwierćwieczem wcześniejszą i także bardzo przykrą, która miała miejsce w Paryżu i która również nie przynosi żadnego zaszczytu Francji, a zwłaszcza wyższym sferom wojskowym.

Cóż o Jabłonie i katastrofie kolejowej pod Lublinem powiada Witos w swych *Wspomnieniach*, pisanych na obczyźnie 15 lat później? Jak zaznaczyłem powyżej — ani słowa, po prostu zapomniał. Ale czego nie zapomniał, a przeciwnie dobrze zapamiętał to były twarze Żydów spacerujących po ulicach stolicy w przededniu kontrofensywy Piłsudskiego. Po prostu z ich oczu wyczytał, że prawie wszyscy oni oczekują bolszewików. „Nie miałem żadnej wątpliwości — dodaje — że znaczna część tej ludności z ustęsknieniem oczekiwała zwycięstwa bolszewików i wejścia ich do stolicy”.

Być może, że ten artykuł wpłynię na jakiegoś historyka polskiego, by napisał specjalną pracę o Jabłonie. Oprócz pamiętników i prasy współczesnej, musiałyby przede wszystkim wykorzystać źródła archiwalne, a mianowicie archiwum Rady Ministrów, Ministerstwa Spraw Wojskowych i Ministerstwa Kolei.

Gdyby zaś te archiwa nie dochowały się, historia Jabłonn nigdy nie będzie napisana.

Paryż, 10 sierpnia 1970.

Maurice ADUS

„DZIELNICA ŻYDOWSKA” OBOZU W JABŁONNIE

Dobrnienie do prawdy wydarzeń, a więc do faktów i do wiążących je z sobą związków przyczynowych, jest pierwszym zadaniem każdego historyka, który bierze na swój warsztat takie czy inne zagadnienie. Historyk, który nie może ustalić faktów i związków przyczynowych wydarzeń, powinien odłożyć pióro i zrezygnować z zadania. Gdzie szukać faktów? W dokumentacji, w prasie, w pamiętnikach. Pamiętniki osobistości, które zajmowały czołowe stanowiska w życiu publicznym, stoją w rzędzie najważniejszych źródeł dla historyka. Trudności historyka zaczynają się dopiero wtedy, gdy pamiętnikarze różnią się między sobą. Zadaniem historyka jest ocenić wartość poszczególnych świadectw, zważyć je, jednym z nich dać wiarę, inne odrzucić, przy czym konieczne jest uzasadnienie oceny.

P. Maurice Adus zdumiewa się, że Wincenty Witos pominął w swych pamiętnikach sprawę obozu w Jabłonie. Ale milczy nie tylko Witos. Żaden z pamiętników i żadne z historycznych opracowań wojny 1920 roku nie wspomina o Jabłonie. Zmowa? — wykluczona. Przypadek? — nieprawdopodobny. Milczenie jest tym bardziej zastanawiające, że milczą również żydowscy historycy tego okresu, milczą encyklopedie żydowskie, milczą pamiętnikarze. Przerwał milczenie dopiero edytor archiwum dra Emanuela Ringelbluma. Jego przypisek opublikowany został w *Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego* w Warszawie, nr 13/14 ze stycznia-czerwca 1955, na stronie 282, pod pozycją 27. Przypisek ten brzmi: „W 1920 roku gen. Sosnkowski internował znaczną część Żydów, żołnierzy Wojska Polskiego, w obozie pod Jabłonną”. To wszystko; cały ciąg dalszy, przytoczony przez p. Maurice Adusa, został przez kogoś dopisany, a przez kogo — nie potrafimy ustalić.

Mineło kilkanaście lat — i sprawa powróciła w artykule Reubena Ainszteina „The Sikorski Affair”, na łamach *The Jewish Quarterly*, Londyn, tom 17, nr 1, wiosna 1969, gdzie czytamy:

„Sosnkowski był najbliższym współpracownikiem Piłsudskiego podczas okresu przed pierwszą wojną światową i pozostał jednym z jego powierników do roku 1926. Minister wojny w latach 1920-23, uzyskał rozgłos w roku 1920, gdy stało się wiadome, że w obliczu ofensywy Armii Czerwonej na Warszawę nakazał koncentrację około 10.000 żydowskich żołnierzy i oficerów

w obozie w Jabłonninie, gdzie kilka tysięcy zmarło z głodu i epidemii [podkreślenie Ainszteina]. Zarzut, iż obóz razem z Żydami miał być wysadzony w powietrze w wypadku zwycięstwa sowieckiego w bitwie o Warszawę, nie został nigdy odparty”.

Mamy tu dość dokładną liczbę „około 10.000” internowanych, bardzo nieokreśloną liczbę „kilku tysięcy” zmarłych i Sosnkowskiego jako autora rozkazu o internowaniu oraz rozgłos sprawy. Ainsztein powołuje się na artykuł Stefana Arskiego w warszawskiej *Polityce*, nr 20 z dnia 16 maja 1959. Sprawdziłem — w powołanym artykule Arskiego znajdujemy bardzo złośliwą i bardzo negatywną charakterystykę Sosnkowskiego, lecz ani słowa o Jabłonninie. W częściowo identycznym artykule Ainszteina „The Death of General Sikorski” w miesięczniku *The World Today*, Londyn, luty 1969, autor czy też redakcja wykreśliła wszystko o Jabłonninie. Skąd Ainsztein wziął swe informacje o Jabłonninie — nie wiadomo. Jak możemy przekonać się z relacji p. Maurice Adusa, były one bezwartościowe, a już zupełnie niepoważna była próba przerzucenia na władze polskie ciężaru zaprzeczenia twierdzeniu, iż zamierzały one wysadzić żydowską dzielnicę obozu w Jabłonninie w powietrze. To Ainsztein powinien był udowodnić a przynajmniej uprawdopodobnić oskarżenie, czego jednak nie uczynił.

W poszukiwaniu wiadomości o obozie w Jabłonninie sięgnąłem do ówczesnej prasy żydowskiej na Zachodzie. W londyńskim tygodniku *Jewish Chronicle* z dnia 15 października 1920 roku znalazłem obszerny artykuł pod tytułem „Permanentny pogrom” (*A Permanent Pogrom*), ze sprawozdaniem, pochodzącym — jak czytamy — od wysoce poważanego Żyda warszawskiego. Według tego sprawozdania, w ciągu ostatnich trzech miesięcy „pogrom niewidoczny” (dziś powiedzielibyśmy: zimny pogrom) „stał się pogromem faktycznym i dotkliwym, stosuje się wszystkie środki, by unicestwić bezbronną ludność żydowską... Nic dziwnego, że Żydostwo polskie czuje się opuszczone; skoro nie ma żadnych publicznych protestów w Europie Zachodniej lub Ameryce, więc niemal wyzbyło się ono nadziei jakiejś pomocy”. Pomiędzy tymi kłamrami — szczegóły, wśród których na miejsce naczelne wybija się obóz w Jabłonninie. Czytamy:

„6.000 żołnierzy, w tym oficerowie i lekarze, zostało rozmundurowanych, przebranych w byle jaką odzież i zabranych do Jabłonniny, gdzie zostali zamknięci w barakach zmuszeni do sypiania na podłodze. Spędzili szereg dni bez pokarmu i wody, a w naturalnej konsekwencji wybuchł tyfus i inne epidemie. Wokoło baraków rozmieszczono beczki z naftą, toteż internowani żyją pod nieustanną groźbą spalenia żywcem. Dopiero po jak najenergiczniejszej interwencji posłów żydowskich podjęto kroki w kierunku polepszenia bytu internowanych, lecz wciąż jeszcze przebywają oni w Jabłonninie, przy

czym ujawniono, iż rozkaz ich internowania wydał generał Haller, z kontrasygnatą francuskiego generała Weyganda”.

Tyle o Jabłonie. W dalszym zaś ciągu:

„To tylko kilka ilustracji cierpień Żydów w Polsce, a i tak są one nieczym w porównaniu z tym co się działo na froncie. Położenie Żydów jest straszne. Żaden Żyd nie odważa się już podróżować koleją i nie ryzykuje wyjścia na ulicę. Prasa polska, z jednym jedynym wyjątkiem, poświęca swój czas i trud jeszcze większemu podszczywaniu przeciwko nieszczęśnikom. Organ Partii Socjalistycznej *Robotnik* samotny protestuje przeciwko tej kampanii. Jednocześnie jednak przywódca Partii Socjalistycznej, Daszyński, został wicepremierem i nic nie czyni, by zapobiec tym strasznym wybrykom”.

W wersji powyższej odpowiedzialność za Jabłonię ponosił generał Haller, częściowo także generał Weygand, poniekąd i Daszyński; liczba internowanych — 6 tysięcy. W innym numerze *Jewish Chronicle* znaleźć można depezę Morrisa Rothenberga, przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Kongresu Żydostwa Amerykańskiego, treści następującej:

„Żydzi chętnie zgłaszali się wszędzie jako ochotnicy do obrony Polski, lecz byli poniewierani i dawano im najbrudniejszą robotę... Tysiące żołnierzy żydowskich skoncentrowano w obozie w Jabłonie bez powodu, traktując ich jak przestępców. Posłowie żydowscy apelowali wielokrotnie. Ministerstwo przyrzekło polepszyć warunki, lecz nic nie uczyniono. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień; winowajcy są bezkarni i ośmiela się ich”.

I wreszcie, w tym samym numerze tego samego pisma, wiadomość z Paryża o interwencji delegacji żydowskiej w Lidze Narodów; egzekutywa Ligi Narodów — czytamy — bezzwłocznie zwróciła się telegraficznie z zapytaniem do rządu polskiego, co łącznie z protestem intelektualistów polskich spowodowało likwidację obozu w Jabłonie. Odnosny numer *Jewish Chronicle* nosi datę 1 października 1920 roku; likwidacja obozu w Jabłonie — jak stwierdza p. Maurice Adus — rozpoczęła się 9 września, wiadomości pisma Żydów angielskich były tedy grubo spóźnione, a co najważniejsze — grubo niecisłe.

Milczenie na temat obozu w Jabłonie w pamiętnikach Witosa i w innych pamiętnikach tego okresu znajduje wytłumaczenie bardzo proste: sprawa nie miała żadnego znaczenia dla sposobu prowadzenia wojny i dla zwycięstwa lub klęski. Wolno i należy przypuszczać, że Witos wcale nie wiedział o ustanowieniu obozu w Jabłonie (a raczej o wydzieleniu w tym obozie wyizolowanych baraków dla żołnierzy Żydów). Czy prezes Rady Ministrów mógł być o tych żydowskich barakach nie wiedzieć? Zamiast odpowiedzi, przytoczę scenę z pamiętników Witosa (tom II, str. 300), w której kapitan dowodzący odcinkiem pod Radzyminem zapytany

przez Witosa jak się przedstawia położenie, uśmiecha się gorzko i odpowiada: „Nie wiem”. Były to czasy nieopisanego zamętu na froncie i poza frontem, więc nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby prezes Rady Ministrów nie wiedział o „dzielnicy żydowskiej” obozu w Jabłonie. Zapewne wiedział o tych żydowskich barakach generał Sosnkowski, ale i to nie jest pewne: zaledwie tydzień dzielił datę objęcia przez Sosnkowskiego urzędu ministra spraw wojskowych (9 sierpnia) od daty wyizolowania baraków żydowskich w Jabłonie (16 lub 17 sierpnia), można byłoby więc sądzić, że pomysł narodził się wcześniej, gdy ministrem był generał Leśniowski. Generał Haller był dowódcą Frontu Północnego, wydzielenie żołnierzy Żydów z formacji tyłowych przekraczałoby jego uprawnienia, zaś wydzielenie żołnierzy Żydów z formacji frontowych było nie do pomyślenia, na froncie można wydzielać i przetrzucać tylko formacje zwarte. Musimy więc postawić znak zapytania nad osobą oficera, który wydał rozkaz wyizolowania żołnierzy Żydów i możliwe jest, że już nigdy nie uda się jego nazwiska z całą pewnością ustalić. W każdym bądź razie, gdyby nawet przyjąć, że rozkaz wydał (lub opracował i przygotował do podpisania) jakiś notoryczny antysemita — rzecz nie miała najmniejszego sensu nawet z punktu widzenia owego antysemitę, rozkaz wydany został bowiem już po zwycięskiej bitwie nad Wisłą. Lecz były to w ogóle czasy, w których w wojsku rodziły się i dojrzewały różne osobliwe pomysły. I tak na przełomie lat 1919/20 na konferencji w MSWojsk. postanowione zostało utworzenie — dla wygody żołnierzy — burdeli polowych w pasie przyfrontowym, na wzór instytucji tego rodzaju, które istniały i funkcjonowały „przy” armiach państw zaborczych. Tylko przypadek zrządził, że wzburzona tą decyzją komendantka Ochotniczej Legii Kobiet, pułkownik Aleksandra Zagórska, uzyskała chwilę rozmowy z Naczelnym Wodzem, który z miejsca przekreślił już zapadłą decyzję wysokiego dygnitarza, w randze generała.

W naładowanej nerwowym napięciem atmosferze sierpnia 1920 roku zrobiono głupstwo. Głupstwo było niewybaczalne, ale jego realne znaczenie — niewielkie. Decyzja o utworzeniu „dzielnicy żydowskiej” obozu w Jabłonie dla jakiejś części żołnierzy Żydów nie mogła być wyrazem postawy naczelnych władz wojskowych w stosunku do ogółu żołnierzy Żydów. Wojska Polskie przejęły dużą liczbę oficerów Żydów z byłej armii austriackiej. Przejęły też mniejsze liczbowo, ale procentowo znaczne grono oficerów Żydów z b. Legionów Polskich i z Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Wreszcie, Szkoła Podchorążych (w owym czasie istniała tylko jedna, unitarna szkoła podchorążych w Warszawie) wypuszczała z swych kolejnych promocji również pewną liczbę oficerów-

Żydów. Ujęcie tych liczb w jakąś dokładną statystykę jest niepodobieństwem, nikt wówczas takich statystyk nie prowadził, nikt też nie próbował sporządzić ich później. Nie są one zresztą istotne dla rozpatrzenia sprawy Jabłonny. Istotny jest tylko fakt, że Żydzi służyli w Wojskach Polskich, służyli na szczeblu szeregowych i służyli na szczeblu oficerów i że uważano to za zjawisko normalne, dziwiono by się raczej, gdyby było inaczej, bo i dlaczego miało być inaczej?

Oficerowie-Żydzi przynosili z sobą tradycje formacji, z których wyszli — i nie zawsze były to tradycje najlepsze. Z okresu mej służby w baonie zapasowym 16 p.p. w latach 1919-20 (byłem subalternem w KCKM) pamiętam oficera-Żyda, dowódcę kompanii strzeleckiej, którego stosunek do szeregowców był brutalny, odrażający, taki, jakiego nauczono go w cesarskiej i królewskiej armii austriackiej; nigdy jednak nikt ani z jego przełożonych ani z podkomendnych nie wiązał obyczajów owego oficera z jego żydowskim pochodzeniem, wyznaniem czy narodowością. Dzisiaj myślę, że oficer ów cierpiał na kompleks żydowskiego pochodzenia, który rekompensował sobie sztucznym nadmiarem pewności siebie i brutalnością. Lecz w tym samym tarnowskim garnizonie było kilku oficerów-Żydów, których stosunek do oficerów niższego od nich stopnia i do szeregowych nie pozostawiał absolutnie nic do życzenia, był nienaganny, a oni sami byli powszechnie lubiani. Toteż nie było w garnizonie gruntu do zakiełkowania antysemityzmu. Z wcześniejszych czasów, w których byłem kadetem (tak się to wówczas nazywało) na kursie uzupełniającym Szkoły Podchorążych wiosną 1919 roku, pamiętam kilku kolegów Żydów — sam przydział na sześciotygodniowy kurs uzupełniający, zastępujący normalny kurs dwuletni, był wielkim wyróżnieniem. Jeden z nich, ppor. Griediger, zginął w 1920 roku na polu bitwy, zarabany przez kawalerię bolszewicką, gdy własnoręcznie prowadził ogień cekaemu przeciwko atakującej falandze. Z kampanii 1920 roku pamiętam majora (później pułkownika, jeszcze później generała) Bernarda Monda, dowódcę 205 p.p.och., przejściowo dowódcę grupy operacyjnej; żaden z jego podkomendnych, czy to szeregowych czy oficerów, nie odczuwał do Monda najłżejszej nawet niechęci i nie poczytywał sobie za ujmę faktu, iż służył pod rozkazami Żyda. Oczywiście, wiedzieliśmy wszyscy, że Mond jest Żydem, zresztą trudno było o tym nie wiedzieć — cały jego wygląd o tym mówił; traktowaliśmy jednak tę okoliczność podobnie jak okoliczność, że ktoś jest szatynem albo że ma piwne oczy — jako okoliczność bez znaczenia. W sztabie brygady najważniejszą funkcję, bo funkcję oficera operacyjnego pełnił Żyd (por. Taube), w sztabie dywizji funkcję oficera wywiadowczego pełnił Żyd (kpt.

Zmigryder), jednakże ich żydowskie pochodzenie (nie mogę nawet napisać: religia, bo do dzisiejszego dnia nie wiem, jakiej byli oni religii) nie miało dla nas najmniejszego znaczenia, ani w sensie negatywnym ani pozytywnym. Znaczenie miały tylko ich walory służbowe, a poza służbą — byli kolegami i basta.

Tutaj powracamy do Jabłonn. Przede wszystkim — nie było nigdy żadnego obozu „żydowskiego” w Jabłonn. Był *tout court* obóz w Jabłonn, ogromny obóz, wybudowany w czasie I wojny światowej przez wojska niemieckie i na ich użytek, potem przekazany beselerowskiemu Polskim Siłom Zbrojnym (tzw. *Polnische Wehrmacht*), potem przejęty przez Wojska Polskie. W obozie tym wyodrębniono pewną ilość baraków, w których umieszczeni zostali żołnierze-Żydzi. Ilu ich było? Przytoczyliśmy różne relacje: znaczna liczba, kilka tysięcy, 6 tysięcy, 10 tysięcy, p. Maurice Adus niestety nie podaje żadnej liczby. Z całą pewnością możemy przyjąć, że nie było rozkazu, by wszystkich żołnierzy-Żydów wyeliminować z formacji wojskowych i pomieścić w Jabłonn. Z całą pewnością nie było rozkazu, wykluczającego Żydów od służby na froncie (o takim rozkazie doniosła *Jewish Chronicle* w numerze z dnia 3 września 1920 roku). Z całą pewnością nie było też rozkazu, zabraniającego używania poborowych żołnierzy-Żydów na froncie (ta sama *Jewish Chronicle* w nrze z dnia 10 września podała, iż rozkaz zabraniający używania żołnierzy-Żydów na froncie został wycofany jeśli chodzi o ochotników, natomiast Żydzi żołnierze poborowi pozostają wciąż w obozach dla internowanych — *nota-bene* mowa tu o obozach w liczbie mnogiej, chociaż poza Jabłonną nikt nigdy żadnego innego obozu nie wymienił). Z relacji p. Maurice Adusa wynikałoby, że do Jabłonn odsyłano żołnierzy ze wszystkich pułków, konsystujących w Warszawie, Modlinie i okolicy. Być może, wyjaśnienie kryje się w informacji, jaką znajdujemy u Poboga-Malinowskiego w „Najnowszej historii politycznej Polski”, wydanie drugie, tom drugi, Londyn 1967, str. 501, gdzie czytamy, że generał Sosnkowski zrazu jako wiceminister, potem jako minister spraw wojskowych, kierował doniosłym zadaniem przygotowania obrony Warszawy; podlegał mu w tym zakresie bezpośrednio generał Latinik jako gubernator wojenny Warszawy; utworzono trójkąt obrony Warszawa-Modlin-Zegrze, z przyczółkiem mostowym, złożonym ze zbudowanych pośpiesznie dwóch linii obronnych. Być może, że ze zgromadzonej w tym trójkącie „załogi bezpieczeństwa” wyeliminowano żołnierzy-Żydów, koncentrując ich w Jabłonn. Dlaczego jednak rozkaz o utworzeniu „dzielnicy żydowskiej” w Jabłonn wydano dopiero 16 lub 17 sierpnia, gdy już ów trójkąt obrony leżał na froncie i stał w ogniu najzacieklejszych walk? Dlaczego analogicznych przygo-

towań do wyizolowania żołnierzy-Żydów nie poczyniono na innych odcinkach przewidywanego, zbliżającego się frontu? Przygotowania takie leżałyby w mocy generała Sosnkowskiego jako ministra spraw wojskowych równie dobrze, jak w mocy jego leżało usunięcie Żydów żołnierzy z trójkąta Warszawa-Modlin-Zegrze. I dlaczego pierwszą trasę po likwidacji Jabłonny wysłano do Krakowa, drugą — do Lublina, a nie z powrotem do pułków konsystujących w Warszawie, Modlinie i okolicy, jak by to nakazywał zdrowy rozsądek i wojskowy porządek? Nie wiadomo, nie znamy na te pytania odpowiedzi, zagadka się pogłębia.

Z kolei, traktowanie internowanych. Jeszcze raz *Jewish Chronicle*. W nrze z dnia 24 września 1920 roku czytamy: „Zostało obecnie ustalone, że żołnierze żydowscy w obozie w Jabłonnie byli źle traktowani. Byli niedożywiani, wyśmiewani i bici”. Jeśli dać wiarę p. Maurice Adusowi, zarzut bicia odpada, pozostaje zarzut złego traktowania i bardzo złego odżywiania. „Traktowano nas w obozie jako więźniów”, zapewnia nas p. Adus i dajemy mu wiarę, tak samo jak dajemy wiarę zapewnieniu, iż komendantem tego więzienia był „człowiek zacny”, który starał się ukrócić sztykany dozorców więziennych. Liczba zmarłych z głodu i epidemii, którą Reuben Ainsztein określa sumarycznie na poziomie kilku tysięcy, sprowadza się w relacji p. Maurice Adusa do poziomu zerowego; dajemy wiarę p. Adusowi. Byli jednak i zabici, relacjonuje p. Adus, a mianowicie zabici w katastrofie kolejowej pod Lublinem. Relację p. Adusa można zrozumieć tylko w jeden sposób, a mianowicie, że katastrofa nie była przypadkowa i że jej sprawcom chodziło o zgładzenie Żydów zwolnionych z Jabłonny. Odnalazłem informację o tej katastrofie w *Jewish Chronicle* londyńskiej, w nrze z dnia 15 października 1920 roku. Tytuł: „W polskiej strefie wojennej”. Treść: „W wypadku kolejowym na linii Lublin-Rozwadów straciło życie sześciu Żydów, 78 było rannych. Pociąg uległ wykolejeniu w pobliżu Bukowiny”. Żadnej próby powiązania wypadku z Jabłonną, z żydowskim składem eszelonu ani wtedy ani później — na łamach *Jewish Chronicle*. Próbę taką podejmuje dopiero p. Maurice Adus, lecz pozostawia bez odpowiedzi nasuwające się od razu zapytanie, dlaczego katastrofie uległ pociąg, którym jechała druga grupa zwolnionych z Jabłonny, nie uległ katastrofie pierwszy pociąg? I jeszcze ważniejsze zapytanie: czy wolno wykluczyć, że katastrofa ta była katastrofą rzeczywistą? Czy istnieje reguła, iż pociąg, którym jadą Żydzi, nie może ulec katastrofie? Przypuszczenie, iż katastrofa pod Lublinem była katastrofą rzeczywistą, umacnia fakt, iż życie straciła niewielka część pasażerów: wedle p. Maurice Adusa kilkunastu, wedle *Jewish Chronicle* — sześciu. Jeżeli już ktoś chciał

ich zgładzić, to dlaczego wykonał swój zamiar tak nieudolnie, że zginęło tylko kilku czy kilkunastu? I jeszcze jedna, bardzo — jak mi się wydaje — ważna okoliczność. W czasie wojny roku 1920 władze polskie internowały w obozie wojskowym w Dąbiu pod Krakowem pewną liczbę działaczy komunistycznych. Przywódcy komunistyczni stanowili w rozumieniu ówczesnych demonologów na pewno znacznie większe niebezpieczeństwo dla państwa polskiego i dla armii polskiej, zwłaszcza w krytycznym okresie bitwy o Warszawę, niż żołnierze żydowcy, internowani w Jabłonie. A jednak w całej literaturze historycznej i pamiętnikarskiej ruchu komunistycznego nie znajdujemy ani jednego słowa skargi na złe traktowanie, na szykany, na złe odżywianie w tym obozie. Sam zresztą znałem jednego z byłych więźniów obozu w Dąbiu — na nic się nie skarżył, na nic się nie żalił w przypadkowej rozmowie ze mną na ten temat. Byłem w czasie wojny 1920 roku oficerem Wojsk Polskich, żyłem życiem wojska, lecz przyznaję, że o obozie w Dąbiu dowiedziałem się dopiero po wielu latach; o żydowskich barakach obozu w Jabłonie dowiedziałem się grubo, grubo po wszystkim. To były wydarzenia epizodyczne o znikomym znaczeniu.

I tu pora przejść do twierdzenia p. Maurice Adusa, jakoby Witos i Sosnkowski chcieli „wyeliminować Żydów z wojska polskiego, aby móc wskazać palcem i wojskowym i społeczeństwu, gdzie szukać zdrajców i szpiegów”. Są to twierdzenia bezpodstawne. Witos był premierem, to prawda, Sosnkowski był ministrem spraw wojskowych, to prawda, jednak na czele odrodzonego wojska polskiego stał Piłsudski, on nadawał wojsku ton i on dawał mu pion ideologiczny. Można i trzeba o Piłsudskim powiedzieć dużo słów krytycznych i oceniać jego ślad w historii Polski pod wielu względami negatywnie, należy jednak przyznać, że nigdy nie był antysemitą, antysemityzm był mu całkowicie obcy. Czy był antysemitą Witos? Na pewno nie był filosemitą, na pewno obawiał się wpływu tzw. mniejszości narodowych na politykę polską, w roku 1923 i 1926 utworzył rząd razem z endecją — przeciwko polskiej lewicy i przeciwko mniejszościom narodowym. Lecz ten sam Witos, ilekroć przybywał do Tarnowa na sesję wójtów albo na konferencję stronnictwa ludowego, szedł zawsze na obiad lub na kolację do żydowskiej restauracji na Pilzneńskiej Bramie. I ten sam Witos zaprzyjaźnił się w celi więzienia w Brześciu nad Bugiem z Żydem Liebermanem — wkład uczuciowy w przyjaźni tej był obustronnie wyjątkowo wielki. Czy Sosnkowski był antysemitą? Sosnkowski roku 1918 i lat następnych był konserwatystą, o bardzo mocnym odcieniu nacjonalistycznym i katolickim, z dużym respektem dla endecji jako dla znacznej siły

politycznej, ale był zanadto obyty w szerokim świecie, by nie rozumieć, że tendencje i praktyki antysemickie muszą szkodzić Polsce w opinii Zachodu. W rok po powstaniu getta warszawskiego otrzymałem wiadomość, iż opór zbrojny organizował z ramienia „Bundu” i że poległ bohaterską śmiercią inż. Michał Klepfisz; udałem się do generała Sosnkowskiego z sugestią nadania Klepfiszowi orderu *Virtuti Militari*, by tym sposobem oddać wojskowe honory całej walce getta warszawskiego; Sosnkowski od razu zaaprobował moją sugestię, podyktował, podpisał i kazał bezzwłocznie opublikować zarządzenie o nadaniu Klepfiszowi krzyża srebrnego *Virtuti Militari* „w uznaniu męstwa osobistego i wybitnych czynów bojowych, wykazanych w czasie walk w getcie w Warszawie w 1943 roku”; antysemita tak by nie postąpił. I wreszcie, czy można Daszyńskiemu przypisywać postawy antysemickie? W żadnym razie! Gdy p. Maurice Adus przyrównuje sprawę Jabłonny do sprawy Dreyfusa, dopuszcza się przeoczenia nader istotnego: sferom rządzącym Francją zależało na nadaniu sprawie Dreyfusa rozgłosu, sferom rządzącym Polską nie zależało na nadaniu rozgłosu sprawie Jabłonny, wręcz odwrotnie, wycofały się z całej afery bardzo szybko: „dzielnica żydowska” w Jabłonce trwała wszystkiego razem 25 dni. Wolno i trzeba zaznaczyć: o 25 dni za dużo, tym niemniej trzeba na całą tę sprawę patrzeć w właściwej perspektywie, w której maleje ona i schodzi do dalekiego rzędu. Jeśli istotnie trzeba, by ją jakiś historyk zbadał i wyświecił do końca, do samego dna, to tylko dlatego, by zafiksować precyzyjnie liczbę żołnierzy, dotkniętych rozkazem o Jabłonce i ustalić nazwisko autora tego rozkazu. Wszystko inne ustala relacja p. Maurice Adusa, a mianowicie ustala, iż nikt spośród żołnierzy-Żydów, internowanych w Jabłonce, nie zmarł ani z głodu ani z epidemii ani z żadnego innego powodu, wszyscy wyszli z tego obozu żywi i cali. Sprawę katastrofy kolejowej pod Lublinem i sześciu zabitych w tej katastrofie musimy potraktować tak, jak ją nam p. Maurice Adus przedstawia: jako katastrofę.

Okres lat 1918-1921 bynajmniej nie był w historii armii polskiej okresem sielankowym. Był to okres powstawania tej armii drogą scalania się różnych formacji, o różnych tradycjach i różnym uzbrojeniu, często — bez uzbrojenia albo niemal bez uzbrojenia. Trudności scalania powiększał fakt, iż Polska zmuszona była w tym okresie prowadzić szereg kampanii o charakterze wojen regularnych lub o charakterze powstańczym; kampanie te dobiegły końca dopiero w połowie 1921 roku. Wyraźne oblicze ideologiczne miał tylko element legionowy i peowiacki; może to dzisiaj brzmieć dziwnie, tym niemniej jest zgodne z prawdą historii — oblicze tego elementu było bardzo lewicowe, radykalne pod względem

politycznym i społecznym, co znalazło sobie wyraz np. w wejściu Śmigłego-Rydza 7 listopada 1918 roku do rządu lubelskiego. Lewicowe oblicze legionistów i peowiaków nie kłóciło się z orientacją na Piłsudskiego, którego wciąż uważano powszechnie za człowieka lewicy, mimo że on sam jeszcze w okresie magdeburskim, a nawet wcześniej przestał się za człowieka lewicy uważać. Lecz w stosunku do całości armii element legionowy i peowiacki był nieliczny, nieliczny był również w stosunku do zapotrzebowania na oficerów dla armii, liczącej bądź co bądź setki tysięcy żołnierzy. W ogniu działań wojennych niepodobieństwem było nadawanie armii jednolitego oblicza ideowego, niepodobieństwem było jednolite przebranie i przeciwienie, a nawet przemundurowanie armii, wszystko to trzeba było odłożyć na czas późniejszy. W tych warunkach kierownictwo armii, to znaczy Ministerstwo Spraw Wojskowych i Sztab Generalny musiało pracować, posługując się tym materiałem, jaki mu bieg wydarzeń dał w ręce, nawet jeśli poszczególne formacje stanowić miały udzielne księstwa. W szczególności, udzielnym księstwem były formacje wielkopolskie, udzielnym księstwem były też formacje hallerowskie, przybyłe z Francji. Jedne i drugie miały jednak bezcenne walory bojowe. Forsowne łamanie ich odrębności pociągnąć by za sobą musiało w owym czasie wyzbycie się jednostek bojowych, które w pewnych momentach odegrać miały rolę wyjątkową: wystarczy dla przykładu wymienić rolę dywizji wielkopolskich w końcowej fazie wojny polsko-ukraińskiej albo rolę 18 „żelaznej dywizji” hallerczyków w kontrofensywie roku 1920. Skąd brały się te odrębności? Nie tylko z różnicy wyszkolenia, uzbrojenia i umundurowania, brały się przede wszystkim z różnic pomiędzy środowiskami, w których te formacje miały swe zaplecze. I tak, dywizje wielkopolskie myślały tak, jak myślała cała Wielkopolska; dywizje hallerowskie myślały tak, jak myślało paryskie środowisko Komitetu Narodowego. W tych warunkach wybrano — za wiedzą i zgodą Naczelnego Wodza — metodę tajnej organizacji, pod nazwą „Honor i Ojczyzna”, która miała uzgodnić i ujednolicić postawę i sposób myślenia całej armii, co w praktyce oznaczało oderwanie poszczególnych formacji wojskowych od zwartych środowisk politycznych, w myśl zasady, że armia ma służyć całemu narodowi i być posłuszna każdemu prawowicie wyłonionemu rządowi. Metodą, prowadzącą do tego celu, miało być stworzenie własnej polskiej doktryny wojennej, ujednolicenie organizacji, wyszkolenia, uzbrojenia i umundurowania armii, doraźnie zaś — przemieszanie składu armii, co w warunkach wojennych oznaczać mogło tylko niewielkie i ostrożne przemieszanie korpusu oficerskiego. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że nie było w owych

czasach w korpusie oficerskim śladu kastowości; nie było żadnego podziału i przeciwstawienia pomiędzy oficerami a szeregowymi; terminologia odezw komunistycznych, w których oficerów z reguły nazywano „ofikami”, była dla szeregowych niezrozumiała (o ile zresztą odezwy te docierały do wojska) i w ogóle cały świat pojęć, prezentowany w tych odezwach, był dla żołnierzy niezrozumiały — ich autorom wydawało się, że armia polska jest kopią carskiej armii rosyjskiej. Tym bardziej jednak oficerowie nadawali ton swym formacjom.

Czytelnik pozwoli, że w tym miejscu powołam się na własne przeżycia. W lutym 1920 roku Ministerstwo Spraw Wojskowych przeniósło mnie do baonu zapasowego 1 pułku strzelców wielkopolskich, przemianowanego w tym czasie na 55 pułk piechoty: należałem do pierwszej transzy, jedenastu oficerów „Wojsk Polskich”, przeniesionych do „Wojsk Wielkopolskich”. Wieczorem objąłem dowództwo kompanii ciężkich karabinów maszynowych, rano miałem bunt całej kompanii. Przyczyna? Byłem „Galicjakiem z Kongresówki”, to wystarczało. W kasynie oficerskiej dowódca batalionu zwykł był zagajać obiad powiedzonkiem: „Nu, panowie oficerowie, wiadomo, P.P.S. — Piłsudski, Perlówna i syn”, na co z kolei zabierałem głos: „Panie kapitanie, melduję, że to jest Naczelnny Wódz i Naczelnik Państwa”. Lecz gdy nadszedł dzień 19 marca tj. dzień imienin Piłsudskiego i z D.O.G. w Poznaniu nadszedł rozkaz urządzenia we wszystkich garnizonach obchodów imienin Naczelnego Wodza — ten sam kapitan kazał mi przemówić do batalionu ustawionego w *carré*; dodaje, że odniosłem wielki sukces psychologiczny: uderzając w jedną tylko strunę, stosunku żołnierza do dowódcy, wydobyłem z piersi słuchających mego przemówienia Poznańczyków trzy głośnie i szczere okrzyki „niech żyje”. Wspominał o tym wszystkim, by wskazać, jakimi problemami żyło podówczas wojsko. W tej endeckiej fortecy, jaką był Krotoszyn, ani razu nie toczyliśmy jednak — czy to w gronie kolegów-oficerów, czy też w szerszym jakimś gronie — dyskusji na tematy „żydowskie”, zagadnienie na miejscu nie istniało, więc antysemita — jeżeli w tym środowisku byli, a na pewno byli — nie widzieli potrzeby podnoszenia tej sprawy. Co prawda przytoczone wyżej powiedzonko mego dowódcy batalionu miało wyraźny posmak antysemitki, ale uderzenie wymierzone było nie w Żydów, lecz w Piłsudskiego.

W cytowanym już przeze mnie sprawozdaniu respektowanej osobistości żydowskiej z Warszawy na łamach *Jewish Chronicle* czytamy, że cierpienia żołnierzy-Żydów internowanych w Jabłonie były niczym w porównaniu z tym co się działo na froncie. Na froncie rzeczywiście zdarzały się rzeczy niedobre. Znowu osobiste

przeżycie: w czasie bitwy o Warszawę przechodziłem przez rynek w Nasielsku; podbiegło do mnie kilku Żydów i zaprowadziło mnie do sklepu; drzwi frontowe były zamknięte, weszliśmy tylnym wejściem; cały sklep był doszczętnie wyrabowany, zostały tylko nagie półki. Sprawcami byli żołnierze jednego z pułków wielkopolskich. Byłem bezradny, stało się; nie mogłem, bo nie miałem na to czasu, wdawać się w pościg za sprawcami, nie mogłbym zresztą sam ich ukarać ani też odebrać im zrabowanych przedmiotów, mógł to być uczynić tylko ich dowódca. Wyraziłem obrabowanym w kilku słowach współczucie i oburzenie na sprawców i na tym się skończyło. Fakt zwrócenia się do mnie o pomoc można jednak uznać za dowód, że pokrzywdzeni Żydzi liczyli na to, iż u oficera znajdą sprawiedliwość i pomoc w nieszczęściu, widocznie nie uważali armii polskiej w jej całości za zarażoną antysemityzmem. Winienem dodać, że wkrótce potem, w czasie naszej kontrofensywy natknąłem się pod Przasnyszem na dwór ziemiański, a raczej pałac, doszczętnie obrabowany z wszystkiego, co było w szafach i w komodach — sprawcami byli tak samo Poznańczycy i tak samo nic już nie pozostawało w tej sprawie do zrobienia. Mogę tu jeszcze przytoczyć rozmowę ze znakomitym oficerem, peowia-kiem o bardzo znanym swego czasu nazwisku, który mi opowiadał, jak po krwawej utarczce z oddziałem ukraińskim (z początkiem 1919 roku, pod Białągorą), po zdobyciu wsi kosztem dużych strat własnych, zgwałcił pierwszą lepszą napotkaną dziewczynę-Ukrai-nkę. Opowiadał mi o tym ze wstydem i żalem, tłumaczył się gorączką walki, podnieceniem i chwilową utratą rozumu. Lecz i tym razem — co się stało, to się nie odstanie. Po każdej wojnie pozostaje dużo brudnej bielizny — nawet nie do prania, bo są plamy, których usunąć już się nie da.

Wypada tutaj zatrzymać się, gdyż schodzimy na niebezpieczną ścieżkę: formułą „co się stało, to się już nie odstanie” można usprawiedliwić wszystko, nawet największe zbrodnie. Otóż nie zamierzam tu niczego usprawiedliwiać i nikogo tłumaczyć. „Dzielnica żydowska” w Jabłonninie musi być potępiona, nie ma dla niej żadnego usprawiedliwienia. Tym niemniej i w tych sprawach, haniebnych i karygodnych, obowiązuje ścisłość, każdy bowiem kodeks karny przewiduje różne kategorie przestępstw i różne wymiary kar. Walec relacji p. Maurice Adusa polega na tym, iż ustala ona, że nikt w Jabłonninie nie zmarł, nie zginął z winy polskich władz wojskowych czy innych, jeśli pominąć sporną i wątpliwą sprawę sześciu ofiar katastrofy kolejowej. Po relacji p. Maurice Adusa nie będzie zatem można więcej mówić i pisać — jak to uczynił Reuben Ainsztein — o kilku tysiącach zmarłych z głodu i epidemii i tu istotnie sprawa ilości przeradza się w sprawę ja-

kości. Trudniej byłoby tę heglowską zasadę zastosować do wydarzeń we Lwowie w trzech dniach listopada 1918 roku. W *Jewish Chronicle* z dnia 6 grudnia 1918 roku czytamy o wymordowaniu we Lwowie co najmniej 3.200 Żydów. W rzeczywistości zginęło 73. Trzeba powiedzieć: o 73 za dużo i trzeba przyznać, że w tym wypadku — chociaż zginęło „tylko” 73 Żydów — określenie „pogrom” było uzasadnione. Tym niemniej nie odpowiada prawdzie wiele danych, zawartych w sprawozdaniu pod tytułem „Report on the Mission to Poland”, które złożyli Sir Stuart Samuel i kapitan Peter Wright, wysłani do Polski z ramienia rządu brytyjskiego; sprawozdanie to zostało opublikowane w dniu 1 lipca 1920 i przedłożone jako biała księga parlamentowi brytyjskiemu razem z listem towarzyszącym przedstawiciela brytyjskiego w Warszawie, Sir Horace Rumboldta. O Lwowie czytamy w tym sprawozdaniu:

„Po walkach ulicznych poważnej natury udało się polskim siłom zbrojnym wyprzeć Ukraińców całkowicie z miasta. Rezultat ten osiągnięty został dzięki przybyciu poważnego korpusu wojsk polskich, sprowadzonego pod dowództwem generała Roji z Poznania. Zostało mi udowodnione, że wojskom tym przyrzeczono trzy dni bezkarnego rabunku w dzielnicy żydowskiej”.

Jak było w rzeczywistości? Odsiecz przybyła w dwóch rzutach nie z Poznania, lecz z Krakowa (1340 żołnierzy 5 i 4 p.p. Leg.), dowódcą odsieczy nie był generał Roja, lecz pułkownik Karasiewicz-Tokarzewski, zresztą i jeden i drugi byli filosemitami i jak najdalej byłaby im myśl o krwawej rozprawie z żydowską ludnością Lwowa. Nieprawdą jest, że żołnierzom odsieczy przyrzeczono trzy dni pohulanki. Skąd o tym wiem? Wiem, bo sam biłem się w odsieczy Lwowa, przybyłem do Lwowa 21 listopada późnym wieczorem na pociągu pancernym, miałem wówczas stopień plutonowego; niczego nam nie przyobiecivano, natomiast wczesnym rankiem 22 listopada przed wmaszerowaniem do miasta wypłacono wszystkim żołnierzom odsieczy normalny żołd na 10 dni, mógłbym dodać: by nie potrzebowali rabować, ale nic nie dodam, albowiem jestem pewny, że władzom wojskowym nawet przez głowę nie przeszła myśl o możliwości pogromu. Wprawdzie wysłannicy rządu brytyjskiego zaznaczają w swym sprawozdaniu, że „polscy żołnierze i ludność byli poniekąd rozkłószczeni postawą Żydów, którzy nie pomagali im w ich walce”, ale tu trzeba zauważyć, że: 1) polskie dowództwo obrony Lwowa dało swą zgodę na neutralność części Lwowa, zamieszkanych przez ludność żydowską, 2) żołnierze odsieczy nie wiedzieli o neutralności ludności żydowskiej, więc nie mogli być na nią oburzeni, 3) po stronie polskiej bili się także i Żydzi, wymienię tutaj dwóch bardzo znanych i bardzo wybitnych oficerów obrony Lwowa, ka-

pitana Monda i porucznika Selzera. Batalion, w którym służyłem, został już w dniu 23 listopada przerzucony na front pod Lwów, więc byłem we Lwowie po przybyciu odsieczy tylko przez jedną dobę, stąd też moje obserwacje są ograniczone w czasie i mogą być mylne; mimo to uważam ich przytoczenie za wskazane. Otóż strzelano do nas na Łyczakowie z dachów domów w pobliżu koszar; były to wypadki bardzo sporadyczne, tym niemniej były; zapewne strzelano do naszych żołnierzy także w innych częściach miasta; przypuszczam, że sprawcami byli wolni strzelcy ukraińscy, lecz łatwo było puścić w obieg pogłoskę, że strzelają Żydzi (sam co prawda takiej pogłoski nie słyszałem); przeszliśmy do porządku dziennego nad tymi odosobnionymi wypadkami strzelania do nas, co było tym bardziej naturalne, iż żadnych strat po naszej stronie nie było; tym niemniej rysuje się w mej głowie taka hipoteza. Wojska polskie nie tylko nie brały udziału w pogromie, ale w miarę swych sił i możliwości interweniowały w obronie dzielnicy żydowskiej, a wreszcie położyły kres pogromowi. *Summa summarum*, trzeba się zgodzić z końcowymi słowami tej części sprawozdania wysłanników rządu brytyjskiego, w której konkludują: „nic nie może usprawiedliwić dzieła rabunku i mordu, które miało miejsce w wzmiankowanych dniach (21, 22 i 23 listopada)”.

Przepatrując karty *Jewish Chronicle* za lata 1918-1920 znajduję mnóstwo wiadomości z Polski, najczęściej dostarczonych przez Biuro Syjonistyczne w Kopenhadze, wyolbrzymionych albo całkowicie sprzecznych z prawdą. Dla przykładu przytoczę wiadomość pt. „Norma procentowa w Krakowie” w numerze *Jewish Chronicle* z dnia 14 lutego 1919 roku; czytamy tu, że na uniwersytecie krakowskim wszedł w życie nowy przepis, mocą którego odsetek nowo przyjętych studentów żydowskich nie może przekraczać liczby 5 % studentów nieżydowskich. Wiadomość była wyssana z palca, na Uniwersytecie Jagiellońskim nigdy nie wprowadzono *numerus clausus*, do samej chwili wejścia wojsk niemieckich w roku 1939 do Krakowa senat tego uniwersytetu nie uległ naciskom nacjonalizmu i rasizmu, a po wejściu wojsk niemieckich — nie uległ im tym bardziej, że ciało profesorskie poszło w całości do Sachsenhausen. Lecz fałszywa i oszczercza wiadomość nie została nigdy sprostowana, więc kto by dziś pisał historię Żydów w Drugiej Rzeczypospolitej na podstawie roczników *Jewish Chronicle*, zapewne uznałby i tę wiadomość za godną szczególnej uwagi i uwzględniłby ją w swym czarnym rejestrze. Gdy zastanawiam się nad zagadką, skąd i dlaczego ta pasja przesadnych i nieprawdowych wiadomości, dochodzę do wniosku, że chciano jak najgłośniej bić w dzwon alarmowy, by skłonić wielkie mocarstwa Zachodu

do interwencji w Polsce w obronie ludności żydowskiej. Interwencje były, jak wspomniana już misja rządu brytyjskiego i amerykańska misja Morgenthaua, ale były późne i ani Żydom polskim nie pomogły ani nie zaszkodziły. Natomiast w opinii publicznej na Zachodzie utrwalił się obraz Polski jako kraju krwiożerczego antysemityzmu, gdzie mienie i życie Żydów nieustannie narażone jest na niebezpieczeństwo. Przy takim nastawieniu było już rzeczą obojętną, bez znaczenia, czy jakiś generał Roja jest czy też nie jest antysemitą, czy odsiecz Lwowa przybyła z Poznania czy z Krakowa i czy zginęło we Lwowie 3.200 czy też „tylko” 73 Żydów. Rzecz w tym, że faktycznie miał miejsce we Lwowie pogrom Żydów i temu nikt nie mógł zaprzeczyć, a skoro już raz doszło do przelewu niewinnej krwi ludzkiej, to już potem można było we wszystko uwierzyć. I tak wlecze się za nami brudna smuga oszczerstw, odmalowujących naród polski w jego całości jako barbarzyńców, czarnosecińców, hitlerowców. Biorę do ręki powieść, wydaną w roku 1969 w Nowym Jorku, w roku 1970 także w Londynie, pod tytułem „Sons of Darkness, Sons of Light”. Autor: John A. Williams, Murzyn, jeden z najznakomitszych współczesnych pisarzy amerykańskich. W rozdziale 4 pojawia się nowojorski Żyd, nazywa się Icek Hod. W rozdziale 5 czytamy o nim:

„Gdy miał sześć lat, armie *Dziadka* Piłsudskiego, torując sobie drogę na Białoruś, zniszczyły wioskę, w której mieszkał razem ze swymi rodzicami, zmuszając ich do przeniesienia się do Warszawy, na Nalewki, gdzie tylko kantyny Bet Lechem z chlebem i herbatą utrzymywały ich przy życiu. Dzień w dzień nadchodziły wiadomości: tu wojsko zabiło pięć tysięcy, tam siedem tysięcy. Tutaj odcięto Żydów kordonami i wysieczono ogniem karabinów maszynowych, tam wrzucono granaty ręczne do wszystkich synagog. Gdy takie ociekające krwią wiadomości napływały jedna po drugiej do Warszawy, Żydzi opuszczali ulice i tłoczyli się w swych mieszkaniach”.

Wojna się skończyła, lecz „w Polsce, jeśli ktoś był Żydem, trzeba było mieć wytrzymałość Joba pomnożoną tysiąc razy”. Życie — czytamy — stało się niemożliwe, latem 1939 Hod z rodzicami wyemigrował do Palestyny, a po zgonie swych rodziców — do Ameryki.

Kilka zdań z powieści Williamsa przytaczam przykładowo; pełno jest obecnie takich książek, w których Żydzi występują jako ofiary polskich prześladowań, tortur, pogromów. Nie ma podobnych powieści na temat cierpień Żydów niemieckich — nie ma i nie będzie. Hitleryzm uważa się za przejściową aberację, Niemcy cesarskie były krajem ładu i bojaźni Boga, Niemcy wejmarskie były wzorową demokracją, z konstytucją napisaną przez Żyda Preussa, Niemcy bońskie są krajem znowu praworządnym i de-

mokratycznym, dały i dają Żydom wszelkie możliwe satysfakcje za lata hitleryzmu (choćaż życia ofiarom Trzeciej Rzeszy nie przywrócić). W Polsce natomiast antysemityzm był jakoby czymś przyrodzonym, upośledzenie i cierpienia Żydów były stanem jak gdyby naturalnym, przy czym nikt nie próbuje ani dać odpowiedzi, ani nawet postawić sobie zapytania: jak w takim razie możliwe było przeżycie przez Żydów w Polsce siedmiu, może nawet dziesięciu stuleci? Myślę, że wytłumaczenia tych błędnych wyobrażeń o Polsce szukać należy w liczebności Żydów polskich z jednej, Żydów niemieckich z drugiej strony. Żydzi w Polsce stanowili 10 % ludności, Żydzi w Niemczech nie stanowili nawet 1 %. Przy tym Żydzi polscy zachowali swą odrębność i pragnęli ją w dalszym ciągu zachować; w spisie ludności z 1921 roku 76 % Żydów polskich podało swą narodowość jako żydowską, 24 % — jako polską. Natomiast w Niemczech 100 % Żydów uważało się za Niemców; nie było i nie ma tematyki Żydów niemieckich, podobnie jak nie było i nie ma tematyki Żydów francuskich, gdyż Żydzi francuscy są jedynie i wyłącznie Francuzami. I dlatego Żydzi polscy pojawiają się i pojawiać się będą w literaturze o tematyce żydowskiej, nawet niekoniecznie — jak widzimy z przykładu powieści Williamsa — w literaturze żydowskiej. Nic w tym dziwnego, duża część Żydów amerykańskich pochodzi z Polski. To prawda, że życie Żydów polskich było przeważnie ciężkie, pod względem materialnym ubogie — ale czy tylko Żydów? Czy chłop polski, czy robotnik polski żył lepiej, dostatniej, miał większą pewność jutra? Zrozumiałą jest rzeczą, gdy autor Żyd sięga do żydowskiej tematyki, do żydowskiego środowiska, które zna, rozumie i kocha; gdyby Szalom Asz miał pisać o życiu polskim, nie wyrosłoby z jego pisarstwa dzieło tak wysokiej rangi, jak trylogia „Petersburg-Warszawa-Moskwa”. Nie o to więc chodzi, by ukrywać nędzę i krzywdy bytu żydowskiego, lecz o to, by nie fałszować przy tym obrazu Polski i Polaków, nie sprowadzać ich jako całości do wspólnego mianownika czarnej sotni, faszyzmu, pogromów. Społeczeństwo polskie, jak każde społeczeństwo świata, było społeczeństwem różniczkowanym, może nawet bardziej różniczkowanym niż inne narody, gdyż w ciągu 150 lat obcego panowania wytworzyły się w trzech zaborach odmienne formacje gospodarcze, społeczne, polityczne — odrębności te trwały i żyły przez długi jeszcze czas po odzyskaniu niepodległości. Trzeba byłoby tutaj napisać całą historię polityczną Drugiej Rzeczypospolitej, nie ukrywając i nie pomijając niczego złego i niczego dobrego. Nie brak w tej historii niezwykłych paradoksów — paradoksem było podpisanie przez czołowe osobistości „obozu narodowego” traktatu o ochronie mniejszości narodowych, tzw. małego traktatu wersalskiego i jedno-

czesne głoszenie przez ten sam obóz hasła „Polska dla Polaków”. Paradoxem była ewolucja obozu piłsudczyków od lewicy, P.P.S. i „Wyzwolenia” do B.B.W.R. i „Ozonu”. Paradoxem był fakt, że obóz rządzący Polską z programem demokracji kierowanej, która była w rzeczywistości negacją demokracji, pierwszy w świecie stanął do walki zbrojnej z faszyzmem hitlerowskim, tym samym pierwszy stanął na szaniecach obrony demokracji. Nie byłoby sensu w ukrywaniu w historii Drugiej Rzeczypospolitej zjawisk zdecydowanie ujemnych, jak pogrom we Lwowie w 1918 roku i pacyfikacja wsi ukraińskich w 1930 roku, lecz nie ma też sensu ukrywanie i przemilczanie zjawisk dodatnich, albo obniżanie ich rangi jako zjawisk historycznych. Mam tu między innymi na myśli stosunek społeczeństwa polskiego do Żydów pod okupacją hitlerowską.

P. Maurice Adus powołuje się na pracę pt. „Stosunki polsko-żydowskie w czasie II-ej wojny światowej”, pozostawioną w archiwum dra Emanuela Ringelbluma. Jest to źródło bardzo cenne, ale i to źródło należy traktować ostrożnie. Podobnie jak pamiętniki Witosa, poucza nas ono, jak autor widział, rozumiał i odczuwał ówczesne stosunki i wydarzenia, lecz nie potwierdza automatycznie ścisłości relacji. Relacje te mogły być i rzeczywiście były w niektórych wypadkach mylne. Wystarczy tu zacytować wyjątek z *Biuletynu* Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, nr 15/16 z lipca-grudnia 1955 roku, str. 282. Czytamy o wojnie polsko-niemieckiej z roku 1939:

„Kłęski na polu bitew i potrzeba znalezienia winowajców odrodziły z powrotem antysemityzm, który doprowadził np. w Warszawie do powstania nowej Jabłonny. Wyraziło się to w wyodrębnieniu Żydów z ogólnych oddziałów i utworzeniu specjalnych żydowskich batalionów, bez broni, a przeznaczonych do robót fortyfikacyjnych”.

Lecz dr Ringelblum i jego przyjaciele z grupy „Oneg Szabat” byli w błędzie. Istotnie powstały we wrześniu 1939 roku specjalne bataliony, bez broni, przeznaczone do robót fortyfikacyjnych, ale to były robotnicze, nie żydowskie bataliony obrony Warszawy, ulica warszawska nazywała je: legiony P.P.S. Robotnicy Warszawy nie widzieli niczego hańbiącego w wzięciu na siebie ciężaru tych prac; broni dla nich rzeczywiście zabrakło, więc wzięli w garść łopaty i kopali rowy, sypali szanice, stawiali zapory przeciwczołgowe, byle nie być bezczynnymi w godzinie historycznej próby. Widzimy na tym przykładzie, jak zawodne może być świadectwo człowieka czy grupy ludzi, niewątpliwie dobrej woli, a jednocześnie — gdyż także historycy są ludźmi — pełnych goryczy, jak zresztą wszyscy byliśmy pełni goryczy po klęsce wrześniowej.

Praca „Stosunki polsko-żydowskie w czasie II-ej wojny światowej” kończy się następującym *résumé*, napisanym już po ostatecznej likwidacji warszawskiego getta, a wydrukowanym w *Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego* w Warszawie, nr 31 z lipca-września 1959 roku, stronicie 36-37; trzeba to *résumé* przytoczyć tutaj w całości:

„Wśród polskich rodzin, ukrywających Żydów, nie brak zapewne i pewnej liczby antysemitów. Ogół jednak antysemitów, zarażony trądem rasizmu i hitleryzmu, stworzył przy pomocy Niemców takie warunki, że tylko drobny odsetek Żydów polskich, zamieszkających w Polsce od tysiąclecia, mógł się uratować z łap oprawców teutońskich. Faszizm polski, sprzymierzony z antysemityzmem, opanował większość społeczeństwa polskiego. Jego to oskarżamy o to, że w akcji ratowania Żydów — Polska nie zajmie takiego miejsca, jak kraje Zachodniej Europy. Tępotą polskich antysemitów, którzy niczego się nie nauczyli, jest winna śmierci setek tysięcy Żydów, których można było — na przekór Niemcom — uratować. Na ich głowy niech spadnie oskarżenie, że nie ratowali dziesiątek tysięcy dzieci żydowskich, które można było urządzić u rodzin polskich względnie w zakładach i instytucjach. Ich winą jest, że Polska była ażylem dla maksimum 1 % Żydów, ofiar prześladowań Hitlera”.

Nie mamy ani jednego słowa obrony lub usprawiedliwienia dla kolaborantów, denuncjantów, szantażystów. Polska Podziemia karała ich śmiercią. Nie możemy jednak uznać za zgodny z prawdą pogląd, jakoby faszyzm polski, sprzymierzony z antysemityzmem, opanował większość społeczeństwa polskiego, co w konsekwencji spowodować miało śmierć setek tysięcy Żydów, których można było uratować. Wyłania się przy tym zapytanie, kto miał uratować 3 miliony Polaków, którzy padli ofiarą Niemców i kogo mają Polacy za ich zgon obwiniać? Co najważniejsze, skoro o Żydach mowa, wiemy dzisiaj dokładnie, jak niewiele uczyniło dla ratowania Żydów mocarstwo tak potężne i tak przejęte zasadami humanitaryzmu, jak Stany Zjednoczone Ameryki. Po raz pierwszy od czasu dojścia Hitlera do władzy, dopiero w dniu 24 marca 1944 roku prezydent Roosevelt wydał odezwę, która przynosiła nie tylko górnolotne frazesy, ale także konkretne ostrzeżenia i wskazówki co do ratowania zagrożonych zagładą Żydów. Ale nawet i po tej dacie, która miała być punktem zwrotnym w polityce amerykańskiej jeśli chodzi o ratowanie Żydów w Europie, nie chciał Roosevelt uchylić szerzej wrót Stanów Zjednoczonych dla uchodźców z Europy. Skierowane przeciwko Polakom słowa oskarżeń w pracy Ringelbluma należy koniecznie zestawzić z faktami i dokumentami, ujawnionymi w wydanej w roku 1969 w Londynie książce „While Six Millions Died” (Gdy umierało sześć milionów). Jej autor, Arthur D. Morse, znakomity dziennikarz i publicysta amerykański, pisarz ostrożny i wążący każde sło-

wo, utrzymuje, że w latach 1933-1944 amerykańską tradycję sanktuarium dla uciskanych wyparła kombinacja politycznego oportunistyzmu, dyplomatycznej wykrętności, izolacjonizmu, obojętności i prymitywnej bigoterii, idącej wręcz na rękę Adolfowi Hitlerowi, „gdy przystępował do urzeczywistnienia ostatecznych planów największego masowego mordu w dziejach”. Morse przytacza szereg realnych możliwości ocalenia wielkiej liczby Żydów od zagłady; wszystkie te możliwości zostały przez rząd amerykański zmarnowane, m.in. możliwość ocalenia 30.000 dzieci żydowskich, pozostających pod opieką Organizacji Pomocy Dzieciom (skrót: O.S.E.) oraz duchowieństwa katolickiego i protestanckiego w południowej Francji i które można było uratować, przekazując do Szwajcarii wizy amerykańskie i pieniądze na podróż. Ringelblum twierdzi, że można było urządzić i ocalić dziesiątki tysięcy dzieci żydowskich w Polsce, ale to tylko hipoteza, natomiast zaprzepaszczenie możliwości ocalenia 30.000 dzieci żydowskich we Francji jest udowodnionym faktem. I cóż? Archiwum Ringelbluma, fakty i oceny prawdziwe i nieprawdziwe (zaznaczymy od razu: prawdziwe przeważają) uchodzi i zawsze uchodzić będzie w całym świecie za podstawowe, wiarygodne i nie podlegające zakwestionowaniu źródło wiedzy o położeniu Żydów w Polsce, o Polsce i Polakach, zaś książka Morse’a została przemilczana, mało kto o niej wie; ujawniona przez niego prawda jest zbyt bolesna i przykra dla Stanów Zjednoczonych w ogólności, dla Żydów amerykańskich w szczególności: Żydzi amerykańscy mieli wiadomości o zamierzeniach Hitlera, lecz do końca 1942 roku milczeli, bo tak sobie tego Roosevelt życzył. Ringelblum i jego współpracownicy oskarżali (rok 1943) faszyzm polski, który jakoby opanował większość społeczeństwa polskiego, „o to, że w akcji ratowania Żydów Polska nie zajmie takiego miejsca, jak kraje Zachodniej Europy”. W rzeczywistości żaden kraj Zachodniej Europy nie uczynił tyle co w akcji ratowania Żydów uczyniła Polska Podziemna. Europa Zachodnia? W dwóch małych kinematografach paryskich wyświetlany jest obecnie film „Le chagrin et la pitié”, dokumentarne zdjęcia, wykazujące prawdę o Francji pod rządami niemieckich okupantów i marszałka Pétaina. Film wykazuje, że więcej Francuzów zgłosiło się na ochotnika do francuskiej dywizji Waffen SS niż do dywizji „wolnych Francuzów” Leclerca oraz że Francuzi wydali w ręce Gestapo tysiące innych Francuzów i obcokrajowców, głównie Żydów. Lecz legendy będą trwały, legendy nie umierają tak łatwo: legenda o bohaterskiej Francji, która jakoby cała była w *Résistance*, za de Gaullem i legenda o nikczemnej Polsce, która jakoby bratała się z hitlerowskim okupantem i ścigała Żydów jak dziką zwierzynę.

Powracamy znów do Jabłonn. Osadzenie w obozie i izolowanie jakiejś — choćby niewielkiej — części żołnierzy — Żydów było postępkami oburzającym. Lecz nie wynika stąd, że wszyscy poborowi Żydzi pragnęli bić się za Polskę, spełnić swój obowiązek na polu walki, w której możliwości zwycięstwa rysowały się w owym czasie słabiej niż możliwości klęski. Było różnie. Wymieniłem Żydów — bohaterów polskich, wymienię ich przeciwstawienie. Jakub Prawin, mój kolega z gimnazjum, schronił się latem roku 1920 w Wiedniu i pozostawał tam do czasu wielkiej amnestii z roku 1928 (czytelnik nie weźmie mi za złe, że dodam: inicjatywa ustawy o amnestii wyszła od Zygmunta Marka, projekt ustawy opracował Adam Ciołkosz, sprawozdawcą projektu w komisji prawniczej i na plenum Sejmu był Kazimierz Pużak; była to najrozleglejsza amnestia w całej historii Drugiej Rzeczypospolitej). Jakub Prawin włożył na siebie mundur żołnierski dopiero w roku 1941, gdy wojska Hitlera uderzyły na Związek Sowiecki; powrócił do Polski w stopniu generała tzw. ludowego wojska polskiego. Prawin był komunistą. Lecz prawda, Prawin to jednostka, *casus* Prawin nie stwarza żadnej jeszcze reguły. Wspomniałem, że był moim kolegą w gimnazjum, więc winienem dodać, że połowa mej klasy w gimnazjum I klasycznym w Tarnowie składała się z Żydów — był między nimi Prawin, byli (ci byli najliczniejsi) syjoniści i byli Żydzi uważający się za Polaków bez najmniejszych zastrzeżeń. Wymieniam spośród nich Zygmunta Rapaporta — syn bardzo religijnego Żyda, bił się w roku 1920 w kawalerii jako ochotnik i bił się w roku 1944 w kampanii włoskiej 2-go korpusu, po oddaniu Polski pod panowanie Moskwy odmówił powrotu do kraju, zmarł na emigracji w Londynie. Co przeważało w roku 1920, *casus* Prawin czy *casus* Rapaport? Nie ma żadnych statystyk, lecz bez obawy popełnienia pomyłki powiem, że *casus* Prawin był wyjątkiem, *casus* Rapaport przeważał wielokrotnie.

Sięgnijmy do zjawisk o charakterze szerszym, do rzeczywistości rządów „rewolucyjnych” w Białymstoku, okupowanym przez armię sowiecką latem 1920 roku. Oto kilka cytatów z broszury Juliana Marchlewskiego, opublikowanej w Moskwie w roku 1921 pt. „Rosja proletariacka a Polska burżuazyjna”:

„... w mieście — *pisze Marchlewski* — w którym niewątpliwie ludność polska stanowi większość, w pierwszych dniach w urzędach uznawano tylko język rosyjski i żydowski, powierzano stanowiska tylko tym, którzy tymi językami władali”.

Wydział oświaty został — jak *pisze Marchlewski* — chwilowo opanowany przez nacjonalistów żydowskich, którzy urządzili sobie w Białymstoku „sekcję polską”, uważając widocznie — wciąż cy-

tuję dosłownie Marchlewskiego — że Polacy mają być traktowani jako „mniejszość narodowościowa”, jak to było przewidziane w statucie Ludowego Komisariatu Oświaty w Rosji; Marchlewski zaznacza zjadliwie: czy „większością” w ich mniemaniu mieli być Żydzi, czy może wyobrażali sobie, że za język „większości” będzie uważany język rosyjski, nie wiadomo. W żydowskim środowisku drobnomieszczańskim zwłaszcza młodzież, entuzjastyczna i żądna wrażeń, nie przesiąkła jeszcze duchem handlarskim:

„ta młodzież — *pisze Marchlewski* — stale i brutalnie odpychana przez inteligencję polską... pokładała wszystkie nadzieje na rewolucji. Obok szerego entuzjazmu było tu jednak niezawodnie sporo karierowiczostwa i właśnie ci karierowicze natrętni, w wysokim stopniu nietaktowni, a nie wspólnego z ruchem rewolucyjnym nie mający, nadawali niekiedy bardzo niepożądane cechy działalności pospiesznie tworzonych komitetów rewolucyjnych”.

A dalej:

„... dzięki swej ruchliwości i stosunkom rozległym owe drobnomieszczaństwo o wiele lepiej jest poinformowane o sprawach rosyjskich aniżeli polskie. Toteż różni fachowcy spośród inteligencji żydowskiej, wiedząc, jak w Rosji cenią 'specjalistów', jak wysoko ich opłacają, ofiarowali swoje usługi, nie tając bynajmniej, że nie są i nie chcą być komunistami, lecz za dobrą płacę gotowi są pracować. Śród inteligencji polskiej takich przykładów było znacznie mniej”.

Jeśli zjawiska opisane przez Marchlewskiego uderzyły i jego samego i Feliksa Kona, uderzyły i oburzyły do tego stopnia, że zabrali się do likwidowania — własne słowa Marchlewskiego — przejawów „nacjonalizmu żydowskiego”, to mogły one jakiś ślad zostawić także i w umysłach robotników polskich. Czy zatruły ich umysły antysemityzmem? Z całą pewnością — nie, jeśli po odwołaniu wojsk sowieckich i po wejściu wojsk polskich do Białegostoku nie doszło do żadnych porachunków z ludnością żydowską, co więcej, jeśli w wyborach sejmowych roku 1928 robotnicy polscy w tym samym Białymstoku mogli głosować na wspólną listę socjalistyczną P.P.S. i „Bundu”, na której pierwszym miejscu kandydował wybitny przywódca robotników żydowskich Henryk Ehrlich. Lecz ilekroć mowa o przejawach polskiego nacjonalizmu i antysemityzmu, trzeba mówić także o przejawach żydowskiego nacjonalizmu i pseudorewolucyjnej gorliwości, zawsze przy tym przyznając i podkreślając, że na narodzie stanowiącym większość ciąży obowiązek większej wyrozumiałości, cierpliwości i tolerancji w stosunku do mniejszości, nawet jeśli dla takich czy innych przyczyn mniejszość czasem przejawia objawy chorobowe. Stara reguła internacjonalizmu socjalistycznego nakazywała walczyć z nacjonalizmem i reakcją przede wszystkim w łonie własnego narodu; zgodnie z tą regułą, socjaliści polscy walczyli z nacjonalizmem pol-

skim, antysemityzmem i wszystkim, co załatwywało naśladownictwem hitleryzmu, zaś socjaliści żydowscy walczyli z separatyzmem i obskurantyzmem żydowskim, rozwalając mury duchowego getta od środka, od wnętrza getta. Metoda ta była skuteczna, co się najlepiej okazało w wynikach wyborów do ciał samorządu terytorialnego w latach 1938 i 1939, w ogromnych zwycięstwach wyborczych P.P.S. wśród Polaków i „Bundu” wśród Żydów. Jeśli chodzi o „Bund”, każdy oddany na to stronnictwo głos żydowski był wyrazem protestu przeciwko polityce odmawiania Żydom polskim prawa do Polski, był deklaracją, że Żydzi polscy uważają Polskę za swą jedyną ojczyznę. Deklaracja taka była jednocześnie votum zaufania do postępowych i demokratycznych sił w społeczeństwie polskim. Wynik wyborów w Warszawie, gdzie 17 mandatów radnych uzyskał „Bund” (program: ojczyzną jest Polska), a tylko 3 mandaty syjoniści (program: ojczyzną jest Palestyna) był olbrzymim, historycznym tryumfem idei polskiej. Szkoda, że tego wówczas nie zrozumiano, a później o tym zapomniano. Świat zewnętrzny w ogóle tych liczb i tych faktów nie zauważył, w pamięci świata pozostał pogrom lwowski z roku 1918 i „dzielnica żydowska” obozu w Jabłonce z roku 1920. W pamięci Polaków pozostały niemądre słowa posła Izaka Grünbauma po uchwaleniu ustawy o spoczynku niedzielnym („w tej chwili utraciliście Lwów i Wolno”), w pamięci Żydów pozostały równie niemądre słowa premiera Składkowskiego („bojkot — owszem”), chociaż przyznać trzeba, że na premierze rządu wielkiego i potężnego — jak wówczas sądziliśmy — państwa ciążył większy obowiązek umiaru w słowach i rozważa. Natomiast wszystko, co było dobre w życiu żydowskim w Polsce i wszystko co było w duszy polskiej i w życiu polskim dobre, uczciwe, szlachetne popada w zapomnienie.

Myśleliśmy w pierwszym okresie wojny, że gdy spłynie już ta straszna rzeka krwi będziemy budowali na nowo Polskę jako wspólny dom dla wszystkich — Polaków, Żydów, Ukraińców, Białorusinów, katolików, prawosławnych, „starozakonnych”, dla wszystkich bez wyjątku. Z upływem lat stawało się widoczne, że dla różnych przyczyn wyjdziemy z wojny z urzeczywistnionym hasłem „Polska dla Polaków”, tylko dla Polaków. Było to hasło i rzeczywistość małej Polski. Pozostała jeszcze troska o ocalenie prawdy historii. Relacja p. Maurice Adusa jest cenna o tyle, że ustala — jeśli nie w całości, to niemal w całości — prawdę o epizodzie, noszącym nazwę „Jabłonna”.

Polska okresu międzywojennego miała swe wielkie dramaty, bolesne, krwawe, pamiętne. Największym dramatem Polski międzywojennej było zamordowanie prezydenta Gabriela Narutowicza.

Zginął, albowiem — jak to zeznał morderca przed sądem — popełnił niewybaczalną w rozumieniu reakcji polskiej zbrodnię: pozwolił wybrać się na urząd Głowy Państwa głosami polskiej lewicy i tzw. mniejszości narodowych. Mordercą był Polak i ofiarą był Polak. Lecz wyborcy Narutowicza nie zachwiali się i nie ugięli, jego następcą wybrany został tymi samymi głosami polskiej lewicy i mniejszości narodowych. I tu dochodzimy do istoty rzeczy. Fale wsteczności, kołtuństwa, wszelkiego rodzaju podłości podnosiły się nieraz w Polsce bardzo wysoko, lecz z wszystkimi przejawami reakcji walczyliśmy, opieraliśmy się jej skutecznie i *per saldo* zwycięsko. Gdyby było inaczej, nie byłoby w historii świata dnia 1 września 1939 roku, w którym Polska odnalazła właściwe jej miejsce. Piszę: walczyliśmy, ale winienem wyjaśnić, o kim mowa? Walczyli robotnicy, walczyli chłopci, walczyła duża część inteligencji pracującej, walczyła większość narodu, bezsporna większość. Można i trzeba pisać o pogromie we Lwowie i o „dzielnicy żydowskiej” obozu w Jabłonie, ale trzeba jednocześnie pisać o nieustannej czynnej walce Polaków, ogromnej większości narodu polskiego, o demokrację w Polsce. I trzeba przeprowadzać uczciwie bilans. Z bilansu tego wynika ponad wszelką wątpliwość, że samo istnienie Polski niepodległej było stałym czynnikiem postępu w Europie. Historia przeprowadziła po temu dowód, bardzo dla nas zaszczytny ale zarazem bardzo dla nas kosztowny i bolesny: z chwilą zawalenia się Polski w roku 1939 zapadła nad całą Europą Środkowo-Wschodnią noc. Noc ta trwa dotychczas.

Adam CIOŁKOSZ

Józef LEWANDOWSKI

O WOJNIE 1920 ROKU... INACZEJ

Bodajże w 1958 roku robiłem kwerendę archiwalną dla Zakładu Stosunków Polsko-Radzieckich PAN. Zajęcie to było nie tylko popłatne ale i korzystne, gdyż badałem — początkujący pracownik naukowy — te archiwalia, które miały większe lub mniejsze znaczenie dla mojej „własnej” pracy badawczej. M.in. przeglądałem wówczas, trochę na chybił-trafił, tony wiązek, oznaczonych zbiorową sygnaturą „WW”, składających się z pomieszanych różnych akt Wydziału Wywiadowczego Sztabu Naczelnego Dowództwa, takiegoż wydziału sztabu MSWojsk, oraz Wydziału III Wywiadowczego Oddziału II Sztabu Generalnego (od 1922 roku —

Sztabu Głównego). O ile pamiętam, w zespole tym znajdowały się wyłącznie materiały z pierwszych lat niepodległości.

Wśród wielu ciekawych przeczytanych tam dokumentów historycznych jeden wiąże się ściśle ze wznowioną przez *Zeszyty Historyczne* dyskusją nad wojną 1920 roku i Bitwą Warszawską w szczególności¹.

Dokumentem tym jest wydany w dniu 30 lipca 1920 roku przez dowódcę Frontu Zachodniego Tuchaczewskiego „*prikaz po tyłam*” czyli, tłumacząc w przybliżeniu, rozkaz kwatermistrzowski frontu zachodniego.

Niestety, nie udało mi się odnaleźć sporządzonego dla siebie samego ekscerptu, to więc co poniżej podam będzie w sformułowaniach niedokładne. Mam jednak nadzieję, że historycy krajowi dysponujący dokumentem lub jego odpisem poprawią mnie i uzupełnią.

Dokument ten jest pojedynczą kartką papieru, wypełnioną pismem maszynowym, powielonym przy pomocy matrycy spirytusowej — najpopularniejszej u progu stulecia techniki powielania kancelaryjnego. Poza Tuchaczewskim rozkaz podpisał „zam. po tyłam” Unslicht oraz członek rewwojensowietu, którego nazwiska nie jestem pewien.

Zasadniczą treścią rozkazu, w pojęciu historyka, jest konstatacja stanu zaopatrzenia kwatermistrzowskiego i bojowego oraz stanu zdrowotnego jednostek wchodzących w skład Frontu Zachodniego. Jest ona określona w dokumencie jako katastrofalna. Jednostki oderwały się od swoich służb zaopatrzenia. „Podczas gdy pułki pierwszego rzutu — cytuję z pamięci — zbliżyły się do Wisły, tyły dywizyjne znajdują się nadal w okolicach Mińska”.

W związku z powyższym jednostki są zdane tylko na zaopatrzenie ze zdobyczy i rekwizycji. W rozkazie podkreślono katastrofalny stan zdrowotny. Brak środków opatrunkowych, sanitarnych i leków. Dyżentaria i tyfus dziesiątkują stan osobowy, które dywizje straciły w ten sposób jedną trzecią dotychczasowego składu. Część rozkazodawcza jest mniej z punktu widzenia historycznego ciekawa, wyjąwszy może to, iż nawet katastrofalny stan armii nie nasuwał dowódcy myśli o konieczności wstrzymania tempa przesuwania się na zachód.

Nie wiem w jaki sposób dokument znalazł się w polskim archiwum. Przypuszczalnie został zdobyty w czasie polskiej kontr ofensywy. W okresie międzywojennym mógł równie dobrze znajdować się w Centralnym Archiwum Wojskowym jak i w Oddziale II S.G. — obydwie składnice dokumentów zostały w 1939 roku zwiezione przez Niemców do Heeresarchivzweigstelle Danzig, tj. do Oliwy, gdzie były przedmiotem chaotycznej segregacji, podobnie jak i po wojnie. Nie natrafiłem na ślady wykorzystania

1. Charles de Gaulle, „Bitwa o Wisłę”. *Zeszyty Historyczne*, zeszyt 19-ty. Jacques Weygand, „Weygand mój ojciec” *ibid.*

go przez pisarzy historycznych, nie był też wykorzystany przez Tuchaczewskiego w jego wykładach z 1923 roku².

Ale i znaleziony przeze mnie rozkaz nie mógł być opublikowany w odpowiednim tomie wydawanych przez mojego zleceniodawcę „Dokumentów i materiałów do historii stosunków polsko-radzieckich”. To chyba nie wymaga długiego wywodu. Tomy te miały apriorystyczną koncepcję stosunków polsko-sowieckich, a zwłaszcza wojny 1920 roku, jako zaborczej i tylko zaborczej z polskiej strony i odpowiednio obronnej ze strony rosyjskiej. Co prawda koncepcja ta kłóciła się ze znanymi, wielokrotnie publikowanymi wypowiedziami Lenina o złudnej nadziei, że „pod Warszawą bije serce światowego systemu kapitalistycznego” i że w przypadku przełamania oporu Polski pożar ogarnąłby całą Europę. Ale dla doraźnej potrzeby ocenizowano i Lenina.

Bo przecież nie dla obrony pędziły po swą zgubę wyczerpane oddziały nad Wisłę. „Genialna myśl Lenina” — okazuje się — kazała zapomnieć w 1920 roku nie tylko o internacjonalizmie i prawie narodów do samostanowienia, co ostatecznie nie jest trudne do zrozumienia, ale i c elementarnych zasadach logiki wojskowej. Tuchaczewski w swoich wykładach stwierdził ogólnie, że dyrektywy płynące z Moskwy były ożywione najlepszymi pragnieniami, lecz były bzdurne pod względem wojskowym: „Podstawowy wniosek z naszej kampanii 1920 roku, jaki należy wyciągnąć, to to, że klęskę poniosła nie polityka lecz strategia”.

Myślę, że w powracającej na kształt węża morskiego dyskusji o bitwie pod Warszawą istnieje jedno niesłuszne założenie, a mianowicie, że latem 1920 roku strona polska była skazana na klęskę w starciu z nieporównanie silniejszym przeciwnikiem, ale w decydującym momencie nastąpiło coś, co w źródłach i działaniu podobne było do interwencji sił nadprzyrodzonych, do których zaliczano również przybycie Weyganda. Tę opinię lansowała Narodowa Demokracja w prasie, w sejmie, i gdziekolwiek się dało. Pogląd ten znajdował chętny posłuch nie tylko wśród endeckiej klienteli, tej „babiny opasłej i głupawej” jak szydził Piłsudski. Nie ma się czemu dziwić. Szerokie warstwy wiedziały tylko o gwałtownym — na podobieństwo klęski — odwrocie w lipcu i rozstrzygającej bitwie w sierpniu. Jak że tu nie wierzyć, że cud uratował Polskę³?

Oczywiście, niezależnie od zdezorientowania zaskoczonej nagłą przemianą sytuacji opinii publicznej, w grę wchodziły również interesy polityczne: w Polsce, niestety, więcej spierano się o zasługi historyczne niż o program na przyszłość.

W istocie rzeczy jednak latem 1920 roku strona polska nie była skazana na klęskę. To twierdzenie ostatecznie można udo-

2. „Pochod za Wisłę” (w) Tuchaczewskij M. N., *Izbrannyye proizvedeniya*. Moskwa 1964, t. I.

3. Sposób montowania mitu o interwencji sił nadprzyrodzonych u Władysława Pobóg-Malinowskiego (*Najnowsza historia polityczna Polski*, wyd. II, t. II, Londyn 1967, str. 514 i nast.).

wodnić czysto pragmatycznie. Ale wysunę jeszcze jedno twierdzenie: strona polska potrafiła rozstrzygnąć losy wojny przed przyjęciem decydującej bitwy.

Nie pamiętam czy zauważono już, że w lipcu 1920 roku, w czasie błyskawicznych, trwożących cały świat postępów wojsk sowieckich, postępów tak szybkich, że nie nadążali za ich śledzeniem koalicystyjni, zebrani w Spa politycy, strona polska zastosowała strategię będącą powtórzeniem koncepcji Kutuzowa w wojnie 1812 roku, zaś naczelne dowództwo rosyjskie (Lenin, Trocki, S. S. Kamieniew) strategię Napoleona w tej kampanii.

O co bowiem chodziło dowództwu RKKa w podjętej 4 lipca 1920 roku ofensywie? Odpowiedź daje Tuchaczewski: korzystając ze znacznej przewagi sił i ognia doprowadzić do rozstrzygającego starcia i zniszczenia sił nieprzyjaciela. Im wcześniej nastąpiłoby to starcie tym przewaga sił sowieckich wyraźniejsza, położenie — korzystniejsze, szansa decydującej wygranej — pełniejsza.

Koncepcja strony polskiej dałaby się streścić następująco: Mając świadomość druzgoczącej przewagi nieprzyjaciela unikać bitew, skracać front, zbliżać się do baz zaopatrzenia i mobilizacji, zachować siły dla rozgrywki w dogodniejszych warunkach, zmieniać układ sił. W konsekwencji, w miarę przesuwania się frontu na zachód siły sowieckie topniały przy czym im szybciej przesunęły się one, tym szybszy był proces wykruszania się jednostek sowieckich. Bitwa nastąpiła w miesiąc po podjęciu sowieckiego natarcia. Niewiele to czasu, ale wystarczyło, by zmienić układ sił, o czym świadczy znowu cytowany sowiecki marszałek. W przemówieniach Lenina z jesieni 1920 roku przebiega świadomość, że strona sowiecka dała się wciągnąć w pułapkę i że awanturnicza koncepcja polityczna stała się tego przyczyną.

W tym kontekście rola gen. Weyganda, który przybył do Warszawy kilka dosłownie dni przed rozstrzygającą bitwą, nie mogła być decydująca, nawet jeśli się przyjmie, że wniósł istotny wkład do opracowania planu bitwy.

Niestety, spór o autorstwo planu bitwy przesłonił inne, istotniejsze problemy kampanii. Stało się to dlatego, że w koncepcji cudu były zainteresowane liczne czynniki. Poza wcześniej nazwaną Narodową Demokracją była w tej koncepcji zainteresowana strona sowiecka, zmuszona do usprawiedliwienia dotkliwej porażki, poniesionej na domiar w konfrontacji z o ileż mniejszym państwem. To, że klęska została poniesiona nie w wojnie z Polską lecz z Ententą, a przynajmniej Francją, dawało się wykorzystać dla indoktrynacji tezy o „kapitalistycznym okrążeniu”, któremu siły stawić się czoła i dla walki z którym trzeba zastosować nadzwyczajne, nieprzemijające środki ograniczenia swobód ludności.

No i Francuzi. Ci też byli zainteresowani w dodaniu do wieńca swych laurów nowej gałązki i to nie byle jakiej, wawrzynu z ty-

tułu uratowania Europy przed potopem, uratowania cywilizacji europejskiej. Argumentacja francuska była dość prosta i po dzień dzisiejszy — jak można przekonać się z tekstów w *Zeszytach* — nie wzbogaciła się o nowe przesłanki: zwycięstwo nie mogło być dziełem polskim, mogło być tylko dziełem francuskiego *esprit* i metodyczności.

Historyk badający dzieje wojny nie oszczędzi polskiemu Naczelnemu Dowództwu i Sztabowi Generalnemu gorzkich ocen, zwłaszcza za okres do lipca 1920 roku. Na pewno francuscy dowódcy i sztabowcy mieli więcej doświadczenia i ujednoliconego systemu. Ale czy tak wysokie mniemanie o sobie, jakie mieli oficerowie wymieniający między sobą „wieszczce spojrzenia” było uzasadnione? Tak mało przecież czasu minęło od zakończenia I wojny światowej, w której francuscy generałowie niezbyt dobre świadectwa sobie wystawiali. Przecież zarzut Lloyd George’a, że w wojnie tej największym wrogiem francuskiego żołnierza byli francuscy generałowie, po dzień dzisiejszy nie został odparty.

Jest też rzeczą równie zaskakującą jak i logiczną, zarówno w rozważaniach młodego autora dziennika jak i Weyganda-syna, że zupełnie usuwają z pola widzenia centralny problem układu sił. Czyżby do tego sprowadzały się „wiedza”, „jasność myślenia”, „wychowanie na Kartezjuszu” i „wieszczce spojrzenia”?

Mimo woli przypomina się „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja i opisani w niej, zadufani w swą wiedzę, nie rozumiejący praw wojny generałowie, których myślenie sprowadzało się do układania planów bitew (*Die erste Kolonne marschieret, die zweite Kolonne marschieret...*).

W czasie wojny 1920 roku De Gaulle był jeszcze bardzo młodym oficerem. Na pewno w późniejszych latach dużo przemyślał. Ale cytowany tekst jest nie tylko pompierski, na co zwrócili uwagę francuscy krytycy. Jest on również zaskakująco nieporadny, nie-inteligentny w sprawach wojskowych.

Józef LEWANDOWSKI

RECENZJE

Stanisław SWIANIEWICZ

PRÓBA UPRZEMYSŁOWIENIA LITWY W XVIII WIEKU

Na początku ubiegłego roku ukazał się w handlu księgarskim tom pierwszy wielkiej monografii Stanisława Kościalkowskiego o Antonim Tyzenhauzie, Podskarbin Nadwornym W. Ks. Litewskiego za czasów Stanisława Augusta¹. Dzieło to przechodziło przez zupełnie wyjątkowe koleje losu. Autor, dawny uczeń Wincentego Zakrzewskiego oraz Szymona Askenazego, profesor historii na Uniwersytecie Stefana Batorego od chwili odrodzenia tej uczelni w 1919 r., pisał to dzieło pracując po różnych archiwach pomiędzy 1904 a 1939 r. Gdy manuskrypt obu tomów był już gotowy do druku wybuchła wojna. Uniwersytet został zawieszony, a profesor, który był również prezesem Wileńskiego T-wa Przyjaciół Nauk, został w 1941 r. w normalnym porządku rzeczy wysłany do obozu pracy przymusowej w Syberii. Deportowano również jego małżonkę, oczywiście do innej miejscowości. W 1942 r. obydwójce znaleźli się w Persji, gdzie profesor rozwinął szeroką działalność naukową i oświatową. Manuskrypt zaś zaginął w chaosie dziejów wojennych Wilna. W początku lat pięćdziesiątych profesor napisał z pamięci na kilkudziesięciu stronach zwarte streszczenie tej dwutomowej pracy, które w 1956 r. zostało wydrukowane w *Alma Mater Vilnensis*². Tymczasem przyszła wiadomość z kraju, że manuskrypt został uratowany i potra-

1. Stanisław Kościalkowski, *Antoni Tyzenhauz*, Wydawnictwo Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego, Londyn, 1970.

2. S. Kościalkowski, *Antoni Tyzenhauz*, *Alma Mater Vilnensis*, Londyn, 1956, str. 17-64.

fiono nawet znaleźć sposób przesłania go do Paryża. Kościółkowski umarł w 1960 r. Po jego śmierci „Społeczność Akademicka USB” podjęła akcję zbierania funduszków na wydanie tej fundamentalnej pracy. Książka, która w roku ubiegłym ukazała się w sprzedaży, stanowi tom I tego dzieła. Jest to również akt przez który „Społeczność” chce upamiętnić pięćdziesiąt rocznicę wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego przez Józefa Piłsudskiego jako Naczelnika Odrodzonego Państwa Polskiego. Subskrypcja na tom II jest w toku.

Praca Kościółkowskiego była początkowo pomyślana jako *pendant* do wielkiego dzieła Korzona o wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta, które w małym tylko zakresie uwzględniło instytucje i sprawy Litwy. Kościółkowski skoncentrował się przeważnie na problemach gospodarczych, skarbowych i społecznych związanych z zarządaniem ekonomii królewskich w Wielkim Księstwie Litewskim, obierając jako punkt centralny osobę Antoniego Tyzenhauza. Przedstawia on jednak te problemy w ścisłym związku z ogólną sytuacją polityczną oraz ogólnym układem stosunków polsko-rosyjskich, uwzględniając że za czasów Stanisława Augusta Rosja ingerowała do wszystkiego co się w Rzeczypospolitej, a specjalnie na Litwie, działało. Praca jest oparta przeważnie na dokumentach przedtem nie wyzyskanych przez historyków i ciągle otwiera nowe horyzonty wymagające dalszych studiów i dociekań.

Artykuł niniejszy jest próbą spojrzenia na niektóre z tych perspektyw, które się otwierają na tle lektury dzieła Kościółkowskiego i które mają tajemniczą rzeczy tak stosunkowo w skali historycznej niedawnych i tak już gruntownie zapomnianych.

Podskarbi Nadworny W. Ks. Litewskiego

Kim był Tyzenhauz? Podskarbi nadworny litewski, to znaczy, zarządca dóbr i dochodów królewskich na Litwie, który w okresie 1765-1780 rozwinął ogromną działalność jako organizator szeregu zakładów przemysłowych zarówno w ekonomiach królewskich jak i w swoich własnych dobrach; przyczynił się ogromnie do rozbudowy dróg i kanałów; założył szereg kantorów handlowych nastawionych w znacznej części na handel zagraniczny; zniósł system czynszowy, przeważający w ekonomiach królewskich od drugiej połowy XVII wieku, przywracając z powrotem system folwarczny oparty na pracy pańszczyźnianej; stworzył hierarchicznie ukształtowaną organizację zarządzania majątkami królewskimi, w pewnym stopniu przypominająca strukturą dzisiejsze PGR-y w Polsce

Ludowej; założył szereg szkół specjalnych, kształcących lekarzy, weterynarzy, buchalterów, mierniczych, budowniczych itp.; wprowadził szereg majstrów z zagranicy dla kształcenia rzemieślników krajowych; wysłał szereg ludzi miejscowych za granicę dla zaznajomienia się z metodami i organizacją przemysłu zachodniego; był mecenasem sztuk, nauk i promotorem drukarstwa, przyczyniając się do rozwinięcia w osiemnastowiecznym Grodnie dość poważnej działalności wydawniczej; był założycielem baletu oraz szkoły baletowej; stworzył specjalne oddziały policyjno-wojskowe, odpowiedzialne za ład, porządek i bezpieczeństwo na terenie ekonomii królewskich.

Przy tym wszystkim rozwijał bardzo żywą działalność polityczną, starając się stworzyć na Litwie stronnictwo królewskie niezależne od centralistycznie regulowanej polityki stronnictwa Czartoryskich, na którym Stanisław August był zmuszony opierać się w swoich zabiegach o koronę. Tyzenhauz był również niezmiernie cenny dla króla nie tylko jako jego główny agent polityczny na Litwie (a trzeba również pamiętać, że to co wówczas nazywano Litwą obejmowało ogromny kraj od Poługi do Prypeci i od Brześcia aż hen za Witebsk i Mohylew na wschodnich rubieżach), lecz również jako administrator, który na początku swojej działalności potrafił bardzo poważnie podnieść dochody skarbu królewskiego, znajdującego się w ciągłych tarapatach.

Adam Mickiewicz upamiętnił w „Panu Tadeuszu” jego rolę wewnętrznopolityczną charakteryzując Maćka Dobrzyńskiego, który:

*„Z konfederata stał się stronnikiem królewskim
I trzymał z Tyzenhauzem, podskarbin Litewskim.
Lecz gdy Król w Targowicy przyjął uczestnictwo,
Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo”.*

Dla ilustracji skali, na jaką Tyzenhauz rozwinął swoją inicjatywę przedsiębiorczą warto wymienić najważniejsze centra koncentracji manufaktur, tzn. fabryk gdzie produkcja nie miała jeszcze charakteru maszynowego, a była oparta na podziale pracy ręko-dzielniczej. Szczególne skupienie przemysłu usiłował Tyzenhauz stworzyć w okolicach Grodna, gdzie zostały założone fabryki sukna, płótna, wyrobów jedwabniczych, lekkich materiałów na podszewki, dywanów; fabryka złota (wykonująca roboty jubilerskie jak również różne materiały przetykane złotymi i srebrnymi niciami), pończoszarnia, karetarnia, woskarnia, tzn. fabryka świec (pamiętać należy, że nie tylko elektryczności lecz również lampy naftowej wówczas jeszcze nie było), garbarnia, farbiarnia, kapeluszkownia, olejarnia, fabryka kart, fabryka koronkarska; była rów-

niez grupa fabryk metalowych, wytwarzających broń palną, igły i szpilki; w zarodku były ludwisarnia oraz hamernia do wyrobu kos, mennica, szlifiernia oraz warsztat do wyrobów mosiężnych. Te fabryki metalowe wywołały nawet zaniepokojenie Rosjan, którzy zarzucali Tyzenhauzowi, że budował fortecę na Horodnicy pod Grodnem. Poza tym w stadium przygotowawczym były fabryki kwasu azotowego i siarkowego, rurownia, piapiernia, cukrownia oraz fabryka fajansów.

Drugi okręg przemysłowy, który Tyzenhauz usiłował rozwinąć, znajdował się w okolicach Brześcia. Były tam manufaktura sukienna, huta żelazna z wielkim piecem do przetapiania, niskowartościowej zresztą, rudy błotnej i ławkowej na surowiec oraz dwie fryzery do przetapiania rudy na żelazo kute, hamernia do wyrobów miedzianych, szlifiernia, tartak i kilka młynów. W Szawłach była fabryka płótna, a w Mohylewie, który wówczas znaczył kresy wschodnie Rzeczypospolitej, założono niedużą fabrykę broni, w której król radził Franciszkowi Branickiemu, hetmanowi koronnemu, dla nowego pułku broń robić. Po różnych innych częściach ekonomii królewskich zaprowadzał Tyzenhauz nowe młyny wodne i wiatraki, krupiarnie, olejarnie, browary i garbarnie. Intensyfikował również eksploatację puszczy i lasów litewskich, zajmując tysiące rąk przygotowywaniem towarowego drzewa, pędzeniem smoły, dziegciu i wypalaniem potażu. Prócz tego usiłował on stworzyć poważne ośrodki przemysłowe w swoich dobrach prywatnych, a szczególnie w Postawach, odziedziczonych po matce, które wówczas należały do powiatu oszmiańskiego. Były tam cegielnie, młyny wodne i wietrzne, pasiarnia, piapiernia, warsztaty tkackie, mosiężnia i garbarnia.

Zaznajomienie się z działalnością Tyzenhauza rodzi szereg pytań. Pierwsze dotyczy sylwetki psychicznej tego niewątpliwie niezwykłego człowieka. Na czym polegała ta siła, która nakazywała mu podejmować coraz to nowe inicjatywy i rodziła ten pośpiech twórczy, który wyrażał się w rozpoczynaniu realizowania projektów przedtem niż odpowiednie plany były przygotowane. Pytanie drugie dotyczy tych prądów i idei umysłowych, a również tych wzorów zagranicznych, które znalazły swoje odbicie w polityce Tyzenhauza. Po trzecie rodzi się naturalne pytanie, jakie były przyczyny ostatecznej katastrofy, która przyniosła zawalenie się całego gmachu krajowego przemysłu, zbudowanego z inicjatywy Tyzenhauza oraz z inicjatywy jego bezpośredniego mocodawcy, króla Stanisława Augusta.

Jeżeli chodzi o pytanie pierwsze, autor daje wiele materiału dotyczącego rodu Tyzenhauza oraz różnych koligacji centralnej postaci, stosunkowo jednak niewiele dla zarysowania sylwetki

psychicznej tego niezwykłego człowieka, który mając majątek, tytuły, pozycję, był ciągle pochłonięty gorączkowym reperowaniem rwących się nici stworzonej przez siebie ogromnej sieci i umarł w 52-tym roku życia, nie zdążywszy założyć własnej rodziny. Jeżeli chodzi o drugie i trzecie pytania to zasługą Kościłkowskiego jest zreferowanie przede wszystkim tego ogromnego, a nieznanego szerszemu ogółowi materiału, który on zdobył w ciągu trzydziestopięcioletniego studiowania archiwów, unikając, o ile to możliwe, narzucania czytelnikowi własnego sądu. Podaje jednak mnóstwo faktów, które, razem wzięte, pozwalają czytelnikowi na urobienie własnego syntetycznego poglądu na właściwe znaczenie epopei Tyzenhauza; a również rzucają snopy światła na różne inne problemy gospodarcze i społeczne we wschodniej części dawnej Rzeczypospolitej w owym tragicznym dla nas okresie drugiej połowy XVIII wieku; a także pozwalają na wyrobienie sądu o głównych przyczynach ostatecznej katastrofy, którą skończyła się epopea Tyzenhauza.

Merkantylizm Litewski

Dzieje, które opisuje Kościłkowski w tym swoim *magnum opus*, można nazwać dziejami merkantylizmu litewskiego. Merkantylizm był kierunkiem myślenia ekonomicznego, który uzależniał pomyślność gospodarczą państwa od czynnego bilansu handlowego, tzn. od nadwyżki eksportu nad importem. Czynnikiem który w dawnych czasach szczególnie sprzyjał rozbudowie eksportu było przede wszystkim posiadanie własnego wielkiego przemysłu a szczególnie branży wytwarzających przedmioty zbytku. Stąd polityka merkantylistyczna prawie zawsze łączyła się z popieraniem przez państwo rozwoju produkcji przemysłowej. Jedynie w Anglii uprzemysłowienie przyszło w drodze spontanicznej, chociaż Anglia również przeszła przez okres polityki merkantylistycznej, nastawionej przeważnie na handel morski i kolonialny. Prawie wszędzie indziej pierwsze wielkie pchnięcie musiało być dane przez państwo. Nastawienie na przedmioty zbytku jest zrozumiałe: szerokie masy nie stanowiły wówczas dużego rynku odbiorców, gdyż żyły przeważnie w warunkach gospodarki naturalnej. Poza tym zakładano w okresie merkantylizmu manufaktury, wytwarzające na potrzeby wojska, co wiązało się oczywiście z powstaniem armii stałych, utrzymywanych przez skarb państwa.

Klasycznym przykładem polityki uprzemysłowienia jest działalność Colberta, Ministra Skarbu Ludwika XIV, który nie tylko

popierał i subsydiował prywatny przemysł, sprowadzał z zagranicy wykwalifikowanych rzemieślników, starał się im narzucić zrationalizowane metody produkcji, dbał o rozbudowę systemu dróg, lecz również założył szereg manufaktur państwowych, z których niektóre trwają po dziś dzień. Colbert stworzył model, który z górą sto lat był naśladowany w różnych państwach europejskich, a przede wszystkim w Rosji i Prusach. Piotr I i Katarzyna II prowadzili intensywną politykę uprzemysłowienia Rosji. W drugiej połowie XVIII wieku, w przededniu Wielkiej Rewolucji przemysłowej w Anglii, Ural był jednym z przodujących rejonów Europy w zakresie wytopiania żelaza. Najbardziej chyba pojętnym i inteligentnym z naśladowców Colberta był Fryderyk Wielki, współczesny Tyzenhauzowi.

Przykłady więc dla Rzeczypospolitej w epoce Stanisława Augusta szły z dwóch stron, zarówno z Zachodu jak i ze Wschodu. Jest rzeczą naturalną że człowiek, tak wrażliwy na wszystkie prądy umysłowe i polityczne jego czasów, jakim był Stanisław August, musiał być pod sugestią tych przykładów, chociaż we Francji ostatnim krzykiem mody intelektualnej była już w owym czasie reakcja anty-Colbertowska, płynąca z teorii fizjokratycznych. *Tableau économique* Quesney'a została po raz pierwszy opublikowana w 1758 r., tzn. niemal że w przededniu rozpoczęcia eksperymentów Tyzenhauza i nie zdążyła jeszcze ostudzić entuzjazmu polskich zwolenników polityki merkantylistycznej.

Przykłady pruskie i rosyjskie musiały również sugestionować bardziej wykształconych przedstawicieli polskiej magnaterii. W Koronie próby zakładania wielkich przedsiębiorstw przemysłowych przysły nieco przed rozpoczęciem aktywności Tyzenhauza na tym polu. Kościółkowski wymienia wielkie piece i kuźnie, które powstały w posiadłościach biskupstwa krakowskiego około 1748 roku; oraz fabryki wyrobów żelaznych, które w owym czasie już istniały w dobrach kanclerza koronnego Jana Małachowskiego (ojca Stanisława, marszałka Sejmu Czteroletniego). W 1765 roku powstała w Warszawie Kompania Manufaktur Wełnianych, towarzystwo akcyjne, w którym wzięło udział szereg osobistości, zarówno spośród arystokracji jak i patrycjatu miejskiego, która zresztą zbankrutowała po kilku latach. Ruch w kierunku zakładania towarzystw akcyjnych trwał jednak nadal. W roku 1787 powstała fabryka płócien założona przez prymasa Poniatowskiego, a w 1782 roku Kompania dla handlu czarnomorskiego. Kościółkowski wymienia również kilka zakładów założonych na Litwie przez Radziwiłłów jeszcze przed Tyzenhauzem, między innymi sławna fabryka pasów w Słucku. W tym samym okresie Platerowie usiłowali stworzyć ośrodek przemysłowy na Inflantach

w Krasławiu nad Dźwiną, kilkadziesiąt kilometrów na południowy-wschód od Dyneburga.

Dwie właściwości nadawały specyficzny charakter wysiłkom Tyzenhauza w kierunku uprzemysłowienia W. Ks. Litewskiego. Po pierwsze była to polityka bardziej etatystyczna, niż w większości znanych nam przykładów historycznych. Na zaraniu nowoczesnego kapitalizmu polityka uprzemysłowienia polegała przede wszystkim na popieraniu i ochranianiu prywatnej inicjatywy. Państwo, jako przedsiębiorstwo, nawet w polityce Colberta, odgrywało rolę drugorzędną. Przedsiębiorstwa Tyzenhauza zaś były przeważnie prowadzone na rachunek Skarbu królewskiego, chociaż nie wykluczał on przekazania ich z biegiem czasu w ręce prywatne.

Drugą cechą specyficzną polityki Tyzenhauza było nałożenie szczególnych ciężarów na ludność włościańską, aby pokryć koszty uprzemysłowienia. Wzrost eksploatacji chłopów był nieodłączną cechą tej polityki. Możemy to nazwać zastosowaniem rosyjskiego modelu akumulacji. Problem ten wymaga oddzielnego omówienia.

Model Rosyjski

Uprzemysłowienie wymaga skierowania pewnej ilości czynników produkcji na wytwarzanie dóbr kapitałowych (gmachów, maszyn, narzędzi fabrycznych itp.), tzn. dóbr które służą do użycia w procesie dalszej produkcji i nie dają więc możliwości natychmiastowego powiększenia konsumpcji. Oznacza to, że gdy w procesie uprzemysłowienia kraju globalna produkcja rośnie, to wytwarzanie dóbr konsumpcyjnych wzrasta mniej niż proporcjonalnie do ogólnego wzrostu, lub może nawet spadać. Jeżeli wykluczmy przyływ kapitałów zagranicznych, to ta różnica pomiędzy czystą wartością globalnej produkcji a wartością dóbr przeznaczonych na konsumpcję będzie stanowiła miarę ofiary, którą bieżące pokolenie ponosi dla powiększania potencjału produkcyjnego gospodarki narodowej. Ciężary, z tej ofiary wynikające, mogą być różnie rozkładane pomiędzy różne warstwy społeczne. Sposób tego rozdziału jest jedną z podstawowych cech tego co nazywamy modelem uprzemysłowienia.

Tradycyjną cechą rosyjskiego modelu i rosyjskiej polityki uprzemysłowienia, od Piotra Wielkiego aż do Stalina, było, że większość tych ciężarów przerzucano zwykle na barki chłopów rosyjskiego. Na Zachodzie wczesnokapitalistyczne uprzemysłowienie było związane z procesem likwidacji stosunków feudalnych i tworzeniem się proletariatu, tzn. ludzi osobiście wolnych, którzy

jednak musieli sprzedawać swoją siłę roboczą, aby utrzymać się przy życiu. Ten proces likwidacji feudalizmu był często bardzo bolesny dla rolnika, którego czasami wyrzucano z ziemi, na której siedział przez pokolenia, lecz jego formalna swoboda dysponowania swoją osobą nie zmniejszała się lecz wzrastała. W Rosji osiemnastowiecznej widzimy odwrotne zjawisko: kapitalizm przynosi przetwarzanie się pańszczyzny w niewolnictwo, którego Ruś Moskiewska przed Piotrem nie znała. Nawet ten skromny zakres swobody, który chłop przytwierdzony do ziemi posiadał, zostaje mu odebrany.

Zakłady przemysłowe, założone w okresie reform Piotra I, były w ogromnym stopniu oparte na pracy chłopów pańszczyźnianego. Chłop rosyjski został ostatecznie przytwierdzony do ziemi za czasów cara Aleksieja Michajłowicza, ojca Piotra I; za czasów Piotra kupcy, którzy prowadzili zakłady przemysłowe na Uralu, otrzymali prawo nabywania i sprzedawania chłopów pańszczyźnianych; przy tym rodziny były nieraz rozdzielane bez żadnych skrupułów, chociaż car sugerował, zresztą w sposób nie obowiązujący, szanowanie więzów rodzinnych w dysponowaniu niewolną ludnością. Ten proces tworzenia nowoczesnego niewolnictwa pogłębił się za czasów Katarzyny II. Od początku XIX wieku rozpoczął się proces odwrotny: stopniowego rozluźniania niewolniczej pozycji chłopów, lecz to nie zmniejszyło czysto ekonomicznego nacisku na stopę życiową. Rosja carska, nawet w okresach periodycznych głodów, eksportowała zboże, aby zdobyć środki niezbędne dla importu urządzeń przemysłowych, tak samo zresztą jak to robiła Rosja stalinowska w początku lat trzydziestych. Znane jest powiedzenie carskiego Ministra Skarbu Bunge: „nie dojedźmy, a wywieziemy”. Stalin wprowadził kolektywizację nie tyle jako nową organizację produkcji rolnej, lecz przede wszystkim jako mechanizm kontroli nad rozdziałem środków spożywczych potrzebnych dla wyżywienia wojska i rosnącej w ogromnym tempie armii robotników przemysłowych. W latach trzydziestych stopa życiowa chłopów rosyjskiego spadła poważnie nie tylko w stosunku do okresu przedkolektywizacyjnego lecz również w stosunku do okresu przedrewolucyjnego. Prócz tego setki tysięcy chłopów posłano do obozów pracy przymusowej w północnych lasach, aby produkować eksportowy materiał drzewny, potrzebny dla związania bilansu płatniczego w okresie gwałtownego uprzemysłowienia.

Polityka Tyzenhauza była również związana ze zwiększeniem eksploatacji chłopów w ekonomiach królewskich na Litwie. W założonych przez niego zakładach używano również pracy pańszczyźnianej, chociaż dane zawarte w omawianej książce nie pozwalają ustalić jaki był współczynnik tej pracy w kosztach produkcji. Ty-

zenhauzowska próba stworzenia kapitalizmu litewskiego zastosowała system pośredni pomiędzy zachodnioeuropejską wczesnokapitalistyczną metodą eksploatacji wolnego robotnika oderwanego od ziemi, a rosyjskim osiemnastowiecznym systemem, który stanowił próbę odbudowania niewolnictwa.

Ciężary nałożone na ludność włościańską znalazły swój wyraz również w przenoszeniu chłopów w ekonomiach królewskich z czynszów z powrotem na pańszczyznę. Zastępowanie pańszczyzny przez czynsze było uważane w owych czasach za objaw postępu społecznego. W ekonomiach królewskich proces ten rozpoczął się jeszcze w wieku XVII. Zarówno w Rzeczypospolitej, jak i w Rosji, światlejsi i bardziej wykształceni ziemianie wprowadzali te reformy w swoich dobrach w końcu XVIII i początku XIX wieków. Puszkina w swoim najsławniejszym poemacie „Jewgienij Oniegin” opisuje co się stało gdy jego bohater odziedziczył duży majątek:

*„Oniegin dla zabicia czasu
Reformy zaprowadzać jął.
Samotny mędrzec na swej ziemi,
Pańszczyzny starej jarzmo zmienił
Na skromny czynsz — i dawny rab
Swą dolę błogostawi, rad.
Nadął się na to sąsiad skąpy
Dostrzegłszy w tym straszliwe zło,*”*

Otóż Tyzenhauz zachowywał się właśnie jak ów *rasczetliwyw sosied*”, tylko że nietylko na własny ile na królewski rachunek. Tyzenhauz chciał utrzymać i rozwinąć system gospodarki folwarcznej, chociaż w ówczesnych warunkach polskich i rosyjskich wiązała się ona z zachowaniem systemu pracy pańszczyźnianej. Bo tylko gospodarka folwarczna gwarantowała podaż zboża towarowego, a plany Tyzenhauza polegały, między innymi, na zorganizowaniu na wielką skalę eksportu produktów rolnych z ekonomii królewskich. Ten eksport był potrzebny nie tylko dla podniesienia dochodów chronicznie pustego skarbu królewskiego, lecz również dla pokrycia kosztów związanych ze sprowadzeniem do nowopowstałych manufaktur urządzeń, surowców oraz specjalistów zagranicznych.

Rozwijając centralistycznie i biurokratycznie zarządzany system folwarków królewskich, Tyzenhauz tworzył wzory dla późniejszych sowieckich sowchozów oraz polskich PGR-ów. Kościół

* Przekład Juliana Tuwima.

kowski podaje dość wiele materiałów co do schematu organizacyjnego tego kierownictwa królewskich ekonomii, włączając w to nawet dość szczegółowe przepisy kto i w jakiej mierze był uprawniony do wymierzania kar cielesnych. Bliższe zbadanie tego schematu może być wdzięcznym tematem dla ekonomisty-rolnika oraz dla historyka gospodarczego zainteresowanego specjalnie w rozwoju metod centralistycznego zarządzania produkcją rolną we Wschodniej Europie.

Bunty Chłopskie a Konfederacja Barska

Te bolesne dla włościaństwa początki kapitalizmu w Rosji, nie przeszły bez wybuchów gwałtownego oporu. W Rosji wywołały one powstanie Pugaczowa, uwiecznione przez Puszkina w jego powieści „Kapitanskaja Doczka”. Powstanie Pugaczowa objęło płomieniem rewolucji całe dolne dorzecze Wołgi i omal że nie zachwiało tronem Katarzyny. Pugaczow podawał się za prawowitego cara Piotra III, który cudem uniknął morderczej ręki kochanków carycy.

Na Litwie były również odruchy oporu i — rzecz ciekawa — wiązały się one w dużym stopniu z Konfederacją Barską. Kościółkowski pisze o powstaniu chłopów w ekonomii szawelskiej w 1769 roku, któremu profesor przedwojennego Uniwersytetu Kowieńskiego, Janulajtis, poświęcił specjalną rozprawę. Wspomina również o fermentach i rozruchach w kilku innych miejscowościach, przeważnie na Żmudzi, lecz również w ekonomii Brzesko-Kobryńskiej. Jest dużo wzmianek również o „kupach swawolnych”, przeciwko którym Tyzenhauz musiał organizować obronę ekonomii królewskich. O ile można zrozumieć, były to oddziały złożone przeważnie z włościan litewskich i białoruskich, które wspierały akcję konfederatów barskich.

Stawia to nas wobec bardzo interesującej kwestii aspektów społecznych Konfederacji Barskiej. Były one inne na Litwie niż na Ukrainie. Na Ukrainie, Rosja tradycyjnie wykorzystywała antagonizmy społeczne, okazując opiekę „czerni” przeciwko panom. Podczas Konfederacji Barskiej agenci rosyjscy wywołali rzeź humaną, chociaż potem interwencyjne oddziały rosyjskie rozprawiły się bezlitośnie z bandą Żeleźniaka, mordując również szereg zupełnie niewinnych ludzi, aby zapobiec rozprzestrzenieniu się ruchów chłopskich na Ukrainę lewobrzeżną, która była już przechrzczona na Małorosję.

Na Litwie sytuacja była całkiem inna; czynnik religijny usposabiał ludność raczej życzliwie dla konfederatów. Chłop litewski

był katolikiem, chłop białoruski na znacznej części obszaru Wielkiego Księstwa Litewskiego był unitą. Unia była systemem religijnym bardziej związanym z kulturą ludową wsi białoruskiej, niż kościół rzymsko-katolicki oraz cerkiew prawosławna, która w XVIII wieku była już ekspozyturą Moskwy. W konfederatach barskich widział chłop białoruski tych, którzy gotowi byli go bronić przed królem, panami i sprowadzonymi przez panów interwencyjnymi oddziałami rosyjskimi. Aspekty społeczne Konfederacji Barskiej czekają jeszcze na swego historyka.

Upadek Tyzenhauza

Z materiałów zawartych zarówno w omawianej książce, jak i w artykule Kościółkowskiego o Tyzenhauzie, wydrukowanym w 1956 roku w *Alma Mater Vilnensis*, nie wynika wcale aby upadek całego systemu zbudowanego przez Tyzenhauza nastąpił w rezultacie wyraźnego bankructwa założonych przez niego przedsiębiorstw, chociaż niewątpliwie przechodziły one przez bardzo poważne trudności finansowe. Upadek ten był przede wszystkim skutkiem intryg politycznych. Decydującą rolę odegrała interwencja ambasadora rosyjskiego Stackelberga, który latem 1780 roku zażądał odebrania Tyzenhauzowi zarządu nad ekonomiami królewskimi.

Dziś, gdy z perspektywy dwóch stuleci rozważamy dzieje opisane przez Kościółkowskiego, możemy jednak wysunąć tezę, że gdyby nawet wspomniane intrygi polityczne nie miały miejsca, zryw Tyzenhauza do założenia fundamentów pod uprzemysłowienie Wielkiego Księstwa Litewskiego miał bardzo mało widoków powodzenia. Postarajmy się wymienić po krótku te warunki, które były szczególnie niepomysłne dla inicjatywy Tyzenhauza.

Po pierwsze, nie miał on odpowiedniej rezerwy finansowej, czy też kredytowej, aby przetrwać okres nieuniknionych błędów i dysproporcji związanych z każdym wielkim planem rozbudowy aparatu wytwórczego przez instytucje publiczne, szczególnie jeżeli ów plan jest realizowany bez uprzednich studiów przygotowawczych. Z doświadczenia ostatniego półwiecza w różnych krajach wiemy, że takie błędy i dysproporcje są absolutnie nieuniknione i że pewien okres musi być preliminowany na ich przezwyciężenie. Zyski z poczynionych inwestycji zaczynają przychodzić dopiero po pewnym czasie. Król jednak, jak się wydaje, oczekiwał od Tyzenhauza cudów gospodarczych. Gdy istotnie nastąpiło pewne powiększenie się dochodów, które było prawdopodobnie skutkiem bardziej bezwzględnej ściągania należności od różnych dłużników

i klientów ekonomii królewskich, król zaciągnął pożyczkę hollenderską (gwarantowaną przez Ambasadę Rosyjską), zastawiając dalsze dochody z ekonomii litewskich. Usiłowania Tyzenhauza uniknięcia płacenia kolejnych rat tej pożyczki ze środków ekonomii litewskich były — jak wynika z artykułu Kościałkowskiego w *Alma Mater Vilnensis* — głównym powodem utraty przez niego łaski królewskiej i przyczyniły się do jego dymisji.

Drugim czynnikiem utrudniającym realizowanie planów Tyzenhauza była okupacja rosyjska. Okres najbardziej intensywnej aktywności Tyzenhauza, jak to już było wspomniane, zbiegł się z Konfederacją Barską. Oddziały konfederatów napadały na ekonomie królewskie i Tyzenhauz był zmuszony do odwoływania się do opieki rozrzuconych po kraju komend rosyjskich, a na Żmudzi prosić nawet pomocy zbrojnej u nadgranicznych komendantów pruskich oraz u księcia Kurlandzkiego. Lecz owe „protegujące wojska” rosyjskie stanowiły również duży ciężar dla ekonomii królewskich i popełniały nadużycia, przeciwko którym Tyzenhauz odwoływał się do opieki królewskiej. Rosjanie zabraniali, między innymi, eksportu zboża z Litwy aż do czasu napełnienia magazynów rosyjskich, a tymczasem strugi rosyjskie eksportujące produkty rolne płynęły przez terytorium Rzeczypospolitej do Rygi, nie opłacając żadnego cła. W tych warunkach merkantylistyczne koncepcje Tyzenhauza traciły w dużym stopniu możliwość realizacji.

Trzecim czynnikiem, który ogromnie utrudniał inicjatywę Tyzenhauza, była mentalność społeczeństwa W. Ks. Litewskiego, obca zupełnie wymogom systemu gospodarki uprzemysłowionej. Tłumaczy to dlaczego po politycznym upadku Tyzenhauza znaczna większość założonych przez niego przedsiębiorstw uległa likwidacji. W gospodarce kapitalistycznej, gdy poszczególne przedsiębiorstwo bankrutuje przechodzi ono zwykle w inne ręce; — i nowy właściciel, który nabywa masę upadłościową, może kontynuować produkcję w zupełnie oddłużonym zakładzie. Bankructwo poszczególnych przedsiębiorstw niekoniecznie jest stratą dla całości gospodarstwa społecznego. Pod koniec swojej działalności, jako podskarbiego nadwornego litewskiego, Tyzenhauz myślał o zapewnieniu trwałości zainicjowanym przez siebie przedsiębiorstwom przez przekazywanie ich w ręce prywatne. Dążył do utworzenia wielkiej kompanii z udziałem kapitału zagranicznego, która by kontynuowała dzieło uprzemysłowienia Litwy. W latach 1777-1778 przedsięwziął on nawet podróż zagranicę aby szukać udziałowców spółki do przejścia manufaktur grodzieńskich.

W społeczeństwie osiemnastowiecznej Rzeczypospolitej nie było jednak sił, które byłyby gotowe kontynuować inicjatywę

Tyzenhauza. Gdy w 1780 roku pozbawiono go urzędu nastąpił kompletny rozkład większości przedsiębiorstw oraz utrata prawie wszystkich kapitałów tam zainwestowanych. Jego następca, Ksawery Rzewuski, po prostu ogłosił, że „rękodzielnie jako kosztowne i niepotrzebne zamyka”, i że od 1 sierpnia 1780 roku żadnemu już rękodzielnikowi zatrudnionemu w tych zakładach płacone nie będzie. W kilka lat potem Staszic w pismach swoich bardzo surowo ocenił to niszczenie przedsiębiorstw założonych przez Tyzenhauza. Przez pewien czas funkcjonowała jedynie „Kompania Manufaktur Grodzieńskich”, która prowadziła fabrykę sukna oraz garbarnię przejętą przez grupę prywatnych osób. Niezależnie również funkcjonowała drukarnia. Wszystko to uległo likwidacji po trzecim rozbiore Rzeczypospolitej.

Ten upadek osiemnastowiecznej próby uprzemysłowienia Litwy nasuwa pytanie dlaczego wczesnokapitalistyczne ukształtowanie stosunków gospodarczych, które rozwinęło się w Europie w XVII i XVIII wiekach nie objęło Rzeczypospolitej. Karol Marx, pierwszy wielki badacz narodzin kapitalizmu, głosił, że pierwszym warunkiem kapitalistycznego ukształtowania gospodarki jest akumulacja kapitałów. Niemieccy socjologowie i historycy gospodarczy — Max Weber oraz Werner Sombart — którzy kontynuowali te badania Marxa doszli do przekonania, że sama akumulacja nie wystarczy; potrzebna jest jeszcze pewna specyficzna postawa psychiczna którą oni nazwali *der Geist des Kapitalismus*. Odpowiedź na pytanie dlaczego owa postawa psychiczna nie wytworzyła się wśród społeczeństwa Rzeczypospolitej, skoro jednak rozwinęła się ona wśród innych narodów Europy, nie jest zadaniem dzieła Kościałkowskiego, który przede wszystkim relacjonuje i porządkuje fakty, unikając, o ile to możliwe, rozważań ogólnych. Lecz lektura jego książki pobudza do szukania tej odpowiedzi, która tkwić musi w poznaniu dziejów społecznych, gospodarczych i kulturalnych Polski Wazów i Polski Sasów.

Model Rosyjski a czasy obecne

Rozważanie nad istotą rosyjskiego modelu uprzemysłowienia w epoce Tyzenhauza narzuca pytanie o roli tego modelu w późniejszych okresach dziejów gospodarczych Polski. Zmusza to nas do przekroczenia ram tematu omawianej książki. Rosyjska metoda łączenia uprzemysłowienia ze szczególnym naciskiem na chłopą wystąpiła w historii Polski w bardzo jaskrawej formie jeszcze dwa razy: w pierwszej połowie XIX wieku, za czasów Królestwa Kongresowego, gdy Ksawery Drucki-Lubecki tworzył podstawy

przemysłu polskiego, a potem znowu, po upływie więcej niż stu lat, za czasów Bieruta i Hilariego Minca. Oderwanie się od tej antychłopskiej części rosyjskiego modelu było zdobyczą polskiego „Października” i wiąże się z nazwiskiem Gomułki. Zdobyć „Października” w zakresie swobód indywidualnych, kultury narodowej, rad robotniczych zostały niedługo potem rzucone do śmietnika; lecz zdobycze w zakresie polityki rolnej wydają się, jak dotychczas, nienaruszone. Październik nie tylko przyniósł ulgę polskiej wsi, lecz niedługo potem Chruszczow przeprowadził w Związku Sowieckim kilka reform, poprawiających dolę kołchoźników rosyjskich. Nie jest wykluczone że pomiędzy tymi faktami był jakiś związek.

W Rosji stalinowska metoda eksploatacji wsi dla celów uprzemysłowienia spotkała się z opozycją Bucharina oraz szeregu ekonomistów, odpowiedzialnych za ułożenie pierwszej wersji Pierwszego Planu Pięcioletniego, którzy za tę opozycję zapłacili własnym życiem. W Polsce temu rosyjskiemu modelowi przeciwstawił się Gomułka i, jak się wydaje, wygrał, chociaż był o włos od tego aby oddać głowę. Polska dzisiejsza pod względem metod administracji przemysłowej jest bliższa wzorom rosyjskim, niż jakiegokolwiek inne państwo w bloku sowieckim; lecz w zakresie rozdziału ciężarów związanych z uprzemysłowieniem obecna Polska jest ilustracją tezy, że przemysł socjalistyczny może być budowany bez tego specjalnego nacisku eksploatacyjnego na rolnika, który charakteryzował politykę Stalina.

Stanisław SWIANIEWICZ

Halifax, Kanada, sierpień 1970

Józef LEWANDOWSKI

„HISTORIA POLSKI” ST. KIENIEWICZA

Omawiana publikacja profesora Stefana Kieniewicza, pomyślana przede wszystkim jako podręcznik uniwersytecki, powstała w związku z konkretną potrzebą i równie konkretnym zapotrzebowaniem. Źródła tego zapotrzebowania tkwią w tym, że wydawana sukcesyjnie od kilkunastu już lat przez Instytut Historii

* Stefan Kieniewicz, *Historia Polski 1795-1918*. Warszawa, PWN, 1968, str. 612.

Polskiej Akademii Nauk tak zwana „synteza” dziejów Polski¹ daleka jest jeszcze od ukończenia. Tom pierwszy, obejmujący okres od roku 1764 doczekał się już trzech wydań, jeśli w to wliczyć i drukowaną w 1955 dyskusyjną „makiętę” — i według powszechnej, niekwestionowanej opinii jest już przestarzały, zwłaszcza że pisany był w okresie hegemonii koncepcji marksizmu instytucjonalnego. A jednocześnie tom trzeci i czwarty ciągle jeszcze są dalekie od ukończenia.

Tomy „syntezy” uległy rozbudowie przekraczającej wszelkie początkowo rozsądnie założone ramy konstrukcyjne. Tom pierwszy i drugi liczą około 1.500 stron każdy, makieta części tomu czwartego, poświęcona trzechletniemu okresowi lat 1918-1921 liczy też 500 stron druku. Synteza utraciła swój zamierzony charakter, stała się zbiorem mniejszych lub większych prac monograficznych, pożytecznych, ciekawych, często nawet odkrywczych, lecz zbiorem o dość subiektywnym wyważeniu hierarchii ważności faktów i zjawisk. Wszystko to razem utrudnia korzystanie z niej jako podręcznika uniwersyteckiego.

Dlatego też wyłoniła się przed kilku laty koncepcja nowego podsumowania dziejów, podsumowania korzystającego z dotychczasowego dorobku, ale bardziej zwarte, bardziej jednolitego oraz nie obciążonego tymi tezami okresu stalinowskiego, które „zostały wycofane z obiegu”.

Całość ma się składać z trzech tomów. Pierwszy, od czasów najdawniejszych do 1795 roku ma być dziełem Aleksandra GIEY-SZTORA, Stanisława HERBSTA i Bogusława LEŚNODORSKIEGO, trzeci (lata 1918-1939) — T. JĘDRUSZCZAKA i Cz. MADAJ-CZYKA, drugi tj. recenzowany został napisany przez Stefana KIENIEWICZA.

Trudno przewidzieć, jak zostaną zrealizowane założenia całości. Na pewno powstanie publikacja bardziej zwarta, bardziej czytelna. Można liczyć, że po ukazaniu się całości student będzie miał na przestrzeni roku lub semestru, tj. od egzaminu do egzaminu, do czynienia z jakimś usystematyzowanym poglądem na dzieje. Przypuszczalnie jednak każdy tom będzie nosił piętno indywidualności autorów (lub jej braku — ale nie wyprzedzajmy wydarzeń). Nie jest to minusem, jako że najgorszą rzeczą jest unifikacja, monizm dążący do wysterylizowania intelektualnego studentów.

Opublikowany, tj. omawiany, tom będzie najbardziej jednolity pod względem autorskim. Mało tego, stwarza on okazję przedyskutowania aktualnego stanu określonej koncepcji historiozoficznej, której przedstawicielem jest Stefan Kieniewicz. Praca Kieniewicza ukazała się w 1968 roku i nie wywołała żywszej dyskusji — ani ten rok ani następny nie były łatwe w Polsce i obfi-

1. *Historia Polski*, t. I., cz. I i II, Warszawa 1957 i 1958, t. II, cz. I i II — 1958, cz. III — 1959, t. III, cz. I — 1963, t. IV, cz. I (makieta) — 1966.

towały w zmartwienia w obliczu których problemy naukowe musiały zejść na plan dość odległy. Zresztą występowanie wówczas z głosami krytycznymi jeśli nawet nie było monopolem „marcowych docentów” to stosowane było niechętnie: w ówczesnych warunkach nawet podyktowane tylko naukowymi względami wypowiedzi mogły być przyjęte przez opinię publiczną jako hasło do nagonki.



Stefan Kieniewicz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego a do niedawna również wicedyrektor Instytutu Historii PAN wyszedł ze szkoły Marcelego Handelsmana, która dała tylu wybitnych badaczy. Należąc do starszych uczestników seminarium Handelsmana, jednak jako badacz Kieniewicz rozwinął się i zdobył rozgłos dopiero po II wojnie światowej. Głównym przedmiotem jego zainteresowań stało się powstanie styczniowe 1863 roku z antecedencjami i następstwami włącznie. Pracujący dużo i systematycznie, szybko został uznany za najwybitniejszego znawcę tych zagadnień, a książki przezeń napisane składają się na całkiem pokaźną, poważną biblioteczkę.

Ugruntowaniu jego autorytetu sprzyjała zarówno gruntowna znajomość materiału faktycznego jak i walory literackie jego prac. O ile później krytykowane były tezy, o tyle chyba nigdy nie wysunięto wobec niego zarzutu preparowania faktów, a nie była to cnota powszechna w okresie, gdy Kieniewicz zdobywał swą pozycję.

Stał się Kieniewicz osobą najbardziej chyba reprezentatywną dla określonego kierunku myślowego w poznaniu historycznym, dla kierunku torującego sobie nie tyle drogę co hegemonię w życiu naukowym Polski lat pięćdziesiątych.

Termin „marksizm” należy do najbardziej zmistyfikowanych pojęć współczesnego świata, do którego odwołują się przeciwstawne koncepcje poznawcze i polityczne. Nie podejmuję się więc beznadziejnej próby określenia czym jest „prawdziwy marksizm” i czy takowy istnieje i w jakim stosunku do niego znajdowały się i znajdują poglądy omawianego autora. Zakładam, że tyle jest fenomenów marksizmu ile jego interpretatorów. Natomiast celowe wydaje mi się omówienie metody naukowej Kieniewicza jako jednego z fenomenów marksizmu w życiu naukowym Polski.

Powszechnie, niemal bez istotniejszych wyjątków, w polskim świecie historycznym uważa się, że indoktrynowanie marksizmu w sferze dziejów dawnych, niezależnie od okoliczności okazało się zabiegiem naukowo płodnym.

Ale jest również powszechną opinią, że w historii najnowszej preferowane prace, narzucane tezy itd. niewiele miały wspólnego z nauką. Problem sprowadza się do tego, że jeśli w historii dawnej nacisk utylitaryzmu politycznego był względnie umiarkowa-

ny, to w sferze historii najnowszej uniemożliwił działalność naukową.

Sfera w której ulokował swe zainteresowania Kieniewicz znajduje się na granicy, dość odległa w czasie ale mimo to w znacznym stopniu poddana ciśnieniu prezentyzmu politycznego. Ugrunтоваła autorytet Kieniewicza praca „Sprawa włościańska w powstaniu styczniowym” (Wrocław 1953). Była to częściowo kontynuacja zainteresowań istniejących już wcześniej, by wspomnieć o dobrze znanych pracach Limanowskiego i Handelsmana czy też dopiero po wojnie wprowadzonej do obiegu naukowego spuścizny Hipolita Grynwassera. Było to jednak wprowadzenie do gmachu historii nowych bohaterów, anonimowych mas chłopskich oraz warstw plebejskich, którzy to bohaterowie przemycali się dotychczas kuchennymi schodami, niezbyt zresztą dostrzegani.

Uzależniając problemy polityczne od struktury klasowej, głosząc tezę, że możliwość wyzwolenia w XIX wieku była zależna od aktywności mas chłopskich, wiązał Kieniewicz sprawę wyzwolenia narodowego z potencjalną rewolucją agrarną. Teza ta, częściowo wysuwana i wcześniej, poczynając od Kościuszki, nie-sprawdzalna wskutek swej warunkowości („gdyby”), prowadziła do szeregu tez pochodnych, składających się na system historiozoficzny. A więc gloryfikacja już nie „czerwonych” w powstaniu styczniowym, lecz ich skrajnej lewicy. Wywodziło się z tego systemu nie tyle moralne, ale pragmatyczno-polityczne potępienie ziemian i magnatów utrzymujących stosunki pańszczyźniano-poddańcze, lub powolnie je likwidujących.

Nie był Kieniewicz twórcą tych koncepcji ani wyłącznym ani jedynym. Przeciwnie, był okres krótki ale znamieny, gdy koncepcje te były przyjęte przez niemal wszystkich specjalistów badających dzieje porozbiorowe. Trudno byłoby nawet w chwili obecnej rozdzielić, co w koncepcjach tych było dziełem Kieniewicza a co Bobińskiej, Kuli, Gąsiorowskiej, jakie tezy powstały w INS a jakie zostały narzucone przez Instytut Sławianowiedzenia w Moskwie.

Kieniewicz był przez cały okres powojenny osobą apolityczną. Ale jednak to rozdzielanie sympatii i antypatii, pochwał i przygan musiało być aktem politycznym, niezależnie nawet, czy autor chciał i czy nawet problem ten dostrzegał, choć prawdopodobnie chciał i dostrzegał. Potępienie „białych” było paralełą do potępienia AK, w pochwalę lewicowej skrajności kryła się sugestia o PZPR jako zwieńczeniu nurtu plebejskiego. Potępienie Hotelu Lambert i linii wiążącej nadzieje z Zachodem (wyjątek czyniono dla Henryka Dąbrowskiego i Legionów) było użyteczne dla dyskredytowania tak Legionów Piłsudskiego jak i polskiej emigracyjnej polityki. W apoteozie więzi z rosyjskimi rewolucjonistami — apoteoza „sojuszu” polsko-sowieckiego.

Błędem co prawda byłoby sądzić, że wszystko co w ramach ówczesnych koncepcji powstało nosiło piętno prezentyzmu w jed-

nakowym stopniu i w jednakowym stopniu się zdezaktualizowało. Już wówczas widać było, jak dużo zależało od uczciwości badacza i od jego formatu. W ramach ówczesnych badań powstało dużo publikacji o trwałej wartości, np. Baczki nad mało wcześniej dostrzeganą lewicą Wielkiej Emigracji. Zostały też położone podstawy dla później rozwiniętych prac nad historią gospodarczą i strukturami społecznymi, by wymienić chociażby dorobek Tadeusza Łepkowskiego, Jerzego Jedlickiego, Janiny Leśkiewiczowej.

Mało tego, nie od rzeczy będzie zauważyć, że wraz z uwstecznianiem się ustroju, apoteoza nonkonformizmu, skrajnej lewicowości i międzynarodowej solidarności rewolucjonistów i powstańców jest coraz bardziej wymierzona przeciwko ustrojowi i jego ideologii. Nie zapominajmy, że w publikacjach programowych Kuronia i Modzelewskiego jak i deklaracjach młodzieży z wiosny 1968 znajdujemy odbłask tych koncepcji, które przeżywają teraz jak gdyby swą drugą zupełnie niespodziewaną młodość².

Wracając jednak do spraw naukowych: jest rzeczą charakterystyczną, widoczną chociażby z przytoczonych powyżej nazwisk, że większość badaczy odeszła stopniowo od pragmatycznego traktowania badań historycznych, wyciągając jednak fakultatywnie z obowiązującego wcześniej systemu pojęć to co było użyteczne i inspirujące naukowo. Są więc oni jeśli nie marksistami to sukcesorami Marksa w sensie zbliżonym do tego, w jakim czują się nimi Levi-Strauss, Labrousse lub inni poważni badacze zachodnioeuropejscy ewentualnie amerykańscy.

Kieniewicz pozostał z grubsza na wcześniej zajętych pozycjach. Nie podjął polemiki z Henrykiem Wereszyckim gdy ten w 1958 roku wszczął na Zjeździe Historyków w Krakowie krytykę metody, której Kieniewicz był rzecznikiem³.

Swoje credo naukowe wygłosił w czasie dyskusji nad II tomem syntezy, gdy został zaatakowany za konserwatyzm i uleganie stalinizmowi przez swych niedawnych, bardziej obrotnych, sprzymierzeńców. Kieniewicz stwierdził wówczas, że szedł do marksizmu drogą trudną, przyjął jako głęboko przeżyte przekonania i nie zamierza porzucać dla czynników koniunkturalnych.

To oświadczenie — niewątpliwie szczere — zjednało Kieniewiczowi sympatię środowiska historycznego, wyczulonego — jak i całe społeczeństwo polskie — na imponderabilia. Jeśli jednak odrzucić stronę uczuciową, to uderza w stwierdzeniu uznanie

2. Nie od rzeczy będzie uwaga, że Modzelewski i Michnik są historykami, zaś Kuroń — historykiem myśli pedagogicznej.

3. Niewtajemniczonym godzi się podać, że Wereszycki jest autorem doskonałej „Historii Politycznej Polski w dobie powojennej” (Warszawa 1948). Książki Wereszyckiego były w okresie stalinowskim wyklęte a jej autor odsunięty od warsztatu naukowego. Później anatema raczej zwiędła niż została zdjęta, podręcznik zaś choć pozostawał pozycją dwuznaczną (ostatni atak pióra Żanny Kormanowej we wstępie do III tomu syntezy w 1963 roku), przez studentów jest nadal wysoko oceniany.

priorytetu aprioryzmu metodologicznego nad obiektywizmem dociekań naukowych.

Niezmiennosc ta jest jednak rzeczą względną, choćby dlatego, że osadzona we względnej, dość zmieniającej się rzeczywistości. Widzimy to już w periodyzacji omawianego tomu. Zarzucona została węzłowa periodyzacja, przyjęta w „syntezie” — rok 1863, oparta zarówno o zdanie (błędne) Lenina, że data ta stanowiła granicę między feudalizmem a kapitalizmem w Rosji. W warunkach polskich takie dzielenie dziejów, pomijając tzw. dyrektywę metodologiczną miało na celu zatarcie znaczenia zarówno utraty niepodległości jak i jej odzyskania.

Zrezygnował również Kieniewicz z podziału ciągłości polskiej na narodowość i naród burżuazyjny. Nie wtajemniczeni w kulisy dyskusji historycznych z zadowoleniem zobaczą przywrócenie nieistniejących ongiś w podręcznikach nazwisk przywódców: Piłsudski, Daszyński, Dmowski. Osiągnięcie, którego nie należy przeceniać: od lat pojawiają się one w literaturze monograficznej. Podobnie ma się rzecz z Polską Partią Socjalistyczną. I jeśli nawet ocena roli jej w rewolucji 1905 roku odbiega trochę od prawdy, to łatwo ją sobie przywrócić odpowiednim cytatem z „Kwiatów Polskich” Tuwima.

Jak widzimy, zmiany metodologiczne są dość znaczne i tom Kieniewicza prawdopodobnie przyjęty z ulgą przez studentów, a z zadowoleniem przez laików, którym musiał do przekonania trafić nawrót do tradycjonalistycznych ujęć metodologicznych.

Niestety, omawiany tom nie jest bez „ale”. To, co być może najbardziej rzuca się w oczy i to w oczy nawet nefachowców, to pragmatyzm w traktowaniu tzw. „ziem zabrzanych” czyli używając późniejszej terminologii — „kresów”. Zaczyna się negacja problemu już w strukturze tomu: istnieją rozdziały o zaborze pruskim, o zaborze austriackim, natomiast pomijając rozdział wstępny — zabór rosyjski jest zredukowany do Królestwa Polskiego. Takie potraktowanie problemów polskości na ziemiach leżących na wschód od linii Królestwa Polskiego robi wrażenie podyktowanego względami pozanaukowymi.

Nie użyłbym tego ostrego sformułowania, gdyby nie uprawniały do tego kilkakrotne sugestie i stwierdzenia (np. na str. 52), że Wałbrzych, Kłodzko, Wrocław, Pomorze Zachodnie wchodziły w skład zaboru pruskiego, czyli — innymi słowy — do rozbiorów należały do Rzeczypospolitej. Na str. 387-388 został nawet włączony do historii Polski początków XX wieku nawet Szczecin. Aluzja do „niskich płac roboczych” w ówczesnym Szczecinie ma chyba w kontekście z Górnym Śląskiem nasuwać przypuszczenia o niemieckich kapitalistach wyzyskujących tamtejszą szczecińską ludność polską.

Rozumiem dlaczego tak preparuje się rzeczywistość dziejową, nie rozumiem po co, gdyż pewne metody indoktrynacji stanowią nie dają rezultatów w Polsce.

Nie zamierzam jednak tych problemów zbyt szeroko wątkować. Ostatecznie są to sprawy, które trzeba zawierzyć inteligencji każdego studenta. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na bardziej dyskusyjne elementy metody naukowej. Otóż uderzącą rzeczą jest zespolenie resztek instytucjonalnego marksizmu z konserwatyzyzmem naukowym. Jest to zjawisko od pewnego czasu obserwowane w sferze ideologii i polityki sowietyzmu, rzadko jednak dostrzegamy, że proces ten dokonuje się również w sferze intelektualnej i naukowej.

Wcześniej w „syntezie” walka wyzwolenicza była traktowana jako rzecz o drugorzędnym znaczeniu w porównaniu ze zjawiskami w sferze walki klas⁴.

Ten punkt widzenia został odwrócony. W nowym podręczniku układ sił klasowych, walki klasowe, rozwój gospodarczy są pozbawione własnego wewnętrznego znaczenia, są elementami w realizacji celów narodowych i z tego punktu widzenia są oceniane. Została natomiast zachowana dotychczasowa ocena grup politycznych i ich dążeń. Nadal w tym układzie im radykalniejsza grupa tym lepsza, nadal to co było umiarkowane jest złe, zmieniała się tylko motywacja tego wartościowania. Ponieważ umiarkowanie jest podstawą do osądu pejoratywnego, niektóre ruchy są określane jako niedość radykalne, by móc je odpowiednio obniżyć w skali wartości. Książę Adam Czartoryski jest nadal wręcz obseją autora. Dotyczy to nie tylko działalności „Hotelu Lambert”. Kieniewicz np. akcentuje niemal zasługi cara Aleksandra I dla Uniwersytetu Wileńskiego (str. 88), przemilcza w tym jednak rolę Czartoryskiego. Zaiste, rosyjscy, w tym i sowieccy, autorzy mają do tego polskiego liberała więcej życzliwości, o czym można się przekonać biorąc pierwszy z brzegu rosyjski podręcznik.

Autor często lekceważy podstawowe prawidłowości rozwojowe i bierze pragnienia za rzeczywistość. Przytoczę zdanie specjalnie rażące: „Szlacheccy rewolucjoniści polscy na równi z rosyjskimi przegrali w 1825 roku, nie znalazłszy poparcia mas, do których nie umieli i nie chcieli się odwołać” (str. 82). Pomijam milczeniem sprawę, czy termin „rewolucjoniści szlacheccy” pasuje do członków Towarzystwa Patriotycznego i czy nie lepiej używać terminów historycznych⁵. Idzie mi o coś istotniejszego w tym dziwnym w całości zdaniu. Co zmieniłoby się w 1825 roku, gdyby Towa-

4. Pisał podówczas Kieniewicz wspólnie z Witoldem Kulą: ... Mimo faktu rozbiórów skłonni jesteśmy bronić [...] prymatu kryterium formacji społeczno-ekonomicznej. Staramy się pisać z punktu widzenia mas ludowych [...] Nie wydaje się, aby rok 1795 wprowadził do sytuacji gospodarczej i społecznej poważniejsze zmiany” (*Historia Polski*, t. II, cz. 1, str. 1, cyt. wyda.).

5. Podobnie razi nieokreślonością nadużywanie terminów „klasy posiadające” lub „masy ludowe” zamiast konkretnych historycznych pojęć. I klasy i masy zmieniały się na przestrzeni wieku, natomiast stosuje się ciągle te same uproszczone słowa, nie odzwierciedlające autentycznych struktur społecznych.

rzystwo odwołało się do „mas ludowych”? Co znaczy „umieć się odwołać”? Mam wrażenie jak gdybym zetknął się z odbłaskiem prymitywnych rezolucji III Międzynarodówki, skleconych w przeświadczeniu, że wywołać rewolucję „trzeba umieć” a umiejętność ta sprowadza się do znalezienia właściwych, magicznych formuł, które podziałają na „masy” jak fujarka szczurołapa.

To samo rozumowanie powtarza się kilkakrotnie. Np. w powstaniu listopadowym „o celowości i skuteczności programów rozstrzygnąć miał ich stosunek do kwestii agrarnej” (str. 105), choć łatwo, idąc torami „gdybizmu” sobie wyobrazić, że każdy radykalniejszy program odrzuciłyby szlachtę, z której bądź co bądź wywodzili się powstańcy a wcale nie musiałyby pozyskać chłopów. W tych latach zanotowano co prawda licznych „burzycieli chłopów” lecz nie zanotowano ruchów chłopskich, o czym świadczy w pracach Grynwassera. Zasada obiektywizmu naukowego jest naruszana krok za krokiem. Szlachta jest piętnowana za egoizm klasowy (str. 105) natomiast autor nie dostrzega go w „ozębłości” chłopów. Kieniewicz nie dostrzega, że radykalizm agrarny nie zjednał chłopów małopolskich dla Dembowskiego w 1846 roku, ma natomiast za złe „polskim demokratom” w okresie „Wiosny ludów”, że nie wzywali do rżnięcia szlachty (str. 204).

Przy tym dogmatyzmie widzimy rezygnację z tego, co stanowiło pozytywny choć potencjalny tylko element ongiś indoktrynowanej metody, to jest rezygnację ze strukturalnego rozpatrywania zjawisk społecznych. Jest to rezygnacja wręcz programowa, nawrót do tradycjonalizmu kategorii badawczych. Nie chodzi mi już nawet o to, że w wykładzie brak elementów historii gospodarczej, choć tłumaczenie, że istnieją specjalne podręczniki jest mało zasadne. Chodzi o to, co świetnie sformułował już ileś dziesiątków lat temu Tomasz Masaryk, że życie polityczne jest tylko jednym z mnogości elementów życia społeczeństwa. Tej prawdy, w nowoczesnym pojmowaniu zadań dziejopisarstwa już nawet truistycznej niesposób doczytać się w recenzowanej pracy.

Zacznijmy od problemu adekwatności tytułu i treści. Tytuł brzmi „Historia Polski”. Jest to sformułowanie w miarę określone dla okresu wcześniejszego lub późniejszego gdy istniało państwo i Polska była z państwem bardziej lub mniej tożsama. Przedmiotem w okresie rozbiorów mogą być dzieje narodu. Ale tu dopiero zaczynają się problemy. Zakres narodu polskiego jest zmienny, inny dla punktu wyjścia, inny dla cezury końcowej. Zostawiam na uboczu osiemnastowieczne pojęcie narodu-szlachty, pojęcie dla XIX wieku już przemijające, ale ciągle jeszcze spotykane zwłaszcza w postaci pochodnej. Istotniejszą bowiem komplikacją jest to, że w świadomości połowy XIX wieku zakres ziem polskich, tj. zaludnionych przez Polaków był dość odmienny od dzisiejszego na te sprawy poglądu. W świadomości społecznej okresu powstań narodowych tzw. „ziemie zabrane” były polskie, natomiast nie były nimi np. Śląsk Opolski i Cieszyński. I nie

ma co z tego powodu drzeć szat ani przemilczać nie było bowiem w tym ani zaborczości ani wyrzeczeń. Po prostu proces kształtowania się świadomości narodowej w Europie Wschodniej i Środkowej był spóźniony. Dlatego, jak długo świadomość narodowa była atrybutem szlachty a nie była atrybutem chłopów, przeświadczenie o polskości Mińszczyzny czy Kowieńszczyzny było uzasadnione choć powierzchowne. Dlatego jednym z najważniejszych elementów historii Polski omawianego okresu był proces narodotwórczy, przede wszystkim proces kształtowania się narodu polskiego, jak również narodów „kresowych” i Żydów.

Niestety, można przeczytać cały tom i nie dostrzec, że się coś w tej sferze działo. Kilka zdań o Żydach, na ogół słusznych, ale nie wystarczających, na domiar zepchniętych do działów pomocniczych, np. do działu „kultura doby pozytywizmu” (str. 351). Ale o Ukraińcach, Białorusinach, Litwinach, spolszczających się podówczas w skali masowej a jednocześnie kształtujących swe poczucie odrębności w walce z polskością prawie nic się nie dowiadujemy.

Problem następny: Kim był przeciętny Polak na początku tomu, jaki był wzorzec polskości pod koniec? Na ile, tj. w jakim stopniu należeli do narodu, tj. mieli poczucie przynależności narodowej mówiący po polsku chłopci? Jak postępował proces kształtowania się tej świadomości nie tylko w sferze rewindykacji i krystalizacji ale na terenach, których polskość nie była kwestionowana? Są to problemy zarówno teoretyczne jak i praktyczne — współczesny Polak jest zarówno kontynuacją jak i zaprzeczeniem swego protoplasty i każda analiza teraźniejszości musi mieć tu przeszłość jako punkt odniesienia. Luka podręcznika jest tu szczególnie dotkliwa, że właśnie dla XIX wieku nauka polska dysponuje szeregiem wartościowych opracowań.

Tradycjonalizmem chyba tłumaczyć należy nieobecność historii powszechnej w omawianym tomie. Wydarzenia ze sfery europejskiej pojawiają się na stronicach wówczas, gdy powstają w bezpośrednim związku z wydarzeniami na terenie Polski. Natomiast niesposób dostrzec zrozumienia, iż ogólny rozwój Polski pozostawał w jakimś związku, nie zawsze prostym, z wydarzeniami europejskimi. Brak również elementów historii państw zaborczych. Z tym zresztą łączy się równie istotny problem cech charakterystycznych poszczególnych zaborów. Do niedawna wmawiano społeczeństwu, że przynajmniej pod względem ekonomicznym dla Polski najkorzystniejsze było należenie do Rosji, bo w innych zaborach było gorzej, bo w Wielkopolsce nie było przemysłu a Górny Śląsk rozwijał się wolniej niż Zagłębie Ruhry. Jakieś relikty tego stanowiska odnajdujemy i w recenzowanej pracy (str. 387), choć autor raczej unika porównań i wartościowania. Jeśli zawierzyc lekturze można dojść do wniosku, że porównania są niemożliwe, wszystko tonie w drobiazgach. Ale wartościowania niesposób uniknąć, wszyscy tak i tak wiedzą, że zabór rosyj-

ski zostawił najgorszą spuściznę, polityczną, moralną i ekonomiczną.

Rzetelność w przedstawieniu faktów elementarnych stanowi na ogół silną stronę omawianej książki. Nie mam zamiaru toczyć sporu o drobiazgi, zauważę jednak, że znaczenie memoriału księcia Imeretyńskiego nie sprowadzało się do bezowocności polityki „realistów”, jak przedstawiał Dmowski i w ślad za nim Kieniewicz. Memoriał świadczył, że pozornie liberalna nawet polityka rosyjska nie rezygnowała z celów zasadniczych — „ogłupienia Polski do poziomu Rosji”. No, ale na szczęście studenci korzystają również i z innych podręczników. Zdanie wyrażone na str. 215, iż „Michałowski nie był kolorystą, ale umiał operować światłocieniem” świadczy, że autor nie powinien pisać o malarstwie. Ale i tu, na szczęście, ludzie interesujący się malarstwem nie zawierzą temu pogładowi.

Józef LEWANDOWSKI

Józef LEWANDOWSKI

CZESI A POLACY

Wydanie drugiego tomu „Czechów a Polaków...” jest pięknym uwieńczeniem wieloletniego zespołowego wysiłku czeskich badaczy, owocem pracy kompetentnej, gruntownej, dobrze zaplanowanej i dobrze wykonanej.

Zadanie, jakiego podjęli się autorzy, nie należało do łatwych. Na przestrzeni wieków i lat zmieniały się formacje społeczno-ekonomiczne, formy życia politycznego, struktury psychiczne społeczeństw, a wraz z nimi zmieniał się zakres pojęcia „stosunki polsko-czeskie”, charakter źródeł i metody badań. Nie może być więc mowy o dziele idealnie jednolitym pod względem struktury. Dobrze więc, że redaktorzy nie ulegli pokusie nadmiernej integracji dzieła, że w poszczególnych częściach uważny czytelnik wyczuje indywidualność naukową i literacką autorów. Z drugiej znów strony pozytywnie ocenić trzeba i to, że tom nie jest nadmiernie rozdrobniony pod względem autorskim, mniej rozdrobniony, niż wynikałoby z dość obszernej listy autorów.

Omawiana część badań obejmuje dzieje problemu w okresie

* *Czesi a Polaci v minulosti*, t. 2. Období kapitalizmu a imperialismu, redaktor tomu: doc. dr Václav Žáček. Współpracownicy tomu: J. Beczka, A. Grobelny, A. Miesztian, M. Kulielka, V. Kudielka, J. Pelikan, M. Szmerda, V. Sztiaštný, J. Valenta, V. Žáček. Redaktorzy całości: J. Kolečka, J. Mačurek. Praha, 1967, str. 710.

od mniej więcej lat sześćdziesiątych - siedemdziesiątych XVIII wieku aż do końca II wojny światowej. Gros ujęć historii politycznej jest pióra dwóch wybitnych uczonych, specjalizujących się od lat w tej problematyce: Vaclava Žaczeka (do 1871 roku) i Jaroslava Valenty (stosunki międzypaństwowe po 1918 roku).

By do tych spraw nie wracać: cezura periodyzacyjna wstępna nie jest fortunna. Odpowiada ona poglądom sprzed lat, gdy w dość sztuczny sposób usiłowano wtłoczyć w sztywne, rygorystyczne ramki chronologii długotrwałe — nawet w Czechach, a tym bardziej w Polsce — proces narodzin kapitalizmu. Zgodziłbym się z każdą istotną dla Czech lub Polski datą (np. trzeci rozbiór) jako z momentem zwrotnym. Trudno się zgodzić z datą, która *de facto* nic nie określa. Ale zdaję sobie sprawę, że mamy prawdopodobnie do czynienia z reliktem już przewyżczonych poglądów, zachowanym ze względu na specyfikę kilkutomowego dzieła zespołowego. Niezbyt fortunne wydaje się również przypisywanie przełomowego znaczenia dla stosunków polsko-czeskich Komunie Paryskiej — ważniejsza była rekonstrukcja monarchii habsburskiej na bazie dualizmu austro-węgierskiego lub upadek powstania styczniowego.

Są to jednak sprawy nie najistotniejsze, zwłaszcza że faktyczna hierarchizacja problemów jest bez zarzutu i czytelnik łatwo sobie może wyrobić pogląd o rzeczywistych momentach zwrotnych w stosunkach polsko-czeskich.

Koncepcja pracy, przeznaczona dla czytelnika czeskiego, a raczej czechosłowackiego, dobrze znającego dzieje ojczyzny, spowodowała, że wiele elementów historii własnej autorzy potraktowali jako oczywiste, kładąc nacisk na wyjaśnienie problemów i wydarzeń polskich. Temu podejściu trudno cokolwiek zarzucić, można nawet pochwalić skromność w określeniu geograficznym czytelnictwa, wypada jednak żałować, że w związku z powyższym użyteczność dzieła dla czytelnika polskiego jest mniejsza niż mogłaby być. A szkoda to tym większa, iż nauka polska nie zdobyła się na tak gruntowną analizę stosunków polsko-czeskich (resp. polsko-czechosłowackich) i nie zanoszą na to i w latach najbliższych.

Tym bardziej warto spopularyzować dorobek naszych czeskich kolegów, gdyż nie poprzestając na przedstawieniu tego, co potocznie nazywa się stosunkami, oparli pracę o analizę podstawowych elementów charakteryzujących społeczeństwo polskie i państwo, dokonując przy tej okazji komparacji z Czechami. I aczkolwiek Czechy nie zostały — jak już wcześniej stwierdziłem — przedstawione równie szeroko, jest to jak dotychczas najlepsza znana próba badań komparatystycznych, istotna dla historyków polskich, badających takie problemy, jak narodziny i rozwój kapitalizmu w Polsce, zwłaszcza do 1863 roku, polska specyfika kwestii agrarnej, struktury ekonomiczne, socjalne i psychiczne społeczeństwa polskiego w tym samym okresie, charakter pań-

stwa w okresie międzywojennym, stosunek europejskiej opinii publicznej do jego problemów, zwłaszcza gospodarczych itd.

Mniej udane są niektóre założenia edytorskie. Dyskusyjna bibliografia na końcu tomu nie jest w stanie zastąpić odsyłaczy źródłowych, w pracy przeznaczonej głównie dla specjalistów, a na pewno nie będącej literaturą popularną. Mankament tym dotkliwszy, że autorzy wprowadzają w obieg naukowy szereg nowych tez. Ich przyjęcie przez historyków zależne jest w znacznej mierze od zrozumienia przesłanek heurystycznych. Te natomiast oparte są w wielu wypadkach o materiał niezbyt szeroko znany¹.

Nic natomiast nie jest w stanie usprawiedliwić braku indeksów, zwłaszcza osobowego. Ten mankament w sposób dość istotny utrudniać będzie korzystanie z walorów informacyjnych publikacji. Łatwo przecież zrozumieć, że sięgać do niej będą czytelnicy zainteresowani jakimś fragmentem, np. stosunkiem L. Sztura do spraw polskich lub Hauke-Bosaka do spraw czeskich. Miast znajdować informację na określonej stronie, trzeba wertować kilka rozdziałów i to z ryzykiem błędu.

Tom składa się z dwóch części — pierwszej, obejmującej okres do 1918 roku i drugiej, obejmującej lata 1918-1945. Autor recenzji nie dysponując własnym warsztatem badawczym w zakresie części pierwszej, ogranicza się do przedstawienia najogólniejszego zarysu jej problematyki.

W okresie rozbiorów i porozbiorowym stosunki polsko-czeskie są początkowo zredukowane do minimum. Polacy o Czechach wiedzą podówczas niewiele. Charakterystyczny jest pod tym względem Niemcewicz, zaskoczony w czasie podróży w 1783 roku tym, że nawet 12 mil przed Wiedniem może porozumieć się posługując się językiem ojczystym. Wysunął stąd wniosek, że ma do czynienia z dialektem języka polskiego (str. 76).

Lepiej poinformowani byli Stanisław Staszyc i J. M. Ossoliński, sympatyzujący z czeskimi dążeniami odrodzeniowymi, nie mówiąc o ks. Józefie Poniatowskim, którego matka Teresa Kinská pochodziła z czeskiej arystokracji i który wychowywał się w Pradze. (Niemcewicz zresztą później miał o wiele lepsze informacje o sprawach czeskich i pisał o nich z wyraźną sympatią). Problem czeski nie jest jeszcze umiędzynarodowiony. Co prawda J. H. Dąbrowski w 1799 roku proponując Bonapartemu pochód przez Czechy i Morawy do Polski zapewnia, że marzący o rewolucji i wolności Czesi wywołają powstanie (str. 70), ale były to podówczas błogie marzenia. Rodzący się czeski ruch narodowy był wątły i nieśmiały, nie mógł też zaciążyć na szali dzie-

1. W recenzji pisanej na początku 1968 roku wyraziłem nadzieję, że „w ślad za publikacją syntetyczną autorzy tomu wystąpią z pracami monograficznymi”. Nie wiem, czy moje przeświadczenie ma szanse spełnienia się, zwłaszcza że profesor Jaroslav Valenta — jak mi wiadomo — został w 1969 roku pozbawiony możliwości kontynuowania badań!

jowej. Ciekawe natomiast dla polskiego czytelnika są odbłaski polskich wydarzeń w świadomości czeskiej. Otóż już na przełomie XVIII i XIX wieku poczynają się krystalizować dwie linie: panslawistyczna procarska, choć nie antypolska (Jungmann) i propolska, której protoplastą był twórca czeskiej slawistyki, wielki Dobrovsky, który w maju 1815 roku pisał: „Polacy są mi drodzy i nie przestanę działać na rzecz ich wolności ile tylko sił, tak jak by to było moja ojczyzna” (str. 75). (Nawiasem mówiąc, w tejsze książce znajdujemy u innego autora, M. Kudelki, dość przeciwną ocenę Jungmanna i Dobrovskiego).

Żaczek nie zgadza się z negatywną oceną instalowanych przez władze austriackie czeskich urzędników, ocenę utrzymującą się w polskiej historiografii. Z jednej strony w gorliwości austriackiej wyróżniali się ludzie będący Czechami tylko z pochodzenia, z drugiej strony urzędnicy ci realizowali zmiany prawne noszące postępowy charakter. Wielu z tych urzędników asymilowało się w Polsce wnosząc bezpośrednio lub w następnych pokoleniach istotny wkład w kulturę (Matejko, Kratochvil, Styka, Hofman, Szajnocha i inni).

Szczegółne ożywienie stosunków polsko-czeskich związane jest z powstaniem listopadowym, które wywarło duży wpływ na życie polityczne w Czechach, podobnie zresztą jak i na Słowacji. Stosunek do powstania przyspieszył izolację w społeczeństwie działaczy konserwatywnych (Hanka, Kollár). Po stronie Polaków opowiedziała się przytłaczająca większość „narodowo-myślących”, w tł. wychowany na lekturze Kościuszki Palacky, Szafarzik, Czela-kovsky, wielki poeta romantyczny Karel Hynek Mácha, J. J. Langer. W powstaniu walczył wielki twórca słowacki Samo Chalupka a poświęcił mu kilka utworów poetyckich późniejszy wódz Słowaków w okresie Wiosny Ludów, Ludovit Sztur. Upomniałbym się tylko o przedstawienie stosunku do spraw polskich Karela Havliczka.

Żaczek podkreśla, że nie chodziło tylko o naturalną sympatię młodych ludzi dla walki narodowo-wyzwoleńczej, ale o to, że walka ta dla Czech i Słowacji była ożywcym prądem, intensyfikującym własne dążenia emancypacyjne. W okresie powstania rozpoczęła się współpraca z Polakami Franciszka Zacha, który wpisał się w dzieje Polski, a zwłaszcza jej Wielkiej Emigracji. Dodajmy przy tej okazji, że z badań ucznia Żaczeka, Jozefa Butvina wynika, iż powstanie listopadowe było ważnym etapem w procesie formowania się słowackiej świadomości narodowej. Ciekawe dla polskich historyków są również materiały o współpracy po upadku powstania. Jest to obszerny krąg problemów, w którym przewijają się Adam Mickiewicz i jego polemika z Kollarem, TDP, książkę Adam, gen. Skrzynecki, z drugiej strony przede wszystkim Zach, Fricz, Sztur. Autorzy akcentują dominowanie bardziej wyemancypowanych ruchów polskich, choć wpływ nie był jednostronny — pierwsi bojownicy polscy na Śląsku Cieszyń-

skim pozbawieni oparcia wśród swoich, znajdowali je w Pradze i Bratislavie (str. 166).

W okresie Wiosny Ludów sprawa czeska nabrała charakteru politycznego i międzynarodowego. Dlatego też problemy związane z tym okresem są u nas stosunkowo lepiej znane, choć recenzowany tom zawiera nowe ustalenia. Dotyczy to austrosławizmu w polityce polskiej i czeskiej, zwłaszcza podczas zjazdu praskiego. Podczas zjazdu po raz pierwszy w dziejach nowożytnych ujawnił się konflikt dążeń politycznych polskich i czeskich. Ciekawe, że autor, bardzo gruntowny w wyważaniu wszystkich *pro* i *contra*, więcej cieni dostrzega w postawie reprezentacji czeskiej niż polskiej. Stanowisko Żaczeka — jak i innych autorów — świadczy z jednej strony o dążeniu do bezstronności w ocenach skomplikowanych a drastycznych problemów, z drugiej mieści się ono w czeskim nurcie intelektualnym ostatnich lat, krytycznym wobec wszelkiego rodzaju postaw, wypływających z ducha drobnomieszczańskiego, ze sposobu myślenia „małego czeskiego człowieka”.

Powstanie styczniowe jest silnym impulsem dla różnicującego się czeskiego życia politycznego. Żaczek pisze że nastąpiło wówczas:

„...rozbicie na dwa światopoglądy, przecirewolucyjny i rewolucyjny, które jednak dotychczas nie występując w zbyt zdecydowanej postaci, obecnie, po wybuchu powstania zmuszały każdego do wyraźnego określenia się. Wówczas radykalna część narodu, sama ożywiona myślami rewolucyjnymi, stanęła po stronie Polski, część konserwatywna, potępiająca rewolucję, przeciw Polsce i tym samym za Rosją. Większość jednak sympatyzowała z Polakami” (str. 255).

Sympatie dla powstania ujawniały się wielostronnie, w działalności pomocniczej, w publicystyce. Były nawet próby zorganizowania czeskiego legionu. Próby te nie powiodły się, ale wielu Czechów walczyło w powstaniu.

Rozdziały omawiające stosunki polsko-czeskie w latach 1871 (ewent. 1867) - 1918 (a więc: rozdział IX — „Stosunki polsko-czeskie w okresie burżuazyjnego lojalizmu i początków ruchu robotniczego” pióra A. Grobelnego; rozdział X — „Okres imperializmu do I wojny światowej”, VI. Sztiasny’ego rozdział XI — „I wojna światowa i powstanie niepodległych państw” — VI. Sztiasny’ego; rozdział XII — „Kontakty i stosunki w sferze kultury II połowy XIX wieku i na początku XX wieku” — J. Beczki) są bardzo starannie opracowane. Jeśli nie są one specjalnie atrakcyjne dla czytelnika i niezbyt pełne ważnych treści poznawczych, nie jest to zawinione przez autorów. Okres przez nich opracowany po prostu nie obfitował ani na terenie Czech ani na terenie Polski w elektryzujące wydarzenia, zmuszające do określenia stosunku za lub przeciw, jak było to w przypadku powstania listopadowego lub styczniowego. Z kart książki możemy raz jeszcze przeczytać nie nową ostatecznie prawdę, że po upadku powstania styczniowego znaczenie międzynarodowe sprawy polskiej znacz-

nie się zmniejszyło, a sprawa czeska wielkiego znaczenia w skali europejskiej nie nabrała.

W tej sytuacji, jak już zaznaczyłem, autorzy poszli drogą skrupulatnego wyliczania wydarzeń, wystąpień, zmian, akcentów. Może najpełniej wystąpiło to w rozdziale XII (o stosunkach kulturalnych), pióra J. Beczki, w którym autor z podziwu godną skrupulatnością śledził przekłady literatury pięknej, pojawianie się sztuk polskich na afiszach teatralnych czeskich, oper czeskich na afiszach polskich, ślady Jana Matejki w Pradze itd.

Z rozdziału IX zwróćmy uwagę na niewątpliwie słuszną tezę, że na przełomie lat 60-tych i 70-tych w stosunkach czesko-polskich następuje okresowa zmiana orientacji. Jeśli w latach poprzednich uwaga czeskiej opinii publicznej była zwrócona na rozwój polityczny i kulturalny w całej Polsce, tj. we wszystkich zaborach, o tyle po roku 1867 uwaga została zawężona do obserwowania zaboru austriackiego. Zmiana ta ani zamierzona ani przypadkowa, wpływała ze skomplikowanych warunków politycznych. Po wy-czerpaniu się tzw. emigracji postyczeniowej polska polityka zaczęła liczyć się z Galicją, jako z jedyną możliwą podstawą dalszego rozwoju polskiego ruchu narodowego i wkroczyła na drogę porozumienia z urzędami austriackimi i zgody z linią polityczną rządu.

W środowisku czeskim również istniała „atmosfera beznadziejności”, która umocniła tendencje rusofilskie (str. 301-2). W związku z tą tezą autor dużo uwagi poświęca zmiennym choć na ogół wzajemnie nieżycziwym, stosunkom polsko-czeskim na terenie parlamentu wiedeńskiego. Nie szczędząc czeskiej opinii publicznej owych czasów, Grobelny pisze, jak gazety praskie potępiając od przypadku do przypadku nadużycia władzy przez carat i jego sługi, bynajmniej jednoznacznie nie potępiały roli Rosji w zniszczeniu państwowości polskiej, starały się nawet:

„...dopatrzyć się pozytywnych elementów reżymu zaborczego, dostrzegały jego przychylność dla polskiego chłopca, pomoc materialną skarbu carskiego. Wiele artykułów wręcz twierdziło o dobrodziejstwach wyświadczonych narodowi polskiemu przez carat” (str. 305).

Krytyka życzliwie traktowała publikacje polskich rusofilów, Krzywickiego, Wierzbickiego, Mikoszewskiego oraz lwowską gazetę *Głos wolny*.

Tendencje rusofilskie nie były w Czechach równie silne w rozmaitych momentach. Ich osłabienie więc np. w latach osiemdziesiątych było czynnikiem poprawy stosunków polsko-czeskich. Z tych też względów względnie najlepsze stosunki łączyły konserwę krakowską z również zachowawczo-liberalnymi staroczechami, w których polityce dużą rolę odgrywał austrosławizm.

Tendencje polityki czeskiej były źródłem reakcji polskiej opinii publicznej w Galicji, choć autor zaznacza, że prasa polska:

„...krytyczna w stosunku do koncepcji czeskiej polityki oficjalnej i jej elementów słowiańskich, o pozostałych problemach życia czeskiego pisała

z autentycznym przejęciem, obserwując systematycznie życie narodowe, walkę przeciwko uciskowi o prawa narodowe, nie tracąc jednocześnie z pola widzenia niemieckiej prasy nacjonalistycznej w Przedlitawii i jej poglądów na sprawę czeską" (str. 308).

Wypada zgodzić się z poglądem, że:

„autentycznymi przedstawicielami współpracy czesko-polskiej byli ludzie żywiący gorące uczucia dla narodu czeskiego lub polskiego lecz o niezbyt widocznej pozycji w życiu politycznym lub wręcz bez znaczenia" (str. 302).

Kontynuatorem propolskiej linii w publicystyce był Eduard Jelinek a później Adolf Czerny i krąg czasopisma *Slovansky prehled*. Zasługują na uwagę propolskie i antycarskie wystąpienia młodego T. G. Masaryka. Z polskich rzeczników zbliżenia szczególną uwagę poświęcono Smolce i Marianowi Zdziechowskiemu.

Godne uwagi jest miejsce udzielane przez czeską prasę problemowi ukraińskiemu w Galicji. Polskie dążenia autonomiczne kwitowane są oceną, że autonomia Galicji mogła polepszyć stosunki między tamtejszymi Polakami a rządem wiedeńskim, ale przy 2,5 miliona Polaków a 2,7 Ukraińców sprawa galicyjska nadal pozostałaby zapalna (str. 303).

Następny autor, Sztiastny, inaczej niż Grobelny stwierdza jednak, że:

„stosunek społeczeństwa czeskiego do Ukraińców nie był tak jednoznacznie zżydliwy, jak sądzili niektórzy polscy krytycy..." (str. 347).

Rusofilowie czescy bowiem niechętnie odnosili się do Ukraińców.

Specyficzny charakter noszą stosunki na terenie Śląska Cieszyńskiego:

„Ponieważ polski ruch narodowy nie znajdował poparcia w sąsiedniej Galicji, polscy przywódcy już od 1871 roku szukali oparcia w czeskiej polityce oficjalnej, popierali akcje na rzecz zjednoczenia wszystkich ziem czeskich w jednym organizmie" (str. 312).

W tym okresie rzecznikami współpracy są zarówno P. Cingr jak i T. Reger i dr Kunicki, których nazwiska później są swoistym symbolem nieprzejdnięcia. Stosunki obu grup zaostrzyły się na przełomie stuleci, co autor wiąże z Głosem Ludu i Śląskim Stronnictwem Ludowym. Na czoło wysuwała się sprawa szkół. Autor uważa, że niezadowolenie Polaków ze stanu rzeczy w szkolnictwie w lwiej części było uzasadnione (str. 351).

Największą sympatią w Czechach cieszyły się sprawy polskie w zaborze niemieckim. Czeskie gazety rozpisywały się o polskich sukcesach w Prusach na polu kultury i gospodarki. Również:

„w Poznańskim i Wielkopolsce (sic!) istniała podówczas jakaś tradycja

zyczliwości dla narodu czeskiego i zainteresowania jego centralnymi problemami" (str. 309).

Na uwagę zasługuje poruszona przez Grobelny'ego problematyka ekonomiczna. Koniec XIX wieku przynosi w Czechach utrwalenie gospodarki oraz potężne wzmocnienie burżuazji czeskiej, która, szukając coraz szerszego poligonu, przenika na ziemie polskie, przede wszystkim na teren Galicji. W ramach rozszerzania zakresu zbytu czeskich wytwórni maszyn na terenie państwa rosyjskiego, szczególną rolę odgrywa eksport do ziem polskich tego zaboru. W tym okresie była to — sądząc z tekstu — ekspansja handlowa. Pod koniec XIX wieku pojawiają się wiadomości o transakcjach kredytowych oraz o otwieraniu na terenie Galicji filii, składów i przedstawicielstw czeskich przedsiębiorstw.

Nie były to stosunki zbyt ekwiwalentne. Jak pisze VI. Sztiastny:

„różnice między ekonomiką ziem czeskich a Galicją były wprost niesamowite (*skutku obrovské*). Jeśli w 1900 roku Czechy skupiały 54 % cielistawskiej produkcji górnictwa i hutnictwa a Śląsk Cieszyński 17 %, to Galicja i jej 2,14 % nie mogła serio z nimi konkurować. Wymowny jest również odsetek zatrudnionych w przemyśle w 1900 roku. W Czechach było ich 36,7 %, na Śląsku nawet 39,4 %, a Galicja ze swym 6,8 % należała do najbardziej zacofanych prowincji" (str. 329).

Jednak na przełomie XIX i XX wieku uwaga poświęcona Galicji oraz ziemiom zaboru rosyjskiego potęguje się. Następuje skupywanie bogactw naturalnych oraz walka o opanowanie rynku. Dla słabego kapitału i przemysłu galicyjskiego nie przynosi to — jak stwierdza Sztiastny — zbyt dobrych rezultatów. Czesi starają się, by rafinowanie galicyjskiej ropy odbywało się poza Galicją, stosując *dumping*, mający zniszczyć produkcję galicyjską, zmuszając galicyjskich przemysłowców do uległości i wstępowania w związki syndykatowe.

Na uwagę w tym kontekście zasługuje powstawanie filii wielkich praskich banków w Galicji (*Živnostenská banka*, *Pražská uverni banka* itd.) oraz opanowanie przez *Živnostenská banka*) Warszawskiego Banku Przemysłowego.

Ruch neoslawistyczny i kongres wszechsłowiański w Pradze w 1908 roku jest przedmiotem specjalnej analizy. Poświęcony mu rozdział nosi zresztą charakter monograficznej rozprawki i zasługuje na oddzielne omówienie.

Podobny charakter nosi również rozdział XI, zatytułowany „Pierwsza wojna światowa i powstanie samodzielnych państw”. Problem międzynarodowych warunków odbudowy niepodległości państwa polskiego należy do najistotniejszych problemów najnowszej historiografii w Polsce. Literatura poświęcona temu zespołowi zagadnień liczy dziesiątki tomów. Jak dotychczas jednak, dominuje tendencja do traktowania zjawisk polskich w tym okresie jako czegoś wyjątkowego. Wydaje się jednak, że w chwili obecnej dojrzeła potrzeba i możliwość rozpatrzenia tej proble-

matyki na szerszym tle środkowo-europejskim. Dlatego też rozdział ten posiada istotne znaczenie dla naszych badaczy jako wprowadzenie w problematykę ruchów narodowo-wyzwoleńczych czeskich, jako zwięzłe przedstawienie czeskich poglądów na politykę mocarstw w kwestiach środkowo-europejskich i jako informacja o stosunkach polsko-czeskich w tym okresie.

Nie czując się na siłach pisać o rozdziale poświęconym kontaktom i stosunkom w sferze kultury, dostrzegając jego dokumentacyjną wartość, chciałbym zasygnalizować, że autor nie zawsze był w stanie uporać się z problematyką hierarchizacji wartości kulturalnych w Polsce. Dotyczy to przede wszystkim nader uproszczonej oceny Stanisława Brzozowskiego (str. 406) i Bolesława Leśmiana (str. 407).

Specyficzny problem to ocena Petra Bezrucza, nie pojawiającego się ani w wykładzie historii politycznej ani w wykładzie historii kulturalnej.

Następna część tomu nosi bardzo zwarty pod względem autorskim charakter, gdyż jest ona w całości (wyjąwszy rozdział o stosunkach kulturalnych — pióra A. Miesztana) dziełem J. Valenty. Okres objęty tą klamrą chronologiczną różni się od poprzednich tematycznie. W istocie rzeczy, przecież dopiero od momentu ukształtowania się organizmów państwowych można mówić w całej rozciągłości o stosunkach czesko-polskich (lub jak Valenta słusznie zaznacza: czechosłowacko-polskich).

Po 1918 roku rośnie ilość płaszczyzn wzajemnych stosunków, sprawy ekonomiczne wywierają wpływ na sferę uczuciową, a uczuciowa na politykę. Stosunki polsko-czechosłowackie stają się zależne zarówno od wpływu wielkich mocarstw jak i ich inercji. Państwa stoją przed koniecznością wybrania linii politycznej, wypływającej zarówno ze zbieżności interesów wzajemnych jak i z ich przeciwstawności.

J. Valenta w pierwszej swej monografii (Czesko-polské vztahy... Ostrava 1961) stał na stanowisku, że stosunki czechosłowacko-polskie były złe w wyniku sporu o Śląsk Cieszyński. Ten pogląd — przy uznaniu wszelkich walorów książki — był przedmiotem polemiki zarówno w Czechosłowacji jak i w Polsce (Jaroslav Horejšek: Z dejin czechoslovensko-polských vztahu. Universita Karlova, Praha 1963, str. 56, 58, Józef Lewandowski, KH 1, 1965, str. 232-235). W chwili obecnej nastąpiło zbliżenie stanowisk z polemistami, które w skrócie ujmuje następująca cytata:

„osławiona kwestia cieszyńska bynajmniej nie była głównym jabłkiem niezgody. W rzeczywistości była ona [...] objawem o wiele szerszego i bardziej zasadniczego konfliktu między obydwoma państwami” (str. 433).

Valenta źródło konfliktu widzi w układzie sił międzynarodowych:

„Historycznie wyjątkowa sytuacja, klęska i rozpad trzech mocarstw, które bezpośrednio lub pośrednio panowały bez reszty nad całym regionem środko-

wej, wschodniej i południowo-wschodniej Europy wytworzyły przesłanki dla prób zdobycia w tym regionie pozycji relatywnego hegemonu, głównego oparcia mocarstw zwycięskiej koalicji [...]. W konkretnym rozwoju historycznym w dwudziestolecu międzywojennym coraz bardziej były akcentowane elementy i tendencje rozdziałające Czechosłowację i Polskę, oddalające, by wreszcie przeciwstawić je obiektywnie przeciw sobie" (str. 433).

Mało zrozumienia mieli politycy czescy dla polskich obaw przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony Rosji. I Czesi i Słowacy byli tradycyjnie słowianofilscy, w Rosji (resp. Związku Sowieckim) widzieli nie groźbę lecz oparcie. Takiej tezy autor — rzecz jasna — nie formułuje, ale dla polityki polskiej ma zrozumienie.

Świadomość groźby niemieckiej, w okresie międzywojennym też nie była powszechna. Polityka niemiecka nierównomiernie rozkładała akcenty. Do 1933 roku, to jest do dojścia Hitlera do władzy niemiecka propaganda rewizjonistyczna była skierowana przeciwko Polsce, co rodziło w Czechosłowacji przeświadczenie o możliwości uniknięcia konfliktu z Niemcami, jeśli stosunki ekonomiczne, polityczne, dyplomatyczne będą dość poprawne. W grudniu 1933 roku Benes z naciskiem stwierdzał publicznie, że:

„... w walce przeciwko nam cały napór będzie zawsze skierowany przeciwko Słowacji i Rusi Zakarpackiej. Bo nasze stosunki z Niemcami są dobre i poprawne i zawsze, w każdym przypadku takie zostaną. Między nami a Niemcami nie istniały, nie istnieją i nie będą istniały graniczne spory i zadrażnienia”².

Takie spory i zadrażnienia natomiast istniały w stosunkach polsko-niemieckich.

W 1934 roku zmienia się taktyka ekspansji niemieckiej, zarówno ze względu na stosunkową łatwość dokonania *anschlussu*, jak i ze względu na to, że wielka niemiecka mniejszość w Czechosłowacji była dogodniejszym pretekstem ekspansywnym niż rozdelenie Prus Wschodnich od Rzeszy.

Nie należą do usprawiedliwiających politykę Becka, zwłaszcza na czechosłowackim odcinku. Ale jestem przekonany, że określoną rolę w latach 1934-1938 odegrały nawarstwione wcześniej antagonizmy.

Jakim problemom autor poświęcił główną uwagę? Do problemów najbardziej wyeksponowanych należy sytuacja wewnętrzna państwa polskiego i te jej elementy, które różniły Polskę od Czechosłowacji. Valenta dostrzega nierówność obiektywnych warunków polskich:

„Wytworzenie się państwa polskiego — *pisze Valenta* — wyzwolenie jego ziem, jego polityczne i administracyjne odbywało się w warunkach zdecydowanie trudniejszych niż w Czechosłowacji i trwało o wiele dłużej” (str. 433).

2. Cyt. wg Juraj Fabian. Z bojov o „stredoevropsky most”. *Kulturny Život*, Nr 40/1966.

Dużo obserwacji i ocen autora na pewno będzie przedmiotem zainteresowania historyków badających dzieje polskie. Do takich należą np. ocena rządów pomajowych. Myślę, że warto również zwrócić uwagę na czechosłowacki, rozgłos rozmaitych poczynañ i zamierzeñ rządów polskich, takich jak polityka narodowościowa, sprawa brzeska, pacyfikacje itd.

Na rozważenie zasługują sugestie autora, iż reakcja społeczeństwa czeskiego była czynnikiem wpływającym na politykę państwa. Ja do tych sugestii na razie odnoszę się sceptycznie, choćby z tego względu, że polityka czechosłowacka w Polsce niekiedy szukała dla siebie oparcia w najbardziej reakcyjnych i ciemnych kołach. Np. działalność publicystyczna Nowaczyńskiego i Niemojewskiego była finansowana przez poselstwo czechosłowackie w Warszawie.

Skrupulatnie zostały opisane sprawy dyplomatyczne, choć tu autor — moim zdaniem — jest skłonny, biorąc za dobrą monetę kurtuazyjne gesty, do jednostronnej sceny dyplomacji czechosłowackiej, która co prawda bardzo dyskretnie, bez gromkich wystąpieñ, jednak Polskę celowo i świadomie izolowała od innych państw Europy Środkowej. Bardzo interesująco i w nowej interpretacji zostały przedstawione sprawy związane z układem z 1921 roku, ciekawe są uwagi na temat stosunku francuskich kół do sojuszu polsko-francuskiego (str. 504), wyczerpująco — kontakty na forum Ligi Narodów. W sprawach okresu poprzedzającego zawarcie Układów Lokarneskich bliższe mi jest ujęcie prezentowane przez Radko Brzacha, z którego nieopublikowaną pracą zapoznawałem się w maszynopisie.

Przez dłuższy okres czasu historiografia czechosłowacka była administracyjnie powstrzymywana od zajmowania się polską polityką w stosunku do Czechosłowacji w okresie poprzedzającym zajęcie Zaolzia. W dotychczasowych kompendiach dziejów Czechosłowacji ten drażliwy problem był redukowany do krótkich wzmianek, przy czym używano zwężającej problem terminologii „Beckowskie Polsko”. Sprawy te po czeskiej stronie znajdują tak szerokie ujęcie po raz pierwszy.

W ujęciu Valenty antyczne posunięcia polskiej polityki w przeddzień II wojny światowej były akcją, dostosowaną do zmian sytuacji międzynarodowej jak i do pewnych potrzeb polityki wewnętrznej. Mimo pewnych tendencji do łagodzenia (np. przedstawienie problemów demografii narodowej na Śląsku Zaolziańskim, redukcja działalności antyczechosłowackiej do stosunkowo wąskiej grupy polityków i działaczy) oceny są ostre i drastyczne. Jeden z rozdziałów nosi tytuł „Polsko-niemiecka współpraca nad przygotowaniem okrążenia i rozbicia Czechosłowacji” (str. 581), Beck oceniany jest jako niemiecki pełnomocnik w Warszawie (str. 582), akcja polska jako skoordynowana z niemiecką (str. 582) a nawet ją wyprzedzająca, elementy ideologiczne propagandy polskiej — wyeksponowane.

Wydaje się, że pewne tendencje do jednostronności tkwią w pominięciu względnie nieco uproszczonym przedstawieniu niektórych aspektów stosunków polsko-czechosłowackich. Do tych należą:

- a) przedstawienie problemu niemieckiego w polityce Benesa przed dojściem jak i po dojściu Hitlera do władzy, o czym wcześniej,
- b) problem czechosłowackiej polityki w sprawach Galicji Wschodniej. O tej sprawie chciałem nieco szerzej, gdyż w przedstawieniu stosunków polsko-czechosłowackich jest — jako pozadyplomatyczna — pomijana lub niedoceniana.

Coraz mniej mam wątpliwości, twierdząc, że sprawa ukraińska była najdrastyczniejszym zagadnieniem Polski międzywojennej. Naturalnym rzeczą wynikiem było wykorzystywanie tej sprawy w rozgrywkach międzynarodowych. Daleki jestem od apoteozowania polityki narodowościowej Polski międzywojennej i to też zarówno od strony pragmatycznej jak i etycznej, daleki również od przypisywania Czechosłowacji nadrzędnej roli wśród państw inspirujących ukraińską irredentę, uważam natomiast, że czechosłowackie poparcie dla działalności emigrantów z Galicji Wschodniej było bodajże najważniejszym czynnikiem jątrzącym w stosunkach polsko-czechosłowackich. Trzeba przypomnieć, jak dużą rolę w zmyleniu polityków polskich w 1934 roku odegrało pozorne wyrzeczenie się tej taktyki ze strony Niemców i jak pomogło to wykorzystać proces zabójców Pierackiego dla antyczeskiej nagonki.

Nie czując się na siłach dokonać faktograficznej oceny rozdziału o stosunkach kulturalnych w latach 1918-1945 pióra A. Miesztana, zgłaszam wątpliwość co do naukowej wartości zestawiania tytułów tłumaczonych autorów bez uwzględniania nakładów, poczytności i społecznej stratyfikacji tej poczytności. Bo pod tym względem rezonans Haszka i Czapka, ginący w nadmiarze opisów bibliograficznych, jest nieporównywalny ze wszystkim pozostałym.

Na marginesie chciałbym zwrócić uwagę: czechofilski polski pisarz to Jerzy Bandrowski, niesłusznie przez Miesztana utożsamiany z Juliuszem Kadenem-Bandrowskim. Ostatecznie byłby to drobiazg, gdyby pomyłka ta nie stała się źródłem wniosku — Juliusz Kaden-Bandrowski był postacią oficjalną obozu legionowego, jego więc angażowanie się w pośrednictwo kulturalne miałoby głębszy sens.

Sprawę być może czytelnikom zawód, nie omawiając rozdziału poświęconego stosunkom polsko-czechosłowackim w czasie II wojny światowej. Powstrzymuję się od tego celowo, albowiem nie czuję się powołany do zajmowania głosu w sprawach tak skomplikowanych, a na których się nie znam. Myślę, że ktoś ze znawców zagadnienia mnie uzupełni.

Józef LEWANDOWSKI

„UKRAIŃSKI HISTORYK”*

Od zjawienia się w jesieni roku 1963 pierwszego numeru *Ukraińskiego Historyka*, wyszły do końca roku 1969 dwadzieścia cztery numery¹.

Okres czasu niewątpliwie krótki, ale już teraz można określić charakter czasopisma, zakres zainteresowań Komitetu Redakcyjnego, zwłaszcza redaktora, profesora Lubomira Wynara, oraz poziom naukowy ogłoszonych prac.

Co do genezy czasopisma, podać należy, że pierwsze trzy numery wyszły na skutek starań i pod patronatem Komisji Historycznej przy organizacji ideologicznej „Zarewo”. W międzyczasie główny redaktor, Lubomir Wynar przeprowadził starania w celu utworzenia Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego. Znalazł poparcie ze strony wielu znanych historyków ukraińskich i w ten sposób w listopadzie 1964 roku zorganizowana została grupa inicjatorów Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego. Ostateczny kształt Towarzystwo otrzymało w dniu 1 kwietnia 1965 roku, kiedy nastąpiły wybory do władz organizacyjnych. W tym samym czasie (od listopada 1964) *Ukraiński Historyk* stał się organem „Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego”².

Pierwszy rok istnienia stanowił okres przejściowy pod każdym względem: format czasopisma, dobór i wartość materiałów. Początki były bardzo skromne. Zwłaszcza pierwszy numer czasopisma raził ubóstwem tekstów, które poza czterema recenzjami nie miały wiele wspólnego z nauką historyczną. Następne trzy numery wskazywały na znaczne polepszenie. Na osobliwą uwagę zasługiwały w dziale artykułów prace O. Ohłobyńa, M. Antonowycza, Ł. Wynara, N. Połonskiej-Wasylenko i M. Żdana. Pomyłką redakcyjną było zamieszczenie w tymże dziale materiałów biograficznych, chociaż całkiem interesujących (I. Kameneckij), informacyjnych (ojciec I. Nazarko) i wspomnieniowych (B. Dubrowskij). Zagadnienie właściwego rozmieszczenia materiałów zostało, z nielicznymi wyjątkami (nry 7-8), właściwie rozwiązane w następnych numerach czasopisma.

Od czasu swego powstania *Ukraiński Historyk* dał swoim czytelnikom bardzo dużo ciekawego materiału. Każdy numer otwierają zazwyczaj artykuły naukowe różnych rozmiarów — od sześciu do piętnastu, a niekiedy nawet do pięćdziesięciu pięciu stron. Ilość artykułów bywa różna, najczęściej od trzech do siedmiu.

* *Ukraiński Historyk*. Czasopismo Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego. Monachium, 1963-1969 (nry 1-24).

1. Niestety, autorowi tego zarysu nie udało się zdobyć, pomimo starań, numerów czasopisma z roku 1970.

2. *Ukraiński Historyk*, 1965 (5-6), str. 90-92.

Tematyka i poziom zależy od erudycji autorów, jednakże niemal zawsze artykuły są utrzymane na poziomie, przyjętym w literaturze historycznej na Zachodzie. Co jednak uderza bardziej uważnego czytelnika, to nieobecność większych prac źródłowych, które, stawiając zasadnicze zagadnienia, przynosiłyby gruntowny wkład w ukraińską historiografię.

Od chwili ukazania się pierwszego numeru, ogłoszono 43 artykuły, obejmujące 515 stron. Dwadzieścia osiem artykułów dotyczyło spraw XIX i XX wieku. Cała reszta wyglądała, w porządku chronologicznym, następująco: VIII-IX wiek — jeden artykuł, XIII — cztery, XIII-XV — jeden, XVI — trzy, XVII — cztery, i wreszcie XVIII wiek — dwa artykuły.

Co do autorów tych prac, są to przeważnie członkowie komitetu redakcyjnego czasopisma. Tak więc na 43 artykuły 33 czyli 76,8 % są autorstwa członków komitetu redakcyjnego, a pozostałe dziesięć, czyli 23,2 % autorstwa osób spoza redakcji. 391 stron czyli 75,9 % wyszło spod pióra członków komitetu redakcyjnego; inni napisali 124 strony czyli 24,9 %. Ta widoczna dysproporcja stanie się jeszcze bardziej oczywista, gdy stwierdzimy, że redaktor naczelny, Lubomir Wynar, napisał 133 strony, a więc więcej niż wszyscy współpracownicy spoza komitetu (124).

Poza artykułami, stanowiącymi rdzeń ogłaszanych tekstów, prowadzone są również inne działy: wspomnienia, życiorysy, dane archiwalne, przeglądy i recenzje, bibliografia i kronika. Nieregularnie zamieszczane są inne działy, jak jubileusze³, *in memoriam*⁴, sprawozdania z kongresów i konferencji⁵, *miscellanea*⁶, dyskusje i polemiki⁷. Wszelkie wyjaśnienia co do tych niewielkich działów są zbędne, gdyż same nazwy określają ich treść.

Materiały, ogłoszone we wszystkich działach, są bardzo różnorodne co do swej treści i poziomu, i w większości wypadków — interesujące. Na specjalną uwagę zasługuje dział „Heraldyka i sfragistyka” (przeważnie prace pióra R. O. Kłymkewycza), którego tematyka jest ujęta tak konsekwentnie, że dział stanowi pewną zakończoną całość. W swoich pracach Kłymkewycz pisał o „herbach i pieczęciach miast na Podlasiu” (U. H. nry 2-4); „herby podlaskie i poleskie” (U.H. nry 5-8); „Działalność M. Hruszewskiego w dziedzinie ukraińskiej heraldyki i sfragistyki” (U.H. nry 9-10); „Herby miast poleskich” (U.H. nry 11-12); „Herby miast pomorskich” (U.H. nry 13-14); „Najwyższe odznaczenia Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Narodowej” (U.H. nry 15-20); „Herby miast na Bukowinie” (U.H. nry 21-23). Prace Kłymkewycza wypadłyby jeszcze ciekawiej i korzystniej, gdyby były ilustrowane rysunkami herbów, o których mowa.

3. *Ukraiński Historyk*, nry 4, 11-12, 21-23, 24.

4. *ibid.*, nry 4, 7-8, 9-10, 11-12, 13-14, 24.

5. *ibid.*, nry 7-8, 9-10, 11-12, 13-14, 24.

6. *ibid.*, nry 13-14, 15-16, 17-20, 21-23.

7. *ibid.*, nry 4, 5-6, 13-14, 15-16, 17-20, 24.

Działy, które wnoszą bodaj najwięcej oryginalnych danych, to „Wspomnienia i życiorysy”, oraz „Z archiwum”.

Do najciekawszych materiałów, ogłoszonych w tym dziale, należy zaliczyć wspomnienie Ł. Bykowskiego, „Jurij Iwanowycz Łypa, 1900-1944” (U.H. nry 2-6); M. Szlachtyczenki, „Przyczynki do dziejów Dyrektoriatu Narodowej Republiki Ukraińskiej” (U.H. nry 5-8); N. P. Wasyleńki, „Garść wspomnień: Wolny Uniwersytet Ukraiński” (U.H. nry 7-8); W. Omelczenki, „Ród Poletyków” (U.H. nry 13-14); M. Jeremijiwa, „Za kulisami działań Rady Centralnej” (U.H. nry 17-20); Ł. Bykowskiego, „Mychajło Ołeksandrowycz Miller, 1883-1963” (U.H. nry 17-20). Nie brakuje i innych ciekawych materiałów, jednakże w większości ich wartość naukowo-historyczna ma charakter raczej marginesowy.

Dział „Z archiwum” należy do najszczuplejszych rozmiarami i zarazem do najbardziej wartościowych. Zwłaszcza listy osób takiej miary, jak S. Baran⁸, A. Jakowliw⁹, O. J. Konyskyj¹⁰, D. Doroszenko¹¹, I. Franko, I. Szpah¹² i M. Hruszewskyj¹³, wzbogacają i ożywiają przeszłość faktami, niekiedy nieznanyymi, i wprowadzają czytelnika w świat swoich przeżyć i poglądów. Jest to materiał absolutnie konieczny, aby móc odtworzyć tamten okres historyczny i choćby częściowo zrozumieć jego główne siły dynamiczne.

Na specjalną uwagę zasługują dwa podwójne numery — 9-10 (z roku 1966) i 15-16 (1967). Pierwszy z nich poświęcony został Mychajle Hruszewskiemu, w setną rocznicę jego urodzin. Redaktor czasopisma zdobył się na wielki wysiłek, aby z tego jubileuszowego numeru stworzyć całość tematycznie wyczerpującą. Większa część tekstów dotyczy życia i działalności tego wielkiego historyka.

Podwójny numer 15-16 (1967) poświęcony został pięćdziesięcioleciu Narodowej Rewolucji Ukraińskiej. Ale w przeciwieństwie do tamtego specjalnego numeru, tylko nie wielka część prac powiązana tu jest tematycznie z wydarzeniami Rewolucji Ukraińskiej¹⁴.

W zakończeniu należy zająć się podstawowym zagadnieniem *Ukraińskiego Historyka*, jakim, zdaniem autora, jest sprawa współpracowników. Czasopismo naukowe nie może rozwijać się

8. Patrz: „Nie drukowany list doktora S. Barana o prezydencie Petruszewyczu” (*Ukraiński Historyk* nry 2-3).

9. Patrz: „Nie drukowany list prof. Andrija Jakowliwa” (*ibid.*, nr 4).

10. Patrz: Marko Antonowycz, „Nie ogłoszony list O. J. Konyskiego” (*ibid.*, nry 5-6).

11. Patrz: „Z listów Dmytra I. Doroszenki do O. P. Ohłobłyn” (*ibid.*, nry 7-10); Petro Isajew, „Listy D. Doroszenki do W. Łypynskiego, 6. VII - 7. IX. 1918” (*ibid.*, nry 17-20).

12. Petro Isajew, „Nie drukowane listy Iwana Franko i Illi Szpaha do Ołesnickiego” (*ibid.*, nry 13-14).

13. M. Antonowycz, „Listy Mychajły Hruszewskiego do T. Poczynki” (*ibid.*, nr 24).

14. Właściwą ocenę tego numeru znajdziemy w pracy prof. I. Ł. Rudnickiego w *Canadian Slavic Studies* (Winter 1968), Vol. II, no. 4, pp. 66-91.

i reprezentować zdobyczy badań historycznych, jeżeli staje się forum wypowiedzi członków własnego komitetu redakcyjnego, w tak wielkim stopniu, jak to jest praktykowane w *Ukraińskim Historyku*. Niezależnie od wszelkich trudności, a musi ich być bardzo wiele, redakcja powinna rozwiązać tę sprawę w najbliższym czasie.

Bez względu na różne niedociągnięcia, wolno stwierdzić, że praca naczelnego redaktora, Lubomira Wynara, obroni się sama. *Ukraiński Historyk* stał się już poważnym forum dla badaczy dziejów Ukrainy. Jego wartość polega również i na tym, że na jego łamach można ogłaszać wyniki badań, zabronionych przez reżym bolszewicki na Ukrainie. Tym samym *Ukraiński Historyk* jest w stanie uzupełniać, a do pewnego stopnia inspirować badania historyczne w URSR.

(Przełożył Józef Łobodowski)

Taras HUNCZAK
Rudgers University (USA)

Roman KRÓLIKOWSKI

Z CYKLU „DOKUMENTY”

Czytając wspomnienia ppłk. Oskara REILLE pt. *Geheime Ost Front*, w których opisał swą służbę w niemieckiej Abwehr, kiedy przez 11 lat prowadził wywiad na Polskę, sądziłem że przytoczony przez niego epizod — jak podwładny mu kpt. Buland po zajęciu Warszawy przez oddziały niemieckie znalazł na Forcie Legionów archiwum z tajnymi aktami Oddziału II Sztabu Głównego — był wypadkiem odoobnionym, spowodowanym przez niedbałość i przeoczenie oficerów odpowiedzialnych za archiwa tajnych aktów. Nie przypuszczałem żeby biura Sztabu Głównego i Ministerstw, z chwilą ogłoszenia mobilizacji a następnie ewakuacji biur ze stolicy, nie zabezpieczyły lub nie zniszczyły swych dokumentów. (Fakt znalezienia tajnych aktów przez kpt. Bulanga był opisany w *Zeszytach Historycznych* Nr 13 (1968) w artykule „Na marginesie Bitwy o tajemnice”).

W rzeczywistości było jednak inaczej. W ostatnich latach szereg wydawnictw publikowanych w kraju, omawiających wydarzenia przedwojenne i wojenne, coraz częściej przedstawia dokumentację pochodzącą z najtajniejszych działów polskiej administracji państwowej.

Obrona Warszawy w 1939 roku. Wybór Dokumentów wojskowych. Zebrał i opracował Mieczysław Cieplewicz. Wojskowy Instytut Historyczny Warszawa 1968.

W wydanej w roku 1969 przez Wojskowy Instytut Historyczny książce pt. „Następcy Komendanta. Wojsko a polityka wewnętrzna Drugiej Rzeczypospolitej w latach 1935-38” autor jej, Piotr Stawecki, podaje listę archiwaliów, wykorzystanych do swojej rozprawy doktorskiej, przedstawionej na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego pod podanym wyżej tytułem. Lista ta między innymi obejmuje akta pochodzące z biur:

Gabinet Ministra Spraw Wojskowych,
Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych,
Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy,
Departamenty Ministerstwa Spraw Wojsk.: Dowodzenia Ogólnego, Piechoty, Kawalerii i Artylerii,
Sztab Główny W.P. Oddziały I do IV,
Kancelaria Sztabu Głównego W.P.,
Dowództwa Okręgów Korpusów: II, IV, VIII,
Biuro Personalne Min. Spraw Wojskowych,
Sekretariat Komitetu Obrony Rzeczypospolitej,
Wojskowe Biuro Historyczne,
Biuro Wyznań Niekatolickich Min. Spraw Wojsk.,
Komenda i Zarząd Główny Związku Strzeleckiego,
Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i P.W.,
Dowództwa dywizji piechoty 2, 3, 9, 11, 17, 28,
Dowództwa pułków 9, 28, 39, 57, 58, 68, 69, 81,
Komendy Garnizonu Łowicz, Łódź, Siedlce,
Prezydium Rady Ministrów,
Ministerstwo Spraw Wewnętrznych,
Biuro wojskowe Min. Komunikacji,
Junackie Hufce Pracy,
Dowództwo Korpusu Ochrony Pogranicza,
Dowództwo 6 brygady KOP w Wilnie,

Poza tym cytowane są akta zdeponowane przez działaczy politycznych, jak Ignacego J. Paderewskiego, J. i Z. Moraczewskich, gen. Lucjana Żeligowskiego, gen. Mariana Kukieła.

Archiwa w Polsce, wymienię tu tylko Centralne Archiwum Wojskowe, Centralne Archiwum Min. Spraw Wojsk., Archiwum Zakładu Historii Partii KC PZPR, są stale uzupełniane aktami rewindykowanymi ze Związku Sowieckiego, po wyeliminowaniu ich ze zdobytych przez oddziały sowieckie archiwów niemieckich.

Jeden taki zespół aktów rewindykowanych jest wykorzystany w wydawnictwie opisanym poniżej.

OBRONA WARSZAWY W 1939 ROKU

Wybór dokumentów wojskowych dotyczących obrony Warszawy w roku 1939, wydany w roku 1968 przez Wojskowy Instytut Historyczny w Warszawie zawiera jedynie 458 dokumentów polskich z 2.800 przekazów archiwalnych polskich oraz 43 dokumenty

z 200 przekazów niemieckich, rewindykowanych ostatnio z Rosji sowieckiej.

Rozkazy dotyczą działań oddziałów od szczebla batalionu i dywizjonu w górę, w czasie od 3 do 27 września 1939 oraz zarządzenia i rozkazy dotyczące ostatnich dni istnienia garnizonu warszawskiego po kapitulacji.

Począwszy od Rozkazu organizacyjnego nr 1, wydanego w dniu 3 września 1939 przez ministra Spraw Wojskowych gen. Kasprzyciego, w sprawie zorganizowania obrony Wisły na odcinku Modlin-Sandomierz — w wybranych rozkazach przedstawione są fazy obrony Warszawy: Utworzenie zgrupowania generała Czumy, przemienione później w Dowództwo Obrony Warszawy, rozkazy dowódcy Armii WARSZAWA gen. J. Rómmła, rozkazy organizacyjne i operacyjne, zarządzenia i raporty stanu oraz meldunki sytuacyjne poszczególnych dowództw zwłaszcza Dowództwa Obrony WARSZAWY oraz dowództw odcinków „Warszawa Zachód” — płk. Porwit, „Warszawa Wschód” — gen. Zulauf, Odcinek Północ — ppłk. Tawzadze, Odcinek Środkowy — płk. J. Kalandyk, Odcinek Południowy — ppłk. Galiński. Ze spraw administracyjnych: Zarządzenie z dnia 14. 9. 1939 o zorganizowaniu służby zdrowia (24 czynnych szpitali przyjmujących rannych), zarządzenia kwatremistrzostwa regulujące miesięczne stawki uposażenia oficerów, podoficerów i szeregowych; 15 września szef intendencji melduje, że ma jeszcze 100.000 racji żywnościowych na 15 dni.

I oto obrona Warszawy zbliża się do końca: 24 września Dowódca Armii WARSZAWA wydaje rozkaz dzienny o mianowaniach i odnaczeniach, a 27 września wydaje odezwę do żołnierzy w związku z podjęciem rozmów o kapitulację.

28 września Dowódca Armii WARSZAWA wydał rozkaz o zawieszeniu broni cytujący warunki zawieszenia broni zawarte z dowódcą 8 armii niemieckiej gen. J. Blaskowitza. W dniu tym stany liczebne załogi Obrony Warszawy wynosiły: 2.988 oficerów, 82.842 szeregowych oraz 21.856 koni.

Cytowane są rozkazy pożegnalne poszczególnych dowódców do swych jednostek oraz rozkazy organizacyjne odnośnie skłaniania sprzętu i broni.

Rozkaz wydany 29 września przez generała Rómmła do żołnierzy obrony Warszawy i Modlina wyrażający podziękowanie za bohaterską walkę i rozkaz generała Czumy regulujący wymarsz oddziałów z miasta — do niewoli, zamykają tę nader ciekawą ale jakże smutną lekturę, dającą nam obraz że obrona Warszawy była nie tylko bohaterskim zmaganiem się oddziałów bojowych lecz że była także prowadzona systematycznie, według obowiązujących w Wojsku Polskim rozkazów i przepisów.

W rozkazach tych czytamy nazwiska dowódców i ich żołnierzy, którzy okryli się chwałą. Smutna refleksja że większość z nich dziś już nie żyje.

Jako dodatek ogłoszono 43 rozkazy dowódców 3-ej i 8-ej armii

niemieckiej, dotyczące działań wojennych pod Warszawą od 14 do 30 września, przetłumaczone na język polski.

Książka licząca 660 stron druku zawiera indeks 500 nazwisk, indeks nazw geograficznych, wykaz skrótów, spis publikowanych dokumentów i plan m. st. Warszawy.

Wydawcy podają że ogłoszone dokumenty pochodzą z Centralnego Archiwum Wojskowego i Wojskowego Instytutu Historycznego oraz ze zbiorów Archiwum Zakładu Historii Partii. Jedynie publikowane w książce „Za Honor i Ojczyznę” dokumenty, dotyczące obrony Warszawy, zawierają uzupełnienia i zmiany pióra autora „Wspomnień”, generała J. Rómmla.

Pragnę nadmienić, że podany pod pozycją 380:

1939, wrzesień 26, Rumunia-Craiova, Rozkaz Naczelnego Wodza internowanego w Rumunii, do gen. J. Rómmla nakazujący bronić stolicy do czasu wyczerpania żywności i amunicji, jest o tyle nieścisły, że oryginał tego rozkazu przepadł bez śladu. Jest faktem, stwierdzonym w moich wspomnieniach ogłoszonych w *Kulturze*, nr 5/43 z roku 1951, a następnie w Nrze 7 (1965) *Zeszytów Historycznych*, że rozkaz taki został wydany przez Naczelnego Wodza 26 września 1939 w Craiovej i wręczony płk. Zakrzewskiemu celem przekazania go drogą radiową via Paryż do Warszawy. 28 września 1939 w Bukareszcie miałem ten rozkaz w rękach i zrobiłem z niego odpis. Generał J. Rómmel w swoich wspomnieniach stwierdza że rozkazu tego nie otrzymał. Tak samo pytany przeze mnie, po wojnie, gen. T. Tomaszewski kategorycznie stwierdził, że rozkaz ten do Warszawy nie doszedł. Tak jak pisałem w *Zeszytach Historycznych*, nr 7 (1965), ciekawi mnie co się stało z oryginalnym rozkazem, który otrzymał płk. Zakrzewski. Nie rozumiem również dlaczego redaktorzy obecnie omawianego wydawnictwa cytowany rozkaz Marszałka Śmigłego „upiększyli”. Rozkaz ten, cytowany dosłownie przez generała Rómmla z moich wspomnień nosił tylko podpis: Śmigły-Rydz, marszałek. Zaś w opublikowanym rozkazie podano: Naczelnny Wódz, E. Śmigły-Rydz, Marszałek Polski.

Roman KRÓLIKOWSKI

R. KRÓLIKOWSKI

PRZYGOTOWANIA NIEMIECKIE DO AGRESJI NA POLSKĘ W ROKU 1939

W s t ę p

Staraniem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich Polska Akademia Nauk opublikowała dokumenty Oddziału II Sztabu Głównego W.P. pt. „Przygotowania Niemieckie do agresji na Polskę w roku 1939”.

* Przygotowania Niemieckie do agresji na Polskę w 1939 r. w świetle sprawozdań Oddziału II Sztabu Głównego W.P. (Dokumenty). Polska Akademia Nauk — Oddział w Krakowie. Materiały Komisji Nauk Historycznych Nr 17, 1969. Nakład 2.000.

Pracownicy naukowcy Mieczysław Cieplewicz i Marian Zgórniak opracowali Sprawozdania tygodniowe nr 1 do 18 i Dienne sprawozdania informacyjne Oddziału II Sztabu Głównego (Nr 166, 167, 170 i 171) zdeponowane obecnie w Centralnym Archiwum Wojskowym. Dokumenty te obejmują okres od 22 kwietnia do 30 sierpnia 1939.

Na wstępie autorzy w streszczeniu podają genezę konfliktu oraz przygotowania niemieckie które rozpoczęto wprowadzać w życie na skutek decyzji Hitlera wydanej 25 marca 1939 o „Fall Weiss”, tj. planu napadu na Polskę.

Badania sprawozdań Oddz. II. Sztabu Głównego, opracowywanych dla Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, Ministra Spraw Wojskowych, Szefa Sztabu Głównego oraz I i II Zastępcy Szefa Sztabu (jak wynika z rozdzielnika) wskazują, że Oddział II w dniu 31 sierpnia posiadał informacje o 43 spośród 52 wielkich jednostek niemieckich czynnych, przy czym wiadomości te były, z jednym tylko wyjątkiem (22 D.P.), prawdziwe jeżeli chodzi o ich podział pomiędzy front wschodni i zachodni. O 9 wielkich jednostkach brak było wiadomości, faktycznie znalazły się one wszystkie na wschodzie. Rejon koncentracji niemieckiej zostały z grubsza biorąc prawidłowo rozpoznane przez polski wywiad wojskowy. Piszą oni:

„Jak widzimy Oddział II Sztabu Głównego posiadał dobre rozeznanie aktywnych jednostek Wehrmachtu ale na skutek słabej znajomości niemieckich planów mobilizacyjnych nie zdołał rozpoznać większości dywizji rezerwowych i prawdopodobnie ten fakt głównie wpłynął na pewne obniżenie ocen w stosunku do rzeczywistego obrazu niemieckiej koncentracji. Niemniej stwierdzić należy iż Oddział II Sztabu Głównego rozszyfrował główne kierunki niemieckiego zagrożenia, a także w sposób przybliżony ustalił jego rozmiary.

Naczelne Dowództwo uzyskało w zasadzie od wywiadu właściwy obraz sytuacji i dostateczną ilość materiałów informacyjnych pozwalających na powzięcie zasadniczych decyzji. I choć stan sił niemieckich został w sprawozdaniach informacyjnych w porównaniu ze stanem faktycznym nieco obniżony, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych uważał oceny Oddziału II i tak za przesadzone.

Na korzyść pracy Oddziału II Sztabu Głównego przemawia zestawienie jej wyników z analogicznymi ocenami strony polskiej, dokonane w tym samym czasie przez wywiad niemiecki. Stwierdzić możemy, że niemieckie komunikaty informacyjne o polskich przygotowaniach obronnych — pomimo nieporównanie większych środków jakimi dysponował wywiad niemiecki — zawierają znacznie więcej nieścisłości i błędów w porównaniu z przedstawionymi tu wynikami pracy polskiego wywiadu wojskowego”.

Organizacja Oddziału II Sztabu Głównego i podległych mu Ekspozytur jest przedstawiona dokładnie. Nie pominięto takich szczegółów jak organizację wewnętrzną Wydziału II B (Kontr-

wywiad), organizację najbardziej otoczoną tajemniczością, Ekspozytury Nr 2 (dywersja), oraz zorganizowanie w dniu 25. 8. 1939 Ekspozytury Nr 6 w Łodzi, szefem której został major Witold Langenfeld. (Ekspozytura ta w pełnym składzie znalazła się na Węgrzech, skąd bardzo szybko wyjechała do Francji).

Przy opisywaniu działalności oraz składu osobowego Oddziału II autorzy — jak wynika z przypisów — korzystali z opracowania Z. Witrowego o „Działalności Oddziału II w okresie międzywojennym”, z książki W. Kozaczuka pt. *Bitwa o tajemnice* oraz czerpali informacje ze sprawozdań byłych kierowników Referatu ZACHÓD, mjr. dr. A. Świtkowskiego (złożone 23. 2. 1943 przed Sądem Polowym Dowództwa I Korpusu Pancerno-Motorowego) oraz mjr. dypl. T. Szumowskiego. Oba te referaty znajdują się obecnie w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie. (Czasem opisywane fakty wyglądają bardziej dramatycznie niż to istotnie miało miejsce. Np. o podróży szefa Oddz. II Dowództwa Armii Kraków ppłk. dypl. Mariana Zdona na Słowację piszą: „ppłk dypl. Marian Zdon osobiście przedostał się na teren Słowacji i przez 2 tygodnie (10-24 sierpnia) zbierał informacje o narastającej koncentracji wojsk niemieckich”. To „przedostanie się” wyglądało tak, że ppłk Zdon uzyskał dla siebie paszport zagraniczny, nawet nie służbowy, wziął wizę słowacką i węgierską, i samochodem przyjaciela, który jechał na urlop do Włoch, przez Słowację przyjechał do Budapesztu. Ponieważ znaliśmy się od lat, zamieszkał u mnie, po czym po paru dniach, moim samochodem odwiezłem go do Polski. 21. 8. byliśmy w Słowacji jadąc równocześnie z posuwającą się ku granicom Polski 2 dywizją pancerną i 4 dywizją lekką. 23. 8. przekroczyliśmy granicę i w Boguminie pożegnałem mego przyjaciela, który pociągiem wrócił do Krakowa. Jak mi sam mówił, celem jego podróży na Słowację był wywiad terenu na którym będzie walczyć Armia Kraków. Ppłk. Zdon, 2 września przedpołudniem zginął w Krakowie od bomby niemieckiej).

Autorzy nie robili sami żadnych badań, jedynie zestawili i omówili znane już fakty. Po raz pierwszy podali, że:

„równoległe z rozbudową sieci placówek w Niemczech powstały tak zwane placówki limitroflowe położone w państwach sąsiadujących z Niemcami. Założono je w Kopenhadze, Amsterdamie, Bernie, Sztokholmie, Budapeszcie, Rzymie i łącznikową w Paryżu. Na nich miała się oprzeć praca wywiadu w okresie wojny gdyż wraz z ewakuacją konsulatów placówki oficerskie przy konsulatach musiałyby ulec likwidacji”.

Charakteryzując zadania Oddziału II Sztabu Głównego nie obeszło się też bez wypowiedzi natury propagandowej.

Autorzy piszą:

„Oddział II Sztabu Głównego był więc jedynym informatorem polskiego dowództwa wojskowego i rządu, on właśnie dostarczać miał czynnikom rządowym materiały informacyjne niezbędne do podejmowania ważkich decyzji. Oddział II prowadził również akcję kontrwywiadowczą i wykorzystywany był

przez rząd do nadzorowania działalności stronnictw opozycyjnych, zwłaszcza lewicowych. Z uwagi na rozbudowę tych właśnie funkcji wewnętrznych, którymi tutaj nie zajmujemy się, Oddział II stał się główną podporą grupy rządzącej w rozgrywkach politycznych, przenikał do różnych resortów aparatu państwowego i zyskał sobie złą sławę wśród opozycji antysanacyjnej”.

Dokumenty

Przy opracowywaniu publikowanych dokumentów autorzy wykorzystali „dotychczasowe doświadczenia w dziedzinie polskich wydawnictw źródłowych do historii najnowszej”. Mówiąc po krótce, sprawozdania te przepisano według następujących zasad:

— datę powstania dokumentu podano w kolejności: rok, miesiąc i dzień a nie jak w oryginale dzień, miesiąc i rok,

— w publikowanych tekstach dokumentów przyjęto ortografię i interpunkcję zgodnie z obowiązującymi obecnie zasadami. Poprawki językowe wprowadzono tylko wówczas gdy treść przekazu miała istotne usterki gramatyczne; drobne uzupełnienia brakujących słów umieszczono w nawiasach kwadratowych,

— największe zmiany przeprowadzono odnośnie nazw geograficznych. „Dla terenów które w wyniku II wojny światowej wróciły do Polski i Czechosłowacji przyjęto nazwy miejscowości obowiązujące obecnie w danym kraju. Nazwy miejscowości z terytorium Niemiec które występowały w brzmieniu polskim i niemieckim np. Köln i Kolonia, Leipzig i Lipsk ujednolicono przyjmując dla całego tekstu wersję polską. Nazwy miejscowości z byłych terenów Prus Wschodnich, które weszły w skład ZSSR, poza Królewcem i Piławą pozostawiono w brzmieniu oryginału,

— skróty powszechnie stosowane w piśmiennictwie wojskowym jak DP, pp., pał, pac i paplot pozostawiono bez zmian i omówienia w legendzie, inne skróty rozwiązano”.

Jak z powyższego wynika dokumenty te zostały przepisane. Może na szczeblu Polskiej Akademii Nauk ma to znaczenie, lecz dla tych którzy pracowali w dziedzinie zbierania wiadomości o nieprzyjacielu dziwnie brzmią nazwy polskie miejscowości, które wówczas, w roku 1939, nosiły nazwy niemieckie. Z tego wynika że dla badaczy historii wywiadu polskiego bardziej oryginalnym materiałem będą sprawozdania złożone w archiwum, aniżeli przepisane według nowej pisowni polskiej i opublikowane w omawianej pracy.

Dla ilustracji omawianych dokumentów zamieszczono trzy fotokopie ich oryginałów, trzy załączniki do sprawozdań tygodniowych przedstawiających dyslokację wyższych dowództw i dowództw związków taktycznych wojska niemieckiego oraz trzy fotokopie z położenia wojsk niemieckich i polskich przed i w chwili wybuchu wojny. Ponadto załączono streszczenie w języku rosyjskim i angielskim, oraz indeks nazwisk i nazw geograficznych.

Władysław Kozaczuk w swej pracy *Bitwa o tajemnice* podaje: „materiały wykorzystane przy opracowaniu historii wywiadu polskiego i niemieckiego w części pochodzą z Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Są to zespoły akt Oddziału II Sztabu Głównego (zwłaszcza zespoły referatu ZACHÓD, wydziału wywiadowczego, Samodzielnego Referatu Sytuacyjnego „Niemcy”, Ekspozytur Nry 3 i 4, attaché wojskowego w Berlinie) oraz komunikaty Oddziału II dotyczące niemieckich sił zbrojnych i sytuacji wewnętrznej Rzeszy, znajdujące się w bibliotece naukowej archiwum. Wykorzystane zostały nadto w pracy niektóre archiwalia Centralnego Archiwum Wojskowego i archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwłaszcza dla lepszego rozeznania roli i pozycji Oddziału II w układzie wojska i cywilnych organów państwowych”. Podaje on następnie „wszystkie cytaty zawarte w książce, jeśli nie zaznaczono inaczej zaczerpnięto z oryginalnych dokumentów Oddziału II Sztabu Głównego, głównie z opracowań syntetycznych (sprawozdań, protokołów odpraw, dokumentów wewnętrznych itp.)”.

Jak można sobie wytłumaczyć że wymienione wyżej dokumenty znajdują się obecnie w archiwach w Warszawie? Jak to się stało że Oddział II Sztabu Głównego, instytucja która winna była w ramach swych zadań i obowiązków pilnować, aby tajne dokumenty nie wpadły w niepowołane ręce, aby tajemnica wojskowa była zachowana, zwłaszcza w obliczu nieprzyjaciela, zostawił tyle tajnych dokumentów na łasce losu? Jak w ogóle mogło dojść do takiego, łagodnie mówiąc „przeoczenia”?

Od ppłk. armii niemieckiej O. Reile, który służył 12 lat w wywiadzie na Polskę a po wojnie opisał swoje przeżycia w książce *Geheime Ost Front*, dowiadujemy się o sukcesach Abwehry we wrześniu 1939 w Warszawie.

Opisuje on jak kpt. Bulang, kierownik placówki Abwehry w Warszawie, po bezowocnym szukaniu dokumentów wywiadowczych w biurach Oddziału II w gmachu Sztabu Głównego, gdzie znaleziono jedynie puste szafy na akta, pewnego dnia udał się do Fortu Legionów, starego budynku jeszcze z czasów rosyjskich w obrębie Cytadeli warszawskiej. Drzwi do Fortu nie były zamknięte, kpt. Bulang pchnął je wszedł do wielkiej sali wypełnionej półkami na których leżały wielkie pakiety aktów z napisami: Attaché wojskowy Tokio, attaché wojskowy Rzym, attaché wojskowy Paryż, Ekspozytura Bydgoszcz i wiele, wiele innych. Sześć ciężarówek przewiozło te akta do Abwehrstelle (Królewiec?) gdzie je następnie rozpracowano. Na skutek znalezionych *dossiers* agentów, którzy pracowali dla wywiadu polskiego, przed Volksgerichtshof w Berlinie odbyło się wiele procesów, często zakończonych wyrokami śmierci.

Akta Oddziału II po wykorzystaniu przez kontrwywiad nie-

miecki zostały zdeponowane w piwnicach Abwehry Königsberg (Królewiec). Tam je znalazły oddziały sowieckie które z kolei po wykorzystaniu i wyłączeniu ważniejszych dokumentów zwróciły je do archiwum do Warszawy.

Spotkałem się z opinią, że wywody ppłk. Reile są literacką bujdą, że Niemcy na Forcie nie mogli znaleźć tajnych *dossiers* i aktów gdyż wszystkie tego typu dokumenty zostały spalone.

Niestety tak nie było! Jako dowód przytaczam wyjątki z listów majora Mariana Włodarkiewicza, ostatniego kierownika placówki wywiadowczej w Gdańsku, będące w moim posiadaniu:

„Tydzień przed rozpoczęciem działań wojennych przenieśliśmy się do Gdyni ponieważ pewnego dnia Niemcy zrobili rewizję mego samochodu na granicy Gdańsk-Gdynia. Janio (mowa o majorze Żychoniu p.a.) któremu natychmiast o tym meldowałem, zakazał mi dalszych przejazdów samochodem. Jeździłem jeszcze kilka razy koleją i pod ochroną „goryla”, by wydać potrzebne zarządzenia na miejscu. W Gdańsku został jeden kapitan i radiotelegrafista i puste szafy. W dniu 1 września 1939 już po rozpoczęciu działań, przedostałem się samochodem wraz z kapitanem Szeferem i jeszcze jednym oficerem do Bydgoszczy. Tam otrzymałem rozkaz natychmiastowego stawienia się w Korpusie Interwencyjnym w Lublinie. Zapakowałem żonę i dzieci do 2 samochodów i wywoziłem do brata do Warszawy a sam pojechałem do Lublina. Do żadnych działań nie doszło ponieważ Niemcy już nas otaczali. Było nas wtedy około 14 osób w tym 6-ciu oficerów. Przebraliśmy się u chłopów na cywilów i każdy pomaszerował na własną rękę gdzie uważał za dobre. Mając trochę pieniędzy kupiłem chłopski wózek i konika i pomaszerowałem piechotą do Warszawy. Ten spacer trwał około jednego miesiąca. W Warszawie sprzedałem konia i wózek i przez znajomych zaczęłem się o ZWZ. Zmieniłem nazwisko na Bielski i pracowałem dla ZWZ jako instruktor wywiadu. Wyszkoliłem paręset adeptów tej sztuki aż do mego aresztowania przez Gestapo w dniu 4 kwietnia 1941. Przy aresztowaniu miałem poważną sumę pieniędzy, którą mi natychmiast zabrali i na skutek posiadania tych pieniędzy posądźili mnie o przynależność do jakiejś organizacji podziemnej. Konfrontowali mnie na Pawiaku i w Alei Szucha z setkami różnych typów, którzy niby ze mną mieli współpracować. Jakoś nic z tego nie wyszło, więc wywieźli mnie do Gdańska. Sami gdańscy gestapowcy mi powiedzieli że sygnął mnie któryś z dawnych moich współpracowników. W Gdańsku zamknęli mnie na 7 i pół miesiąca w piwnicy Komisariatu Generalnego, a ci panowie urzędowali w moim biurze na 4-tym piętrze. 3 razy w tygodniu miałem przesłuchania. Protestowałem przeciwko memu aresztowaniu i powoływałem się na mój paszport dyplomatyczny. Odpowiedziano mi że to nie ma żadnego znaczenia i że jest wyraźny rozkaz Hitlera aby mnie zatrzymać do jego dyspozycji i nie odsyłać do Obozu Oficerskiego jeńców wojennych. W czasie moich przesłuchiwań

traktowano mnie na ogół przyzwoicie. 22. 6. 1941 wywieźli mnie na rozprawę przed Volksgerechtshof do Berlina. Tam uratowałem jednego z moich dawnych agentów poczciarza. Potem przetransportowali mnie znowu do Gdańska. Ciekawe bardzo były te przesłuchiwania, z których ja się więcej dowiadywałem od nich. Odbываły się w moim dawnym biurze tylko z tą różnicą że na moim fotelu siedział Sturmbannführer Löllgen a ja na krześle klientów. Aresztowanie moje musiało być dla nich sensacją ponieważ przyjechał z Berlina sam zastępca admirała Canarisa by usłyszeć moje zdanie na temat „czy Niemcy wojnę wygrają;”, przy czym zapewniał mnie, że mogę otwarcie mówić bez jakiejkolwiek obawy i żadnych konsekwencji z tego powodu nie będę miał. Powiedziałem im otwarcie że jeśli armia niemiecka nie zatrzyma się na Dnieprze to przegrają wojnę. Po tym wiceadmirale (nie mogę Ci podać nazwiska) przyjechał jakiś pułkownik sztabu generalnego z Berlina, któremu chodziło o uzasadnienie dlaczego ja tak a nie inaczej myślę. Uzasadniałem to za długimi liniami zaopatrzenia, bezdrożem rosyjskim, zimą i fałszywym nastawieniem w stosunku do ludności cywilnej. Nie odpowiedział mi ani jednym słowem tylko kiwał głową a potem kazał odprowadzić mnie do mojej piwnicy. Ten Sturmbannführer Löllgen zresztą jeszcze żyje i jest dyrektorem policji gdzieś w rejonie Eifel.

Po przesłuchaniach odstawili mnie do Obozu Stracenia w Stutthof, 15 kilometrów od Gdańska gdzie siedziałem dwa lata. Potem przenieśli do obozu koncentracyjnego Oranienburg-Sachsenhausen gdzie wytrzymałem jeszcze dwa lata. W każdym razie w Stutthof katowali niezgorzej i tam dowiedziałem się co to znaczy, i jak się odczuwa, kilka razy po 50 kijów na tyłek. Już nie mówię o wieszaniach, ludożerstwie, głodowaniu, o tym że każdy więzień zmuszony był biegać a nie chodzić lub że stawiano cały obóz na baczność na 12 godzin tak że po takim staniu kilkunastu ludzi wywracało się i marło na miejscu.

Koło 15 marca (1945) gdy Rosjanie już zbliżali się do Berlina cały nasz obóz musiał piechotą maszerować w stronę morza. Tam nas wszystkich mieli potopić jak koty. Nie wiem ile setek ludzi w czasie tego marszu zostało zastrzelonych, pewne jest że wszystkie rowy przydrożne pełne były trupów. Tak doszliśmy aż około 5 kilometrów do miasta Schwerin gdzie byli już Amerykanie, którzy nas uwolnili 3 maja 1945 roku”. (List z daty 28. 8. 1966).

„O ile mi wiadomo to najciekawsze dokumenty dotyczące Oddziału II zostały wyciągnięte przez Gestapo z archiwum w Warszawie. Oczywiście istnieje możliwość że to te dokumenty zostały potem odnalezione w zdobytych przez aliantów archiwach niemieckich. Faktem jest, że Gestapo natychmiast po moim aresztowaniu w kwietniu 1941 roku, przedłożyło mi *dossiers* całego szeregu moich dawnych zwolnionych agentów, ich karty pracy z moimi podpisami, itp. elementy które dały mi 100 % pewności

że nie blagują. Przez 7 i pół miesięcy wałkowali ze mną te papierki a ja byłem bezsilny z wściekłości wobec takiego nawału dowodów mej pracy, której nie mogłem negować, bo to by było idiotyzmem. W ten sposób dowiedzieli się po raz pierwszy o istnieniu „ciotek” ponieważ jeden z mych urzędników pocztowych został zaawansowany i musiałem go naturalnie zwolnić. Jego *dossier* zostało także odnalezione, agent dostał się do Volksgerichtshof w Berlinie, a mnie powołali na świadka w dniu 23. 6. 1941. On na szczęście nic nie wiedział jaki rozmiar wzięła organizacja tych „ciotek” i na moje szczęście nikt mnie o to nie pytał ilu innych urzędników jeszcze w „ciotkach” pracowało do samego rozpoczęcia działań wojennych. I tak jeszcze do dzisiaj nie wiedzą. Urzędnik ten usprawiedliwiał się tym, że działał pod przymusem a ja naturalnie potwierdziłem jego zeznania z tym zastrzeżeniem, że to nie ja go zaangażowałem a wręcz przeciwnie ja go zwolniłem. Chłopa uwolnili od winy i kary ale na pewno także zginął w jakimś kacecie. O jego zwolnieniu opowiedział mi jego adwokat, Niemiec, który mi nawet pogratulował uratowania jego klienta”. (List z 1. 11. 1967).

Major Włodarkiewicz po zwolnieniu z K.Z. żył jako D.P. w Niemczech, gdzie znalazł pracę kancelaryjną w administracji terenów okupowanych. W ostatnich latach chorował na płuca i zmarł w Niemczech 25 stycznia 1968 roku.

R. KRÓLIKOWSKI

Johannesburg, maj 1970 r.

LISTY DO REDAKCJI

Buenos Aires, 17 czerwca 1971 r.

Tak się złożyło, że dotychczas nie zająłem do poważnej publikacji, jaką są „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej”. Spotkała mnie niemiła niespodzianka tam, gdzie mogłem osobiście stwierdzić różnice pomiędzy treścią zawartą w publikacji i faktami, które mej osoby bezpośrednio dotyczą.

1) Zdawać by się mogło, że wobec szczupłości sił polskich we Francji w 1940 roku każdy najmniejszy nawet pododdział przydzielony do Armii znajdzie swoje naświetlenie i swą genezę powstania. Widocznie Kompania Samodzielna w Niort na taką wzmiankę nie zasłużyła.

W grudniu 1939 roku z rozkazu Naczelnego Wodza udałem się do obozu w Gürs w Pirenejach, gdzie internowana była międzynarodowa brygada komunistyczna. Miałem zaapelować do uczuć patriotycznych Polaków tam internowanych, przeprowadzić weryfikację ochotników do Armii w miasteczku Niort na południu Francji, a następnie ochotników tych wcielić do Armii. W rezultacie mej misji wyciągnąłem stamtąd 200 Polaków. Z żołnierzy tych utworzyłem Kompanię Samodzielną, bo taką oficjalnie dostała nazwę. Po stażu ideowym kompania w całości wcielona została do 5 p.p. i wzięła udział w walkach pod Montbéliard. To chyba jest dobra dla niej legitymacja? A jednak wnikliwy czytelnik w publikacji, o której wyżej, śladu o niej nie znajdzie. Dlaczego? Czyżby dlatego, że jej twórcą był żołnierz I Brygady Legionów?

2) Z niecierpliwością wertowałem karty głośniejszej publikacji w poszukiwaniu śladu działalności Koronowskiego Baonu O.N. w tragicznym naszym Wrześniu. Nic i nic. Aż wreszcie znalazłem na str. 98 tomu I następującą wzmiankę:

„Od rana szło zresztą równocześnie natarcie na środkowy odcinek pozycji, gdzie Koronowski Baon O.N. walecznie bronił dostępu do rodzinnego miasta. Sytuacja była tym trudniejsza, że zabrakło amunicji do broni francuskiej, w jaką uzbrojony był Baon. Tu i ówdzie przychodziło do walki wręcz i straty baonu były duże. Po południu baon zepchnięty z pozycji odplynął ku wschodowi mocno zdezorganizowany”.

Relacja ta dotyczy 2 września i obrony linii jezior koronowskich. Pełna jest ona nieścisłości i nieudomówień. Nieścisłości — bo walczyła tam tylko Kompania Koronowska O.N. dosłownie „do ostatniego naboju”. Inne kompanie baonu nie były atakowane, więc i żadnych strat nie poniosły. Gratulacje następnego dnia odbierał nie dowódca baonu, ale ja je odbierałem, jako

dowódca I Kompanii Koronowskiej O.N. Ale kompanii już wtedy nie miałem, została mi się nędzna drużyna. Reszta pozostała pod Koronowem, wybita przeważnie w walkach wręcz. Stało się to dlatego, że nie otrzymałem rozkazu do odwrotu, więc kompania moja biła się samotnie do godzin popołudniowych w dniu 2 września, mając już koło siebie całkowitą pustkę. Otoczona — próbowała się przebić. Udało mi się wyprowadzić z tej masakry 23 ludzi.

Kwestia amunicji: Nieprawdą jest, że amunicji nie otrzymałem. Otrzymałem ją o świcie w dniu 2 września w ilości 42 skrzyń, niestety była to amunicja ślepa w skrzyniach opiewających, że jest to amunicja ostra. Innej amunicji nie otrzymałem. Za ten potworny sabotaż winien odpowiadać dowódca baonu, bo magazyn mob. pozostawał w jego kompetencji. Brak amunicji był jedną z przyczyn zagłady mej kompanii.

Na str. 82 czytamy:

„Na południowej części frontu od rejonu Buszkowa (na linii jezior Koronowskich) włącznie do Noteci — noc minęła spokojnie”.

„Od rejonu Buszkowa”. A przecież odcinek Buszkowa to odcinek I Kompanii Koronowskiej Baonu O.N. Czyżby autorzy tej notatki nie wiedzieli, że na odcinku Buszkowo w dniu 1 września od godziny 21-ej do godz. 24-ej szalało prawdziwe piekło? Że trzy szturmowe niemieckie zostały tam odparte, niestety z dużymi stratami własnymi. I to ma się nazywać spokojną nocą? Podkreślić należy, że na odcinkach sąsiednich panowała wtedy zupełna cisza. Jak więc należy sklasyfikować tego rodzaju informacje autorów poważnego wydawnictwa?

A dalej na str. 82 czytamy:

„3 d.p. złamała polską obronę na linii jezior koronowskich pod Buszkowem, otwierając sobie drogę na Koronowo...”.

Bzdura! Kompletna bzdura! Notatka ta stoi w rażącej sprzeczności z notatką ze str. 98. Bzdura dlatego, że przez odcinek Buszkowo do dnia 2 września godzin popołudniowych nie przedarł się na Koronowo żaden oddział niemiecki. Koronowo zaś zostało przez Niemców zajęte drogą przez rozbity 22 p.p., sąsiadujący na północy z moją kompanią. Odcinek ten nazywał się „Kadzionka”, a nie „Buszkowo”. Okoliczności te stwierdzili świadkowie z 22 p.p. i koronny świadek dowódca 9 d.p. gen. Worobej, który napisał do gen. Sawickiego, że wszystko, co napisałem w mej relacji jest prawdą.

Pobieżny przegląd książki „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej” budzi smutne refleksje. Dobrze by było, by ktoś kompetentny zajął się rzetelną i szczegółową analizą tej książki. Wielka to szkoda, że Pobóg-Malinowski nie żyje.

Czesław CIECHONSKI

W związku z artykułem J. Różankowskiej zamieszczonym w Nrze 19-tym *Zeszytów Historycznych* otrzymaliśmy list od jednego z czytelników, który uczestniczył jako student w obozach roboczych kwaków niosących po II-ej wojnie światowej pomoc ludności polskiej na ziemiach najbardziej zniszczonych. Kwestionuje on informację autorki, że wioska opisywana przez nią na str. 190-tej znajdowała się pod Łodzią, gdyż w tym rejonie kwakrzy nie operowali i tak zniszczonych wsi tam nie było.

REDAKCJA

SPIS TREŚCI

Witold Babiński: <i>Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944</i>	3
Stanisław Kirkor: <i>Próby dozbrojenia Polski</i>	34
Dr Paweł Korzec: <i>Materiały do studiów nad historiografią Polski Ludowej (w zakresie historii najnowszej)</i> ..	43
Tadeusz Katelbach: <i>Na stanowisku wojewody pomorskiego</i>	59

DOKUMENTY

Józef Beck: <i>Preliminaria polityczne do wojny 1939 roku</i> ..	78
<i>Fotografia grobu Józefa Becka</i>	80
Józef Beck: <i>Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 roku</i>	92
Leon Mitkiewicz: <i>Nieznane prace min. Józefa Becka</i>	109

RELACJE I WSPOMNIENIA

Stanisław Kirkor: <i>Ewakuacja Ministerstwa Skarbu w 1939 r.</i>	111
L. Rayski: <i>Złoto polskie</i>	116
Jan Kligert: <i>Nieznane losy Kostka-Biernackiego</i>	117
Michał Borwicz („Zygmunt”): <i>Kartki z działalności O.W. i O.B. - P.P.S.</i>	127
Wacław H. Bniński: <i>Ziemiańskie podziemie</i>	135
Józef Czapski: <i>List</i>	145

POLEMIKI

Władysław Michniewicz: „Szkodliwa książka”?	151
Józef Mackiewicz: „Redaktor” Bohdan Mackiewicz	170
Maurice Adus: Na marginesie „Pamiętników” Witosa (W pięćdziesiątą rocznicę Jabłonny)	173
Adam Ciołkosz: „Dzielnica Żydowska” obozu w Jabłonce	178
Józef Lewandowski: O wojnie 1920 roku... inaczej	200

RECENZJE

Stanisław Swianiewicz: <i>Próba uprzemysłowienia Litwy w XVIII wieku</i>	205
Józef Lewandowski: „Historia Polski” St. Kieniewicza	218
Józef Lewandowski: <i>Czesi a Polacy</i>	227
Taras Hunczak: „Ukraiński historyk”	239
Roman Królikowski: Z cyklu „Dokumenty”	242
Roman Królikowski: <i>Przygotowania niemieckie do agresji na Polskę w roku 1939</i>	245

LISTY DO REDAKCJI

Czesław Ciechoński	253
Redakcja	254

KSIAZKI HISTORYCZNE W „BIBLIOTECE KULTURY”

- Józef Mackiewicz: Kontra (7 F)
- Tadeusz Katelbach: Rok złych wróżb (8 F)
- Stanisław Kot: Jerzy Niemirycz (7 F)
- Paweł Zaremba: Historia Polski, Tom I (20 F)
- Józef Czapski: Na niehumanitarnej ziemi (wydanie drugie)
(wyczerpane)
- Bernard Singer: Od Witosza do Sławka (18 F)
- Milovan Djilas: Rozmowy ze Stalinem (wyczerpane)
- Jerzy Mond: 6 Lat temu... (Kulisy polskiego Października) (wyczerpane)
- Maria Czapska: Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia (wyczerpane)
- Witold Jedlicki: Klub Krzywego Koła (10 F)
- Stanisław Mackiewicz: Polityka Becka (12 F)
- Wincenty Witos: Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III
(87 F)
- Wiktor Sukiennicki: Biała Księga (wyczerpane)
- Gustaw Herling-Grudziński: Inny świat (wyczerpane)
- Borys Lewicki: Terror i rewolucja (15 F)
- Januariusz Grzędziński: Maj 1926 (9 F)
- Wacław Lednicki: Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905 (9 F)
- Wiktor Sukiennicki: Legenda i rzeczywistość (9 F)
- Leon Mitkiewicz: Z gen. Sikorskim na obczyźnie
(23 F)
- Julian Kułski: Stefan Starzyński w mojej pamięci
(12 F)
- Eugenio Reale: Raporty. Polska 1945-1946. (18,50 F)

18,50 F (dol. 4,-; £ 1.50)